

*Ruth i Mariannie,
które ofiarowały mi najcenniejszy dar -
przyjaźń*

Aby mówić prawdę, potrzeba dwojga:
mówiącego i słuchacza.
Thoreau

Rozdział pierwszy

Dana Steele uważała się za kobietę o elastycznym, otwartym umyśle, z dużą dozą cierpliwości, tolerancji i poczucia humoru.

Kilka osób mogło nie zgadzać się z tak naszkicowanym autoportretem.

Ale cóż one wiedziały?

W ciągu jednego miesiąca jej życie - choć nie ponosiła za to odpowiedzialności - uległo gwałtownej zmianie i wkroczyła na obce, niezbadane terytorium, nie potrafiąc samej sobie wytłumaczyć przyczyny i celu.

Czyż jednak nie płynęła z prądem?

Dzielnie zniosła cios, kiedy Joan, złośliwa dyrektorka biblioteki, awansowała siostrzenicę swojego męża, pomijając inne, bardziej wykwalifikowane, niezawodne, sprawne i niewątpliwie atrakcyjniejsze kandydatki. Przełknęła to i dalej robiła, co do niej należy, nieprawdaż?

A gdy ów zupełnie niezasłużony awans spowodował ograniczenie funduszy i tym samym doprowadził do drastycznego obniżenia wynagrodzenia i godzin pracy pewnej wykwalifikowanej pracownicy, czy stłukła wredną Joan i beczelną Sandi na krwawą miazgę?

Otóż nie. Co, zdaniem Dany, dowodziło niesłychanej powściągliwości.

Kiedy ten chciwy krwiopijca, gospodarz domu, równoległe z obniżką pensji podniósł jej czynsz, czy zacisnęła ręce na jego chudej szyi, tak że chytre oczka wyszły mu z orbit?

Tu ponownie wykazała się heroiczną samokontrolą.

Zalety te mogły być same w sobie nagrodą, Dana wołała jednak bardziej wymierne korzyści.

Ktokolwiek wymyślił powiedzenie o okazjach stukających do drzwi, niewiele wiedział o celtyckich bogach. Okazja nie zastukała do drzwi Dany. Po prostu je wyważyła.

Niezależnie od tego, co widziała i zrobiła, i w czym uczestniczyła przez ostatnie cztery tygodnie, trudniej było uwierzyć, że rozpięta się właśnie na tylnym siedzeniu samochodu swego brata, ponownie przemierzając stromą, krętą drogę ku rezydencji na Wzgórzu Wojownika.

Tym razem nie szalała burza, jak wówczas, gdy jechała po raz pierwszy, jako jedna z trzech kobiet, które otrzymały intrygujące zaproszenie na bankiet od Roweny i Pitte'a, ekscentrycznych właścicieli posiadłości. I nie była sama. Ponadto teraz dokładnie wiedziała, w co się pakuje.

Dla zabicia czasu utworzyła notatnik i zaczęła czytać własne streszczenie opowieści, którą usłyszała podczas pierwszej wizyty na Wzgórzu Wojownika.

„Młody celtycki bóg, który ma zostać królem, zakochuje się w ziemskiej kobiecie podczas tradycyjnej wycieczki do świata śmiertelnych. (Co przypisuję wiosennej przerwie wakacyjnej). Rodzice owego młodego ogiera ulegają jego zachciance, łamią reguły gry i pozwalają mu sprowadzić wybrankę do królestwa bogów, za tak zwaną Zasłonę Snów lub Zasłonę Mocy.

Jednym bogom to się podoba, a innych wkurza.

Następuje wojna, niesnaski, intrygi polityczne.

Młody bóg zostaje królem, a jego ziemską żoną królową. Rodzą im się trzy córki.

Każda z tych półbogiń posiada jakiś talent czy raczej dar. Uogólniając, można rzecz sprowadzić do tego, że pierwszy to sztuka, inaczej - piękno; drugim jest wiedza bądź prawda; trzecim zaś odwaga, czyli męstwo.

Siostry dorastają zgodnie i szczęśliwie, i tra la la, pod czujnym okiem guwernantki oraz strażnika, których wyznaczył król-bóg.

Guwernantka i wojownik zakochują się w sobie; miłość ich zaślepia, przez co nie zwracają należytej uwagi na podopieczne.

Tymczasem czarne charaktery knują intrygę. W ich oderwanym od rzeczywistości świecie nie toleruje się ludzi czy nawet pół ludzi, pół bogów, zwłaszcza gdy chodzi o władzę. Mroczne siły wkraczają do akcji. Dowodzenie obejmuje bardzo zły czarnoksiężnik (zapewne spowinowacony z Ohydną Joan z Biblioteki). Rzuca

zakłęcie na trzy córki, podczas gdy strażnik i guwernantka trwają we wzajemnym zauroczeniu. Wykłada dusze wszystkich córek i zamyka je w szklanej szkatułce, zwanej Szkatułą Dusz, którą mogą otworzyć tylko trzy klucze przekręcone ludzką ręką. Bogowie wiedzą, gdzie szukać kluczy, lecz nie potrafią przełamać zakłęcia ani uwolnić dusz.

Strażnik i guwernantka, skazani na wygnanie, trafiają za Zastłonę Snów, do świata śmiertelnych. Tamże w każdym kolejnym pokoleniu rodzą się trzy kobiety zdolne odnaleźć klucze i zdjąć klątwę. Guwernantka i strażnik muszą odszukać owe kobiety, te zaś dokonują wyboru: mogą podjąć poszukiwania lub odmówić.

Każda ma tego dokonać w ciągu jednej fazy księżyca. Jeśli pierwsza zawiedzie, gra skończona. Za karę wszystkie utracą rok życia w bliżej nieokreślonym terminie. Jeżeli natomiast tej pierwszej się uda, druga podejmuje poszukiwania i tak dalej. Przed ich rozpoczęciem szczęściara otrzymuje irytująco zagadkowe wskazówki -jedyną pomoc, jakiej strażnikowi i guwernantce pozwolono udzielić.

Jeśli poszukiwania zostaną uwieńczone powodzeniem, dusze Szklanych Cór uwolnią się z więżącej je szkatuły. A każda z trzech kobiet dostanie na czysto milion dolarów".

Ładna historyjka - tyle że nie była to historyjka, lecz fakt. Dana zaliczała się do owych trzech kobiet, które potrafiły otworzyć Szkatułę Dusz.

Potem wszystko się pochrzaniło.

A na dodatek ta niezwykła aktywność mrocznego, potężnego boga-czarnoksiężnika o imieniu Kane, który szczerze pragnął ich niepowodzenia i zsyłał wizje rzeczy nieistniejących, zasłaniając istniejące, przez co cała sprawa stawała się groźna.

Nieprawdopodobne zdarzenie miało jednak swoje plusy. Tamtego pierwszego wieczoru Dana poznała dwie kobiety, które okazały się całkiem interesujące i wkrótce potem miała już wrażenie, że zna je od dzieciństwa. Dobrze, pomyślała, że właśnie z nimi zakładam wspólną firmę.

A jedna z tych kobiet została wybranką jej własnego brata.

Malory Price, zorganizowana osoba o duszy artystki, nie tylko przechytryła czarnoksiężnika, któremu stuknęło już parę tysięcy lat, lecz także odnalazła klucz, otworzyła zamek i wykiwała gościa.

A wszystko to w niespełna miesiąc.

Danie i ich przyjaciółce Zoe trudno będzie zakasować to osiągnięcie.

Mimo wszystko, przypomniała sobie Dana, ani jej, ani Zoe żaden romans nie zaciemniał perspektywy. A ona sama nie musiała się martwić o dziecko, jak Zoe.

Nie, Dana Steele była wolna jak ptak i nic nie odciągało jej uwagi od obiecanej nagrody.

Jeżeli teraz ona weźmie kij do ręki, pośle Kane'owi bardzo długą piłkę.

Nie żeby miała coś przeciw romansom. Lubiła mężczyzn. Większość mężczyzn. Zamknęła notatnik i patrzyła na migające za szczybą kontury drzew.

W jednym facecie nawet się zakochała, wieki temu. Wynikło to, rzecz jasna, z młodzieńczej głupoty. Teraz była o wiele mądrzejsza.

Jordan Hawke mógł sobie przyjechać do Pleasant Valley na krótki czas; mógł również wręcić się do ich grona i brać udział w poszukiwaniach. Ale w świecie Dany nie było już dla niego miejsca.

W jej świecie po prostu nie istniał. A jeżeli nawet, to wił się w męczarniach, uległszy jakiemuś straszному wypadkowi lub ciężkiej chorobie, wywołującej przykre i nieodwracalne zmiany.

Fatalnie się złożyło, że jej brat Flynn przejawiał nie najlepszy gust, jeśli chodzi o dobór przyjaciół. Wybacziała mu to jednak, co więcej, przyznawała punkty za lojalność, ponieważ on, Jordan i Bradley Vane byli kumplami od dzieciństwa.

Ponadto w taki czy inny sposób Jordan i Brad stali się uczestnikami poszukiwań. Musiała się z tym na pewien czas pogodzić.

Poprawiła się na siedzeniu, gdy Flynn skręcił w stronę otwartej żelaznej bramy, i przechyliła głowę, by popatrzeć na jednego z dwóch kamiennych wojowników, strzegących wejścia do domu.

Postawny, przystojny i niebezpieczny, pomyślała Dana. Zawsze podobali jej się tacy mężczyźni, dlatego zwróciła uwagę na posąg.

Wyprostowała się, lecz nie zsunęła długich nóg z siedzenia - jedynie w tej pozycji mogła podróżować wygodnie.

Była wysoką kobietą o figurze Amazonki, którą kamienny wojownik z pewnością by docenił. Przeczesała palcami grzywę brązowych włosów. Odkąd Zoe, obecnie bezrobotna fryzjerka i od niedawna bliska przyjaciółka Dany, podcięła jej włosy i zrobiła pasemka, układały się jakby od niechcienia w kształt dzwonu, bez specjalnego

wysiłku ze strony Dany. Oszczędzało jej to czasu rano, co potrafiła docenić, jako że poranków nie uważała za najlepszą porę dnia. Prócz tego fryzura była twarzowa, co zaspokajało próżność Dany.

Zbliżali się już do wytwornej budowli z czarnego kamienia, rezydencji mieszkańców Wzgórza Wojownika. Podobna do zamku lub baśniowej fortecy, królowała na szczycie wzniesienia, rysując się ostro na tle nieba niczym wieża z ciemnego szkła.

Odblask światła załśnił w licznych oknach, a Dana pomyślała, jak wiele tajemnic kryje się pośród cieni.

Całe swoje dwudziestosiedmioletnie życie spędziła w leżącej poniżej dolinie. A Wzgórze Wojownika od zawsze stanowiło źródło fascynacji. Jego sylwetka i cień rzucany na urocze małe miasteczko wydawały się Danie czymś wyjętym z baśni - i to nie w bladej, ugrzecznionej wersji.

Często się zastanawiała, jak by to było mieszkać w tym domu, przechadzać się po jego pokojach, stanąć na balkonie albo spoglądać w dół z wieży. Przebywać na co dzień w dostojnym odosobnieniu, wśród wyniosłych wzgórz i tajemniczych lasów, rozciągających się niemal tuż za progiem.

Przesunęła się na tylnym siedzeniu, tak iż jej głowa znalazła się między głowami Flynnna i Malory.

Pomyślała, że cholernie sympatyczna z nich para. Pozornie niefrasobliwy jej brat i zawsze dbająca o porządek Malory. Flynn o leniwym spojrzeniu zielonych oczu i niebieskooka Malory, która patrzyła bystro i śmiało. Mal w swoich eleganckich, dopasowanych kostiumach i on, któremu tylko szczęśliwym trafem udawało się *znaleźć* obie skarpetki tego samego koloru.

Tak, uznała Dana, byli stworzeni dla siebie.

Los i przypadek sprawiły, że myślała teraz o Malory jak o siostrze. Czyż nie w podobny sposób, wiele lat temu, Flynn stał się dla niej bratem, gdy jego matka i jej ojciec pobrali się i połączyli rodziny?

Kiedy tata zachorował, szukała pociechy u Flynnna. Przez te wszystkie lata obydwójce niejedną raz znajdowali w sobie oparcie. Na przykład wtedy, gdy lekarze zalecili ojcu zmianę klimatu na cieplejszy i gdy matka Flynnna przekazała obowiązki redaktora naczelnego „Dispatcha” synowi, który ni stąd, ni zowąd został wydawcą małomiasteczkowej gazety, zamiast wcielić w życie swe marzenia i doskonalić warsztat dziennikarski w Nowym Jorku.

I gdy porzucił ją chłopak, którego pokochała.

I gdy odeszła kobieta, z którą Flynn zamierzał się ożenić.

Tak, mogli na siebie liczyć, w dobrych i złych chwilach. A teraz jeszcze każde z nich mogło liczyć na Malory. Miłe dopełnienie całości.

— No i popatrzcie. - Dana położyła im dłonie na ramionach. - Znowu to samo.

Malory z lekkim uśmiechem odwróciła głowę.

— Denerwujesz się?

— Nie za bardzo.

— Dziś kolej na ciebie lub Zoe. Wolisz być pierwsza?

Dana wzruszyła ramionami, ignorując mrowienie w żołądku.

— Wszystko jednak, byle sprawy posuwały się naprzód. Nie rozumiem, po co nam te ceremonie. Przecież dobrze wiemy, na czym rzecz polega.

— Ej, a darmowy posiłek? - przypomniał Flynn.

— Faktycznie. Ciekawe, czy Zoe już przyjechała. Cokolwiek Rowena i Pitte wyszukali w krainie mlekiem i miodem płynącej, zmięciemy to ze stołu i ruszamy w drogę.

Gdy tylko Flynn zahamował, wyskoczyła z auta i stanęła z dłońmi wspartymi na biodrach, przyglądając się domowi. Starzec o gęstych białych włosach pospieszył ku nim, by odebrać kluczyki.

— Może ty się nie denerwujesz. - Malory podeszła i wzięła Danę pod rękę. - Ale ja tak.

— Dlaczego? Już zrobiłaś swoje.

— Nadal tkwimy w tym wszystkie trzy - odparła, spoglądając na białą flagę z emblematem klucza, która powiewała na wieży.

— Po prostu myśl pozytywnie. - Dana odetchnęła głęboko. - Gotowa?

— Kiedy sobie tylko życzysz. - Malory poszukała dłoni Flynn'a.

Ruszyli ku masywnym drzwiom, które otworzyły się przed nimi.

Rowena stała w potokach światła, a jej włosy spływały niczym rzeka ognia na stanik szafirowej aksamitnej sukni. Usta rozchylały się w powitalnym uśmiechu, tajemnicze zielone oczy błyszczały.

W uszach, na przegubach i palcach połyskiwały klejnoty. Na długim, niemal sięgającym talii łańcuchu wisiał przejrzysty jak woda kryształ wielkości piąstki niemowlęcia.

— Witajcie. - Jej cichy, melodyjny głos jakby wywoływał obraz leśnych ostępów i grot zamieszkałych przez wróżki i elfy. - Bardzo jestem rada, że was widzę. - Wyciągnęła ręce do Malory, pochyliła się i ucałowała ją w oba policzki. - Wyglądasz wspaniale i zdrowo.

- Ty również. Jak zawsze.

Z niefrasobliwym śmiechem Rowena ujęła dłoń Dany.

- I ty. Jaka piękna kurtka. - Musnęła palcami gładką, miękką skórę. Jednocześnie jej spojrzenie powędrowało w stronę drzwi. - Nie zabraliście Moego?

- Wydawało mi się, że tym razem wielkie, niezdarne psisko nie będzie tu mile widzianym gościem - wyjaśnił Flynn.

- Moe jest tutaj zawsze mile widziany. - Rowena wspięła się na palce, by cmoknąć Flynną w policzek. - Musisz mi przyrzec, że wkrótce go przywieziesz - powiedziała, ujmując gościa pod ramię. - Chodźmy do salonu, tam będzie nam wygodnie.

Przecięli rozległy hol z mozaikową podłogą i przeszli pod szerokim łukowym sklepieniem do przestronnego pokoju, w którym płonął ogień na ogromnym kominku i paliły się dziesiątki białych świec.

Pitte z kieliszkiem bursztynowego płynu w dłoni stał tuż przy kominku. Strażnik u bramy, pomyślała Dana. Był wysoki, smagły, niebezpiecznie przystojny, a wytworny czarny garnitur nie zdołał zatuszować jego muskularnej, sprężystej sylwetki.

Dana z łatwością mogła go sobie wyobrazić w lekkiej zbroi, dzierżącego miecz. Albo galopującego na wielkim czarnym koniu i ubranego w pelerynę, która wydyma się na wietrze.

Gdy weszli, powitał ich lekkim, dwornym ukłonem.

Dana już otwierała usta, lecz nagle dostrzegła kątem oka czyjś ruch w kącie pokoju. Przyjazny uśmiech zniknął z jej twarzy, zmarszczyła brwi, a w oczach pojawiły się iskierki gniewu.

- Co on tutaj robi?

- On - odparł Jordan oschle, unosząc kieliszek - został zaproszony.

- Oczywiście. - Rowena zręcznie wsunęła kieliszek szampana w dłoń Dany. - Obydwoje, Pitte i ja, jesteśmy zachwyceni, że możemy dzisiaj gościć was wszystkich. Proszę, czujcie się jak u siebie. Malory, musisz mi opowiedzieć o swoich planach związanych z galerią.

Łagodnie szturchnięcie i drugi kieliszek szampana skierowały Malory w stronę fotela. Zerknąwszy ukradkiem na siostrę, Flynn przedłożył rozwagę nad odwagę i ruszył za Malory i Rowena.

Powstrzymując chęć ucieczki, Dana upiła łyk trunku i obrzuciła Jordana gniewnym spojrzeniem znad brzegu kryształowego kieliszka.

- Twoja rola w tym przedsięwzięciu dobiegła końca.

- Może tak, a może nie. W każdym razie, jeżeli otrzymuję za-

proszenie na kolację od pięknej kobiety, która na dodatek jest boginią, nigdy nie odmawiam. Ładny ciuch - zauważył, dotykając rękawa kurtki Dany.

- Precz z łapami. - Gwałtownym ruchem cofnęła ramię, a potem wybrała przekąskę z tacy. - I zjedź mi z drogi.

- Nie stoję ci na drodze. - Leniwie unióśł kieliszek do ust, a jego głos nadal brzmiał spokojnie.

Mimo iż Dana miała na nogach kozaczki na wysokich obcasach, był od niej wyższy o kilka cali. To ją dodatkowo irytowało. Podobnie jak Pitte, stanowił idealny model dla twórcy tych kamiennych posągów u wejścia. Mierzył sześć stóp i trzy cale, nie miał grama zbędnego tłuszczu. Jego ciemne włosy mogłyby być nieco krótsze, lecz ta falująca, lekko rozwichrzona i trochę przydługa czupryna pasowała do ostrych rysów twarzy.

Zawsze był postawnym, przystojnym mężczyzną o roziskrzonych niebieskich oczach, ciemnych brwiach, wydłużonym nosie, szerokich ustach i wyrazistych rysach; mężczyzną, który mógł - w zależności od przyświecającego mu celu - czarować lub onieśmielać.

Co gorsza, pomyślała Dana, w tej twardej czaszce krył się lotny i błyskotliwy umysł. A także wrodzony talent, dzięki któremu jeszcze przed trzydziestką stał się znanym i cenionym pisarzem.

Kiedyś miała nadzieję na wspólne życie. On jednak wybrał sławę i majątek, a ją odrzucił.

I w głębi serca nigdy mu tego nie wybaczyła.

- Pozostają jeszcze dwa klucze - przypomniał jej. - Jeżeli ich odnalezienie jest dla ciebie ważną sprawą, powinnaś być wdzięczna za pomoc. Ktokolwiek jej udziela.

- Nie potrzebuję twojej pomocy. W każdej chwili możesz wracać do Nowego Jorku.

- Zamierzam dotrzeć do końca. Lepiej oswój się z tą myślą.

Prychnęła i wrzuciła do ust kolejną tartinkę.

- Co na tym zyskasz?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Wzruszyła ramionami.

- W sumie niewiele mnie to obchodzi. Ale wydaje mi się, iż nawet ktoś tak niewrażliwy jak ty powinien zdawać sobie sprawę, że zwalając się Flynnowi na głowę, przeszkadza tym oto dwóm gołąbkom.

Jordan zerknął we wskazanym kierunku i przyjrzał się Flynnowi siedzącemu obok Malory. Przyjaciel bawił się w roztargnieniu pasmem jej jasnych włosów.

- Staram się nie wchodzić im w drogę. Ona dobrze na niego wpływa - zauważył Jordan.

Cokolwiek by o nim mówić - a Dana miałyby wiele do powiedzenia - nie można było zaprzeczyć, że kochał Flynna. Przełknęła zatem gorycz, spłukując jej smak szampanem.

- Owszem. Obydwoje dobrze na siebie wpływają.

- Ale ona nie chce z nim zamieszkać.

Dana zamruwała.

- Poprosił ją o to? Żeby się wprowadziła? A ona mu odmówiła?

- Niezupełnie. Dama stawia pewne warunki.

- Jakże?

- Umeblowanie salonu i remont kuchni.

- Żartujesz? - Rozbawiło ją to i wzruszyło zarazem. - Cała Mai. Zanim Flynn się połapie, będzie mieszkał w prawdziwym domu, a nie wśród czterech ścian z drzwiami, oknami i stertą pudeł.

- Kupił naczynia. Takie, które się zmywa, a nie wyrzuca do śmieci.

Jej rozbawienie rosnęło, w policzkach pojawiły się małe dołeczki.

- Niemożliwe.

- Oraz noże i widelce, które nie są z plastiku.

- O mój Boże. Następne będą kieliszki.

- Obawiam się, że tak.

Wybuchnęła śmiechem i wzniosła toast w stronę pleców brata.

- Z dobrodziejstwem inwentarza.

- Brakowało mi tego - mruknął Jordan. - Po raz pierwszy, odkąd wróciłem, usłyszałem twój szczerzy śmiech.

Spowaźniała natychmiast.

- To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Jakbym nie wiedział.

Zanim zdążyła otworzyć usta, do pokoju wbiegła Zoe McCourt, a tuż za nią wszedł Bradley Vane. Zoe była zarumieniona, rozdrażniona i zakłopotana. Wygląda, pomyślała Dana, jak seksowny leśny duszek, który miał wyjątkowo zły dzień.

- Przepraszam, że się spóźniłam. Bardzo przepraszam.

Włożyła krótką, obcisłą czarną sukienkę z długimi rękawami i skrzyżowanym rąbkiem, która podkreślała jej smukłą, ponętną figurę. Czarne, lśniące włosy, proste i krótko przycięte nad czołem, kontrastowały z bursztynowymi oczami o migdałowym wykroju.

Postępujący tuż za nią Brad sprawiał wrażenie księcia z bajki, wystrojonego we włoski garnitur.

Spojrzawszy na nich, Dana uznała, że stanowiliby wspaniałą parę -jeśli nie brać pod uwagę frustracji Zoe i nietypowej sztywności Brada.

- Nie bądź niemądra. - Rowena już zmierzała w ich stronę. - Wcale się nie spóźniłaś.

- Ależ tak. Moje auto... coś się w nim popsło. W warsztacie mieli to naprawić, ale... no cóż, akurat nadjechał Bradley i jestem mu bardzo wdzięczna, że mnie podwiózł.

Wcale nie jest wdzięczna, pomyślała Dana. Jest wkurzona, a w jej głosie słychać ten delikatny akcent Wirginii Zachodniej.

Rowena posadziła Zoe w fotelu, starając się ją uspokoić, i podała kieliszek szampana.

- Dałabym sobie z tym radę - mruknęła Zoe.

- Być może. - Bradley przyjął trunek z wyraźną wdzięcznością. - Ale ubrudziłabyś sukienkę smarem, w związku z czym musiałybyś się przebrać i spóźniłabyś się jeszcze bardziej. To chyba nie policzek, jeśli podwozi cię ktoś, kogo znasz i kto jedzie w tę samą stronę.

- Już powiedziałam, że jestem wdzięczna - burknęła Zoe i odechnęła głęboko. - Przepraszam - zwróciła się do wszystkich obecnych. - Mam zły dzień. A w dodatku jestem zdenerwowana. Czy moje spóźnienie bardzo zaważyło...

- Skądże znowu. - Rowena musnęła jej ramię i w tej samej chwili służący oznajmił, że podano do stołu. - No widzisz? Przybyłaś w samą porę.

Nie co dzień jada się jagnięcinę w zamku położonym na jednym ze wzniesień Pensylwanii. Splendoru całej sytuacji dodawała jadalnia wysoka na dwanaście stóp, z trzema kandelabrami, skrzącymi się od białych i czerwonych kryształków oraz kominek z ciemnoczerwonego granitu, w którym zmieściłaby się cała populacja stanu Rhode Island.

Atmosfera, która powinna w takim miejscu onieśmielać oficjalnością, była nad wyraz swobodna. Nie będziesz tu przełykała w pośpiechu pizzy pepperoni, pomyślała Dana, ale za to czeka cię wykwinny posiłek w gronie interesujących ludzi.

Rozmowa toczyła się wartko - podróże, książki, interesy. Dana dostrzegała w tym potężną moc gospodarzy. Bibliotekarki z małych miasteczek rzadko siadają do stołu w towarzystwie pary celtyckich bóstw, lecz Rowena i Pitte sprawili, że wydawało się to czymś zupełnie naturalnym.

I nikt nie wspominał o tym, co miało nadejść, o kolejnym etapie poszukiwań.

Posadzona między Bradem a Jordanem, Dana przysunęła się do Brada i starała się w miarę możliwości ignorować towarzysza z drugiego boku.

- Czym tak rozżłościłeś Zoe?

Brad obrzucił przelotnym spojrzeniem przeciwną stronę stołu.

- Pewnie tym, że ośmielałam się oddychać.

- Daj spokój. - Dana lekko trąciła go łokciem. - Zoe nie jest taka. Co zrobiłeś? Dobierałeś się do niej?

- Nie dobierałem się do niej. - Lata wprawy zrobiły swoje: jego głos brzmiał cicho i spokojnie, choć wyczuwało się w nim zjadliwą nutę. - Może ją zirytowało, że nie chciałem grzebać w silniku i jej również to wyperswadowałem, jako że obydwoje byliśmy w strojach wieczorowych i już robiło się późno.

Dana uniosła brwi.

- No, no. Wygląda na to, że ona cię też wkurzyła.

- Nie lubię, kiedy zarzuca mi się apodyktyczność i arogancję tylko dlatego, że stwierdzam oczywisty fakt.

Uśmiechnęła się i uszczypnęła go w policzek.

- Ależ ty naprawdę jesteś apodyktyczny i arogancki, skarbie. Właśnie za to cię kocham.

- Tak, tak, pewnie. - Jego usta zadrgały od tłumionego śmiechu. - Więc dlaczego nie rzuciliśmy się jeszcze w wir dzikiego, szalonego seksu?

- Nie wiem. Pozwolisz, że później wrócimy do tego tematu. - Nabiła na widelec kolejny kawałek jagnięciny. - Pewnie często jadasz wykwintne kolacje w takich niezwykłych miejscach jak to.

- Nie ma innych takich miejsc jak to.

Łatwo było zapomnieć, że jej kumpel Brad to Bradley Charles Vane IV, prawowity dziedzic drzewnego imperium, które stworzyło jedną z największych i najpopularniejszych sieci handlowych, sprzedających artykuły służące wyposażaniu i remontowaniu domów - HomeMakers.

Mimo to swoboda, z jaką dostroił się do wykwintnej atmosfery Wzgórza Wojownika, na nowo uświadomiła Danie, iż Bradley jest kimś więcej niż zwykłym chłopakiem z sąsiedztwa.

- Czy twój tata nie kupił parę lat temu ogromnego zamku w Szkocji?

- Kupił dworek w Kornwalii. Dość okazały, trzeba przyznać. Ona niewiele je - mruknął, wskazując Zoe ruchem głowy.

- Jest zdenerwowana. Ja także - dodała Dana i odkroiła następny kawałek jagnięciny. - Ale nic nie może odebrać mi apetytu. - Usłyszała śmiech Jordana i jego niskie, męskie brzmienie sprawiło, że poczuła gęsią skórkę. Ostentacyjnie zajęła się jedzeniem. - Absolutnie nic.

Ignorowała go przez większość czasu, rzucając tylko niekiedy krytyczne uwagi. Typowe zachowanie Dany, pomyślał Jordan, gdy w grę wchodziła jego osoba.

Powinien do tego przywyknąć.

A zatem fakt, iż tak bardzo się tym przejmował, był wyłącznie jego problemem. Podobnie jak przywrócenie przyjacielskich kontaktów między nimi było jego misją.

Kiedyś łączyła ich przyjaźń. A nawet znacznie więcej. Ta więź została zerwana z jego winy i gotów był ponieść karę. Ale jak długo mężczyzna ma pokutować za wycofanie się ze związku? Czy tu nie obowiązywały przepisy o przedawnieniu?

Wygląda oszałamiająco, uznał, gdy zebrali się ponownie w salonie, popijając kawę i brandy. No, ale zawsze mu się podobała, nawet gdy była jeszcze dzieckiem, zbyt wysokim jak na swój wiek, o pyzatej buzi i z warstewką dziecięcego tłuszczu.

Teraz po dziecięcym tłuszczu nie pozostał żaden ślad. Zastąpiły go krągłości - liczne ponętne krągłości.

Uświadomił sobie, że zrobiła coś z włosami, co w jakiś tajemniczy sposób rozświetliło ich ciepły brąz. Jej oczy wydawały się ciemniejsze, głębsze. Boże, ileż to razy doznawał uczucia, że tonie w tych czekoladowych oczach?

Czy nie miał prawa wynurzyć się na powierzchnię, by nabrać tchu?

Tak czy inaczej, jego wcześniejsze słowa były szczerze. Wrócił, a Dana musiała się po prostu z tym pogodzić. Podobnie jak z jego udziałem w tej zagmatwanej sprawie, w którą się wplątała.

Nie mogła uniknąć kontaktów z nim. A on z przyjemnością się postara, by te kontakty były jak najczęstsze.

Rowena wstała. Coś w jej ruchach i wyglądzie obudziło w Jordanie niejasne wspomnienia. Postąpiła krok naprzód, uśmiechnęła się - i wrażenie minęło.

- Jeśli jesteście gotowi, możemy zaczynać. Sądzę, że drugi salon będzie bardziej odpowiedni dla naszego celu.

- Ja jestem gotowa. - Dana podniosła się z fotela i spojrzała na Zoe. - A ty?

- Ja też. - Zoe lekko pobladła i mocno ścisnęła dłoń przyjaciółki. - Poprzednim razem myślałam tylko, żebym to nie ja była pierwsza. A teraz po prostu sama nie wiem.

- To tak jak ja.

Przeszli rozległym korytarzem do drugiego salonu. Jordan wiedział, że żadne wewnętrzne nakazy nic tu nie pomogą. Obraz poruszył go do głębi, tak samo jak za pierwszym razem.

Czyste, żywe barwy; radość i piękno, zawarte w temacie i wykonaniu. I wstrząs wywołany widokiem twarzy Dany, ciała Dany - i jej oczu, spoglądających na niego z płótna.

„Szklane Córy”.

Miały imiona, które zdążył poznać. Niniane, Venora, Kyna. Mimo to, patrząc na portret, myślał o nich jako o Danie, Malory i Zoe.

Otoczający je świat pławił się w kwiatkach i blasku słońca.

Malory, przyodziana w lazuruową szatę, z bujnymi, złocistymi lokami, opadającymi niemal do talii, trzymała małą harfę. Zoe stała, smukła i wyprostowana w mieniącej się zielonej sukni, ze szczeniciem w ramionach i mieczem u boku. Dana, z iskierkami śmiechu w ciemnych oczach, przystroiła się w ognistą czerwień. Siedziała, dzierżąc w dłoniach zwój pergaminu i pióro.

W tym szczególnym momencie tworzyły jedną całość wpisaną w lśniący niczym klejnot świat zza Zasłony Snów. Była to jednak ulotna chwila i już wówczas czyhało na nie niebezpieczeństwo.

Cień w głębokiej leśnej gęstwinie. Kręty ślad węża na srebrzystych płytkach posadzki.

Na drugim planie kochankowie złączeni w uścisku pod zwieszającymi się wdzięcznie gałęziami drzewa. Guwernantka i strażnik, zbyt pochłonięci sobą, by wyczuć niebezpieczeństwo grożące podopiecznym.

I trzy klucze, zręcznie i przemyślnie zamaskowane na obrazie. Jeden pod postacią ptaka szybującego pod nieprawdopodobnie błękitnym niebem, drugi odbity w fontannie za plecami dziewcząt, trzeci ukryty w leśnej gęstwinie.

Jordan wiedział, że Rowena namalowała ten portret z pamięci - i że jej pamięć sięgała dawnych czasów.

Wiedział także, dzięki odkryciom i doświadczeniom Malory, że wkrótce potem dusze trzech córek zostały skradzione i zamknięte w szkatułce ze szkła.

Pitte przyniósł rzeźbione pudełko i otworzył je.

- Wewnątrz znajdują się dwa krążki, jeden z nich z symbolem klucza. Ta, która wybierze oznaczony krążek, będzie miała za zadanie odnaleźć drugi klucz.

- Tak jak poprzednim razem, dobrze? - Zoe zacisnęła palce na dłoni Dany. - Patrzymy równocześnie.

- Dobrze. - Dana powoli nabrała powietrza, a tymczasem Malory zbliżyła się do nich i położyła rękę na ramieniu najpierw jednej, potem drugiej. - Chcesz być pierwsza?

- A niech to. Chyba tak. - Zamknawszy oczy, Zoe sięgnęła w głąb puzderka i chwyciła krążek.

Wpatrując się w obraz, Dana wyjęła drugi krążek.

Następnie obydwie wyciągnęły dłonie.

- No cóż... - Zoe popatrzyła na swój krążek, a potem na Dane. - Wygląda na to, że będę ostatnia w tej sztafecie.

Dana przesunęła kciukiem po wyrzeźbionym kluczu. Taka mała rzecz, prosta tulejka ze spiralnym wzorem na końcu. Wydawał się czymś zupełnie zwyczajnym, lecz ona widziała pierwszy prawdziwy klucz, jaśniejący złotym blaskiem w ręku Malory i zdawała sobie sprawę, że nie jest to zwyczajny przedmiot.

- OK, jestem gotowa. - Chciała usiąść, lecz tylko zsunęła drżące kolana. Cztery tygodnie, pomyślała. Miała cztery tygodnie, od nowiu do nowiu, na dokonanie rzeczy niemożliwej, a przynajmniej niewiarygodnej. - Otrzymam wskazówkę, zgadza się?

- Tak. - Rowena podniosła arkusz pergaminu i zaczęła czytać: - „Znasz przeszłość i poszukujesz przyszłości. To, co było, co jest i co będzie, wplata się w gobelin życia. Pięknu towarzyszy szpetota, wiedzy ignorancja, męstwu zaś tchórzostwo. Każde traci na znaczeniu bez swego przeciwieństwa.

Aby odnaleźć klucz, umysł winien posłuchać głosu serca, a serce winno oddać cześć umysłowi. Odszukaj własną prawdę w jego kłamstwach i to, co rzeczywiste, wewnątrz fantazji.

Tam, gdzie jedna bogini się przechadza, inna oczekuje, a marzenia są tylko wspomnieniami, które dopiero nadejdą”.

Dana uniosła kieliszek brandy do ust i pociągnęła solidny łyk, by rozluźnić supły w żołądku.

- Bułka z masłem - powiedziała.

Rozdział drugi

McDonald's wprowadził Big Maca na rynek w roku 1968. - Dana okręciła się leniwie na obrotowym krześle za pulpitem informacyjnym. - Tak, panie Hertz, jestem pewna. Big Mac pojawił się w obiegu w roku 68, nie 69, dzięki czemu używał pan ich specjalnego sosu o rok dłużej, niż się panu wydaje. Tym razem pan Foy wygrał, prawda? - Ze śmiechem pokręciła głową. - Może jutro się panu poszczęści.

Odłożyła słuchawkę i odfajkowała na liście wynik dziennego zakładu Herta i Foya, po czym skrupulatnie odnotowała nazwisko zwycięzcy w specjalnej tabeli.

W poprzednim miesiącu pan Hertz pokonał pana Foya, wygrywając lunch w małej restauracji przy Main Street na rachunek tego ostatniego. W skali roku jednak, jak zauważyła, Foy zyskał dwa punkty przewagi, miał zatem szansę zdobyć upragnioną doroczną nagrodę w postaci wystawnej kolacji z drinkami w Mountain View Inn.

W tym miesiącu szli dosłownie łeb w łeb i trudno było przewidywać, który zwycięży. Dana miała za zadanie ogłaszać co miesiąc oficjalnie nazwisko zwycięzcy, a pod koniec roku - znacznie bardziej uroczyście - mistrza wiedzy ogólnej.

Rywalizacja obu panów trwała od prawie dwudziestu lat. Dana uczestniczyła w niej, odkąd rozpoczęła pracę w bibliotece w Pleasant Valley jeszcze ze świeżym dyplomem w ręku.

Będzie jej brakowało tego codziennego rytuału, gdy wreszcie złoży rezygnację.

Obok jej biurka przedefilowała Sandi z blond włosami zebranymi w podskakujący koński ogon i przyklejonym uśmiechem kandydatki na królową piękności - a Dana pomyślała, że są rzeczy, za którymi z pewnością nie będzie tęskniła.

W zasadzie powinna była już wcześniej złożyć dwutygodniowe wymówienie. Jej czas pracy skurczył się do nędznych dwudziestu pięciu godzin tygodniowo. Mogła te godziny lepiej wykorzystać gdzie indziej.

Za dwa miesiące zamierzała otworzyć własną księgarnię - w ramach „Pokusy”, czyli wspólnego przedsięwzięcia, zaplanowanego wraz z Malory i Zoe. Oprócz odnawiania i urządzania należących do niej pomieszczeń w kupionym budynku, musiała zająć się zamawianiem książek.

Złożyła podanie o wszelkie niezbędne zezwolenia, przejrzała katalogi wydawnicze i wyobraziła sobie dodatkowe atrakcje przyciągające czytelników. Mogłaby serwować popołudniami herbatę, a wieczorami wino. Później zaczęła urządzać eleganckie, kameralne imprezy. Spotkania, wieczory literackie, podpisywanie książek.

Zawsze tego pragnęła, lecz w gruncie rzeczy nie wierzyła, że jej marzenie się spełni.

Przypuszczała, iż zawdzięcza to Rowenie i Pitte'owi. Nie tylko z uwagi na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w żywej gotówce, które ofiarowali każdej z nich, by zachęcić do podjęcia poszukiwań, ale także dlatego, że zapoznali Danę z Malory i Zoe.

Wszystkie trzy znajdowały się na swego rodzaju życiowym zakręcie, gdy się spotkały tamtego pierwszego wieczoru na Wzgórzu Wojownika. I weszły w ten zakręt, wybierając wspólną drogę.

Myśl o założeniu własnego przedsiębiorstwa była dla Dany o wiele mniej przerażająca, gdy dwie przyjaciółki - dwie współniczki - zamierzały zrobić to samo.

Ponadto w grę wchodził klucz. Nie mogła, rzecz jasna, zapominać o kluczu. Odnalezienie pierwszego zajęło Malory niemal całe wyznaczone cztery tygodnie. I nie była to beztraska zabawa. Wręcz przeciwnie.

Teraz jednak wiedziały więcej o tym, z czym mają do czynienia i o jaką stawkę chodzi. To musiało zapewnić Danie pewną przewagę w tej rundzie.

Z drugiej strony wiedza, skąd klucze pochodzą, do czego służą i kto nie życzy sobie, by je odnaleziono, bynajmniej nie gwarantowała sukcesu w poszukiwaniach.

Dana odchyliła się na oparcie krzesła, zamknęła oczy i zaczęła się zastanawiać nad wskazówką otrzymaną od Roweny. Była tam mowa o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

Wielka pomoc.

Wiedza, oczywiście. Kłamstwo i prawda. Serce i umysł.

Tam, gdzie jedna bogini się przechadza.

We wskazówce danej Malory również pojawiła się bogini - śpiewająca bogini. A Malory, miłośniczka sztuki marząca o zostaniu artystką, znalazła swój klucz w obrazie.

Jeżeli pozostałe dwie wskazówki opierały się na podobnej zasadzie, logika nakazywała Danie szukać w książkach albo blisko książek.

- Odsypiasz noc, Dano?

Raptownie otworzyła oczy, napotyając pełne dezaprobaty spojrzenie Joan.

- Nie. Zbieram myśli.

- Jeśli nie masz nic lepszego do roboty, możesz pomóc Marilynn przy regałach.

Dana obdarzyła ją promiennym uśmiechem.

- Z przyjemnością. Czy mam poprosić Sandi, żeby mnie zastąpiła?

- Nie zauważyłam, by zasypywano cię gradem pytań.

A ty nie wydajesz się szczególnie pochłonięta pracą administracyjną, pomyślała Dana, skoro bez przerwy siedzisz mi na karku.

- Przed chwilą odpowiedziałam na jedno, dotyczące kapitalizmu i przedsiębiorczości prywatnej. Ale jeśli wolisz, żebym...

- Przepraszam. - Do biurka podeszła jakaś kobieta. Jej dłoń spoczywała na ramieniu chłopca, mniej więcej dwunastoletniego. Dana pomyślała o Flynnie trzymającym smycz Moego. W geście kobiety kryła się nadzieja, że potrafi zapanować nad chłopcem, a zarazem pewność, iż da on drapakę przy pierwszej sposobności.

- Czy mogłyby nam panie pomóc? Mój syn ma przygotować referat... na jutro. - Ostatnie słowo wymówiła z takim naciskiem, że chłopiec aż się skulił. - O Kongresie Kontynentalnym. Czy znalazłyby się jakieś książki przydatne na tym etapie?

- Oczywiście. - Joan w jednej chwili rozplynęła się w uśmiechach. - Chętnie wskażę pani kilka tytułów w naszym dziale historycznym.

- Przepraszam. - Nie mogąc się powstrzymać, Dana poklepała nadąsanego chłopca po ramieniu. - Siódma klasa? Pani Janesburg, historia Stanów Zjednoczonych?

Jego dolna warga wyduła się jeszcze mocniej.

- Tak.

- Wiem, czego wymaga. Jak się solidnie przyłożysz, dostaniesz celujący.

- Naprawdę? - Matka pochwyciła rękę Dany, jakby to była lina ratownicza. - To byłby cud.

- Mnie też pani Janesburg uczyła historii. - Dana mrugnęła do chłopca. - Dobrze ją znam.

- Zatem pozostawiam panią w kompetentnych rękach panny Steele - powiedziała Joan przez zaciśnięte zęby, choć nie przestała się uśmiechać.

Dana pochyliła się i zapytała konspiracyjnym szeptem:

- Ciagle ma łzy w oczach, kiedy mówi o Patricku Henrym i jego tyradzie „Dajcie mi wolność”?

Chłopiec wyraźnie się rozpozgodził.

- Aha. Musiała nawet przerwać, żeby wydmuchać nos.

- Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. No dobra, oto, co ci będzie potrzebne.

Piętnaście minut później, gdy syn wypożyczał książki na swoją świeżo założoną kartę biblioteczną, matka wróciła do biurka Dany.

- Chciałam pani jeszcze raz podziękować. Nazywam się Joannę Reardon, a pani właśnie uratowała życie mojemu pierworodnemu.

- Och, pani Janesburg jest surowa, owszem, ale przecież by go nie zamordowała.

- Ona nie, ale ja tak. Matt zapalił się do pisania tego referatu, choćby po to, żeby zagrać nauczycielce na nosie.

- Liczy się efekt.

- Też tak sądzę. W każdym razie, jestem bardzo wdzięczna. To idealna praca dla pani.

Dana zgodziła się z nią w duchu. Niech to diabli, była świetna w tym, co robiła. Wredna Joan i jej szczerząca zęby bratanica pożałują, kiedy zabraknie Dany Steele; nie będą miały kim pomiatać.

Pod koniec dyżuru posprzątała biurko, zgarnęła książki, które wypożyczyła, i podniosła teczkę. Pomyślała, że kolejną rzeczą, za którą może tęsknić, jest stała kolejność czynności wykonywanych na zakończenie dnia pracy. Doprowadzanie wszystkiego do porządku przed powrotem do domu, ostatni rzut oka na regały, stoliki, całą przytulną świątynię książki.

Będzie jej również brakowało krótkich, przyjemnych spacerów do i z biblioteki. Między innymi z tego powodu nie chciała zamieszkać z Flynnem, gdy kupił dom.

Pomyślała, że i do „Pokusy” może wędrować piechotą. Jeśli zechce jej się dwumilowej wycieczki. Ponieważ wydawało się to mało prawdopodobne, postanowiła na razie cieszyć się tym, co ma.

Lubiła swoją stałą, przewidywalną trasę między pracą a domem i wciąż te same widoki - miesiąc po miesiącu, rok po roku. Teraz, gdy jesień była w pełnym rozkwicie, ulice zalewały potoki złocistego blasku, spływające między barwnymi koronami drzew. Góry w oddali przypominały bajeczny gobelin, utkany przez bogów.

Słyszała dzieci, które korzystały z godzin swobody między szkołą a odrabianiem lekcji i z krzykiem goniły się po małym skwerku oddzielającym bibliotekę od budynków mieszkalnych. W rześkim powietrzu wyczuwało się wyraźnie zapach chryzantem kwitnących na klombie przed ratuszem.

Wielki, okrągły zegar na rynku wskazywał pięć po czwartej.

Przypomniała sobie z rozgoryczeniem, że dawniej, nim Joan została kierowniczką, odczytywała na tarczy zegara godzinę szóstą trzydzieści pięć, gdy wychodziła z pracy.

Chrzanić to. Trzeba się cieszyć wolnym czasem i cudownym spacerem w słoneczne popołudnie.

Na werandach leżały wydrażone dynie, a z gałęzi zwisały papierowe gobliny, choć do dnia Halloween pozostało jeszcze kilka tygodni. Małe miasteczka przywiązywały dużą wagę do świąt. Dni stawały się coraz krótsze i chłodniejsze, lecz nadal pozwalały się rozkoszować ciepłem i światłem.

Dana doszła do wniosku, że dolina najpiękniej wygląda jesienią. Tak malowniczo, jak to tylko możliwe na amerykańskiej prowincji.

- Cześć, Żyrafo. Pomóc ci?

Uczucie zadowolenia rozwiało się jak dym. Zanim zdążyła cokolwiek odburknąć, Jordan odebrał jej książki i wsunął sobie pod pachę.

- Oddawaj.

- Nie oddam. Piękny dzień, co? Nie ma to jak nasza dolina w październiku.

Zjeżyła się na te słowa, tak dokładnie odzwierciedlające jej własne myśli.

- Twoja ulubiona melodia to chyba „Jesień w Nowym Jorku”.

- Też jest ładna. - Przechylił książki, by odczytać tytuły na grzbietach: „Mity celtyckie”, „Podstawy jogi” i najnowsza powieść Stephena Kinga. - Joga?

Cały on, pod każdym względem. Zwrócił uwagę na jedyny z wypożyczonych tytułów, który wprawiał ją w lekkie zakłopotanie.

- No i co z tego?

- Nic. Po prostu nie wyobrażam sobie siebie w pozycji lotosu... czy jakiegokolwiek innej. - Zmrużył oczy, kryjąc pod powiekami szelmowskie iskierki. - Ale gdyby się tak zastanowić...

- Nie masz nic lepszego do roboty? Koniecznie musisz czaić się pod biblioteką, żeby mnie napastować?

- Nie czaiłem się pod biblioteką, a pomoc w dźwiganiu książek nie jest napastowaniem. - Zrównał z nią krok, ze swobodą starego znajomego. - I nie pierwszy raz odprowadzam cię do domu.

- Od kilkunastu lat jakoś daję sobie radę bez ciebie.

- Dajesz sobie radę z wieloma sprawami. Jak się miewa twój tata?

Powstrzymała opryskliwą odpowiedź, uświadomiwszy sobie, że Jordan - choć był paskudnym facetem - zadał to pytanie ze szczerą troską. Joe Steele i Jordan Hawke dobrali się w korcu maku.

- Dobrze. Czuję się dobrze. Przeprowadzka do Arizony świetnie mu zrobiła. Obydwoje z Liz doskonale sobie radzą. Ojciec zabrał się do wypieków.

- Jak to: do wypieków? Chodzi o ciastka? Joe piecze ciastka?

- Owszem, a oprócz tego bułeczki i różne gatunki chleba. - Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Wizja ojca, potężnie zbudowanego macho, ubranego w kuchenny fartuch i wyrabiającego ciasto, zawsze bawiła ją do łez. - Co dwa miesiące przysyła mi paczkę. Pierwsze wyroby nadawały się tylko do podpierania drzwi, ale w ostatnim roku zauważyłam wyraźną poprawę. Piecze pyszne ciastka.

- Przy najbliższej okazji pozdrów go ode mnie.

Wzruszyła ramionami. Nie zamierzała wymieniać nazwiska Jordana Hawke, chyba że miałyby ochotę zakłąć.

- Tu mieszkam - oznajmiła, gdy stanęli przed bramą kamienicy.

- Chciałbym wejść z tobą.

- Nie ma mowy. - Sięgnęła po książki, lecz on natychmiast cofnął się o krok. - Przestań, Jordan, nie jesteśmy już dziećmi.

- Musimy porozmawiać.

- Wcale nie.

- A właśnie, że tak. I nie chcę się czuć jak dziecko, więc przestań mi to wmawiać. - Odetchnął głęboko, modląc się o cierpliwość. - Dano, sprawa jest poważna. Podejdźmy do niej odpowiedzialnie.

Aha, więc sugerował, że jego rozmówczyni jest osobą niedojrzałą. Ścisłe rzecz biorąc, ptasim mózdzkiem.

- Dobrze. Więc oddaj mi książki i spływaj.

- Słyszałaś, co mówiła Rowena? - W jego głosie pojawiła się ostra nuta, która ostrzegała przed nadciągającą burzliwą sprzeczką. - Zwróciłaś na to uwagę? Przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Jestem częścią twojej przeszłości. I twoich poszukiwań.

- I pozostaniesz w przeszłości. Zmarnowałam dla ciebie dwa lata życia. Było, minęło. Potrafisz się z tym pogodzić? Czy twoje wybujałe ego nie jest zdolne wziąć pod uwagę, że zapomniałam o tobie? I to dawno temu.

- Nie chodzi tu o moje ego, Dano. - Oddał jej książki. - Jeśli już, to o twoje. W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać.

- Wcale nie chcę cię szukać - mruknęła, lecz on już się oddalił.

Cholera jasna, przecież zawsze podejmował walkę. Jego głos i twarz zdradzały chęć wybuchnięcia niepowstrzymanym potokiem uczuć i słów. Kiedyż to złapał za obrożę i odciągnął na bok warcząca bestię?

Nastawiła się na kłótnię, a teraz nie miała na kim wyładować złęgo humoru. To był podły, naprawdę podły numer.

W mieszkaniu rzuciła książki na stół i natychmiast sięgnęła po czekoladowe mleko. Chwilę później przyglądała nastroszone pióra, wyjadając „Cookie Dough” prosto z kartonu.

- Skurczysyn. Podstępny skurczysyn, najpierw mnie wkurzył, a potem czmychnął. Te kalorie to jego wina. - Oblizwała łyżkę i zanurzyła ją z powrotem. - Ale, cholera jasna, to naprawdę pycha.

Pokrzepiona, przebrała się w dres, zaparzyła dzbanek kawy i rozsiadła się w ulubionym fotelu z nową książką o mitach celtyckich.

W ciągu ostatniego miesiąca pochłonięła ogromną liczbę książek związanych z tym tematem. Ale czytanie było dla Dany równie przyjemne jak picie mleka czekoladowego i niezbędne jak haust powietrza.

Otoczała się książkami w pracy i w domu. Jej przestrzeń życia dawała świadectwo pierwszej i nieprzemijającej miłości: książki wypełniały wszystkie półki i piętrzyły się na stołach. Dana widziała w nich nie tylko źródło wiedzy, rozrywki, pociechy, a nawet zdrowia psychicznego, lecz także swego rodzaju ozdobę wnętrza.

Postronnemu obserwatorowi książki stłoczone na regałach i blatach mogły się wydawać bezładną plątaniną przypadkowo do-

branych tytułów. Ale Dana, bibliotekarka w każdym calu, wprowadziła tu własny system organizacyjny.

Mogła, na własne lub cudze życzenie, w jednej chwili znaleźć dowolną książkę w dowolnym pokoju.

Nie potrafiła żyć bez książek - bez opowieści, informacji, rozmaitych opisywanych światów. Nawet teraz, mając przed sobą zadanie do wykonania w ściśle określonym czasie, zatoneła w lekturze: pozwoliła się wciągnąć w życie, miłości, wojny i małostkowe urazy bogów.

Pochłonięta czytaniem, aż podskoczyła, kiedy nagle rozległo się stukanie do drzwi. Zamrugała z zaskoczeniem, powracając do realnego świata i zauważyła, że słońce zaszło, gdy bawiła z wizytą u Dagdy, Epony i Luga.

Otworzyła z książką w ręku i uniosła brwi na widok Malory.

- Co się stało?

- Tak sobie pomyślałam, że wpadnę do ciebie w drodze do domu. Rozmawiałam dzisiaj z naszymi miejscowymi artystami i rzemieślnikami. Zamówiłam u nich to i owo... na dobry początek.

- Świetnie. Przyniosłaś coś do jedzenia? Umieram z głodu.

- Mam puszkę altoids i dropsy.

- Do niczego - uznała Dana. - Potrzebuję jakiegoś sycącego pożywienia. Jesteś głodna?

- Nie, ale ty się nie krępuj. Masz jakieś pomysły? Jakies zadania dla mnie i Zoe? - Malory weszła za Daną do kuchni.

- Pomysły? No, może. Spaghetti! Cholera jasna. - Dana wyjęła z lodówki miskę z resztkami. - Chcesz trochę?

- Broń Boże.

- Mam do tego butelkę caberneta.

- No to może wypiję kieliszek. - Malory otworzyła szafkę, czując się w kuchni Dany jak u siebie w domu. - Więc jak, masz jakiś pomysł?

- Książki. Wiesz, to wszystko, co się wiąże z wiedzą. A także przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. W moim wypadku w grę wchodzi przede wszystkim książki. - Wydobyła widelec i zaczęła jeść makaron prosto z miski. - Problem w tym, która to może być książka.

- Nie podgrzejesz tego?

- Czego? - Dana, zbита z tropu, przyjrzała się zawartości miski.

- Nie, a bo co?

- Nic, nic. - Malory podsunęła jej kieliszek wina, wzięła swój

i usiadła przy stole. - Książka lub książki mają pewien sens. Wyznaczają ścieżkę, którą powinnaś podążyć. Ale... - tu obrzuciła spojrzeniem mieszkanie Dany - samo przejrzenie twojego prywatnego księgozbioru potrwa kilka tygodni. A do tego dochodzą jeszcze inne zbiory, biblioteka, księgarnia w centrum handlowym i tak dalej.

- Oraz fakt, iż nawet jeśli mam rację, nie oznacza to, że klucz w sensie dosłownym znajduje się w książce. Może to jakaś metafora. Albo któraś z książek zawiera wskazówki. - Dana wzruszyła ramionami i pochłonęła kolejną porcję zimnego spaghetti. - Wspomniałam, słowo daję.

- Dobry punkt wyjścia. Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość. - Malory przygryzła wargi. - Dość szeroka dziedzina.

- Historia, współczesność, futurystyka. Jak w powieści.

- A jeżeli to dotknie spraw osobistych? - Malory pochyliła się w stronę Dany i z napięciem wpatrzyła w jej twarz. - Tak było ze mną. Ścieżka prowadząca do klucza obejmowała Flynna i to, co do niego czułam, a także to, co mnie czeka i jaką drogę wybiorę. Moje przeżycia, których nie nazwałabym snami, miały bardzo osobisty charakter.

- I były straszne. - Dana musnęła przelotnym gestem dłoń Malory. - Wiem. Ale jakoś przez to przeszłaś. Mnie też się uda. Może chodzi o coś osobistego. O książkę, która ma dla mnie szczególne znaczenie. - Unosząc widelec, rozejrzała się po pokoju. - To też dość szeroka dziedzina.

- Myślałam o czymś innym. Przypomniał mi się Jordan.

- Nie wiem, co on ma z tym wszystkim wspólnego. Jasne - mówiła dalej, choć Malory już otwierała usta - brał udział w pierwszej rundzie, temu nie przeczę. I on, i Brad kupili obrazy namalowane przez Rowenę. Wrócił i przywiózł ten obraz, bo Flynn go o to poprosił. Wszystko pasuje, choć jego rola powinna była się zakończyć wraz z twoimi poszukiwaniami. Tak jak jego kontakt z Flynnem, który związał go z tobą.

- I z tobą, Dano.

Dana nawinęła makaron na widelec, mimo iż jakoś straciła apetyt.

- Już nie.

Widząc upór na twarzy przyjaciółki, Malory tylko kiwnęła głową.

- No dobrze. A pierwsza książka, którą przeczytałaś w życiu? Pierwsza, która cię wciągnęła i zrobiła z ciebie miłośniczkę literatury?

- Nie sędę, by magiczny klucz do Szkatuły Dusz krył się w „Zielonych jaskach na szynce”. - Ze znaczącym uśmiechem Dana uniosła kieliszek. - Ale przyjrę się bliżej temu dziełu.

- A twoja pierwsza dorosła książka?

- Najwyraźniej nie doceniasz celnego dowcipu i gorzkiej satyry telewizyjnych seriali. - Uśmiechnęła się, bębniąc w roztrągnięciu palcami. - W każdym razie nie pamiętam pierwszej książki. Miałam z nimi do czynienia od zawsze. Czytam, odkąd sięgnę pamięcią. - Przez chwilę wpatrywała się w kieliszek, a potem pospiesznie upiła łyk wina. - Rzucił mnie. I jakoś żyłam dalej.

No jasne, Jordan, pomyślała Malory i kiwnęła głową.

- Rozumiem.

- Oczywiście nienawidzę go z całej duszy, ale to nie wpływa na moje życie. Przez ostatnie siedem lat widziałam się z nim zaledwie kilka razy. - Wzruszyła ramionami, lecz ten gest wypadł dość niepewnie. - Ja mam swoje życie, on swoje i nasze drogi już się nie spotykają. Ale tak się składa, że jest kumplem Flynna.

- Kochałaś go?

- Tak. Sukinsyn.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. - Musiała sobie przypomnieć, że nie jest to kwestia życia i śmierci, a jej samej nie zesłano bez ostrzeżenia na padół łez. Serca istnieją po to, by je łamać. - Byliśmy przyjaciółmi. Kiedy mój tata ożenił się z mamą Flynna, zaprzyjaźniliśmy się z sobą. I dobrze. Flynn, Jordan i Brad byli jak jedno ciało o trzech głowach. Prawie. Więc ja też ich zaakceptowałam.

I to ci zostało do dziś, pomyślała Malory, lecz zdołała ugryźć się w język.

- Byliśmy z Jordanem przyjaciółmi i obydwoje przepadaliliśmy za książkami, co nas jeszcze bardziej zbliżyło. Ale lata mijały i sytuacja uległa zmianie. Nalać ci? - spytała, unosząc swój pusty kieliszek.

- Nie, dziękuję.

- No to naleję sobie. - Wstała i sięgnęła po butelkę. - Wyjechał do college'u. Władze stanowe przyznały mu skromne stypendium, ale i tak obydwoje z matką harowali jak woły, żeby opłacić chesne i inne wydatki. Jego mama była... no, fantastyczna. Zoe trochę mi ją przypomina.

- Naprawdę?

- Nie z wyglądu, choć pani Hawke też była bardzo ładna. Wysoka i smukła jak topola. Kojarzyła się człowiekowi z tańcem.

- Umarła chyba dość młodo.

- Tak, niedługo po czterdziestce. - Poczowała ukłucie w sercu na to wspomnienie. - Przeżyła straszne chwile, i ona, i Jordan. Pod koniec prawie nie wychodziliśmy ze szpitala, a mimo wszystko...

- Ostro wzięła się w garść i odetchnęła głęboko. - Ale nie do tego zmierzałam. Mówiłam, że Zoe wydaje mi się podobna do pani Hawke. Pewnie przez tę macierzyńską aurę. Kobieta, która wie co robić i jak postąpić, na nic się nie skarży i kocha swoje dziecko. Ona i Jordan byli z sobą mocno związani, takjak Zoe i Simon. Żyli razem, we dwoje. Ojciec nie pojawiał się na horyzoncie, a przynajmniej ja go sobie nie przypominam.

- Jordan musiał mieć trudne życie.

- Miałby, gdyby jego matka nie była taka, jaka była. Piekła pyszne ciastka, a przy tym potrafiła złapać za kij i wybić porząd-ną piłkę w softballu. Umiała wszystko.

- Ty też ją kochałaś - odkryła Malory.

- Tak. Wszyscy ją kochali. - Dana usiadła i pociągnęła łyk wina. - No więc panicz Hawke wyjeżdża do college'u i znajduje robotę na dwie zmiany, żeby opłacić czesne. W pierwszym roku nie widywaliśmy go zbyt często. Przyjeżdżał na wakacje, pracował w warsztacie samochodowym u Tony'ego. Ma smykałkę do aut. W wolnych chwilach spotykał się z Flynnem i Bradem. Cztery lata później skończył studia. *Zaliczył* jeszcze półtora roku studiów doktoranckich i opublikował kilka opowiadań. A potem wrócił do domu. - Wypuściła oddech. - Jezus Maria, wystarczyło, że spojrzeliśmy na siebie. Zupełnie jakby wybuchła bomba. Pomyślałam wtedy: co się do cholery dzieje? Przecież to mój kumpel Jordan. Chyba nie chcę się rzucić na mojego starego kumpla Jordana? - Ze śmiechem wychyliła kieliszek. - Powiedział mi później, że zare-agował na mnie w taki sam sposób. Hej, zaczekaj, przecież to ma-ła siostrzyczka Flynnna. Precz z łapami. Odstawialiśmy ten taniec przez dwa miesiące, może nawet dłużej. Byliśmy wobec siebie albo złośliwi, albo przesadnie grzeczni.

- I co było dalej? - ponagliła Malory, gdy Dana umilkła.

- Dalej? Wpadł pewnego wieczoru i chciał się zobaczyć z Flynnem, ale on akurat pojechał na randkę. Rodzice gdzieś wyszli. Za-częliśmy się kłócić. Byłam cała rozgorączkowana i... zanim się spostrzegłam, tarzaliśmy się po dywanie w salonie. Nie mogliśmy się sobą nasycić. Nigdy nie przeżyłam niczego podobnego, takie-go zapamiętania. To było niesamowite. Wyobraź sobie, jak się

czuliśmy, kiedy kurz opadł, a my ocknęliśmy się na cennym per-
skimi dywanie Liz i Joego.

- I co potem zrobiłaś?

- O ile sobie przypominam, leżeliśmy przez chwilę jak nieprzy-
tomni, a potem po prostu popatrzyliśmy na siebie. Jak para roz-
bitków po długich i wyczerpujących zmaganiach. Omal nie pękli-
śmy ze śmiechu. No i znowu rzuciliśmy się na siebie. - Uniosła
kieliszek w szyderczym toaście. - Zaczęliśmy się spotykać, na se-
rio. Jordan i Dana, Dana i Jordan. Wkrótce brzmiało to jak jedno
słowo.

O Boże, uświadomiła sobie, że brakuje jej tamtej intymnej więzi.

- Nikt mnie tak nie potrafił rozśmieszyć, jak on. I jest jedynym
mężczyzną w moim życiu, przez którego płakałam. No więc tak,
faktycznie kochałam tego sukinsyna.

- Co was rozdzieliło?

- Różne sprawy, ważne i nieważne. Umarła jego matka. Boże, ni-
gdy nie przeżyłam czegoś równie potwornego. Nawet choroba moje-
go taty nie była taka straszna. Rak jajnika wykryty za późno. Opera-
cje, terapie, modlitwy... nic nie pomogło. Po prostu gasła w oczach.
Zawrze trudno się pogodzić ze śmiercią - dodała cicho - ale obserwo-
wanie, jak ktoś umiera po kawałku, jest nie do zniesienia.

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić. - Oczy Malory napełniły
się łzami. - Nigdy nikogo nie straciłam.

- Nie pamiętam śmierci matki, byłam za mała. Ale pamiętam,
jak umierała pani Hawke, dzień po dniu. Może właśnie wtedy coś
się w Jordanie załamało. Nie wiem, nie był skory do zwierzeń. Po
jej śmierci sprzedał dom, meble, dosłownie wszystko, co dało się
sprzedać. Puścił mnie kantem i wyjechał do Nowego Jorku w po-
szukiwaniu sławy i fortuny.

- Sprawa była chyba bardziej skomplikowana - zauważyła Malory.

- Możliwe, ale tak to odebrałam. Powiedział, że musi stąd wy-
jechać, że nie znajdzie tu tego, czego szuka. Jeśli chce urzeczy-
wistnić swoje największe marzenie, to znaczy zostać pisarzem,
musi iść własną drogą. Wyprowadzić się z miasteczka. I to właśnie
zrobił, zupełnie jakby dwa nasze wspólne lata były zaledwie krót-
kim interludium w jego życiu. - Dopija resztkę wina. - No to pie-
przyć go, razem z jego bestsellerami.

- Może nie chcesz tego słyszeć, przynajmniej w tej chwili, ale
chyba powinnaś z nim porozmawiać.

- O czym?

- Dano - Malory przykryła jej dłonie swoimi - przecież ty nadal jesteś w nim zakochana.

Ramiona Dany drgnęły gwałtownie.

- Wcale nie. Zaczęłam nowe życie. Miałam kilku kochanków. Moja kariera zawodowa... fakt, legła w gruzach, ale feniks powstanie z popiołów, kiedy otworzę księgarnię. - Zdała sobie sprawę, że zlewają jej się słowa i urwała. - Już wystarczy tego wina, jeśli w tak żałosny sposób płacę metafory. Jordan Hawke należy do przeszłości - dodała spokojniejszym tonem. - Był pierwszym mężczyzną, którego pokochałam, zgoda, ale to nie znaczy, że będzie ostatnim. Prędzej wbiję sobie w oko rozżarzony patyk, niż dam mu tę satysfakcję.

- Rozumiem. - Malory parsknęła śmiechem i lekko uściśnęła rękę Dany. - Dlatego wiem, że wciąż jesteś w nim zakochana. Poza tym zdradził cię głos i wyraz twarzy, kiedy mi opowiadałaś ważną historię.

To przeraziło Dane. Jak wyglądała? Jak mówiła?

- Aha, więc wino mnie rozrzewniło. Ale to jeszcze nie oznacza...

- Oznacza, co oznacza - przerwała Malory. - Musisz się dobrze zastanowić, rozważyć wszystkie za i przeciw, jeśli naprawdę zamierzasz się podjąć tego zadania. Bo tak czy inaczej, on jest częścią twojego życia oraz tego, co się teraz dzieje.

- Nie życzę sobie jego udziału w jednym i drugim - oznajmiła z pewnym trudem Dana - ale dam sobie z tym radę, jeśli będę musiała. Zbyt wiele mam do stracenia, żeby oddawać partię wal-kowerem.

- Dzielna dziewczyna. Muszę już wracać do domu. - Wstała i uspokajającym gestem pogładziła Dane po głowie. - Cokolwiek pomyślisz czy poczujesz, powiedz mi o tym. Albo mnie, albo Zoe. A gdybyś potrzebowała kogokolwiek, po prostu zadzwoń.

Dana kiwnęła głową i odprowadziła Malory do drzwi.

- Mai? Kiedy wyjechał, pozostawił w moim sercu wielką ranę. Taką, która wystarczy na całe życie.

- Tylko ci się wydaje. Do zobaczenia jutro.

Rozdział trzeci

Szanse znalezienia magicznego klucza w którejś z książek na bibliotecznej półce były raczej nikłe. Ale co szkodziło spróbować?

Zawsze lubiła wchodzić między regały wypełnione książkami. Jeśli tylko otworzyła umysł, słyszała ich szept, słyszała głosy płynące z rzeczywistości i wyobraźni. Mogła zdjąć książkę z półki i wcielić się w każdą z postaci zaludniających fikcyjny świat.

Niezwykłość magicznych kluczy i czarodziejskich wysysaczy dusz, dysponujących nadprzyrodzoną mocą, pomyślała Dana, błędła jednak w zestawieniu ze słowami zapisanymi na papierze.

Nie przyszłam tu dla zabawy, upomniała się w duchu, skrupulatnie odstawiała książki na miejsce i obserwowała kątem oka pulpit informacyjny kilka kroków dalej. Przeprowadzała eksperyment. Może coś wyczuje, gdy dotknie książki - jakieś mrowienie albo ciepło?

Ktowie?

Przejrzała półki z mitologią, lecz bez rezultatu.

Niezrażona powędrowała do działu starożytnych cywilizacji. Przeszłość, przypomniawszy sobie. Szklane Córy wywodziły się z pradawnego rodu. Zresztą jak wszyscy na tym świecie.

Przez chwilę pracowała sumiennie, porządkując przy okazji regały. Dobrze wiedziała, że nie powinna otwierać książki o dawnych dziejach Brytanii, lecz nieoczekiwanie natrafiła na rozdział opisujący kamienne kręgi i natychmiast znalazła się na wietrzynym wrzosowisku, przy świetle wschodzącego księżyca.

Monotonny śpiew druidów, stosy ofiarne i szmer, który brzmiał jak tchnienie bogów.

- Ojejku, Dano, nie wiedziałam, że masz dzisiaj wolny dzień.

Niemal zgrzytając zębami, Dana oderwała oczy od książki i spojrzała prosto w rozradowaną twarz Sandi.

- Nie mam wolnego dnia. Porządkuję regały.

- Naprawdę? - Duże niebieskie oczy zrobiły się jeszcze większe. Długie złote rzęsy zatrzepotały. - Wydawało mi się, że coś czytasz. Pomyślałam, że może w wolnych chwilach pracujesz naukowo. Ostatnio bywasz bardzo zajęta. Czyżbyś wreszcie zaczęła pisać doktorat?

Pospiesznie i z irytacją Dana wepchnęła książkę na miejsce. Ale byłaby frajda, gdyby tak wyjąć z szuflady biurka wielkie srebrne nożyce i ciachnąć ten ohydny, podskakujący koński ogon.

Mogła się założyć, że coś takiego na pewno by starło z twarzy Sandi ten szeroki, radosny uśmiech.

- Dostałaś awans i podwyżkę, więc co cię właściwie gryzie, Sandi?

- Mnie? Nic mnie nie gryzie. Wszyscy znają zasady dotyczące czytania w godzinach pracy. Jestem więc przekonana, że tylko mi się zdawało, iż czytasz, zamiast dyżurować przy biurku.

- Pilnuję biurka. - Co za dużo, to niezdrowo, pomyślała Dana. - Poświęcasz mnóstwo czasu mojej osobie. Skradasz się za mną między regałami, podsłuchujesz moje rozmowy...

Zuchwały uśmieszek Sandi nabrał szyderczego zabarwienia.

- Z całą pewnością nikogo nie podsłuchuję.

- Gówno prawda - rzuciła Dana ściszym, miłym głosem, na co dziecinne oczy Sandi zaokrągliły się ze zgorznienia. - Już od kilku tygodni depcesz mi po piętach. Dostałaś premię, ja obniżkę pensji. Ale nie jesteś moją przełożoną, nie ty tu rządzisz, więc możesz mnie pocałować w dupę.

Choć nie było to aż tak satysfakcjonujące, jak ewentualne ciachnięcie końskiego ogona, Dana czuła się bosko, gdy zwracała i odchodziła, pozostawiając na placu boju zaperzoną Sandi.

Usiadła za biurkiem i udzieliła informacji dwóm czytelnikom z taką swadą i humorem, że wyszli z biblioteki rozpromienieni. Odbierając telefon, przemówiła niemal śpiewnie:

- Biblioteka, dział informacyjny, czym mogę służyć? Ach, to pan, panie Foy. Nie daje pan za wygraną, co? Aha. Dobre pytanie.

- Zachichotała, notując na kartce temat kolejnego zakładu. - Za chwilę do pana oddzwonię.

Tanecznym krokiem wbiegła między regały, wyszukała właściwą książkę, przerzuciła kartki i wróciła do biurka, by zatelefonować zgodnie z obietnicą.

- Już mam. - Przeciagneła palcem po stronie. - Rybitwa popielata odbywa najdalsze doroczne wędrówki. Do dwudziestu tysięcy mil... ho, ho... między Arktyką a Antarktydą. Aż się człowiek zastanawia, co tkwi w tych ptasich mózdkach, prawda? - Przesunęła telefon, zauważywszy Sandi maszerującą w stronę biurka krokiem jakiejś cholernej wojskowej kapelmistrzyni. - Nie, panie Foy, przykro mi, ale nie wygrał pan dzisiaj zestawu walizek American Tourister. Rybitwa popielata prześciga wydryka o kilka tysięcy mil. Życzę powodzenia następnym razem. Do usłyszenia jutro. - Odłożyła słuchawkę, splótła ręce i popatrzyła na Sandi, unosząc brwi. - Czego sobie życzysz?

- Joan czeka na ciebie w gabinecie. - Sandi wysunęła podbródek i zadarła swój drobny, śliczny nosek. - Natychmiast masz się zgłosić.

- Jasne. - Dana odgarnęła włosy za uszy i obrzuciła Sandi taksującym spojrzeniem. - Założę się, że miałaś w podstawówce tylko jedną przyjaciółkę, równie antypatyczną jak ty. - Zsunęła się z fotela.

Jeśli już mowa o podstawówce, pomyślała, wkraczając na schody, które prowadziły do biur administracji, ona sama czuła się tak, jakby dyrektor szkoły wezwał ją na dywanik. Poniżające doznanie dla dorosłej kobiety. Miała tego już zresztą powyżej uszu.

Przed drzwiami gabinetu dyrektorki odetchnęła głęboko i wyprostowała ramiona. Być może czuła się jak pierwszoklasistka, która coś zbroiła, ale nie zamierzała tego po sobie pokazywać.

Energicznie zastukała do drzwi i otworzyła je, nie czekając na pozwolenie.

- Chciałaś się ze mną widzieć?

Joan za biurkiem odchyliła się na oparcie fotela. Szpakowate włosy miała upięte w prosty kok, w którym, o dziwo, było jej do twarzy.

Nosiła ciemną kamizelkę na białej bluzce, zapiętej skromnie pod szyję. Tkanina układała się płasko, tworząc zaledwie fałdkę w miejscu, gdzie powinien znajdować się biust.

Ze złotego łańcuszka na szyi zwisały wąskie okulary bez oprawek. Dana była pewna, że szefowa ma na nogach solidne obuwie na płaskim obcasie, równie bezpretensjonalne jak fryzura. Ucieleśnienie stereotypu odstrasającego dzieci od bibliotek - chuda i nudna, uznała w duchu.

Usta Joan, zaciśnięte w wyrazie dezaprobaty, dawały do zrozumienia, że nie będzie to miłe spotkanie.

- Zamknij drzwi, proszę. Jak się wydaje, Dano, nadal masz pewne trudności z dostosowaniem się do nowych zasad postępowania, które staram się tutaj wdrożyć.

- A więc Sandi od razu pognała na górę, by donieść, że czytałam książkę. Co należy do najstraszniejszych przestępstw, jakie można popełnić w bibliotece publicznej.

- Twoja agresywna postawa to tylko jeden z problemów, które musimy rozwiązać.

- Nie zamierzam się przed tobą tłumaczyć, że przerzuciłam kilka stron książki w trakcie porządkowania regałów. Wiedza o książkach wchodzi w zakres moich obowiązków, a te nie ograniczają się jedynie do wskazania czytelnikowi odpowiedniego działu i życzenia szczęśliwej drogi. Robię, co do mnie należy, i poprzednia kierowniczką zawsze oceniała wysoko moją pracę.

- Nie jestem poprzednią kierowniczką.

- Święta racja. Nie minęło półtora miesiąca, a obcięłaś godziny i pensje trzech, łącznie ze mną, doświadczonych pracowników. Za to twoja powinowata dostała awans i podwyżkę.

- Zostałam zatrudniona, by wydobyć tę instytucję z finansowej zapaści, co właśnie robię. Nie muszę ci wyjaśniać moich decyzji personalnych.

- Fakt, nie musisz. Wszystko jasne. Nie przepadamy za sobą. Ale nikt mi nie każe lubić osób, z którymi i dla których pracuję. Po prostu wykonuję swoje obowiązki.

- Twoim obowiązkiem jest przestrzeganie przepisów. - Joan otworzyła teczkę. - Nie powinnaś prowadzić prywatnych rozmów telefonicznych. Ani korzystać z wyposażenia biblioteki w prywatnych celach. Ani też plotkować z czytelnikiem przez dwadzieścia minut, zaniedbując pracę.

- Zaraz. - Dana zatrzęsała się z konsternacji i gniewu. - Zaczekaj chwilę. Co ona robi? Codziennie składa na mnie donosy?

Joan zatrzasnęła teczkę.

- Masz zbyt wysokie mniemanie o sobie.

- Aha, rozumiem. Donosi nie tylko na mnie. Jest twoją osobistą wtyczką, która rejestruje wszelkie możliwe przewinienia. - O tak, pomyślała, zdecydowanie co za dużo, to niezdrowo. - Być może nasz budżet przeżywał wzloty i upadki, ale zawsze było to przyjazne, rodzinne miejsce. Teraz zmieniło się w karczer zarządzany przez komendantkę gestapo i jej zauszniczkę. Dlatego zamierzam wyświadczyć nam obu przysługę. Odchodzę. Ustalmy, że

tydzień zwolnienia lekarskiego i tydzień zaległego urlopu złożyła się na moje dwutygodniowe wymówienie.

- Bardzo dobrze. Możesz zostawić pisemną rezygnację na moim biurku przed końcem dyżuru.

- Szkoda gadania. Rezygnuję od zaraz. - Nabrała tchu. - Jestem inteligentniejsza niż ty, młodsza, silniejsza i bardziej atrakcyjna. Stali czytelnicy znają mnie i lubią, ciebie natomiast większość z nich nie zna, a ci, którzy zawarli z tobą znajomość, raczej cię nie darzą sympatią. I dlatego od początku się mnie czepiasz. Rzucam pracę, Joan, ale robię to z własnej woli. Idę o zakład, że ty nie zagrzejesz tu długiego miejsca, bo zarząd cię wykopie.

- Jeżeli liczysz na referencje albo listy polecające...

Dana przystanęła w drzwiach.

- Joan, Joan. Czy chcesz, żebym na koniec naszej znajomości powiedziała ci, gdzie możesz sobie wsadzić swoje referencje?

Fala wściekłości zniosła ją prosto do pokoju służbowego, gdzie zgarnęła swoją kurtkę i kilka osobistych drobiazgów. Nie odezwała się do nikogo. Obawiała się, że jeśli natychmiast stamtąd nie wyjdzie, wybuchnie histerycznym szlochom albo zacznie tłuc pięścią w ścianę.

I jedno, i drugie dałoby Joan zbyt wielką przewagę.

Dlatego wymaszerował z biblioteki, nie oglądając się nawet. Szła równym krokiem. Starła się nie myśleć, że po raz ostatni wraca tą drogą z pracy do domu. To był tylko życiowy zakręt, a nie koniec świata.

Kiedy poczuła piekące łzy gniewu, sięgnęła po ciemne okulary. Nie zamierzała się upokarzać, płacząc na środku cholernej ulicy.

Ale oddychała ciężko i urywanie, gdy stanęła przed drzwiami mieszkania. Drżącą ręką wydobyła klucze, weszła chwiejnie do środka i po prostu osunęła się na podłogę.

O Boże, Boże, co ja zrobiłam?

Spaliła za sobą mosty. Straciła pracę. A mogło upłynąć nawet kilka miesięcy, zanim otworzy księgarnię. Właściwie skąd ten pomysł, że potrafi ją prowadzić? Znała się na książkach, kochała je, lecz nie było to równoznaczne z umiejętnościami handlowymi. Nigdy w życiu nie zajmowała się sprzedażą detaliczną, a teraz, ni stąd, ni zowąd, zamierzała założyć własne przedsiębiorstwo.

Wydawało jej się, że jest przygotowana do tego kroku. W zderzeniu z brutalną rzeczywistością uświadomiła sobie, jak bardzo się myliła.

Ogarnięta panicznym lękiem, chwyciła za telefon.

- Zoe? Zoe... to ja. Muszę... Chryste. Czy możemy się spotkać w naszej siedzibie?

- Jasne. Co się stało, Dano? Coś złego?

- Właśnie rzuciłam pracę. Chyba dostałam napadu lęku. Potrzebuję... Możesz wziąć klucze od pośredniczki? Możesz zawiadomić Malory i przyjechać?

- Oczywiście, skarbie. Oddychaj głęboko. Nabierz powietrza w płuca, powoli. Bardzo dobrze. Dwadzieścia minut. Będziemy tam za dwadzieścia minut.

- Dzięki. Dobra, dzięki. Zoe...

- Oddychaj. Tylko spokojnie. Chcesz, żebym wpadła po ciebie?

- Nie. - Dana otarła łzy gniewu. - Nie, sama przyjadę.

- Dwadzieścia minut - powtórzyła Zoe i odłożyła słuchawkę.

Dana zachowywała się już nieco spokojniej, gdy zatrzymała samochód na szerokim podjeździe przed miłym dla oka domem, który kupiły wspólnie. Już za dwa tygodnie miały podpisać umowę. A potem rozpoczną... no cóż, działalność, którą planowały.

To Zoe i Malory tryskały pomysłami na urządzenie wnętrza, którego atmosfera przyciągałaby klientów. Oglądały razem próbki farb, wybierając kolory dla ganku i holu. Zoe systematycznie odwiedzała pchle targi i prywatne wyprzedaże i wyszukiwała niepozorne przedmioty, które cudownym sposobem przemieniała w skarby.

Nie żeby Dana nie miała żadnych pomysłów. Miała, owszem.

Wyobrażała sobie w ogólnych zarysach, jak będzie wyglądała jej część piętra, mieszcząca niewielką księgarnię połączoną z kawiarnią. Wygodne, przytulne miejsce. Kilka miękkich foteli, jakieś stoliki.

Nie widziała jednak szczegółów. Jak te fotele mają wyglądać? Jakie powinny być stoliki?

Były jeszcze dziesiątki innych kwestii, które jej umknęły, gdy marzyła o własnej księgarni. Musiała również przyznać, że pewnych spraw nie wzięła pod uwagę, kiedy - praktycznie rzecz ujmując - kazała Joan się wypchać.

Impuls, duma i złość, pomyślała i westchnęła. Niebezpieczne połączenie. Teraz będzie musiała ponieść konsekwencje.

Wysiadła z auta. Przypatrując się domowi, pomasowała żołądek, który nadal wycyniał dziwne harce.

To było dobre miejsce. Należało o tym pamiętać. Spodobało jej się od pierwszej chwili, gdy tylko obydwie z Zoe przekroczyły próg. Nawet straszne przeżycie sprzed tygodnia, starcie z nieubłagającym wrogiem Kane'em, kiedy to Malory znalazła klucz, nie zmaćciło atmosfery domu.

Dana nigdy nie była właścicielką żadnej nieruchomości. Powinna się skupić na fakcie, iż jako osoba dorosła posiada jedną trzecią prawdziwego budynku wraz z przynależnym doń gruntem. Nie bała się odpowiedzialności. Nie bała się pracy ani umysłowej, ani fizycznej.

Uświadomiła sobie jednak, że bardzo się boi porażki.

Przycupnęła na stopniach ganku, pogrążona w posepnych rozmyślaniach. Zatonęła w nich tak głęboko, że nie wstała, gdy przed dom podjechały Malory i Zoe. Malory wysiadła z samochodu i przechyliła głowę.

- Parszywy dzień, co?

- Jak rzadko. Dzięki, żeście przyjechały. Naprawdę.

- Nie przyjechałyśmy z pustymi rękami - Malory wskazała na Zoe, trzymającą białe pudełko z cukierni.

Dana ze wzruszeniem pociągnęła nosem.

- Czy to czekolada?

- Bądź co bądź, jesteśmy dziewczynami, no nie? - Zoe usiadła obok niej, uściśnęła ją mocno jednym ramieniem i otworzyła pudełko. - Czekoladowe ekliery, wielkie i pulchne. Po jednym dla każdej.

Oczy Dany ponownie zwilgotniały z rozczulenia.

- Wiecie co? Jesteście cudowne.

- Po paru kęsach od razu zrobi ci się lepiej. Opowiedz nam wszystko. - Malory usiadła z drugiej strony, podsunęła przyjaciółkom serwetki.

Dana snuła swoją opowieść, kojąc rozedrgane nerwy czekoladą i kremem.

- Chciała, żebym odeszła. - Z chmurnym wyrazem twarzy zlizwała odrobinę bawarskiego kremu z kącika ust. - Od pierwszej chwili poczułyśmy do siebie instynktowną niechęć. Może w poprzednim wcieleniu byłyśmy śmiertelnymi wrogami, bo ja wiem? Albo małżeństwem czy czymś takim. Jezus. Nie dość, że zamieniła bibliotekę w koszary, to jeszcze uwzięła się na mnie. A ta mała skarżypyta Sandi dzielnie jej sekundowała.

- Ciężka sprawa. Dobrze cię rozumiem. - Malory współczująco

pogładziła Dane po ramieniu. - Ale i tak miałaś zamiar odejść za kilka tygodni.

- Wiem, wiem, tylko że chciałam to zrobić subtelniej. Wydać skromne przyjęcie pożegnalne, żeby zakończyć to wszystko miłym akcentem. No i nie da się ukryć, że pensja, nawet po obniżce, była nie do pogardzenia. Wręcz przeciwnie. Przydałoby mi się przed odejściem kilka dodatkowych czeków.

- Mimo wszystko dobrze zrobiłaś, każąc jej się wypchać. Nie cierpimy tej wrednej suki - oświadczyła lojalnie Zoe. - A kiedy rozkręcimy interes i całe miasto będzie mówiło o twojej księgarni, babsko udławi się własną zawiścią.

Dana z namysłem zacisnęła usta.

- Dobrze mówisz. Chyba spanikowałam, po prostu. Zawsze pracowałam w bibliotece. Najpierw w szkolnej, potem w uniwersyteckiej, wreszcie tutaj. I nagle dotarło do mnie, że z tym już koniec i teraz mam się zająć handlem detalicznym. - Otarła wilgotne dłonie o kolana. - Nie potrafię nawet obsługiwać kasy sklepowej.

- Nauczę cię - obiecała Zoe. - Przecież to nasze wspólne przedsięwzięcie.

- Nie chcę sknocić ani tego, ani naszej umowy w sprawie kluczy. Po prostu wszystko spadło na mnie równocześnie.

Malory podsunęła jej resztkę swojego eklera.

- Wchłoń jeszcze trochę cukru. A potem wejdziemy do środka i na serio zajmiemy się planowaniem.

- Za dwie godziny muszę być w domu - poinformowała Zoe. - Pośredniczka powiedziała, że jeśli chcemy zaryzykować czas i pieniądze, możemy zacząć pierwsze kosmetyczne prace. Mogłybyśmy na przykład odmalować ganek, jeśli się za bardzo nie obawiamy, że transakcja nie dojdzie do skutku.

Dana spałaszowała ostatni kawałek ciastka.

- No dobrze. Dobrze - powtórzyła z nieco większym zapałem. - Chodźmy rzucić okiem na próbki farby.

Po krótkiej dyskusji zdecydowały się na ciemny morski błękit. Doszły do wniosku, że ten kolor wyróżni dom spośród innych i doda mu szyku.

Następnie weszły do kuchni, by omówić jej wystrój i zagospodarowanie przestrzeni.

- Tradycyjny wiejski styl odpada - zaczęła Zoe stanowczym tonem, opierając dłonie na biodrach. - Chcemy, żeby było wygodnie

i bezpretensjonalnie, ale z odrobiną zbytku, zgadza się? Więc nie powinna być ani odpicowana na wysoki połysk, ani zbyt zgrzebna.

- Ekskluzywna przytulność. - Malory kiwnęła głową i okręciła się wokół osi, próbując to sobie wyobrazić. - Ściany można by pomalować najjasnozielono. Miły, przyjazny kolor. Do tego kremowe szafki. Dano, ty będziesz najczęściej korzystała z tego pomieszczenia.

- W porządku, mówcie dalej. - Gestem ponagliła przyjaciółki. - Macie lepsze pomysły niż ja.

- Więc gdyby tak blaty miały odcień różu? Nie tego cukierkowego, tylko ciemniejszego. Tu i tam ustawimy ozdoby z galerii, a także różne rzeczy, o których wspominała Zoe. Olejki do aromaterapii, świece zapachowe. A na koniec proponuję jeszcze coś, co zauważyłam w kuchni Dany.

- Tanie mrożonki?

Malory spojrzała na nią i parsknęła śmiechem.

- Nie. Książki. Wstawimy tu, na przykład, stelaże z piekarni albo etażerkę z książkami, kilkoma artystycznymi przedmiotami z galerii i produktami z salonu, takimi jak luksusowe mydła i kremy do rąk. Podkreślimy, że jest to nasze wspólne miejsce.

- Niezły pomysł. - Dana odetchnęła głęboko. - Zaczynam odzykiwać dobre samopoczucie.

- Będzie świetnie. - Zoe otoczyła Dane ramieniem. - Możesz postawić na blacie ozdobne puszki z wykwintną kawą i herbata.

- Dobrze by było wstawić stół - zastanawiała się głośno Dana. - Taki okrągły, nieduży. I parę krzeseł. OK, zanotujmy te odcienie farb, które na razie mamy, i spróbujmy jeszcze coś wybrać. Pojadę do HomeMakers i zrobię zakupy.

- Wydaje mi się, że wyprzedaż farb zaczyna się w przyszłym tygodniu - wtrąciła Zoe.

- Czyżby? - W policzkach Dany pojawiły się dołeczki. - No cóż, tak się składa, że mam chody w tej firmie. Zadzwońię do Brada i załatwię nam rabat na dzisiaj.

Świadomość celu podtrzymywała ją na duchu. Nawet jeśli tym celem było kilka galonów farby.

Jeżeli, myślała Dana, praca w bibliotece należała już do przeszłości, czy „Pokusa” i jej tworzenie nie stały się dla niej terazniejszością? A gdy mowa o przyszłości, to skąd, u diabła, miała cokolwiek wiedzieć? Zamierzała jednak dokładniej wszystko przeanalizować i znaleźć drogę prowadzącą do klucza.

Nie było trudno naciągnąć Brada na trzydziestoprocentową zniżkę. Wędrując szerokimi przejściami przepastnego magazynu HomeMakers, zastanawiała się, co jeszcze mogłaby kupić, korzystając z życzliwości starego kumpla.

Pędzle, oczywiście. I wałki. A może warto wypróbować pistolet natryskowy? Przyjrzała się jednemu, przykucnąwszy, by odczytać instrukcję.

Czy był trudny w obsłudze? Na pewno działał szybciej i wymagał mniejszego nakładu pracy niż staromodne metody malowania.

- Ten sprzęt na nic ci się nie przyda, chyba że chcesz zostać malarzem pokojowym.

Jordan Hawke, pomyślała, zaciskając zęby. A wydawało się, że nic gorszego już jej dzisiaj nie spotka.

- Więc Brad wreszcie zlitował się nad tobą i dał ci pracę? - rzuciła, nie podnosząc głowy. - Będiesz nosił niebieską drelichową koszulę z domkiem wyszytym na górnej kieszeni?

- Byłem w jego biurze, kiedy zadzwoniłaś i zaczęłaś się podlizywać, żeby dał ci rabat. Poprosił, abym ci trochę pomógł, bo ugrzązł przy telefonie i na razie nie może przyjść.

Zaperzyła się natychmiast.

- Nie potrzebuję niczyjej pomocy, żeby kupić farbę.

- Owszem, jeśli zastanawiasz się poważnie nad kupnem tego natryskiwacza.

- Tylko oglądałam. - Wydeła usta, trącając narzędzie palcem. - A właściwie co ty o tym wiesz?

- Dostatecznie dużo, by zdawać sobie sprawę, że jeśli powiem jeszcze jedno słowo, kupisz go, żeby mi zrobić na złość.

- Kuszące, ale spróbuję się oprzeć - burknęła.

Pochylił się i podsunął dłoń pod jej łokieć, pomagając dźwignąć się na nogi.

- Wygląda na to, że masz już dość wrażeń jak na jeden dzień. Słyszałem, że rzuciłaś pracę.

Jego spojrzenie wyrażało współczucie. Nie obłudne i śliskie politowanie, lecz ciche, krzepiące zrozumienie.

- A co, czyżby Sandi i tobie składała raporty?

- Przykro mi, ale tego imienia nie ma na mojej liście. - Pogładził jej ramię dawnym, niedbałym gestem, który obydwójce pamiętali. Natychmiast odsunęli się od siebie. - Wieści szybko się rozchodzą. Wiesz, jak to jest w Valley.

- Wiem. Dziwię się, że ty pamiętasz.

- Pamiętam wiele. Między innymi to, że kochałaś swoją pracę.
- Nie życzę sobie twoich uprzejmości. - Odwróciła głowę i zatrzymała spojrzenie na natryskiwaczu. - Psują mi nastrój.

Wiedział, że Dana lepiej sobie poradzi z sytuacją, gdy będzie rozżłoszczona lub czymś zajęta, więc kiwnął głową.

- No dobrze. Może bym ci pomógł wykorzystać rabat ofiarowany przez twojego kolegę-właściciela? Oskubywanie Brada to zawsze frajda. Prócz tego możesz mnie znieważać słownie. To cię zazwyczaj podnosi na duchu.

- Owszem. - Lekko zmarszczyła brwi, trącając pistolet natryskowy czubkiem buta. - Nie wygląda zbyt solidnie.

- Pozwól, że wskażę ci inne możliwości.

- Dlaczego nie siedzisz u Flynna, pocąc się nad oklepaną fabułą z papierowymi bohaterami?

- No widzisz? Już ci lepiej.

- Nie przeczę.

- Tutaj mamy, na przykład, automatyczny wałek do rozprowadzania farby - zaczął, kierując Dane w stronę urzędnika, którego polecił Brad. - Jest poręczny, łatwy w obsłudze i wydajny.

- Skąd wiesz?

- Stąd, że Brad, mówiąc mi o nim, użył tych właśnie przymiotników. Ja sam malowałem pokój tradycyjną metodą i było to... - zawiesił głos - dawno temu.

Pamiętała. Odmalował sypialnię matki, kiedy pani Hawke po raz pierwszy znalazła się w szpitalu. Dana mu pomagała, przycinała listwy i starała się dodać otuchy. Pomalowali ściany na ciepły, pastelowy niebieski kolor, by pokój wyglądał czysto i pogodnie.

Matka Jordana umarła niecałe trzy miesiące później.

- Była zachwycona - odezwała się Dana łagodnie. - Tak się cieszyła, że zrobiłeś to dla niej.

- Mhm. - Wspomnienia były zbyt bolesne, aby kontynuować temat. - Brad dał mi listę artykułów i narzędzi, które mogą umilić wam prace remontowe.

- No dobra, oskubmy go.

Musiała przyznać, że w jego towarzystwie wyprawa po zakupy stała się przyjemniejsza i ciekawsza. Łatwo, nieco zbyt łatwo Dana przypominała sobie, dlaczego byli niegdyś przyjaciółmi, dlaczego zostali kochankami.

W niezwykle sposób potrafili się dostroić do siebie, chwytając w lot różne lakoniczne uwagi i sformułowania, co wynikało w rów-

nej mierze z faktu, że znali się całe życie i z dwuletniej fizycznej bliskości.

- Taki odcień? - Jordan potarł podbródek, studiując spis Dany.

- „Wyspa”? Co to za kolor: „Wyspa”?

- Zielonkawoniebieski. Tak jakby. - Podała mu próbkę. - Widzisz? Co z nim jest nie w porządku?

- Nie powiedziałem, że coś jest z nim nie w porządku. Po prostu zupełnie mi się nie kojarzy z księgarnią.

- To nie ma być tylko zwykła księgarnia, ale... Cholera. - Uniosła próbkę i opuściła ją z powrotem. Zmrużyła oczy, lecz nie potrafiła sobie wyobrazić zielonkawoniebieskich ścian. - Malory go wybrała. Ja byłam za złamaną bielą, ale obie z Zoe naskoczyły na mnie.

- Biel zawsze się sprawdza.

Ze świstem wypuściła powietrze.

- A wiesz, powiedziały, że myślę jak mężczyzna. Mężczyźni nigdy nie wybiorą innego koloru niż biały. Boją się barw.

- Nieprawda.

- No to jaki kolor ma twój salon w Nowym Jorku?

Posłał jej beznamiętne spojrzenie.

- To nie ma absolutnie nic do rzeczy.

- A ja sądzę, że ma. Nie wiem dlaczego, ale tak sądzę. Ten odcień nawet mi się podoba. W końcu to tylko farba. Mogę ją wymienić na inną. Jako uzupełnienie Malory zasugerowała „Bryce Canyon” i „Spaghetti”.

- Czyli brąz i żółć? Skarbie, to będzie paskudztwo.

- Nie, „Canyon” jest ciemnoróżowy. Taka jakby czerwień zabarwiona brązem i różem...

- Czerwień zabarwiona brązem i różem - powtórzył z uśmiechem. - Bardzo obrazowe.

- Zamknij się. No a ta druga farba ma odcień kremowy. - Rozłożyła w wachlarz próbki wybrane przez Zoe i Malory. - Cholera, sama nie wiem. Chyba jednak trochę się boję kolorów.

- Cokolwiek by mówić, na pewno nie jesteś mężczyzną.

- Dzięki Bogu. Mai zdecydowała się na „Plaster miodu”, a Zoe na „Begonię”. Nie rozumiem, dlaczego tak nazwano ten odcień, bo przecież begonie są różowe albo białe, a to bardziej przypomina fiolet. - Przycisnęła palcami czoło tuż nad prawym okiem. - Od tych wszystkich kolorów rozbolała mnie głowa. W każdym razie Zoe już obliczyła, ile to będzie metrów kwadratowych i ile galonów potrzebujemy. Gdzie mój spis?

Oddał jej kartkę.

- Brad pytał, dlaczego Zoe nie przyjechała z tobą.

- Co? Ach tak. Musiała wrócić do domu, bo Simon czekał. - Wpatrując się w spis, zaczęła w myślach podliczać ceny i nagle podniosła oczy. - Dlaczego?

- Dlaczego co?

- Dlaczego pytał?

- A jak myślisz? - Zajrzał jej przez ramię, dostrzegając z zaskoczeniem, że druga strona kartki również jest zapisana. - Jezu, będzie ci potrzebna ciężarówka z platformą. Brad cofnął się do czasów szkoły średniej i poprosił mnie, żebym cię zapytał, czy Zoe mówiła coś na jego temat.

- Nie, nie mówiła, ale jutro w szkolnej świetlicy mogę jej przekazać karteczkę od niego.

- Powtórzę mu.

Załadowali do wózka puszki z farbą, narzędzia, artykuły pomocnicze. Przy kasie Dana pobłogosławiła Brada w duchu, bo mimo rabatu aż się zachłysnęła na widok rachunku. Ale dopiero na zewnątrz przeżyła prawdziwą rozterkę.

- Jak, do cholery, zmieszczę to wszystko w samochodzie?

- Nie zmieścisz. To, co nie wejdzie do twojego auta, zapakujemy do mojego.

- Czemu nie wygłosiłeś wcześniej jakiejś uwagi w stylu „nie dasz sobie rady z całym tym kramem”?

- Bo widziałem, że świetnie się bawisz. Gdzie chcesz to wszystko zmagazynować?

- O rany. - Zbita z tropu, przeczesła palcami włosy. - Nie pomyślałam o tym. Jestem w kropce.

To, że znalazła się w kropce, sprawiło mu przyjemność. Bo chwilowo zapomniała, że go nienawidzi.

- Nie upchnę tego u siebie, a nie przyszło mi do głowy zapytać, czy możemy zatrzymać klucze od budynku. Co ja teraz z tym zrobię, do jasnej cholery?

- Dom Flynna jest bardzo obszerny.

- Aha - westchnęła. - Zgadza się. To chyba jedyne wyjście. A Flynn nawet się nie wkurzy, bo mięknie jak wosk, gdy tylko Malory zatrzeпоce rzęsami.

Rozdzielili i załadowali zakupy. W drodze do domu Flynna zastanawiała się, jak to możliwe, że spędzili z sobą prawie godzinę i jeszcze się nie pokłócili.

Nie wycinał jej kretyńskich numerów - to już było czymś wyjątkowym.

Musiała przyznać, że ona również zachowała przytomność umysłu - co nie zdarzało się często, gdy w grę wchodził ten mężczyzna.

Może - a nuż - uda im się współistnieć, a nawet współpracować przez pewien krótki czas. Jeżeli, jak wszyscy twierdzili, udział Jordana w poszukiwaniach był ważny, potrzebowała jego obecności.

Ponadto miał bystry umysł i bogatą wyobraźnię. Mógł być czymś więcej niż utrapieniem. Mógł być atutem.

Gdy zajechali przed dom Flynna, musiała przyznać w duchu, że dobrze mieć pod ręką mężczyznę, który sam się zgłasza do taszczenia kilkunastu galonów farby oraz towarzyszących jej utensyliów.

- Do jadalni - powiedziała, uginając się lekko pod ciężarem tego, co sama dźwigała. - Flynn z niej nie korzysta.

- Ale będzie. - Jordan zygzakiem przemierzył dom i skręcił do jadalni. - Malory ma poważne plany.

- Jak zawsze. A on jest z nią szczęśliwy.

- Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. - Ruszył po następne paczki. - Lily mocno podważyła jego pewność siebie - dodał, wspominając byłą narzeczoną Flynna.

- Nie chodzi tylko o pewność siebie. - Dana podniosła worek z dodatkowymi wałkami, pędzlami i puszkami. - Zraniła go. To boli. To boli, kiedy ktoś kopie cię w tyłek i odchodzi.

- Dobrze, że tak się stało.

- Nie w tym rzecz. - Poczowała narastający gniew, ból i urazę. Usiłując stłumić te uczucia, sięgnęła po następne puszki z farbą. - Chodzi o cierpienie, zdradę i poczucie straty.

Milczał, gdy przenosili do jadalni ostatnie paczki. Dopiero po ustawieniu ich na miejscu odwrócił się do Dany.

- Nie kopnąłem cię w tyłek.

Poczowała wzbierającą falę wściekłości.

- Uwagi, które wypowiadam, nie zawsze dotyczą ciebie.

- Musiałem wyjechać - ciągnął. - A ty musiałas zostać. Na miłość boską, przecież jeszcze nie skończyłaś studiów!

- To cię nie powstrzymało przed wciągnięciem mnie do łóżka.

- Nie. Nic by mnie nie powstrzymało. Pragnałem cię, Dano. Czasami wydawało mi się, że umrę z głodu, jeśli nie dasz mi choć kęsa.

Odsunęła się i zmierzyła go taksującym spojrzeniem.

- Tak na moje oko, nieźle sobie podjadłeś przez ostatnich kilka lat.

- To nie znaczy, że przestałem myśleć o tobie. W jakiś sposób byłaś dla mnie ważna.

- Och, idź do diabła. - Nie Wybuchnęła, powiedziała to obojętnym tonem, przez co słowa zyskały jeszcze na sile. - Ważna? Cholerna para butów mogła być dla ciebie ważna. Kochałam cię.

Gdyby nawet zadała mu cios pięścią w twarz, nie byłby bardziej wstrząśnięty.

- Nigdy... nigdy mi tego nie powiedziałaś. Ani razu nie wymówiłaś tego słowa.

- Bo to ty miałaś je wymówić pierwszy. Tego się oczekuje od chłopaka.

- Zaraz, chwileczkę. Czy to reguła? - Lęk podszedł mu do gardła niczym żrący kwas. - Gdzie tak napisano?

- Tak po prostu jest, cymbale. Kochałam cię i czekałabym na ciebie albo wyjechała z tobą. Ale ty powiedziałeś: „Słuchaj no, Żyrafo, zbieram manatki i wyjeżdżam do Nowego Jorku. Było fajnie, do zobaczenia kiedyś tam”.

- To nieprawda, Dano. Wcale tak nie mówiłem.

- Może nie dosłownie, ale prawie. Nikt mnie nigdy aż tak nie zranił. Nie dam ci szansy na powtórkę. I wiesz co, Hawke? Zrobiłabym z ciebie prawdziwego mężczyznę.

Odwróciła się na pięcie i odeszła.

Rozdział czwarty

Bez względu na okoliczności, Jordan zazwyczaj dobrze się czuł we własnym towarzystwie. Kiedy pracował, myślał o pracy lub zastanawiał się, dlaczego nie pracuje, lubił się zaszyć na swoim zacisznym poddaszu w SoHo.

Gwarne, ruchliwe, barwne życie za oknem było wówczas czymś w rodzaju filmu, który można oglądać lub nie, w zależności od nastroju.

Przeważnie wolał przypatrywać się temu filmowi zza szklanej tafli niż brać w nim udział.

Tak naprawdę, Nowy Jork go ocalił. Zmusił do walki o przetrwanie, do tego, by stał się kimś i żył jak mężczyzna - by przestał być czymś synem, czymś przyjacielem, jednym z grupy studentów i poczuł się mężczyzną, który polega wyłącznie na sobie. To miasto niecierpliwie popychało go do czynu i przez cały niespokojny pierwszy rok codziennie przypominało mu, że naprawdę ma gdzieś, czy Jordan Hawke będzie pływał, czy utonie.

Nauczył się pływać.

Zaczął doceniać cały ten gwar, ruch, napór ludzkich istot.

Polubił to miasto za jego egoizm połączony z wielkodusznością, za pokazanie środkowego palca reszcie świata.

A im więcej się dowiadywał, im więcej dostrzegał, tym dobitniej sobie uświadamiał, że w głębi duszy jest zwyczajnym chłopakiem z prowincji.

Wiele zawdzięczał Nowemu Jorkowi.

Kiedy pracował, pogrążał się we własnym świecie. Nie tym z za okna, lecz tym, który miał w głowie. W takich chwilach nie był to film fabularny, lecz dokument prawdziwszy niż samo życie, który wciągał go na wiele godzin.

Poznał różnicę między dwoma światami, docenił subtelności i rozgraniczenia w stopniu, który nie byłby mu dany, gdyby nie zerwał bezpiecznych więzi z dawnym życiem i nie rzucił się na łeb na szyję w nieznane.

Pisanie nie stało się dla niego rutyną, lecz ciągiem niespodzianek. Raz po raz odkrywał z zaskoczeniem, jak wiele radości czerpie z tego procesu, gdy już wprawi maszynę w ruch. I zawsze stwierdzał - z takim samym zaskoczeniem - że to piekielnie trudna sprawa. Zupełnie jak namiętny, frustrujący romans z kapryśną, olśniewającą, podstępą kobietą.

Rozkoszował się każdą chwilą tego romansu.

Pisanie pomogło mu przetrwać najgorszy czas tuż po śmierci matki. Wskazywało kierunek i cel, dało impuls do wygrzebania się z bagna.

Dało mu także radość, gorycz i wielką osobistą satysfakcję. Ponadto zapewniło finansowe zabezpieczenie, które dotychczas pozostawało w sferze nieśmiałych marzeń.

Ktokolwiek twierdził, że pieniądze nie mają znaczenia, z pewnością nigdy nie musiał podliczać drobnych wygrzebanych pomiędzy poduszek na kanapie.

W tej chwili Jordan był sam, a w powietrzu wciąż rozbrzmiewało echo gorzkich słów Dany. Nie potrafił cieszyć się samotnością, owinać się nią jak płaszczem, zabrać do pisania.

Człowiek, pomyślał, nigdy nie jest równie samotny jak wówczas, gdy osacza go przeszłość.

Spacer nie miał sensu. Musiałby rozmawiać ze zbyt wieloma znajomymi, odpowiadać na pytania, słuchać uwag. W Valley nie mógł zniknąć w tłumie, tak jak w Nowym Jorku.

Między innymi dlatego stąd prysnął. I dlatego wrócił.

Zamiast spaceru zdecydował się na przejażdżkę, by uciec od echa, które wciąż odbijało się od ścian.

„Kochałam cię”.

Jezu! Jezu, jak mógł tego nie zauważyć? Czy był aż takim tępaciem, czy może to ona nie dawała po sobie poznać?

Wyszedł z domu, wsiadł do swojego thunderbirda i przekręcił kluczyk, a potem dodał gazu. Miał ochotę na szybką jazdę. Długą, szybką jazdę w nieokreślonym kierunku.

Przycisnął guzik odtwarzacza i podkreślił głośność. Nie obchodziło go, co leci, byle dawało po uszach. Wyjechał z miasta przy akompaniamencie ostrych gitarowych akordów Claptona.

Wiedział, że wtedy, przed laty, sprawił Danie przykrość. Założył jednak, że zranił tylko jej miłość własną, co było zresztą jego celem. Wiedział, że ją wkurzył - dała mu to wyraźnie do zrozumienia - ale uznał, że w grę wchodzi urażona duma.

Gdyby wiedział, że Dana go kocha, zerwałby z nią w łagodniejszy sposób. Czyż nie?

Chryste, taką przynajmniej miał nadzieję. Byli przyjaciółmi. Nigdy nie zraniłby z premedytacją bliskiej przyjaciółki.

Wszystko sprowadzało się do tego, że nie mógł jej się na nic przydać. W tamtym okresie nikomu nie mógł się przydać. Zerwanie tego związku wyszło jej na dobre.

Skierował się stromą, krętą drogą w stronę gór.

Kochała go. Teraz niewiele już mógł w tej sprawie zrobić. I wcale nie był pewien, czy wtedy, przed laty, zrobiłby cokolwiek. Nie był przygotowany na Wielką Miłość. Nie umiałby określić tego uczucia, wyobrazić go sobie.

Cholera, w ogóle nie potrafił myśleć, gdy w grę wchodziła Dana. W college'u, ilekroć na nią spojrzął, odzywały się w nim hormony.

To go przerażało.

Uśmiechnął się, wspominając pierwszą wstrząsającą reakcją na jej widok, obezwładniające poczucie winy, gdy zdał sobie sprawę, że jego fantazje dotyczą siostry najbliższego przyjaciela.

Był zdjęty zgrozą i zafascynowany, aż w końcu uległ tej obsesji.

Smukła, postawna Dana Steele o ciętym języku, roześmiana, dociekliwa i wybuchowa.

Wtedy wszystko go w niej pociągało.

Wtedy? Teraz było to samo, nie ma co ukrywać.

Gdy ją zobaczył po powrocie - gdy nagłym szarpnięciem otworzyła drzwi domu Flynna i nawarczała na niego - przeszło go prymitywne, przemożne pragnienie. A tymczasem jej równie prymitywna, przemożna niechęć omal nie zdmuchnęła mu głowy z karku.

Gdyby udało im się na nowo zaprzyjaźnić, odnaleźć jakąś więź, która zawsze istniała między nimi, może doszliby z czasem do czegoś więcej.

Nie potrafił odgadnąć, do czego. Ale pragnął powrotu Dany, chciał ją ponownie widzieć w swoim życiu. A także - nie da się ukryć - w swoim łóżku.

Podczas zakupów uczynili krok w stronę przyjaźni. Przez chwilę czuli się swobodnie, jak gdyby znikły gdzieś wszystkie te lata, które ich rozdzieliły.

Lecz tych lat nie dało się skreślić. Gdy tylko o nich wspomnieli, nie było już mowy o przyjaźni.

Oto moje bojowe zadanie, pomyślał Jordan. Musiał ją w jakiś sposób odzyskać. Jako przyjaciółkę i kochankę - niekoniecznie w tej kolejności.

Zaangażowanie się w poszukiwanie klucza otworzyło przed nim furtkę. Zamierzał z niej skorzystać.

Uświadomiwszy sobie, że zajeżdżał przed Wzgórze Wojownika, zatrzymał auto na poboczu.

Pamiętał wspinaczkę na ten wysoki kamienny mur, kiedy byli nastolatkami - on, Brad i Flynn. Rozbili obóz w pobliskim lesie i wyciągnęli nielegalnie zdobyty sześciopak piwa, którego żaden z racji wieku nie miał prawa tknąć.

Dom był wówczas niezamieszkały; wielka, dziwaczna, nawiedzona budowla. Idealny obiekt fascynacji dla trzech chłopaków, którzy wychylili po butelce piwa.

Księżyc był w pełni, przypomniał sobie Jordan, wysiadając z samochodu. Szkliste, czarne niebo i lekki wiatr, zaledwie powiew muskający liście.

Widział teraz całą scenę równie wyraźnie, jak przed laty. Może nawet wyraźniej, pomyślał z rozbawieniem. Teraz był starszy, zupełnie trzeźwy i - prawdę mówiąc - wzbogacił wspomnienie kilkoma ozdobnikami.

Lubił sobie wyobrazać tę scenę w mgłę płynącej tuż nad ziemią i z księżycem tak krągłym i białym, że wydawał się rzeźbą na tle szklistego nieba. I gwiazdy, lśniące ostro niczym groty strzał. Ciche, niesamowite pohukiwanie sowy, szelest wysokich traw, w których poruszają się nocne zwierzęta. Z oddali odbijające się echem ujadanie psa.

Dodał te akcenty, pisząc o tym domu i tej nocy w pierwszej książce, która odniosła sukces.

Ale jednej postaci w „Wieży widm” nie musiał sobie wyobrazać, ponieważ tam była. Widział ją.

Nawet teraz, gdy już przekroczył trzydziestkę i dawno przestał być naiwnym chłopcem, wierzył w to, co zobaczył.

Kroczyła po gzymsie w bladej księżycowej poświacie, przesuając się wśród cieni jak duch, z włosami powiewającymi na wietrze i w falującej pelerynie - bo to z pewnością była peleryna.

Noc należała do niej. Tak wówczas pomyślał i teraz mu się to przypomniało. Ona była nocą.

Spojrzała na niego. Jordan przypomniał to sobie, podchodząc do żelaznej bramy i wpatrując się w kamienną budowlę na wzgórzu. Nie dostrzegł wówczas jej twarzy, wiedział jednak, że patrzy mu prosto w oczy.

Poczuł tę siłę, tę moc niczym uderzenie zadane po to, by obudzić, a nie po to, by skrzywdzić.

Jego umysł był bliski wrzenia i nic - ani piwo, ani młody wiek, ani przeżyty wstrząs - nie mogło stłumić tej reakcji.

Spojrzała na niego. I rozpoznała go.

Flynn i Brad wcale jej nie zauważyli. Zanim zawołał kolegów, postać zniknęła.

Przestraszyła go, rzecz jasna. W rozkoszny sposób. Tak, jak powinny to robić duchy i inne istoty nie z tego świata.

Choć po latach, pisząc o niej, zrobił z niej ducha, wiedział - i wtedy, i teraz - że była równie rzeczywista jak on sam.

- Kimkolwiek byłaś - mruknął - pomogłaś mi wyrobić sobie markę. No więc, dzięki.

Stał z rękami w kieszeniach, zaglądając przez pręty. To miejsce było częścią jego przeszłości i - co dziwne - rozważał związanie z nim swojej przyszłości. Bawił się myślą, czy nie sprawdzić, jaka jest pozycja domu na rynku nieruchomości, zanim Flynn zatelefonował w sprawie portretu młodego króla Artura. Jordan kupił obraz pod wpływem impulsu przed pięcioma laty w galerii, w której pracowała Malory, lecz wówczas nie poznał jej osobiście. Portret okazał się ważnym elementem układanki dotyczącej poszukiwania kluczy i odkryli, że razem ze „Szklanymi Córami” i innym obrazem, nabytym przez Brada, należy do cyklu namalowanego wieki temu przez Rowenę.

Nowy Jork, teraźniejszość Jordana, spełnił już swoje zadanie. Nadeszła pora zmian. Powrotu do domu. Flynn bardzo mu to ułatwił.

Pojawiła się sposobność, by zbadać grunt, przeanalizować własne uczucia. Gdy tylko ujrzał majestatyczny łańcuch Appałow, wiedział już na pewno, czego pragnie.

Tym razem - o dziwo - wrócił na stałe.

Potrzebował tych gór. Jesiennej feerii barw, letniej soczystej zieleni. Pragnął je widzieć w mroźnej, królewskiej bieli albo owiane delikatną wiosenną mgiełką.

Potrzebował tego miasteczka, jego schludnych uliczek i przechadzających się nimi turystów. Znajomych twarzy ludzi, którzy

pamiętali go jako chłopca, zapachu pieczeni z grilla, miejscowych plotek.

Potrzebował przyjaciół, ich krzepiącej i radosnej obecności. Pizza na wynos, piwo na ganku, stare kawały, z których nikt nie potrafił się tak śmiać, jak przyjaciel z czasów dzieciństwa.

I nadal pragnął tego cholernego domu. Uśmiechnął się leniwie, przelotnie, gdy o tym pomyślał. Pragnął go równie mocno jak wtedy, kiedy miał szesnaście lat i marzył o nowych, niezbadanych światach.

Nie zamierzał się spieszyć - był teraz znacznie ostrożniejszy niż w wieku lat szesnastu. Musiał się najpierw dowiedzieć, co Rowena i Pitte zechcą zrobić z tym domem, gdy się z niego wyprowadzą.

A w każdym razie, gdy się przeniosą w inne miejsce.

Może więc dom oznaczał dla niego nie tylko przeszłość, ale i przyszłość?

Przypomniał sobie fragmenty udzielanej przez Rowenę wskazówki. Był częścią przeszłości Dany, a także - czy tego chcieli, czy nie - jej teraźniejszości. I najprawdopodobniej, w ten lub inny sposób, miał odegrać pewną rolę w jej przyszłości.

Co zatem on sam, nawet w połączeniu ze Wzgórzem Wojownika, miał wspólnego z szukaniem klucza?

Czy to nie było przejawem wyrachowania - zakładać, że jego udział w tej sprawie ma istotne znaczenie?

- Być może - odezwał się cicho do samego siebie. - Ale w tej chwili, cholera jasna, nie widzę w tym nic złego.

Spojrząwszy na dom po raz ostatni, wszedł do samochodu. Zamierzał wrócić do domu Flynna i wszystko dokładnie przemyśleć, rozpatrzeć pod różnymi kątami.

A następnie przedstawić swój punkt widzenia Danie, choćby nawet nie chciała go wysłuchać.

Bradley Vane miał własne plany i pomysły. Zoe była dla niego zagadką. W jednej chwili drażliwa i apodyktyczna, w następnej potrafiła być uprzedzająco grzeczna. Czasami, gdy stukał, uchylała furtkę. Dostrzegał przebłycki humor i życzliwości, a potem furtka zatrzaśniała mu się przed nosem i niemal czuł podmuch lodowatego powietrza.

Nigdy dotąd się nie zdarzyło, żeby kobieta zapałała do niego niechęcią od pierwszego wejrzenia. A szczególnie irytujący był fakt, iż do tej właśnie odczuwał nieprzeparty pociąg.

Nie potrafił zapomnieć jej twarzy, odkąd przed trzema laty zobaczył obraz, który natychmiast kupił - „Zakłęcie”, drugi z cyklu poświęconego Szklanym Córom, namalowanego przez Rowenę.

Jedna z bogiń, pogrążonych we śnie od trzech tysięcy lat i spoczywających w szklanej trumnie, miała twarz Zoe.

Może to absurd, lecz Brad zakochał się w kobiecie z obrazu. W rzeczywistości jednak owa kobieta okazała się twardym orzechem do zgryzienia.

Ale Vane’owie służyli z determinacji. I z uporu w dążeniu do celu.

Gdyby przyjechała z Daną do sklepu, zmieniłby plan dnia i służył jako przewodnik. W ten sposób mógłby spędzić z nią pewien czas, utrzymując rzeczowy i przyjazny kontakt.

Można by pomyśleć, rzecz jasna, że gdy zepsuł się jej samochód, a Brad akurat znalazł się w pobliżu i zaproponował podwiezienie, była to nad wyraz rzeczowa i przyjazna forma kontaktu.

Tymczasem Zoe cała się najeżyła, ponieważ zwrócił jej uwagę, iż naprawianie silnika, gdy ma się na sobie wieczorową suknię, mija się z celem; sam zaś, ze zrozumiałych względów, odmówił zakasania rękawów.

Zaproponowałem jej wezwanie mechanika, tak czy nie? - pomyślał, wściekły na samo wspomnienie. Dyskutował z nią przez dziesięć minut, co gwarantowało, że obydwójce spóźnią się na umówione spotkanie na Wzgórzu Wojownika.

Gdy wreszcie z niechęcią przystała na propozycję podwiezienia, przez całą drogę zachowywała lodowatą rezerwę.

Kompletnie oszalał na punkcie tej dziewczyny.

- To choroba - mruknął, skręcając w ulicę, przy której mieszkała. - Jesteś chory, Vane.

Jej mały domek, oddalony nieco od ulicy, stał na schłodnie przyściętym spłachetku trawy. Zasadziła jesienne kwiaty po nasłonecznionej lewej stronie. Dom był żółty, z białymi wykończeniami. Na frontowym trawniku leżał czerwony dziecięcy rower, który przypominał Bradowi, że Zoe ma syna i że jeszcze nie zdążył go poznać.

Zaparkował swojego nowego mercedesa tuż za jej dziesięcioletnim hatchbackiem. Wysiadł i wydobył z bagażnika prezent, który - miał nadzieję - mógł zyskać jej przychyłność.

Przytaszczył ów prezent pod frontowe drzwi i przyłapał się na tym, że nerwowo przeczesuje palcami włosy. Nigdy przedtem w kontaktach z kobietami nie odczuwał tremy.

Zły na siebie, mocno zastukał do drzwi.

Otworzył je chłopiec, a Brad drugi raz w życiu zamarł w osłupieniu na widok ludzkiej twarzy. Chłopiec do złudzenia przypominał matkę - ciemne włosy, bursztynowe oczy, wyraziste rysy. Włosy miał zwichrzone, spojrzenie podejrzliwe, lecz nie mąciło to jego egzotycznej urody.

Dzięki kontaktom z młodszym kuzynostwem oraz przybranymi siostrzenicami i siostrzeńcami Brad z miejsca ocenił wiek chłopca na jakieś osiem lub dziewięć lat. Niech no upłynie jeszcze trochę czasu, pomyślał, a ten mały będzie musiał się oganiać kiejem od dziewczyn.

- Simon, tak? - Posłał chłopcu uśmiech w stylu "Jestem nieszkodliwy, możesz mi zaufać". - Nazywam się Brad Vane i jestem przyjacielem twojej mamy. - W pewnym sensie, pomyślał. - Zastąpię ją?

- Aha. - Chłopiec obrzucił go pobieżnym, taksującym spojrzeniem, lecz Brad zdawał sobie sprawę, że został poddany wyważonej, dokładnej ocenie, a werdyktu jeszcze nie ogłoszono. - Musi pan tu poczekać, bo nie wolno mi wpuszczać do domu obcych ludzi.

- Nie ma sprawy.

Drzwi zamknęły mu się przed nosem. To chyba u nich dziedziczne, skonstatował w duchu Brad. Dobiegło go wołanie chłopca:

- Mamo! Za drzwiami stoi jakiś facet! Wygląda na prawnika czy kogoś takiego.

- O Jezu - wymamrotał Brad i przewrócił oczyma.

Chwilę później drzwi ponownie się otworzyły. Wyraz zakłopotania na twarzy Zoe ustąpił miejsca zaskoczeniu, a potem lekkiej irytacji.

- Ach, to ty. Hm... czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Na początek mogłabyś mi pozwolić, żebym zbadał ustami twoją szyję, od obojczyka do ucha, pomyślał Brad, uśmiechając się beztrudnie przez cały czas.

- Dana wstąpiła do sklepu dziś po południu i kupiła to i owo.

- Tak, wiem. - Wetknęła ścierkę do naczyń za pasek dżinsów. - Czy zapomniała coś zabrać?

- Niezupełnie. Po prostu przyszło mi do głowy, że to może się wam przydać. - Pokazał prezent, który wcześniej ustawił pod ścianą domu. Zamrugała ze zdumieniem, a potem parsknęła śmiechem, co odnotował z przyjemnością.

Jej śmiech brzmiał szczerze. Brad natychmiast pokochał ten dźwięk, wyraz jej twarzy i oczu.

- Przywiozłeś mi drabinę?

- To podstawowe urządzenie przy wszelkich pracach remontowych.

- Owszem, przyznaję. Już jedną mam. - Zdając sobie sprawę, jak niezręcznie to zabrzmiało, zarumieniła się i podjęła szybko: - Ale starą. Nowa bardzo nam się przyda. To naprawdę ładnie z twojej strony.

- My w HomeMakers doceniamy prywatną inicjatywę. Gdzie mam to umieścić?

- No cóż - westchnęła, rozglądając się po korytarzu - może po prostu wnieść ją do domu. Potem się zdecyduję, gdzie ją ustawić.

Cofnęła się o krok, potrącając chłopca zaczajonego za jej plecami.

- Simonie, to jest pan Vane. Przyjaciel Flynnna.

- Mówił, że jest twoim przyjacielem.

- Usiłuję. - Brad wniósł drabinę do domu. - Cześć, Simon. Jak leci?

- Nieźle. Dlaczego ma pan na sobie garnitur, jeśli roznosi pan drabiny?

- Simon!

- Dobre pytanie. - Brad pominął Zoe i skupił się na chłopcu. - Miałem dzisiaj kilka spotkań. Garnitur budzi większy postrach.

- Garnitury są do chrzanu. W zeszłym roku mama kazała mi włożyć coś takiego na ślub ciotki Joleen. I jeszcze krawat. Udawanie.

- Dziękuję za te informacje na temat mody. - Zoe zahaczyła łokciem szyję Simona, zmuszając go do uśmiechu. Obydwoje uśmiechnęli się do siebie, wywołując zdumienie w oczach Brada.

- A jak z pracą domową?

- Odrobiona. Czas na gry wideo.

- Dwadzieścia minut.

- Czterdzieści pięć.

- Trzydzieści.

- Fajnie! - Wywinął się z jej objęć i pomknął jak strzała do pokoju obok, gdzie stał telewizor.

Teraz, mając niezajęte ręce, Zoe nie wiedziała, co z nimi zrobić. Dotknęła drabiny.

- Rzeczywiście jest poręczna. Drabiny z włókna szklanego są bardzo lekkie i łatwe w użyciu.

- Warte swojej ceny; oto dewiza naszej firmy.

W małym salonie za ścianą zadudniły odgłosy stadionu.

- To jego ulubiona gra - odezwała się niepewnie Zoe. - Baseball, wirtualny czy prawdziwy, jest dla niego ważniejszy niż oddychanie. - Chrząknęła, zastanawiając się, co dalej. - Hm... może chciałbyś się czegoś napić?

- Bardzo proszę. Cokolwiek masz pod ręką.

- OK. - Niech to szlag, pomyślała. - Może usiądziesz? Zaraz wracam.

Co, do licha, robić z tym Bradleyem Vane'em? - zadawała sobie pytanie w drodze do kuchni. Chodzi po jej podłodze w swoich drogich butach. Rozsiadł się w salonie. Na godzinę przed kolacją.

Zatrzymała się na chwilę i przycisnęła palcami powieki. Nic się nie stało, wszystko w porządku. Postąpił bardzo uprzejmie, ona zaś odwzajemni mu się szklanką jakiegoś napoju i kilkuminutową rozmową.

Nie miała pojęcia, co mówić. Nie rozumiała mężczyzny jego pokroju. Mężczyzn z bogatych rodzin, którzy podejmowali różne działania, dużo posiadali i zmieniali miejsce pobytu, by zyskać więcej.

Na dodatek czuła się przy nim głupio stremowana i odruchowo zajmowała pozycje obronne.

Czy podać mu kieliszek wina? Nie, przecież prowadzi, a zresztą nie miała w domu dobrego wina. Kawa? Herbata?

Chryste.

Z rozpaczą otworzyła lodówkę. Miała jeszcze sok i mleko.

„Proszę, Bradleyu Charlesie Vanie IV z bogatej i wpływowej pensylwańskiej rodziny, masz tu szklankę nektaru prosto od krowy, a potem spadaj”.

Odetchnęła głęboko i wygrzebała z szafki butelkę napoju imbirowego. Wyjęła najładniejszą szklankę, sprawdziła, czy nie ma na niej plamek, i wrzuciła kostki lodu. Nalewając, uważała, by nie przekroczyć poziomu pół cala od krawędzi.

Obciagnęła skraj sportowej bluzy, narzuconej na džinsy i spojrzała z rezygnacją na grube szare skarpety, które nosiła zamiast kapci. Miała nadzieję, że nie śmierdzi pastą do czyszczenia mosiądzu, którą próbowała usunąć śniedz ze stojaka na parasole wyszukanego na pchlim targu.

Garnitur garniturem, pomyślała, prostując ramiona, ale nie zamierzała dać się zahukać we własnym domu. Zaniesie Bradleyo-

wi napój, odbędą uprzejmą - oby jak najkrótszą - pogawędkę, po czym odprowadzi go do drzwi.

Niewątpliwie ma ciekawsze zajęcia niż siedzenie w jej salonie ze szklanką imbirowego napoju i przyglądanie się dziewięciolatki grającemu w grę wideo.

Przeszła korytarzem i w drzwiach salonu stanęła jak wryta.

Bradley Charles Vane IV nie przyglądał się Simonowi. Ku swemu niebotycznemu zdumieniu zobaczyła, że siedzi na podłodze - nie zważając na wytworny garnitur - i bierze udział w grze.

- Dwa razy pudło, chłopie. Jesteś skazany na klęskę. - Simon zachichotał, powiercił się na pupie i przygotował do kolejnego rzutu.

- Pomarzyć zawsze wolno. Widzisz mojego gracza na trzeciej bazie? Zaraz zdobędzie punkt.

Zoe weszła do pokoju, lecz oni jej nie zauważyli, gdyż piłka właśnie śmignęła w powietrzu i wirtualny kij uderzył ją z trzaskiem.

- Trafił, trafił, trafił - wyrecytował szeptem Simon. - Udało mu się.

- Popatrz, jak tamten biegnie - rzucił Brad. - Pędzi do bazy. Piłka już wraca... jeszcze sekunda...

„Punkt!” - oznajmił sędzia bazowy.

- Aha - Brad trącił Simona łokciem. - Jeden zero, stary.

- Nieźle. Jak na faceta w twoim wieku. - Simon parsknął śmiechem. - A teraz przygotuj się na porażkę.

- Przepraszam, przyniosłam ci napój imbirowy.

- Krótka przerwa. - Brad spojrział na nią z uśmiechem. - Dzięki. Czy możemy dokończyć rundę?

- Oczywiście. - Postawiła szklankę na stoliku, nie bardzo wiedząc, co dalej. - Będę w kuchni. Muszę zacząć szykować kolację. - Patrzył jej prosto w oczy z całkowitą swobodą, a ona, o zgrozo, usłyszała własny głos: - Może zjesz z nami? Mamy kurczaka.

- Wspaniale.

Odwrócił się, by podjąć grę.

Zapamiętaj sobie, pomyślał, nie ma co się wygłupiać z różami i szampanem. Kluczem do serca tej damy jest sprzęt do prac remontowych.

Podczas gdy Zoe w swojej kuchni zastanawiała się, jak u licha przeistoczyć skromne kurczę w danie godne wybrednego smakosza, Dana kołata zranione ego pizzą na wynos.

Nie zamierzała mu tego mówić. Nigdy. Po co dawać jeszcze jeden powód do drwiących uśmiezków?

Nie uśmiechał się jednak, przyznała, popijając pizzę zimnym piwem. Przeciwnie, miał taką minę, jakby wpakowała mu kulę w głowę.

Dana nie mogła również twierdzić, że świadomość, iż była w nim zakochana, napełniła go zadowoleniem albo dumą. W pierwszej chwili wydawał się wstrząśnięty, a potem zakłopotany.

Boże, to chyba jeszcze gorsze.

Wpatrzyła się posepnie w pizzę. Choć otwarta książka leżała na stole, Dana nie przeczytała ani słowa. Powiedziała sobie, że musi to wszystko jakoś znieść.

Najwyraźniej zamierzał spędzić w mieście pewien czas - aby się z nim nie widywać, musiałyby unikać także Flynna i Brada - więc regularne kontakty wydawały się nieuniknione.

I jeżeli akceptowała to, co się wydarzyło i czego się dowiedziała w ciągu ostatniego miesiąca, musiała również pogodzić się z faktem, iż przyjazd Jordana miał swój głębszy sens. Był częścią tego wszystkiego.

I, niech to diabli, mógł się okazać przydatny.

Miał bystry umysł i wyjątkową zdolność do wychwytywania i gromadzenia szczegółów.

Między innymi dzięki tej umiejętności potrafił tak dobrze pisać. Och, z wielką niechęcią to przyznawała. Wołałaby odgryźć sobie język niż mu o tym powiedzieć. Ale miał ogromny talent.

Talent okazał się dla niego ważniejszy niż ona, co wciąż jeszcze bolało. Jeśli jednak mógł jej pomóc w odszukaniu klucza, gotowa była zapomnieć o urazie. Przynajmniej chwilowo.

Postanowiła odłożyć skopanie mu tyłka na później.

Nieco uspokojona, zjadła jeszcze kawałek pizzy. Jutro zacznie od nowa. Miała przed sobą cały dzień, cały tydzień, cały miesiąc na zrobienie tego, co należy zrobić. Nie musiała nastawiać budzika ani ubierać się do pracy.

Mogła, jeśli zechce, chodzić przez cały dzień w piżamie, prowadzić badania, układać plany, surfować po Internecie w poszukiwaniu informacji.

Skontaktuje się z Zoe i Malory, by ustalić termin kolejnej konferencji na szczycie. Dobrze im się razem pracowało.

Może zaczną remont budynku. Wysiętek fizyczny wzmaga niekiedy przenikliwość umysłu.

Pierwszy klucz ukryty był - w pewnym sensie - w domu, który kupiły. Oczywiście Malory musiała ów klucz najpierw namalować, a potem wyjąć z obrazu.

Może ten drugi, a przynajmniej nić prowadząca do niego, również znajduje się w domu.

Tak czy inaczej, to już był jakiś plan. Coś konkretnego, od czego mogła zacząć.

Odsunęła pizzę na bok i wstała, by zadzwonić do Malory. Następnie zatelefonowała do Zoe z propozycją spędzenia dnia na pracach malarskich.

- Cześć, tu Dana. Przed chwilą rozmawiałam z Mai. Zamierzamy jutro rozpocząć wielką metamorfozę naszego domu. O dziewiątej rano. Malory chciała o ósmej, ale ani mi się śni wstawać tak wcześnie, jeśli mi za to nie płacą.

- Dziewiąta będzie w sam raz. Dano... - głos przyjaciółki przeszedł w syczący szept - Bradley jest tutaj.

- Ach, rozumiem. No to cię nie zatrzymuję. Do...

- Nie, nie. Co ja mam z nim zrobić?

- Rany, Zoe, nie wiem. A co byś chciała zrobić?

- Nic. - Zoe lekko podniosła głos, lecz zaraz go ściszyła. - Nie mam pojęcia, jak to się stało. Siedzi w salonie i gra w grę wideo z Simonem. W garniturze.

- Simon jest w garniturze? - Dana wypchnęła językiem policzek. - Rety, u ciebie w domu naprawdę przestrzega się konwensów.

- Przestań. - Zoe zaśmiała się cicho. - On ma na sobie garnitur. Bradley. Staął w drzwiach z drabiną i zanim się zorientowałam...

- Z czym? W jakim celu? Chciał ci wyczyścić rynny? To nie był eufemizm, nawiasem mówiąc. Choć, gdy się tak zastanowić, brzmi nieźle.

- Przyniósł ją... drabinę... w prezencie dla mnie... dla nas - poprawiła się pośpiesznie. - Żeby łatwiej nam było malować i w ogóle. Pomyślał, że nam się przyda.

- To miło z jego strony. Jest naprawdę sympatycznym facetem.

- Nie w tym rzecz! Co mam zrobić z kurczakiem?

- Brad przyniósł ci kurczaka?

- Nie. - W słuchawce rozległ się niepohamowany, dźwięczny śmiech. - Dlaczego ktoś miałby mi przynosić kurczaka?

- Sama zadałam sobie to pytanie.

- Rozmroziłam filety z kurczaka na kolację. Co teraz z nimi zrobić?

- Ja bym spróbowała je przyrządzić. Jezu, Zoe, odpręż się. Przecież to tylko Brad. Wrzuć te filety na patelnię, ugotuj jakiś ryż albo ziemniaki, dodaj coś zielonego i nałóż na talerz. Brad nie jest wybredny.

- Nie mów mi, że on nie jest wybredny. - Zoe ponownie zniżyła głos do szeptu. - Nie prowadzimy wykwintnej kuchni w tym domu. Zresztą nie bardzo wiem, na czym polega wykwintna kuchnia. On ma na rękę audemarsa pigueta. Myślisz, że nie zdaję sobie sprawy, co to jest audemars piguet?

Dana doszła do wniosku, że to naprawdę fascynujące zjawisko: rozsądna Zoe, która pod wpływem jej starego kumpla Brada przeobraża się w bredzącą maniaczkę.

- OK, poddam się. Co to jest audemars piguet? Coś rajcownego?

- To zegarek. Zegarek, który kosztuje więcej niż mój dom. Albo prawie tyle. Nieważne. - Zoe wydała przeciągłe westchnienie. - Zachowuję się jak wariatka, a to czysta głupota.

- Nie przeczę.

- No więc do jutra.

Kręcąc głową, Dana odłożyła słuchawkę. Ranek zapowiadał się bardzo interesująco. Już nie mogła się doczekać, żeby wysłuchać opowieści Zoe o kolacji z Bradem i o tym, jak mu smakował kurczak.

Na razie jednak zwolniła obroty. Miała zamiar wziąć długą, porządną, gorącą kąpiel, i poczytać w wannie nową, specjalnie w tym celu przygotowaną książkę.

Rozdział piąty

Postanowiła potraktować tę kąpiel jak ważne wydarzenie. Pierwszą prawdziwą przyjemność w swoim życiu osoby bezrobotnej. Zamiast ronić łzy, pomyślała, lepiej to uczcić.

Wybrała zapach mango, by wczuć się w atmosferę tropików, i chlusnęła szczerze płynem do kąpieli pod strumień wody. Zapaliła świece i doszła do wniosku, że piwo w butelce nie bardzo pasuje do całej reszty.

Nago zawróciła do kuchni i wlała napój do szklanki.

W łazience upięła włosy na czubku głowy, po czym -jak szaleć, to szaleć - nałożyła na twarz maseczkę regenerującą, na którą namówiła ją Zoe.

Co jej szkodzi?

Uświadomiwszy sobie, że brakuje tu czegoś istotnego, ponownie wyszła z łazienki, przejrzała swoje kompaktki i wyszukała staro Jimmy'ego Buffeta. Wyspy czekają, pomyślała, i przy pierwszych taktach muzyki zanurzyła się z głębokim westchnieniem w pachnącej wodzie.

Przez pierwsze pięć minut rozkoszowała się ciepłem i zapachem, doznając uczucia najwyższej błogości.

Duża biała kula z rozżłoszczoną twarzą Joan staczała się ze stromej skarpy, uderzając o kamienie i pokrywając się kurzem. Następnie, z wyrazem szoku, twarz zniknęła za krawędzią urwiska.

W jej ślady poszedł podskakujący koński ogon. Napięcie stopniowo opadało.

- Pa, pa - mruknęła Dana z satysfakcją.

Ocknęła się z marzeń, zmyła maseczkę specjalną myjką i zanotowała w pamięci, żeby użyć kremu nawilżającego, kiedy wyjdzie z wanny.

Przekrzywiła głowę i, marszcząc brwi, przyjrzała się stopom. Może warto by zrobić pedikiur i pomalować paznokcie na jakiś żywy, śmiały kolor, odpowiedni dla bezrobotnej kobiety, która niebawem założy własne przedsiębiorstwo.

To jednak wielka wygoda mieć przyjaciółkę i współpracowniczkę, która zna się na zabiegach kosmetycznych.

Uznała, że pora na drugą część programu i sięgnęła po książkę leżącą na brzegu wanny. Łyknęła piwa, przewróciła kartkę i zagłębiła się w opowieści.

Tropikalna sceneria, romans i intryga doskonale harmonizowały z jej obecnym stanem ducha. Dała się unieść fali słów, wyobrażając sobie migotliwą ciemnoniebieską wodę i połyskujący piasek, biały jak cukier. Poczuła na skórze muśnięcie ciepłego, wilgotnego powietrza, a w nozdrzach zapach morza i odurzającą woń lilii ustawionych w doniczkach na obszernym tarasie.

Zeszła z rozgrzanych stopni na rozpalony piach. Okrzyki mew krążących nad jej głową brzmiały jak melorecytacja.

Sypki piasek skrzypiał pod bosymi stopami, fałdy cienkiego jedwabnego szlafroka łaskotały ją w nogi. Podeszła bliżej morza i ruszyła brzegiem plaży, delektując się urokami samotności.

Mogła wędrować, dokądkolwiek zechciała albo wędrować donikąd. Lata pracy i odpowiedzialności, harmonogramów i obowiązków miała już za sobą.

Dlaczego kiedyś wydawały jej się takie ważne?

Fale, obrzeżone koronką piany, obmyły brzeg i cofnęły się miękko, z westchnieniem. Dostrzegła srebrzyste błyski, gdy rozbawione delfiny wyskakiwały nad powierzchnię wody, a w oddali - bardzo daleko - zamgloną linię horyzontu.

Doskonałość, spokój, piękno. I ta wyzwalająca świadomość, że jest zupełnie sama.

Zadała sobie pytanie, dlaczego właściwie zmuszała się do wyężonej pracy, do nieustannej troski o to, co powinno być zrobione, podczas gdy tak naprawdę pragnęła jedynie żyć samotnie w świecie, który sobie wybierze.

W świecie, który, co wcale jej nie zdziwiło, mogła zmieniać jedną myślą, po prostu dla kaprysu.

Nie istniał w nim smutek, jeśli sama nie zapragnęła go wywołać, nie było ludzkiego towarzystwa, jeśli go sobie nie stworzyła. Życie - płynne i barwne, łączące ciszę i dźwięk - otwierało się przed nią niczym niekończąca się powieść.

Gdyby zatęskniła za kimś, przyjacielem czy kochankiem, wystarczyło go sobie wyobrazić.

Ale, mówiąc szczerze, nie potrzebowała nikogo. Ludzie oznaczali problemy, obowiązki, obciążenia, pragnienia inne niż jej. Życie w samotności było o wiele prostsze.

Z uśmiechem zadowolenia skierowała się wzdłuż sierpowato zaokrąglonego brzegu, gdzie jedyne ślady stóp należały do niej, ku soczystej zieleni palm i innych drzew o gałęziach uginających się pod ciężarem owoców.

Było tu chłodniej, ponieważ tak sobie życzyła. Mięciutka trawa pod stopami, promienie słońca przesiane przez liście, jaskrawo upierzone ptaki, barwne niczym klejnoty.

Zerwała z gałęzi owoc - mango, oczywiście - i wbiła zęby w miękką, soczystą miąższ.

Był zimny, niemal lodowaty, taki, jaki najbardziej lubiła. Nie chciała, żeby był rozgrzany od słońca.

Uniosła ramiona, zobaczyła, że pokrywa je równomierna, ciemnozłota opalenizna, a gdy spojrzała w dół, uśmiechnęła się na widok swoich paznokci, pomalowanych na śmiały, różowy kolor.

To jest to, pomyślała. O coś takiego mi właśnie chodziło.

W rozmarzeniu przemierzyła polanę i przyjrzała się złotym rybkom pływającym w przejrzystej błękitnej sadzawce. Zapragnęła, by były czerwone jak rubiny - i były. Zielone jak szmaragdy - i stały się takie.

Rozbawiona kolorowymi błyskami przemykającymi pod wodą, Wybuchnęła śmiechem; a na ten dźwięk różnobarwne ptaki wzbiły się w bezchmurne niebo.

Przyszło jej do głowy, że mogłaby tu zostać na zawsze. W miejscu, gdzie zmieniałoby się tylko to, co chciałyby zmienić. Bez bólu, tęsknoty, rozczarowań.

Wszystko byłoby zgodne z jej życzeniem... chyba że wyraziłaby inne.

Uniosła owoc mango do ust i nagle pomyślała: ale co ja bym tu robiła, dzień po dniu?

Wydało jej się, że słyszy głosy, ciche, odległe szmer, zagłuszany silniejszym podmuchem wiatru. Obejrzała się.

Z bujnych zielonych pnączy zwisały kwiaty, owoce połyskiwały wśród delikatnych gałązek jak szlachetne kamienie. W powietrzu drżał uwodzicielski szept fal ocierających się o brzeg.

Stała samotnie w raj, który stworzyła.

-Nie.

Wypowiedziała to głośno, na próbę.

Coś tu nie gra. To nie jestem prawdziwa, to nie jest to, czego pragnę.

Owoc wysliznął się z jej dłoni i upadł na ziemię z nieprzyjemnym plaśnięciem. Zauważyła, wstrząśnięta, że jest przegniły w środku.

Otoczające ją barwy były zbyt ostre, faktury zbyt gładkie. Jak dekoracje teatralne - wymyślne dekoracje do sztuki granej bez końca.

- To podstęp. - Rozdrażnione osy zaczęły bzyczeć nad zepsutym owocem. - Oszustwo!

Zaledwie wykrzyczała ostatnie słowo, błękitne niebo zasnuły skłębione czarne chmury. Wyjący wichur szarpał liście, strącał owoce i kwiaty. Zrobiło się przejmująco zimno.

Zaczęła biec. Lodowaty deszcz siekł jej twarz, jedwab przylepił się do ciała.

W tym dzikim, groźnym świecie - iluzorycznym czy nie - nie była już sama i wiedziała o tym.

Biegła w szalejącej nawałnicy, czując smagnięcia ostrych liści, które zdawały się wyciągać ku niej niczym zachłanne palce.

Przerażona, bez tchu, dotarła do plaży i upadła. Morze wyglądało strasznie: ściany oleistej, czarnej wody wznosiły się i opadały z hukiem, pochłaniając ziemię wielkimi, łapczywymi kęsami. Palmy waliły się, a w piasku powstały głębokie leje.

Mimo ciemności i zimna wyczuła, że pada na nią czyjś cień. Ból poderwał ją na nogi i pchnął naprzód, gdy poczuła, że coś się w nią wdziera.

I cofa z szarpnięciem.

Zbierając wszystkie siły, całą odwagę, dokonała wyboru i skoczyła w śmiercionośne morze.

Poderwała się rozdygotana, z trudem łapiąc powietrze. Krzyk uwiązał jej w krtani.

Siedziała w wannie; chłodna woda przelewała się przez krawędź. Książka pływała po powierzchni, świece stały w kałużach wosku.

Zdjęta panicznym lękiem, wypęzła z wanny i przez chwilę kułiła się, drząc, na łazienkowej macie.

Szczękając zębami, zmusiła się do wstania, chwyciła ręcznik i owinęła się nim. Świadomość, że jest naga, potęgowała jeszcze jej strach. Chwiejnym krokiem opuściła łazienkę, czując, że serce wciąż tłucze jej się w piersi i wygrzebała z szafy płaszcz kąpielowy.

Zadawała sobie pytanie, czy kiedykolwiek zdoła się ogrzać.

To on ją tam wciągnął. Kane. Mroczny czarnoksiężnik, który rzucił wyzwanie władcy królestwa bogów i wykradł dusze jego córek, dlatego że były na poły śmiertelne, a to obrażało jego uczucia. I dlatego że sam chciał rządzić.

Wyczarował Szkatułę Dusz z trzema zamkami i odlał trzy klucze, których żaden bóg nie mógł przekreślić. Dość paskudny kawał, pomyślała, usiłując złapać oddech. Grubiańska drwina z boga, który okazał się na tyle pozbawiony dobrego smaku, że pokochał kobietę śmiertelną.

Czar rzucony przez Kane'a za Zastoną Snów przetrwał trzy tysiące lat. Co oznaczało, że czarnoksiężnik trzyma się mocno - a teraz pokazał, na co go stać. Przypomniał, że wciąż jest obserwowana. Wśliznął się do jej umysłu i wciągnął w jedną z jej własnych fantazji. Na jak długo? - zastanawiała się, rozcierając zziębnięte ramiona. Jak długo przebywała poza własnym ciałem, które leżało w wannie nagie i bezbronne?

Zapadł już zmrok, zrobiło się zupełnie ciemno i Dana zapaliła światło w obawie przed tym, co mogło się czaić wśród cieni. Ale pokój był pusty. Była sama, tak jak na owej nieistniejącej plaży.

Omam nie krzyknęła, słysząc głośne pukanie do frontowych drzwi. Z dłonią przyciśniętą do szyi pobiegła otworzyć. W tej chwili nie chciała być sama i powitałaby chętnie każdego, kto się pojawi.

A przynajmniej tak jej się wydawało, dopóki nie ujrzała Jordana.

O Boże, tylko nie on. Nie teraz.

- Czego chcesz? - warknęła. - Idź sobie. Jestem zajęta.

Przytrzymał drzwi, zanim zdążyła je zatrzaskać.

- Chcę z tobą porozmawiać o... Co się stało? - Zauważył jej pobladłą twarz i szkliste, przerażone oczy. - Żle się czujesz?

- Nie. Nic się nie stało. - Znowu zaczęła dygotać, jeszcze mocniej niż przedtem. - Nie życzę sobie... ech, do diabła z tym. Lepszy rydz niż nic. - Oparła się bezwładnie o niego. - Tak mi zimno. Tak mi cholernie zimno.

Niewiele myśląc, złapał ją na ręce, nim upadła na podłogę i kopnięciem zamknął drzwi.

- Sofa czy łóżko?

- Sofa. Mam dreszcze. Cała się trzęsę.

- Dobrze. Już dobrze. - Usiadł, nie wypuszczając jej z objęć, i ściągnął narzutę z oparcia. - Zaraz się rozgrzejesz - obiecał, otulając Dane narzutą. - Przysuń się bliżej.

Rozcierał jej plecy i ramiona, a potem po prostu objął i czekał, aż ciepło jego ciała zrobi swoje.

- Dlaczego jesteś mokra?

- Siedziałam w wannie. A potem już nie. Nie wiem, jak to się dzieje. - Zaciskała w dłoni klapę jego marynarki, próbując się uspokoić. - Ten sukinsyn wpakował mi się do głowy. Człowiek nawet nie zdaje sobie sprawy, a to się po prostu dzieje. Jeszcze przez chwilę będę mówiła bez sensu.

- Nie szkodzi. Chyba cię rozumiem. - Natrafił palcami na gumkę, którą ściągnęła do góry włosy, zsunął ją odruchowo i pozostał z dłonią w uwolnionym gąszczu. - To był Kane, tak? Zjawił się tutaj?

- Nie wiem. - Wyczerpana, oparła głowę o jego pierś. Nareszcie mogła oddychać swobodniej i nie czuła się tak, jakby czyjaś ręka ugniatała jej łomoczące serce. - Już ci mówiłam, nie wiem, jak to się dzieje. Chciałam tylko wziąć kąpiel, trochę się odprężyć.

Z rozmysłem powąchał szyję Dany, by skierować jej myśli na inny tor.

- Pachniesz cudownie. Po prostu smakowicie. Co to za zapach?

- Mango. Odczep się. - Ale nie odsunęła się od niego. - Nalałam sobie płynu do kąpieli. Zapaliłam świece, przyniosłam książkę. Akcja rozgrywa się na Karaibach, stąd to mango i Buffet. Włączyłam płytę Jimmy'ego Buffeta.

Mówiła bez związku, lecz postanowił dać jej się wygadać.

- No więc, kładę się w wannie... bąbelki, Buffet, piwo i książka. Romantyczny thriller, szybkie tempo, ostre dialogi. Czytam fragment pisany z punktu widzenia bohaterki podczas chwili odpoczynku. Stoi na tarasie hotelu w tropikalnym kurorcie, a właściwie... mniejsza o to, nieważne. - Zamknęła oczy, ukojona miarowymi ruchami dłoni, gładzącej jej włosy. - No więc, stoi tam, patrząc na morze. Fale, bryza, mewy. Opis jest dobry i zaczynam sobie wszystko wyobrażać. A w następnej chwili to już nie jest książka. Ale nie zdaję sobie sprawy, że zaszła jakaś zmiana, że ugrzęzłam we własnej wyobraźni. To mnie najbardziej przeraża.

Nie masz pojęcia jak. - Potarła twarz dłońmi. - Muszę wstać. - Odrzuciła narzutę, dźwignęła się na nogi i po krótkim namyśle zaciągnęła mocniej pasek szlafroka. - Znalazłam się na plaży. Nie wyobraziłam jej sobie, nie widziałam w myślach. Byłam tam. Czułam zapach morza i kwiatów. Lilii, białych lilii w doniczkach. Wcale mnie nie zdziwiło, że ni stąd, ni zowąd chodzę po piasku, czuję ciepło słońca i morską bryzę. Miałam bose stopy, pomalowane paznokcie, byłam opalona i ubrana w jakąś lekką jedwabną szatę. Czułam, jak owija się wokół moich nóg.

- Założę się, że wyglądałaś bosko.

Zerknęła na niego i po raz pierwszy w jej policzkach pojawiły się dołeczki.

- Mówisz tak, żebym znowu nie zaczęła świrować.

- Nie tylko. Naprawdę musiałaś wyglądać bosko.

- No pewnie. Przecież to była moja fantazja. Moja własna, prywatna, tropikalna wyspa. Wymarzona pogoda, błękitne niebo, biały piasek i samotność. Pomyślałam sobie nawet, gdy tak szłam plażą, jaka byłam głupia, przejmując się obowiązkami. Mogłam mieć wszystko, co zechcę, i robić, co mi się podoba.

- A czego chciałaś?

- W tamtej chwili? Chyba chciałam być sama i o nic się nie martwić. Nie myśleć o wrednej Joan, przez którą straciłam ukochaną pracę. Nie bać się początku drugiego aktu „Życia Dany”.

- Ludzka rzecz. To normalne.

- Owszem. - Ponownie obrzuciła go szybkim spojrzeniem; postawny i przystojny jak dawniej, wpatrywał się w nią ciemnoniebieskimi oczyma. Rozumiał, że nie potrzeba jej zdawkowych słów pociechy czy współczucia. - Owszem - powtórzyła, pocrzepiona jego zrozumieniem, tak jak wcześniej dotykami. - Doszłam do zagajnika, gdzie rosły palmy i drzewa owocowe. Zerwałam mango. Czułam jego smak. - Zawiesiła głos i dotknęła palcami ust. - Właściwie tylko spacerowałam sobie i myślałam: o rany, to dopiero życie. Ale to nie było prawdziwe życie, nie moje życie. I nie tego tak naprawdę chcę.

Wróciła na sofę, w obawie, że podczas dalszego ciągu opowieści nogi znowu odmówią jej posłuszeństwa.

- Zaledwie przyszło mi to do głowy, usłyszałam głosy. Odległe, lecz znajome. Pomyślałam: ten świat nie jest rzeczywisty. To podstęp. I wtedy zdarzyło się coś... O Boże. - Czując obręcz wokół piersi, przycisnęła stulone dłonie do serca. - O Boże.

- Spokojnie. - Przykrył jej ręce swoimi i czekał, aż spojrzy mu w oczy. - Nie spiesz się.

- Nadeszła burza. Delikatnie mówiąc. Gdy sobie uświadomiłam, że to wszystko jest tylko złudzeniem, rozpętało się istne piekło. Wichura, deszcz, ciemności i ziąb. Jezu, Jordan, co za koszmarny ziąb. Zaczęłam biec. Wiedziałam, że muszę uciekać, bo już nie byłam tam sama. On był i ścigał mnie. Dotarłam na plażę, ale morze zupełnie oszalało. Fale wyglądały jak czarne ściany, wysokie na co najmniej pięćdziesiąt stóp. Upadłam. Wyczuwałam jego obecność tuż obok. To zimno. I ból. Potworny, szarpiący ból. - Mówiła łamiącym się głosem. Nic nie mogła na to poradzić. - Wydierał mi duszę. Wszystko inne było lepsze niż to, więc skoczyłam w morze.

- Chodź tutaj. Przysuń się bliżej, znowu masz dreszcze. - Przytulił ją mocno.

- Obudziłam się, a może ocknęłam, jakkolwiek to nazwać. W wannie. Nie mogłam złapać tchu. Woda już dawno wystygła. Nie wiem, na jak długo straciłam kontakt z rzeczywistością. Nie wiem, jak długo miał mnie w swojej mocy.

- Nie miał cię. Wcale cię nie miał - powtórzył Jordan z naciśkiem, gdy pokręciła głową. Delikatnym gestem uniósł jej twarz ku górze. - Najwyżej cząstkę ciebie. Nie całość, bo nie potrafi zobaczyć całości. Fantazja, jak powiedziałaś. Oto jego metoda. I nie potrafi cię w nią wciągnąć dostatecznie głęboko, by część twojego umysłu nie zaczęła zadawać pytań. By nie zdawała sobie sprawy, co się dzieje.

- Może. Ale potrafi ugodzić człowieka w słabe miejsce. Nigdy w życiu tak się nie bałam.

- Kiedy przestaniesz myśleć o klęsce, a zaczniesz być wkurzona, poczujesz się lepiej.

- Chyba masz rację. Muszę się napić - oznajmiła, odsuwając się od niego.

- Wody? - Zauważył, że Dana wraca do siebie, gdyż w odpowiedzi skrzywiła się pogardliwie.

- Mam ochotę na piwo. Nie wypłam tego, które wzięłam do wanny. - Wstała i zatrzymała się niepewnie. - Ty też chcesz?

- Tak, proszę. - Nie spuszczać z niej oczu, dotknął palcami nadgarstka lewej ręki, jakby zamierzał sprawdzić tętno.

Ucieszył się, słysząc jej prychnięcie, zanim poszła do kuchni. Normalny dźwięk, typowy dla Dany. Sposób, w jaki osunęła się w jego ramiona, był daleki od normy.

Gdyby się nie zjawił... Ale się zjawił, upomniał się w myślach. Nie była już sama. I dała sobie radę.

Wstał z sofy i rozejrzał się po mieszkaniu. Cała Dana, pomyślał. Żywe barwy, wygodne meble i mnóstwo książek.

Poszedł za nią, oparł się o ścianę. Znowu książki, zauważył w duchu. Kto prócz Dany trzymałby Nietzschego w kuchni?

- Pierwszy raz jestem u ciebie.

Stojąc plecami do niego, otworzyła dwa piwa.

- Nie wpuściłabym cię, gdybym nie była taka wytrącona z równowagi.

- Mimo tego chłodnego powitania podoba mi się twoje mieszkanie, Żyrafo. Pasuje do ciebie. Dlatego nie przypuszczam, abyś była skłonna rozważyć przeniesienie się do Flynna na pewien czas. Ja mogę pomieszkać trochę u Brada, żeby ci nie zawadzać.

Odwróciła się powoli.

- Starasz się być uczynny, ponieważ wpadłam w histerię?

- Nie. Chcę, żebyś się czuła bezpieczna. Żebyś była bezpieczna.

- Nie rób sobie kłopotu.

- Zależy mi na tobie. - Przesunął się, blokując przejście, zanim zdążyła go wyminąć. Przez jego twarz przemknął cień gniewu, który błyskawicznie zniknął.

Skąd ten gniew? - zadała sobie pytanie. I jak mu się udało opanować?

- Zależy mi na tobie, Dano. Zapomnij choć na jedną cholerną chwilę o dawnych urazach. Kiedyś byliśmy sobie bliscy i jeśli u Flynna czułaabyś się bezpieczniej, usunę ci się z drogi.

- Aż do samego Nowego Jorku?

Zacisnął usta i wyjął jej butelkę z ręki.

- Nie.

Możliwe, że zachowywała się wobec niego niesprawiedliwie. Ale guzik ją to obchodziło.

- Nie czułaabym się bezpieczniej u Flynna, z tobą czy bez ciebie. Wbrew temu, co zobaczyłeś, kiedy otworzyłam ci drzwi, potrafię się o siebie zatroszczyć. Dałam sobie radę. Wydostałam się stamtąd bez twojej pomocy. I nikt, ani ty, ani ten sukinsyn Kane, nie wypędzi mnie z mojego własnego mieszkania.

- No cóż. - Pociągnął łyk piwa. - Widzę, że przeszłaś do drugiej części programu artystycznego na dzisiejszy wieczór. Tytuł: „Jestem wkurzona”.

- Nie lubię, gdy się mną manipuluje. Kane wykorzystał przeciw mnie moje własne myśli, a ty grasz na przebrzmiałych uczuciach. Byliśmy sobie bliscy? - rzuciła gwałtownym tonem. - Nie-wykluczone, ale to już należy do przeszłości, zapamiętaj sobie. Jeśli chcesz być taki miły i usunąć mi się z drogi, zrób to teraz. Chciałabym przejść.

- Mam ci coś do powiedzenia i powiem, choćbym musiał cię tu zatrzymać siłą. Nie wiedziałem, że mnie kochasz. Nie wiem, co by to zmieniło... ale coś by zmieniło na pewno. Nie byłem do tego przygotowany. Zabrakło mi sprytu i panowania nad sobą.

- Wystarczyło ci jednego i drugiego, żeby robić to, czego pragnąłeś.

- Słuszna uwaga. - Skinął głową, patrząc Danie prosto w oczy. - Byłem pochłonięty sobą, melancholijny i nerwowy. Co ci się, u diabła, mogło we mnie spodobać?

- Ty skończony idioto. - Piwo przestało jej smakować, więc odstawiła szklankę. - Właśnie opisałeś faceta, w którym każda dziewczyna zakochuje się przynajmniej raz w życiu. Dodaj do tego niedbały wdzięk, inteligencję, wygląd i pociąg fizyczny, a zobaczysz, że nie miałam szans. Jak możesz zarabiać na życie, pisząc o ludziach, których ani w połowie nie potrafisz zrozumieć?

Gdy usiłowała przepchnąć się obok niego, złapał ją za ramię. Obrzuciła go spojrzeniem, mogącym roztopić stal.

- Niech to wreszcie do ciebie dotrze, Hawke. Powiedziałam, że w takich jak ty dziewczyny zakochują się raz. A dziewczyny na ogół stają się sprytnymi i opanowanymi kobietami, które odrzucają pochłoniętych sobą dupków.

- To dobrze. Wolę dojrzałe kobiety. - Odstawił piwo na blat. - Takie jak ty.

- Wydaje ci się, że od tego zaraz mi żywiej zapika serduszko?

- Nie, Żyrafo. Od tego nie. Ale... może od tego?

Wolną ręką uniósł ku sobie twarz Dany, z perwersyjną przyjemnością zarejestrował błyski furii w jej oczach i pocałował prosto w usta.

Dzięki niech będą Bogu, pomyślał, że jej złość umożliwiła to, na co nie mógł się zdobyć, gdy była słaba i przerażona.

Nigdy nie łaknął żadnego smaku tak mocno, jak smaku jej ust. Nie potrafił tego pojąć. I nie martwiło go to wcale. Tak po prostu było. Mogła go za to objechać z góry na dół, ale coś chciał udowodnić. Jej i sobie.

Nie był delikatny. Dana nigdy nie oczekiwała od niego delikatności i chyba jej nie pragnęła. Po prostu przypierał ją do ściany i zdobywał.

Ogarnęła ją fala ciepła, równie osłabiająca i niemal równie przerażająca jak wcześniejsze zimno. Okłamywanie samej siebie nie miało sensu - chciała znowu poczuć się tak zaangażowana, świadoma własnego ja, tak spragniona.

Ale okłamywanie Jordana to była już zupełnie inna sprawa, więc odepchnęła go, stoczyła wewnętrzną walkę i nie ustąpiła.

Przykrył dłonią jej serce i z bardzo bliska spojrzął w oczy.

- No tak. Sprawy ruszyły z miejsca.

- Zrozum jedno. To się nie zdarzy. Nigdy więcej.

- Ktoś kiedyś powiedział: „Przeszłość jest prologiem”.

- Shakespeare, niedouczony bałwanie. „Burza”.

- Słusznie. - Przez jego twarz przemknął cień rozbawienia i lekkiego podziwu. - Zawsze miałaś lepszą ode mnie pamięć do cytatów. W każdym razie nie zamierzam się powtarzać. Zmieniliśmy się obydwój, Dano. Nie jesteśmy już tacy sami jak przed laty. Chciałbym sprawdzić, jak się teraz ułoży między nami.

- Mnie to nie interesuje.

- Masz dociekliwy umysł i jesteś ciekawa, podobnie jak ja. Ale może się boisz, że nie zdołasz zachować zimnej krwi w mojej obecności.

- Na litość boską, ty zarozumiały durniu...

- Więc czemu nie wypróbować twojej samokontroli i nie zaspokoić mojej ciekawości? Zapraszam cię na randkę.

Udało mu się zbić ją z tropu.

- Na co?

- Chyba pamiętasz, co to takiego randka. Dwoje ludzi spotyka się we wcześniej uzgodnionym miejscu. - Leniwie musnął palcami klapę jej szlafroka. - Aha, rozumiem. Myślałaś, że proponuję ci łóżkowe igraszki. No cóż, jeśli właśnie tego sobie życzysz...

- Przestań. - Zakłopotana, zirytowana, a zarazem rozbawiona, odepchnęła go na bok. - Wcale nie myślałam o seksie. - Ponieważ było to wierutne kłamstwo, nadała głosowi wyniosłe brzmienie. - Nie ma mowy o żadnych igraszkach, jak to zwięźle ująłeś. A sam pomysł randki jest po prostu niedorzeczny.

- Dlaczego? Zyskasz na tym darmowy posiłek. A w dodatku, kiedy zacznę się do ciebie dobierać, będziesz mogła dać mi po łapach i odesłać do domu w stanie seksualnej frustracji.

- To brzmi nawet zachęcająco.
- Sobota wieczorem. Przyjadę po ciebie o wpół do ósmej.
- Skąd wiesz, że nie jestem już umówiona?

Uśmiechnął się szeroko.

- Zapytałem Flynna, czy się z kimś spotykasz. Potrafię zdobywać informacje, Żyrafo.

- Flynn nie jest wszechwiedzący - zripostowała, gdy Jordan ruszył niespiesznie w stronę drzwi. - Zaczekaj chwilę, do jasnej cholery. - Dogoniła go w salonie. - Chcę postawić pewne warunki. To ma być prawdziwa restauracja. Nie fast food i nie jadłodajnia przy Main Street. Po drugie, jeśli masz po mnie przyjechać o wpół do ósmej, nie oznacza to, że możesz się zjawić o siódmej czterdzieści pięć.

- Zgoda. - Zawiesił głos. - Wiem, że nie ma sensu cię pytać, czy chcesz, żebym został i przenocował na sofie. Ale mogłabyś zadzwonić do Malory, a ja bym czekał na jej przyjazd.

- Dam sobie radę.

- Jak zawsze. No to na razie, Żyrafo.

W zamyśleniu zamknęła za nim drzwi i wróciła do kuchni, gdzie wylała ciepłe piwo do zlewu. To był jej wieczór marnowania piwa.

Nie miała pewności, czy jest teraz bliższa odnalezienia klucza, lecz niewątpliwie uzyskała nowe informacje. Kane wiedział już, że Dana szuka drugiego klucza i nie tracił czasu, by rzucić na nią zły urok. Chciał udowodnić, że jest obserwowana.

Czy w takim razie nie żywił poważnych obaw, iż może jej się udać?

Tak, to miało sens. Malory już raz pomieszała mu szyki. Dlatego może być ostrożniejszy. I bardziej bezwzględny, pomyślała.

Przekonała się, że w Jordanie nadal tkwią te same pokłady przyzwoitości, które zawsze ją do niego przyciągały. Była przerażona, niemal chora ze strachu, a on zaoferował jej to, czego potrzebowała, by znowu stanąć na nogi - i nie czuła się przy tym słaba i głupia.

Musiała oddać mu sprawiedliwość.

Co więcej - uświadomiła sobie, sprząając zalaną wodą łazienkę - był na tyle uczciwy, by nie wypierać się egoizmu. Mogła mieć do niego żal, ale doceniała jego szczerłość.

Wzięła się mocno w garść, żeby przekroczyć próg łazienki. Na widok książki nasiąkniętej wodą i pływającej w wannie dostała gęsiej skórki.

To, że Kane wtargnął do najbardziej prywatnego z pomieszczeń, miało swoją symboliczną wymowę. Dał jej do zrozumienia, że nigdzie nie będzie zupełnie bezpieczna, dopóki nie odnajdzie klucza albo miesiąc poszukiwań nie dobiegnie końca.

Wyciągnęła zatyczkę i wpatrzyła się w spływającą wodę.

- Muszę się z tym uporać - oznajmiła głośno. - I następnym razem nie wystraszysz mnie tak łatwo. Poradzę sobie z tobą. I z Jordanem. I z sobą samą. Bo dzisiaj dotarło do mnie jeszcze coś. Niech to szlag trafi, wciąż jestem zakochana w tym draniu.

Nie poczuła się lepiej, wypowiedziawszy te słowa, ale pomogło jej doprowadzenie łazienki do porządku. Jej mieszkanie, jej rzeczy, jej życie, myślała, wchodząc do sypialni.

A gdy mowa o Jordanie, istniało duże prawdopodobieństwo, że kochała po prostu wspomnienie. Chłopaka, młodego, skrzywdzonego przez los mężczyznę, który był jej pierwszą miłością. Czyż każda kobieta nie darzy sentymentem obiektu swej pierwszej prawdziwej miłości?

Usadowiła się w łóżku z książką wyciągniętą z szuflady nocnego stolika. Czytała, które na nim trzymała, było tylko przykrywką. Książka do poduszki, którą teraz otworzyła, nosiła tytuł „Śledztwo po latach” i napisał ją Jordan Hawke.

Ależ by tryumfował, gdyby wiedział, że czyta jego najnowszą powieść. Gorzej - że chłonie każde cholerne słowo.

Może i była wciąż zakochana we wspomnieniu o byłym chłopaku, ale wolałaby łykać żywe ślimaki niż dopuścić, aby ten facet się dowiedział, że przeczytała wszystkie jego książki.

I to dwa razy.

Rozdział szósty

Rozpoczęły prace remontowe na ganku, wykorzystując piękną jesienną pogodę oraz doświadczenie Zoe.

Dana i Malory jednomyślnie wybrały ją na szefową. W najstarszych ciuchach, lecz za to z nowymi narzędziami, zaczęły zgodnie ze wskazówkami Zoe przygotowywać ganek do malowania.

- Nie wiedziałam, że to taka ciężka robota - Malory przysiadła na piętach i obejrzała swoje paznokcie. - Zniszczyłam sobie maniur. A zrobiłaś mi go zaledwie dwa dni temu - przypomniała przyjaciółce.

- Zrobię ci następny. Jeśli nie zeskrubiemy tej starej, łuszczącej się farby, nowa nie będzie się trzymała jak należy. Musimy mieć dobrą, równą, porowatą powierzchnię, bo inaczej na wiosnę czeka nas ta sama zabawa.

- Chylimy czoło przed tobą. - Dana przyjrzała się, jak Zoe operuje małą elektryczną szlifierką. - Zawsze mi się wydawało, że wystarczy położyć farbę i zaczekać aż wyschnie.

- Właśnie dlatego chylisz teraz przede mną czoło.

- Już jej się przewróciło w głowie - burknęła Dana i zaatakowała skrobakiem odłóżące płyty farby.

- Nie miałabym nic przeciw małej, gustownej koronie. - Mówiąc to, Zoe obserwowała swoje podkomendne kątem oka. - Wyjdzie wspaniale. Zobaczycie.

- Może byś nas trochę zabawiła podczas tej harówki? - podsunęła Malory. - Opowiedz o kolacji z Bradem.

- Niewiele mam do opowiedzenia. Pograł z Simonem w gry wideo, zjadł i poszedł. Nie powinnam się była tak denerwować. Po prostu dawno żaden facet nie jadł u mnie kolacji. I nie przywy-

kłam do gotowania dla milionerów. Czułam, że przydałyby mi się miseczki do obmywania palców czy coś w tym rodzaju.

- Brad nie jest taki - zaprotestowała Dana. - Bogaci faceci też bywają normalni. Bardzo często jadał z nami posiłki, kiedy byliśmy dziećmi. I nie używaliśmy żadnych miseczek.

- To nie to samo. Przede wszystkim on i ja nie dorastaliśmy razem. Wasze rodziny miały z sobą więcej wspólnego. A fryzjerka wychowana w przyczepie w Wirginii Zachodniej nie ma zbyt wiele do powiedzenia spadkobiercy finansowego imperium.

- Jesteś niesprawiedliwa wobec niego i wobec siebie - wytknęła jej Malory.

- Być może. Po prostu jestem realistką. Tak czy inaczej, czuję się przy nim nieswojo. I chyba nie chodzi tu tylko o jego pieniądze. Jordan też ma pieniądze, musi mieć, skoro wydał tyle bestsellerów. Ale on mnie tak nie peszy. Bardzo miło spędziliśmy czas, kiedy przyszedł naprawić mi samochód.

Danie drgnęła ręka i drzazga wbiła jej się w kciuk.

- Samochód? - Ze zmarszczonymi brwiami zaczęła energicznie ssać palec. - Jordan naprawił twój samochód?

- Aha. Nie wiedziałam, że dorabiał sobie jako mechanik. Naprawdę zna się na silnikach. Po prostu zajrzał przedwczoraj po południu, z całą torbą narzędzi, i spytał, czy może rzucić okiem na moje auto. Niezmiernie miło z jego strony.

- Bo to w ogóle przemiły chłopiec - mruknęła Dana z uśmiechem, od którego zwały jej się szczęki.

- Och, nie bądź taka. - Zoe wyłączyła szlifierkę, popatrzyła na Dane z ukosa. - Nie musiał zwracać sobie głowy, a grzebał w tym silniku ponad dwie godziny i wypił tylko dwie szklanki mrożonej herbaty.

- Założę się, że łypał na twój tyłek, kiedy poszłaś mu ją przynieść.

- Niewykluczone. - Zoe z trudem zachowywała powagę. - Ale jeżeli nawet, to w przyjacielski sposób i bez złych zamiarów. Nie wielka cena za uniknięcie kolejnej wyprawy do warsztatu. I po wiem szczerze, że ten samochód nigdy jeszcze tak dobrze nie jeździł. Nawet wtedy, kiedy go kupiłam.

- No tak, on zawsze miał smykałkę do aut. - I nigdy nie mówił, że nie ma czasu, dodała Dana w myślach. - Masz rację, zachował się przyzwoicie.

- I miło - podkreśliła Malory, zerkając na nią znacząco.

- I miło - wymamrotała niechętnie Dana.

- A kiedy Simon wrócił ze szkoły, Jordan pozwolił mu się przyglądać. - Zoe uruchomiła szlifierkę i zabrała się do roboty. - Rozmawiali jak dwaj kumple i to było fajne. Muszę przyznać, że Bradley też odnosił się przyjaźnie do Simona i jestem mu za to wdzięczna.

- Więc żaden z nich nie dobiera się do mamy Simona? - chciała wiedzieć Dana.

- Nie. - Tłumiąc śmiech, Zoe przejechała tarczą szlifierki po ścianie ganku. - Oczywiście, że nie. Jordan po prostu wyświadczył mi koleżeńską przysługę, a Bradley... on nie jest taki.

Dana wyraziła swoją opinię głośnym „hmmm”, zanim wróciła do pracy.

Tuż przed lunchem ganek, oczyszczony z warstw starej farby, uzyskał wreszcie aprobatę Zoe. Usiadły na deskach, pozwalając odpocząć zmęczonym mięśniom, i zjadały kanapki z tuńczykiem.

Ponieważ miały już za sobą najgorszą robotę, świeciło słońce i zapanował nastrój odprężenia, Dana uznała, że może opowiedzieć przyjaciółkom o przeżyciach minionego wieczoru.

-A tak nawiasem mówiąc... miałam wczoraj drobne starcie z Kane'em.

Malory zakrzuszyła się i sięgnęła po butelkę z wodą.

- Co? Co takiego? Siedzimy tutaj od trzech godzin, a ty dopiero teraz nam o tym mówisz?

- Nie chciałam od tego zaczynać, bo mogła nam wszystkim znowu odbić palma.

- Dobrze się czujesz? - Zoe dotknęła ramienia Dany. - Nie jesteś ranna ani nic?

- Nie, lecz powiem wam szczerze, że nasza wcześniejsza utarczka była niczym w porównaniu z tym, co się teraz wydarzyło. Wiem, co było z tobą, Mai, ale wtedy tego nie rozumiałam. Teraz rozumiem.

- Opowiedz. - Malory przysiadła tuż obok, tak że Dana znalazła się między nią a Zoe.

Tym razem poszło łatwiej. Przedstawiła całą sytuację z większym spokojem i dokładnością niż podczas rozmowy z Jordanem. Mimo to jej głos załamywał się od czasu do czasu i musiała sięgnąć po termos z kawą, żeby zwilżyć gardło.

- Mogłaś się utopić. - Zoe objęła ją mocno. - Mogłaś utonąć w tej wannie.

- Pomyślałam o tym. Ale nie wydaje mi się to prawdopodobne. Gdyby Kane mógł nas tak po prostu wyeliminować, czemu nie miałyby kazać nam skoczyć w przepaść? Albo wpaść pod ciężarówkę? Czy cokolwiek innego.

- Rany, to mnie naprawdę podnosi na duchu. - Zoe spojrzała w stronę ulicy i wzdrygnęła się, słysząc przejeżdżający samochód. - Bardzo się cieszę, że o tym wspomniałaś.

- Daj spokój. Poważnie mówiąc, przypuszczam, że on nie może się posunąć zbyt daleko. Tak jak z Malory. Wszystko sprowadza się do naszego wyboru, do sięgnięcia w głąb własnego ja, rozpoznania i odrzucenia iluzji.

- Ale i tak wyrządził ci krzywdę - zauważyła Zoe.

- O, kurczę. - Dana odruchowo przycisnęła dłoń do piersi. - Trudno zaprzeczyć. Nawet jeśli ten ból był złudzeniem, i tak zrobił swoje. A jeszcze gorsza była świadomość, co on oznacza. I ten lęk.

- Powinnaś była zawołać. - W głosie Malory zniecierpliwienie walczyło o lepsze z troską. - Powinnaś była zawołać mnie albo Zoe. Albo nas obie. Wiem, jak to jest, kiedy się ugrzęźnie w takiej iluzji. Nie musiałaś znosić tego sama.

- Nie byłam sama. To znaczy, już potem. Chciałam was zawołać. Chyba właśnie zamierzałam stanąć na środku sypialni i zacząć krzyczeć, lecz w tej samej chwili do drzwi zapukał Jordan.

-O...

Dana zgromiła Malory spojrzeniem.

- Nie ma co mówić „o” takim znaczącym tonem. Pojawił się w chwili, gdy powitałabym z radością dwugłowego karła, byle tylko odeгнаł złego stracha.

- Ale, swoją drogą, to zabawny zbieg okoliczności. - Malory za-trzepotała rzęsami. - Zważywszy zwłaszcza na los, przeznaczenie i różne inne więzi.

- Słuchaj no, niech ci się nie wydaje, że jeśli ty nie widzisz świata poza Flynnem, wszystkie kobiety zachowują się podobnie. Jordan zajął do mnie i zachowywał się bardzo przyzwoicie. Na początku.

- Więc pominię początek - wtrąciła Zoe.

- Najwyraźniej, w przeciwieństwie do Brada, Jordan jest człowiekiem czynu. Przygwoździł mnie w kuchni.

- Naprawdę? - westchnęła Malory. - Flynn po raz pierwszy pocałował mnie w kuchni.

- W każdym razie, umówiłam się z nim na sobotę wieczorem. - Dana zawiesiła głos i zmarszczyła brwi, nie słysząc komentarza. - I co wy na to?

Zoe oparła łokieć o kolano, a podbródek na dłoni.

- Tak sobie myślę, że byłoby fajnie, gdybyście się na nowo zaprzyjaźnili. I może, patrząc z zupełnie innej perspektywy, ta przyjaźń pomogłaby ci w odnalezieniu klucza.

- Chyba muszę wam to i owo wyjaśnić, zanim przejdziemy do dalszych pytań. Nie wiem, czy mogę się na nowo zaprzyjaźnić z Jordanem, bo... bo, jak by to ująć, nadal jestem w nim zakochana.

- Dano. - Malory ujęła jej dłoń, lecz Dana ją wyszarpnęła i cofnęła się w dół schodów.

- Nie wiem, czy wciąż jestem zakochana w Jordanie takim, jaki jest teraz, czy w tym sprzed lat. Wiecie, we wspomnieniu. W obrazku, który pozostał iluzją. Ale muszę to sprawdzić, no nie?

- Owszem. - Zoe rozpakowała ciastka, które przyniosła, i podała jedno Danie. - Musisz sprawdzić koniecznie.

- Jeśli nawet jestem w nim nadal zakochana, dam sobie z tym radę. - Odgryzła spory kęs ciastka. - Już mam wprawę. Jeśli natomiast nie jestem zakochana, wszystko wróci do normy. - Dana odgryzła jeszcze jeden kęs. - Przynajmniej dopóki nie znajdę klucza.

- A co z nim? Co z jego uczuciami? - spytała Malory. - Czy one się nie liczą?

- Raz dopiął swego. Tym razem moja kolej. - Rozłożyła ramiona, stwierdzając z zadowoleniem, że strząsa z siebie wszelkie zobowiązania. - Lepiej pomalujmy wreszcie ten nasz ganek.

Podczas gdy one zmagaly się z pędzlami i wałkami, Jordan opisywał przeżycia Dany Flynnowi i Bradowi.

Siedzieli w salonie Flynna, tworząc nieformalną, roboczą grupę ekspertów. Opowiadając, Jordan krążył po pokoju, a Moe śledził uważnie jego ruchy w nadziei, że ten zawędruje do kuchni i przyniesie stamtąd ciastka.

Ilekoć mężczyzna zbliżał się do drzwi, czarny ogon psa niecierpliwie zamiatał podłogę. Nie doczekał się co prawda żadnych smacznych kąsków, ale przynajmniej Flynn poskrobał go stopą po grzbiecie.

- Czemu, do diabła, nie przywiozłeś jej tutaj? - zapytał z naciśnięciem Flynna.

- Pewnie bym mógł, pod warunkiem, że pozbawiłbym ją przytomności i związał. Weź pod uwagę, że mówimy o Danie.

- OK, punkt dla ciebie. Ale mogłeś mi o tym opowiedzieć wczoraj wieczorem.

- Owszem, a ty byś od razu przyjechał. Byłaby wściekła. Próbowalbyś ją nakłonić, żeby się do ciebie przeniosła, co oczywiście skończyłoby się kłótnią. Pomyślałem sobie, że dość przeżyła jak na jeden wieczór. Ponadto chciałem wam obu o tym opowiedzieć, pod nieobecność Malory.

- Teraz, kiedy już wiemy - wtrącił Brad - co z tym zrobimy?

- Oto jest pytanie. - Jordan zawrócił w stronę sofy i usiadł na skrzynce, która pełniła funkcję stolika. Rozwiązał w ten sposób marzenia Moego o ciastku. - Nie możemy dziewczyn z tego wyciągnąć. A nawet gdybyśmy mogli, chyba nie powinniśmy. Stawka jest za wysoka.

- Trzy dusze - mruknął Brad. - Nie zdążyłem się jeszcze oswoić z tą myślą. Wiem, co się przydarzyło Malory, ale wciąż nie mieści mi się to w głowie. Przyznaję, że nie możemy ich z tego wyciągać na siłę. A zatem pytanie brzmi: jak zapewnić im bezpieczeństwo i pomóc odnaleźć klucz?

- Żadna z nich nie powinna przebywać sama dłużej niż to konieczne - zaczął Flynn. - Powinniśmy o to zadbać, choć Kane dobrał się do Malory w chwili, gdy były z nią Dana i Zoe.

- Ona u ciebie nie zamieszka, Flynn. Odmówiła, mimo że zaproponowałem, że się wyprowadzę. - Jordan w roztargnieniu potarł podbródek i przypomniał sobie, że się nie ogolił. - Ale któryś z nas mógłby się do niej przenieść. Choćby tylko na noc.

- Aha, już to widzę. - Głos Flynn'a ociekał sarkazmem. - Gdy tylko jej powiem, że u niej zanocuję, natychmiast się wkurzy i rozwali mi łeb pierwszym tępym narzędziem, które nawinie jej się pod rękę. I nie ma mowy, żeby wpuściła do domu któregoś z was.

- A gdyby tak... Moe?

Wyraz rozdrażnienia na twarzy Flynn'a ustąpił miejsca konsternacji.

-Moe?

Na dźwięk swego imienia pies podskoczył radośnie, zrzucając gazety ze skrzyni jednym machnięciem ogona, i próbował się wspiąć na kolana Flynn'a.

- Mówiłeś, że Moe wyczuł Kane'a, a przynajmniej zagrożenie z jego strony, gdy czarownik oddzielił Malory od Dany i Zoe.

- Tak. - Flynn pogładził potężny łeb psa. - Pognał po schodach jak dzika bestia, gotów rozedrzeć wrogowi gardło. Prawda, ty brutalu?

- Więc mógłby spełnić funkcję systemu ostrzegawczego. A gdyby zachowywał się tak, jak to opisałeś, z pewnością zaalarmuje sąsiadów. Byłby dla Dany potencjalnym zabezpieczeniem.

- Niezły pomysł - zgodził się Brad, strzepując psią sierść ze spodni. - Ale jak namówisz Dane, żeby wzięła twojego psa jako współlokatora?

- Poradzę sobie - oznajmił chełpliwie Flynn. - Powiem, że zamierzam się do niej wprowadzić, co z pewnością wywoła kłótnię. Poddam się, a potem zapytam, czy przynajmniej Moe nie mógłby jej pilnować, żebym spał spokojnie. Zrobi jej się mnie żal i wyrazi zgodę, żeby nie wyjść na ostatniąjędzę.

- Zawsze podziwiałem twoje skryte, przebiegłe metody - zauważył Brad.

- Należy dążyć prostą drogą do celu. Co mi przypomina, że mówimy o kluczu.

- Mój rozkład zajęć jest najbardziej elastyczny - przypomniał Jordan. - Mam mnóstwo czasu. Na analizę, burzę mózgow, czarną robotę. Ty masz swoje źródła informacji - zwrócił się do Flynnna - ponadto Malory chce z tobą współpracować, a Dana i Zoe już cię dopuściły, na tyle, na ile kobiety dopuszczają mężczyzn, do tej swojej grupy. Brad ma przewagę ze względu na swoją firmę. Może do nich zajrzeć w każdej chwili i zapytać: „Jak wam leci? Pomóc w czymś?”.

- Mogę to zrobić. A ty mógłbyś napomknąć Zoe, że nie jestem i nigdy nie byłem maniakałnym mordercą.

- Postaram się wpleść ten temat w naszą najbliższą rozmowę - obiecał Flynn.

Dana doszła do wniosku, że najwyższy czas zakasać rękawy i wziąć się do roboty. Zrobić coś konstruktywnego, coś, co mogłoby stanowić przeciwwagę dla zatrutego ziarna niepewności, które zasiał w niej Kane.

Niech ją wszyscy diabli, jeśli pozwoli temu ziarnu zakiełkować.

Skoro drugi klucz ma być wiedzą, poszerzy ją. A gdzie szukać wiedzy, jeżeli nie w bibliotece?

Z przykrością pomyślała, że zjawi się tam jako zwykła czytelniczka, a nie pracownica. Postanowiła jednak przełknąć gorzką pigułkę i zrobić, co miała do zrobienia.

Nawet nie pojechała do domu, żeby się przebrać, tylko wkroczyła w poplamionych farbą, starych ciuchach do najważniejszego w swym życiu miejsca.

Natychmiast poczuła jego zapach. Książki, świat książek. Ale pogrzebała głęboko wszelkie sentymenty. W książkach - przypomniała sobie, zmierzając w stronę jednego z komputerów - kryją się odpowiedzi.

Przeczytała już wszystkie dostępne pozycje na temat tradycji i mitologii celtyckiej, a teraz postanowiła pogłębić wiedzę. Zaczęła wyszukiwać tytuły nawiązujące do praktyk czarnoksięskich. Poznaj swego nieprzyjaciela, pomyślała. Wiedza to nie tylko tarcza ochronna. Wiedza daje moc.

Wynotowała najważniejsze tytuły i zabrała się do dalszych poszukiwań, używając słów ze wskazówki Roweny, które uznała za najbardziej znaczące. Zadowolona, że zrobiła dobry początek, skierowała się w stronę regałów.

- Zapomniałaś o czymś? - Sandi zastąpiła jej drogę, jak zwykle szczerząc zęby w uśmiechu.

- Próbuję, ale to niełatwe, skoro wciąż mam ciebie na karku. Odpieprz się, Sandi - dodała z całą słodyczą, na jaką było ją stać.

- Nie pochwalamy w tym miejscu takiego słownictwa.

Dana wyminęła ją, wruszając ramionami.

- A ja nie pochwalam twoich duszących różanych perfum, no ale mówi się trudno.

- Już tutaj nie pracujesz. - Sandi ruszyła za Daną i złapała ją za rękaw.

- To jest miejsce publiczne i tak się składa, że posiadam kartę biblioteczną. Zabierz rękę, bo inaczej wybije ci te perłowe zębki, na które twój tatuś wydał zapewne kupę forsy. - Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Chciała zabrać książki i wynieść się stąd w cholerę. - Możesz polecieć na górę i powiedzieć Joan, że tu jestem i w niecny sposób wypożyczam książki. Jeżeli, rzecz jasna, nie przebywa teraz w krainie Oz, znęcając się nad Strachem na Wróble.

- Mogę wezwać policję.

- A także, zrób to. Ciekawe, co mój brat napisze w „Dispatchu” na temat sposobu traktowania czytelników w miejscowej bibliotece. - Pomachała Sandi przed nosem i skreśliła między półki. - Nie martw się, dopilnuję, żeby nie przeinaczył twego nazwiska.

Pigułka okazała się jeszcze bardziej gorzka, niż Dana przypuszczała. Było faktem tyleż irytującym, co bolesnym, że narażała się na szykany nawet jako czytelniczka.

Nie zamierzała jednak dać się wypłoszyć pyskatej panience o manierach cheerleaderki. Ani zastraszyć jakiemuś czarownikowi z piekła rodem.

Właściwie ci dwoje mieli z sobą wiele wspólnego. Pożerała ich małostkowa zazdrość, która smagała niczym bicz i sprawiała ból.

Zazdrość, pomyślała Dana, zaciskając usta. Było to w pewnym sensie przeciwieństwo miłości. Tak jak kłamstwo było przeciwieństwem prawdy, tchórzostwo - odwagi i tak dalej. Jeszcze jeden punkt widzenia, uznała i zawróciła po egzemplarz „Otella”, niemającej sobie równych opowieści o zazdrości.

Taszcząc stos książek, uśmiechnęła się do jednej z kobiet, z którą pracowała kilka lat. Złożyła książki na blacie i wygrzebała swoją kartę biblioteczną.

- Cześć, Annie. Jak leci?

- Dobrze. Świetnie. - Annie chrząknęła i przewróciła oczyma, spoglądając w prawo.

Idąc za jej spojrzeniem, Dana zauważyła Sandi, która stała w pobliżu ze skrzyżowanymi ramionami i zasznurowanymi ustami.

- Och, na miłość boską - mruknęła pod nosem.

- Przykro mi, Dano. Przykro mi z powodu tego wszystkiego - powiedziała Annie ściszym głosem, przeglądając i wypisując książki.

- Nie przejmuj się tak. - Dana wetknęła kartę z powrotem do torebki i zgarnęła naręczę książek. Posłała Sandi szeroki, promienny uśmiech i wymaszerował z biblioteki.

Jedną z dodatkowych zalet dojrzałego związku z kobietą było dla Flynna to, że po powrocie z pracy zastawał ją w swoim domu.

Jej widok, zapach, sama obecność sprawiały, że świat wydawał się przyjemniejszy.

A gdy jeszcze piękna, seksowna, fascynująca kobieta przyrządzała posiłek, życie stawało się cudowne.

Nie wiedział, jaka potrawa gotuje się na kuchni i niewiele go to obchodziło. Wystarczało mu, że może patrzeć na Malory mieszającą coś w garnku, podczas gdy Moe, rozciągnięty pod stołem, chrapał i posapywał jak lokomotywa.

Flynn pomyślał, że jego życie płynie innym, nowym rytmem, odkąd wkroczyła w nie Malory Price.

Stanął za nią, objął w pasie i wtulił usta w jej szyję.

- Jesteś największym szczęściem, jakie mogło mnie w życiu spotkać.

- W to nie wątpię. - Obróciła lekko głowę, by ich wargi mogły się spotkać. - Co słychać?

- Wszystko w porządku. - Przyciągnął ją do siebie, by otrzymać dłuższy, bardziej satysfakcjonujący pocałunek. - A nawet lepiej niż w porządku. Nie musiałaś gotować, Mai. Wiem, że pracowałaś przez cały dzień.

- To tylko spaghetti z gotowym sosem ze słoika.

- Mimo to nie musiałaś. - Ujął jej dłonie i przyjrzał się im, marszcząc brwi. - Co to?

- Drobnie pęcherze. Powtarzam sobie, że wyjdą mi na dobre. Są niezbitym dowodem, że przykładam się do roboty.

Flynn ucałował jej rękę.

- Wiesz, gdybyś zaczekała do weekendu, mógłbym ci pomóc.

- Chcemy to zrobić same, a przynajmniej zacząć. Wskoczyło mi kilka pęcherzy, zniszczyłam parę dzinsów, ale za to mamy najładniej pomalowany ganek w całym mieście. Nie protestowałabym jednak, gdybyś nalał mi kieliszek wina.

Wyjął butelkę i dwa kieliszki z niedawno kupionego zestawu. Odniósł wrażenie, iż odkąd ostatnio tam zaglądał, kieliszków w szafce przybyło.

Malory niepostrzeżenie przemycała różne rzeczy.

Kieliszki, puszyste ręczniki, luksusowe mydła, których wahał się użyć. Był to jeden z osobliwych i ciekawych aspektów kobiecej obecności w domu.

- Jordan mi opowiedział, co się przydarzyło Danie.

- Tak przypuszczałam. - Choć nie było jeszcze zupełnie ciemno, zapaliła długą, owalną świecę stojącą na stole. - Obydwoje dobrze wiemy, jakie to musiało być dla niej okropne. Zdaję sobie sprawę, że bardzo ją kochasz, Flynn. Ja też ją kocham. Ale nie możemy jej przed tym uchronić, możemy najwyżej przyjść jej z pomocą, gdy będzie potrzebowała.

- Pewnie masz rację, lecz Jordan wymyślił sposób, by w pewnym stopniu zapewnić jej jedno i drugie.

Nalał wina i opowiedział o roli, jaką miałyby odegrać Moe.

- Świetny pomysł - oceniła Malory i parsknęła śmiechem. -

Dana na pewno się zgodzi i przynajmniej nie będzie się czuła w nocy taka osamotniona. - Pociągnąwszy łyk wina, podeszła i nalała wody do garnka. - Jordan chyba ci wspomniał, że umówili się na sobotni wieczór?

Flynn wpatrywał się w świecę, rozmyślając, jakie to dziwne, że coś takiego migocze na starym piknikowym stole w kuchni.

- Kto się umówił? - Gdy informacja dotarła do niego, wypił kieliszek jednym haustem. - Jordan z Daną? Oni... się umówili?

- Więc ci nie powiedział.

- Nie, ten temat jakoś nie wypłynął.

- A tobie - podjęła, stawiając garnek z wodą na palniku - nie bardzo się to podoba.

- Sam nie wiem. Nie chcę się wtrącać. Cholera jasna, nie chciałbym, żeby znowu nabruździli sobie nawzajem w życiu. - Świadom, że Jordan pracuje na piętrze, Flynn zerknął w stronę sufitu. - Ten, kto staje pośrodku, w tym wypadku ja, przeważnie obrywa podwójne cięgi.

- Ona wciąż go kocha.

- Kogo? - W oczach Flynnna odbił się wstrząs. - Jego? Jordana? Ona go kocha? O kurde. Po co mi to mówisz?

- Tak właśnie postępują zakochani. - Wyjęła trzy plecione podkładki pod naczynia z szuflady, której nigdy wcześniej nie zauważył, i rozłożyła je porządnie na stole. - Mówią sobie różne rzeczy. Nie przypuszczam, abyś zaraz popędził do Jordana podzielić się tą informacją.

- O rany. - Okrążył kuchnię, przeczesując palcami włosy. - Gdybyś mi nie powiedziała, nie musiałbym się martwić, jak mam z nimi rozmawiać. Pozostawałbym w błogiej nieświadomości.

- I wydaje mi się, że Zoe, choć się tego wypiera, jest zainteresowana Bradem.

- Przestań. Powstrzymaj na chwilę ten zalew informacji.

- Jesteś dziennikarzem. - Zadowolona z siebie doprawiła sałatkę. - Powinieneś z rozkoszą wykorzystywać każdą informację.

Po raz pierwszy widział tę miskę, a także drewniane utensylia, którymi Malory mieszała sałatkę.

- Od tego wszystkiego rozboli mnie głowa.

- Nie ma obawy. Chcesz, żeby twoi przyjaciele byli szczęśliwi?

- Jasne.

- A my jesteśmy szczęśliwi, czyż nie?

- Tak - odparł ostrożnie.

- Jesteśmy szczęśliwi i zakochani. *Ergo*, chciałbyś, żeby twoi przyjaciele również byli szczęśliwi i zakochani. Nie mam racji?

- To podstępne pytanie. Zamiast na nie odpowiadać, wolę sprostować twoje myśli na inny tor.

- Nie zamierzam się z tobą kochać, dopóki kolacja jest w kuchni, a Jordan na górze.

- Wprawdzie sam na to nie wpadłem, ale pomysł wydaje się niezły. Chciałem ci tylko powiedzieć, że w poniedziałek przyjdą robotnicy i zaczną remont kuchni.

- Naprawdę? - Tak jak przewidywał, w tej jednej chwili zapomniała o wszystkim. - Naprawdę? - powtórzyła, rzucając mu się w ramiona. - To świetnie! Po prostu cudownie!

- Tak sobie pomyślałem, że się ucieszysz. No więc jak, zamieszkaś ze mną?

Lekko musnęła jego usta.

- Zapytaj jeszcze raz, kiedy już wyremontujesz kuchnię.

- Twarda z ciebie sztuka, Malory.

Po całym dniu fizycznej pracy Dana marzyła o gorącej kąpieli przed zagłębieniem się w nowo wypożyczone pomoce naukowe. Ale nie miała odwagi.

Nie chcąc dłużej roztrząsać tej upokarzającej myśli, zaczęła sobie wyobrażać swój przyszły dom. Obszerny, ustronny dom z biblioteką wielką jak stodoła.

I z jacuzzi, dodała w duchu, uciskając palcami obolały krzyż.

Dopóki jednak nie nadejdzie ten szczęśliwy dzień, zamierzała zadowolić się swoim dotychczasowym mieszkaniem. Całym, razem z łazienką i wanną.

Mogłabym zacząć chodzić na siłownię, pomyślała, zasiadając nad książkami.

Nienawidziła siłowni. Zawsze były pełne ludzi. Spoconych, rozebranych ludzi, którzy pragnęliby razem z nią skorzystać z jacuzzi.

Nie warto było się denerwować. Lepiej poczekać, aż będzie ją stać na własny dom. Oczywiście, kiedy tak się stanie, raczej nie spotka się już z koniecznością oskrobywania starej farby i nakładania nowej przez osiem godzin, płacąc za to bólem krzyża.

Nakazując sobie spokój, otworzyła „Otella”. Miała, oczywiście, własny egzemplarz. Miała całego Shakespeare’a, ale potrzebnej jej było nowe wydanie. Świeże spojrzenie, by tak rzec.

Jagonem kierowała zazdrość i ambicja. Zasiał w Otellu ziarno zazdrości, „tego potwora zielonookiego, co pożerając ofiarę - z niej szydzi”, a potem patrzył, jak go pożera.

Zazdrość i ambicja pchnęły do czynu Kane'a, który obserwował dzieło, jakiego dokonał jego potwór.

Mogła się teraz dowiedzieć, co pozbawia człowieka - czy nawet boga - duszy.

Ledwie zaczęła, przeszkodziło jej stukanie do drzwi.

- No i co znowu? - Mruczając pod nosem, poszła otworzyć. Jej irytacja wzrosła na widok Jordana.

- Lepiej, żeby nie weszło ci to w nawyk.

- Przejeżdż się ze mną.

W odpowiedzi spróbowała zatrzaskać drzwi, lecz przewidział jej ruch i wyciągnął rękę.

- Pozwól, że ujmę to inaczej. Jadę na Wzgórze Wojownika. Chcesz zabrać się ze mną?

- Po co się tam wybierasz? Jesteś tylko przypadkowym świadkiem naszej umowy.

- To dyskusyjna kwestia. Chcę im zadać kilka pytań. Postanowiłem dokądś sobie pojechać zaraz po kolacji. Zęby dać trochę swobody gruchającym gołąbkom. - Oparł się o futrynę, jedną ręką przytrzymując drzwi. - Nagle zorientowałem się, że wyjeżdżam z miasta i skręcam pod górę. Pomyślałem, że podjadę i odbędę miłą pogawędkę z Pitte'em i Roweną. A potem przyszło mi do głowy, że się wkurzysz, jeśli zrobię cokolwiek bez ciebie. Więc zawróciłem. Nic nie zrobię bez twojej zgody.

- Przypuszczam, że domagasz się za to dodatkowych punktów.

- Owszem. - Uśmiechnął się krzywo. - Jeśli je liczysz.

- Nie wiem, doprawdy, czy masz z nimi o czym rozmawiać.

- Ujmijmy to tak: zrobię, co uważam za stosowne, nawet bez twojej zgody. - Wyprostował się i puścił klamkę. - Ale powiem ci, że jeśli chcesz jechać ze mną, ty prowadzisz.

- Faktycznie, wielka rzecz.

- Mój samochód.

Wyobraziła sobie jego wspaniałego, zrywnego, klasycznego thunderbirda. Z najwyższym trudem przełknęła ślinę napływającą do ust.

- To chwyt poniżej pasa.

Wyjął z kieszeni kluczyki i pomachał nimi.

Stoczyła przynajmniej trzysekundową wewnętrzną walkę, zanim wyrwała mu je z ręki.

- Tylko włożę kurtkę.

Mimo swych rozlicznych wad, Jordan Hawke znalazł się na samochodach. Thunderbird wspinał się na wznoszący się puma, zrećnie i sprężyste. Przywierał do szosy na serpentynach i przyspieszał na prostych odcinkach.

Zasiadanie za kierownicą dostarczyło jej nie tylko zmysłowej przyjemności. Mogła zmienić sytuację równie płynnie, jak zmieniała biegi. Teraz panowała nad kierownicą. Podróż na Wzgórze Wojownika była pomysłem Jordana, ale to ona prowadziła.

Wieczór był chłodny, a im wyżej, tym bardziej rześkie stawało się powietrze. Dana z radością powitała powiew wiatru, zastępujący lodowatą mgłę.

Drzewa mieniły się kolorami, które podsycalo zachodzące słońce. Liście tańczyły na drodze, gdzie światło i cień kładły się na przemian.

To było jak opowieść, w której wszystko mogło się zdarzyć.

- No i jak? - zagadnął Jordan.

- To auto ma styl. I klasę.

- Zawsze myślałem to samo o tobie.

Posłała mu złowrogie spojrzenie i ponownie skupiła się na drodze. Owszem, bawiła się niezłe, ale to nie oznaczało, że nie może przypiąć Jordanowi łatki.

- Nie rozumiem, po co ci taki samochód, skoro mieszkasz w mieście, gdzie zbiorowa komunikacja jest nie tylko dostępna, lecz także sprawna w działaniu.

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, czasami przebywam poza miastem, tak jak teraz. A po drugie, namiętnie pożałowałem tego wozu.

- Aha. - Nie mogła mieć o to do niego pretensji. - Pięćdziesiąty siódmy był pierwszorzędnym rokiem dla thunderbirdów.

- Niewątpliwie. Mam też stingraya z sześćdziesiątego trzeciego.

Oczy Dany zaszyły mgłą rozmarzenia.

- Nawet mi nie mów.

- 327, cztery biegi. Silnik z wtryskiem paliwa.

Poczuła, jak rozluźniają jej się mięśnie brzucha.

- Zamknij się.

- Rozpędziłem go do stu dwudziestu mil na godzinę. Dałby z siebie więcej, ale dopiero zaczynaliśmy się poznawać. - Na kilka sekund zawiesił głos. - Mam na oku przepięknego cadillaca. Kabriolet z pięćdziesiątego dziewiątego. Gaźnik z czterema pompami wtryskowymi.

- Nienawidzę cię.

- No co ty? Każdy ma prawo do jakiegoś hobby.

- Stingray z sześćdziesiątego trzeciego to samochód moich marzeń. Kiedyś go sobie kupię.

- W jakim kolorze? - spytał Jordan z lekkim uśmiechem.

- Czarnym. Poważna, rzeczowa czerń. Ręczna dźwignia zmiany biegów. Czterech. Nie musi to być model 327, choć bardzo bym chciała. Ale zadowolili mnie tylko kabriolet. Coupe po prostu nie wystarczy. - Umilkła i przez kilka minut rozkoszowała się jazdą. - Zoe mówiła, że naprawiłeś jej auto.

- Zajrzałem do niej. Wsiadł zapłon i coś było nie tak z gaźnikiem. Nic wielkiego.

- To miło z twojej strony - powiedziała z wysiłkiem.

- Miałem wolny czas. - Wzruszył ramionami i rozprostował nogi. - Pomyślałem sobie, że przydajej się pomoc.

Nagle zrozumiała i zawstydziła się swojej pierwszej reakcji na wieść, że odwiedził Zoe. Zapracowaną samotną matkę, wychowującą syna. Tak jak jego matka.

To oczywiście, że chciała jej pomóc.

- Naprawdę była ci wdzięczna - dodała, siląc się na niefrasobliwy ton. - Zwłaszcza że jej nie peszysz tak jak Braci.

- Nie peszę? To mnie obraża i czuję się moralnie zobowiązany, by następnym razem spisać się lepiej pod tym względem.

- Jakiej marki zegarek nosisz?

- Zegarek? - Zaskoczony, obrócił nadgarstek. - Nie wiem. Po prostu sprawdzam na nim godzinę.

Dana odrzuciła włosy i Wybuchnęła śmiechem.

- Domyślałam się, że tak odpowiesz. Przykro mi, ale przenigdy nie speszysz Zoe.

Zwolniła niechętnie, gdy zbliżali się do bramy. Zahamowała, wpatrując się w dom i wyjęła z torebki szczotkę do włosów.

- To jest coś - zauważyła, rozczesując splątana przez wiatr czuprynę. - Jak się mieszka w takim domu, można sobie sprawić corvette classic. I trzymać ją w dużym, ogrzewanym garażu, jak na to zasługuje. Ciekawe, czy Rowena i Pitte mają prawa jazdy.

— Ależ ty szybko przeskakujesz z tematu na temat.

— Nie, no tylko pomyśl. Są, jacy są i żyją w tym świecie od wieków. Byli tu już na długo przed wynalezieniem silnika spalinowego. Wiele potrafią, ale czy którekolwiek z nich chodziło na kursy jazdy? Stało w kolejce w korku? Handryczyło się o ubezpieczenie?

Wrzuciła szczotkę z powrotem do torebki i spojrzała na Jordana. Jego włosy również potargał wiatr, lecz nie wyglądały niechlujnie. Wyglądały seksownie.

— Z czego właściwie żyją? — podjęła. — Nie mamy pojęcia. I co robią w wolnym czasie? Oglądają telewizję? Grają w kanastę? Zwiedzają centrum handlowe? I czy w ogóle mają jakichś znajomych?

— Jeśli nawet, to ci znajomi często się zmieniają. Ludzie, niestety, mają to do siebie, że są śmiertelni.

— Racja — powiedziała cicho, zerkając na dom. — Z pewnością odczuwają samotność. Bolesną samotność. Cała ich moc nie sprawi, że staną się podobni do nas. A to, że mieszkają w tej wielkiej budowli, nie oznacza, iż czują się w niej jak w domu. Dziwne, no nie? Że człowiekowi jest żal bogów.

— To kwestia intuicji. Coś, co może ci pomóc w odnalezieniu klucza. Im lepiej ich poznasz i zrozumiesz, tym więcej się dowiesz o własnej roli w tej grze.

— Być może. — Skrzydła żelaznej bramy rozchyliły się nieoczekiwanie. — To chyba ma być forma zaproszenia.

W zapadającym zmierzchu podjechała przed wielki kamienny dom.

Starzec, o którym myślała jako o dozorczy, zbliżył się szybkim krokiem i otworzył drzwiczki.

— Dobry wieczór. Zajmę się samochodem, proszę panienki.

— Dziękuję. — Przyjrzała mu się uważnie, próbując określić jego wiek. Siedemdziesiąt? Osiemdziesiąt? Trzy tysiące dwieście? — Nawet nie zapytałam, jak się pan nazywa.

— Och. Jestem Caddock, proszę panienki.

— Caddock? To szkockie czy irlandzkie nazwisko?

— Walijskie. Pochodzę z Walii, proszę panienki.

Tak jak Rowena, pomyślała.

— Od dawna pracuje pan u Roweny i Pitte'a?

— O, tak. — Wydawało się jej, że mrugnął porozumiewawczo. — Służę im już od ładnych kilku lat. — Spojrzał w dal ponad jej ramieniem i skłonił głowę. — Piękny widok, pozwolę sobie zauważyć.

Dana odwróciła się i dostrzegła potężnego jelenia, który stał na skraju lasu. Jego zad połyskiwał bielą w łagodnym świetle zachodzącego słońca, a rogi lśniły srebrnym blaskiem.

- Tradycyjna symbolika - mruknął Jordan, choć i on był pod wrażeniem. - Pojawienie się białego jelenia lub zająca na początku poszukiwań.

- Malory go widziała - przemówiła Dana przez ściśnięte gardło. - Tamtego pierwszego wieczoru. Ale ja go nie widziałam i Zoe też nie. - Stała obok Jordana. - Czy już wtedy było przesądzone, że to Malory ma szukać pierwszego klucza? Że ciągnięcie losów było po prostu szopką?

- Raczej rytuałem. Decyzja, czy sięgnąć do pudełka po krążek, należała do ciebie. To ty wybierasz, czy iść z jeleniem, czy zawrócić z drogi.

- Ale czy on istnieje naprawdę? Czy ten jeleni rzeczywiście tam stoi, czy tylko go sobie wyobrażamy?

- To także musisz sama rozstrzygnąć.

Jordan odwrócił się, dopiero gdy jeleni zniknął w cieniu drzew. Starca i samochodu nie było już w zasięgu wzroku. Tłumiąc zdumienie, Jordan wsunął ręce do kieszeni.

- Trzeba przyznać, że to zgrabna sztuczka.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich Rowena. Światło z holu spływało po jej ognistorudych włosach i zapalało iskry w fałdach długiej srebrzystej sukni.

- Jak miło was widzieć - wyciągnęła rękę na powitanie. - Marzyłam, żeby ktoś mnie odwiedził.

Rozdział siódmy

Pitte czekał już w salonie, ubrany w czarną koszulę i spodnie, który to strój harmonizował ze swobodną elegancją Roweny.

Dana zastanawiała się, czy przez cały czas obydwójce po prostu tak sobie siedzą i ładnie wyglądają. Pozostawiali zagadką. Czy kiedykolwiek mieli złe dni, niestrawność albo pęcherze na stopach?

Czy może były to dolegliwości zbyt przyziemne dla bogów, którzy zamieszkali w świecie istot śmiertelnych?

- Rozkoszowaliśmy się właśnie ogniem na kominku i kieliszkiem wina. Dołączycie do nas? - zapytała Rowena.

- Oczywiście, dzięki. - Dana podeszła do kominka, od którego biło miłe ciepło. - Czy u was każdy wieczór tak wygląda?

- Jak? - Pitte przerwał nalewanie wina i zmarszczył brwi.

- No, tak, że siedzicie wytwornie ubrani i pijecie wyśmienite wino z... co to za szkło, Baccarat?

- Bardzo możliwe. - Pitte nalał trunku i podał Danie kieliszek.

- Często siadujemy tutaj razem, żeby się odprężyć przed snem.

- A jak spędzacie resztę dnia? W domu?

- Ach, pytasz, w jaki sposób umilamy sobie czas. - Rowena usiadła i wygładziła poduszkę obok. - Ja, jak wiesz, maluję. A Pitte zajmuje się naszymi finansami. Bawią go kwestie związane z pieniędzmi. Dużo czytamy. Podobały mi się twoje książki, Jordanie.

- Dziękuję.

- Pitte lubi oglądać filmy - dodała, obrzucając kochanka ciepłym spojrzeniem. - Zwłaszcza takie, w których mnóstwo różnych rzeczy z hukiem wylatuje w powietrze.

- Więc chodźcie do kina? - zagadnęła Dana.

- Rzadko. Wolimy spokojne seanse w domu.

- Multipleksy - mruknął Pitte. - Tak je nazywają. Jak małe pudełka poczepiane z sobą. Szkoda, że wielkie amfiteatry wyszły z mody.

- Na pewno byliście świadkami wielu zmian w modzie przez ostatnie dwa tysiąclecia.

- O tak, istotnie. - Rowena uniosła brwi.

- Wiem, że to brzmi jak banalna towarzyska pogawędka - podjęła Dana - ale po prostu próbuję zrozumieć, co się tak naprawdę dzieje. Uświadomiłam sobie, że wiecie o mnie wszystko. Zupełnie jakbyście mnie obserwowali przez całe życie. Obserwowaliście mnie?

- Naturalnie. Bardzo nas interesowałaś już od chwili narodzin. Nie wtrącaliśmy się - podkreśliła Rowena, przesuwając między palcami naszyjnik, w którym połyskiwały szlachetne kamienie. - W nic nie ingerowaliśmy. Rozumiem, dlaczego budzimy twoją ciekawość. Jesteśmy do was bardziej podobni, niż wam się wydaje, a zarazem bardziej odmienni, niż możecie sobie wyobrazić. Oddajemy się tak zwanym ludzkim przyjemnościom, takim jak jedzenie, picie, ciepło, różne inne błahostki. Seks. Potrafimy kochać... - poszukała dłoni Pitte'a - równie szczerze, jak wy. Potrafimy śmiać się i płakać. Czerpiemy przyjemność z tego, co ma do zaoferowania wasz świat. Doceniamy szczodrość i elastyczność ludzkiego charakteru, choć ubolewamy nad jego mrocznymi stronami.

- Dopóki jednak jesteście tutaj, nie należycie do żadnego ze światów, prawda? - Dotykają się w jakiś szczególny sposób, pomyślał Jordan. Zupełnie jakby ten przelotny kontakt przywracał im siły żywotne. - Możecie żyć, jak wam się podoba, ale w pewnych granicach. W granicach tego wymiaru. Mimo to nasz wymiar jest wam obcy. Czujecie ciepło, ale ogień was nie parzy. Przesypiacie noc, lecz gdy budzicie się rano, nie jesteście ani o dobę starsi. Nie odczuwacie upływu godzin. Nawet milion godzin was nie zmieni.

- Czy tego rodzaju... nieśmiertelność - zaczął Pitte - wydaje ci się szczęśliwym losem?

- Nie. - Spojrzenie Jordana zatrzymało się na twarzy Pitte'a.

- Uważam ją za klątwę. To musi być kara, skoro wypędzono was z waszego świata i skazano na niekończące się godziny w naszym.

Wyraz twarzy Pitte'a nie uległ zmianie, jedynie w jego oczach zapaliła się dziwna iskra.

- Wyjątkowo bystre spostrzeżenie.

- Dostrzegam również inne aspekty tej sprawy. Jeśli Dana nie odnajdzie klucza, zapłaci za to rokiem życia. Nie tylko ona, ale także Malory i Zoe. Z twojego punktu widzenia to zaledwie chwila, lecz ludzie, których życie ma ograniczony zakres czasowy, zapatrują się na to nieco inaczej.

- Aha. - Pitte oparł się o obramowanie kominka. - A zatem przybyłeś z zamiarem renegotjowania naszego kontraktu?

Zanim Dana zdążyła się odezwać i upomnieć Jordana, żeby pilnował własnego nosa, posłał jej wymowne spojrzenie.

- Nie. Dana znajdzie ten klucz, więc nie o to chodzi.

- Widzę, że pokładasz ufność w swojej kobiecie - odezwała się Rowena.

- Nie jestem jego kobietą - zaprzeczyła pospiesznie Dana. - Czy Kane też nas obserwował? Od samego początku?

- Nie wiem - odparła Rowena i zbyła powątpiewający wyraz twarzy Dany niecierpliwym gestem. - Naprawdę nie wiem. Istnieją, jak Jordan słusznie zauważył, pewne granice, których nie możemy przekroczyć. Coś się zmieniło. Wiemy o tym, bo Kane zdołał wciągnąć Malory i Flynna w sferę marzeń, a przy tym wyrządzić Flynnowi krzywdę. Wcześniej nie mógł, a może nie chciał tego zrobić.

- Powiedz im, co ci zrobił.

Dana zjeżyła się natychmiast, słysząc ton polecenia, a nie prośby. Zanim jednak zdążyła warknąć na Jordana, Rowena złapała ją za ramię.

- Kane? Co się stało?

Opowiedziała im o wszystkim. Tym razem jej głos brzmiał spokojnie. Oddalenie zmniejsza strach, pomyślała.

Była o tym przekonana, dopóki nie zauważyła lęku na twarzy Roweny. Wołała nie myśleć, co mogłoby przestraszyć boginię.

- Chyba nic mi nie groziło, prawda? - Miała gęsią skórę i odczuwała mrowienie wzdłuż kręgosłupa. - To znaczy, nie mogłam utonąć, gdy wskoczyłam do morza, które tak naprawdę nie istniało.

- Ależ istniało - sprostował Pitte. Jego twarz przybrała chłodny, posepny wyraz. Twarz żołnierza, pomyślała Dana. Żołnierza, który obserwuje bitwę i oczekuje odpowiedniej chwili, by dobyć miecza.

Choć to ona znajdowała się na polu bitwy, tocząc krwawą walkę.

- Ten świat stworzyła twoja wyobraźnia i twój lęk. Dlatego był prawdziwy.

- Ale to nie ma sensu - upierała się Dana. - Kiedy wciągnął Malory w tę malarską fantazję, widziałam ją. Wszyscy ją widzieliśmy na strychu.

- Była tam jej cielesna powłoka, może również część świadomości... bo Malory ma silną osobowość. Ale reszta... - Rowena odetchnęła głęboko. - Reszta powędrowała na drugą stronę. I gdyby stała jej się krzywda... Jej ciału - Rowena wyciągnęła rękę - temu, co można by nazwać jej istotą... po którejkolwiek stronie, ucierpiałyby ona cała.

- Gdyby skaleczyła się w palec po jednej stronie - wtrącił Jordan - krwawiłaby także po drugiej?

- Mógł temu zapobiec. - Najwyraźniej zatroskana, Rowena wstała, by dolać wina. - Gdybym to ja, na przykład, pragnęła ci podarować nieszkodliwe marzenie, zesłałabym je i czuwała nad tobą, żeby nie spotkało cię nic złego. Ale to, co robi Kane, nie jest nieszkodliwe. On jednocześnie kusi i zastrasza.

- Dlaczego po prostu nie wepchnął mi głowy pod wodę, kiedy siedziałam w wannie?

- Nadal istnieją pewne granice. Aby utrzymać iluzję, nie wolno mu tknąć twego ciała. A ponieważ to twój umysł tworzy strukturę iluzji, Kane nie może cię zmusić, abyś zrobiła sobie krzywdę. Może kłamać, owszem. Oszukiwać, przerażać, nawet przekonywać, ale nie może sprawić, abyś postąpiła wbrew własnej woli.

- Dlatego zdołała się wyrwać. - Jordan potrzebował dodatkowego potwierdzenia. - Dostrzegłszy podstęp, zmieniła, jak to ujęłaś, strukturę tego świata. Raj przeistoczył się w koszmar.

- Tak, za sprawą jej świadomości i lęku oraz gniewu Kane'a - zgodził się Pitte. - Owoc, który upuściłaś - zwrócił się do Dany - był nadgniły w środku. Twój umysł to zauważył. Ten świat nie był rajem, lecz więzieniem.

- A gdy skoczyła w morze, żeby Kane nie zawłaszczył jej istoty, kiedy odrzuciła to marzenie czy raczej koszmar, wymknęła mu się - podsumował Jordan. - Zatem jej bronią jest wierność samej sobie, cokolwiek on zechce wymyślić.

- Najprościej rzecz ujmując - przyznał Pitte.

- To byłoby zbyt proste. - Rowena pokręciła głową. - Kane jest przebiegły i potrafi kusić. Nie wolno go lekceważyć.

- On nie docenił Dany. Prawda, Żyrafo?

- Potrafię zadbać o swoje sprawy. - Jego spokojna pewność siebie w znacznym stopniu ukojła jej wzburzone nerwy. - Co go powstrzyma przed zaatakowaniem Zoe? Może jej dopaść, kiedy wszyscy skupią się tylko na mnie.

- Ona jeszcze nie stanowi dla niego problemu. Ale podejmiemy pewne środki ostrożności. - Rowena w zadumie postukała palcem w brzeg kieliszka. - Można ją ochronić, w pewnym stopniu, zanim nadejdzie jej kolej.

- Jeżeli nadejdzie - sprostował Pitte.

- Pitte jest z natury pesymistą - uśmiechnęła się Rowena. - Ja mam więcej otuchy. - Podeszła do sofy i przysiadła na poręczu z gracją, która jest wrodzoną cechą niektórych kobiet. Wyciągnęła ramiona i ujęła w dłonie twarz Dany. - Rozpoznasz prawdę, gdy ją usłyszysz. Możesz jednak zatkać uszy, zamknąć umysł. Tak jak mój mężczyzna jest z natury pesymistą, ty jesteś uparta.

- Nic dodać, nic ująć - mruknął Jordan.

- Jeśli jednak zechcesz usłyszeć prawdę, zabrzmi ona czysto w twoich uszach. Masz taki dar. Kane cię nie zwiedzie, jeśli sama nie pozwolisz. Kiedy pogodzisz się z tym, co już wiesz, zdobędziesz resztę.

- Nie raczyłabyś wyrazić się nieco jaśniej?

Kąciki ust Roweny wygięły się w uśmiechu.

- Masz w tej chwili wystarczająco dużo spraw na głowie.

Później, gdy byli już sami, Rowena zwinęła się na sofie obok Pitte'a, oparła głowę o jego ramię i wpatrzyła się w płomienie. Widziała w nich Dane i jej ręce spoczywające pewnie na kierownicy auta, które zmierzało w ciemnościach ku cichej dolinie.

Doceniała stanowczość i kompetencję, zarówno u bogów, jak i u śmiertelnych.

- Ona go niepokoi - przemówiła cichym głosem.

Pitte również patrzył w ogień i śledził pojawiające się w nim obrazy.

- Kogo? Złodzieja dusz czy opowiadacza niestworzonych historii?

W roztargnieniu, szukając pociechy, potarła policzkiem o jego ramię.

- Najwyraźniej obydwóch. Obaj ją zranili, choć tylko jeden zrobił to z rozmysłem. Ale kochanek potrafi zranić głębiej niż najgorszy wróg. Ona niepokoi Kane'a - dodała Rowena - a ten mężczyzna niepokoi się o nią.

- Płonie w nich ogień. - Pitte odwrócił głowę i musnął ustami włosy Roweny. - Powinien zabrać ją do łóżka i uleczyć stare rany.

- Mężczyźni zawsze uważają, że łóżko rozwiąże każdy problem.

- Nie każdy, ale większość. - Pitte uniosł ją lekko i nagle znalazła się na ich wielkim, wspólnym łożu.

Żartobliwie uniosła brew. Nie miała już na sobie srebrzystej sukni, była zupełnie naga. Wiedziała, że tego rodzaju sztuczki należą do ulubionych zabaw Pitte'a.

- Ogień nie wystarczy. - Rozpostarła ramiona i dziesiątki świec rozjarzyły się jasnym płomieniem. - To ciepło, mój ukochany, jedynie ciepło potrafi uleczyć zranione serce.

Uniosła się i wzięła go w ramiona.

Zaledwie Dana zamknęła drzwi za Jordanem, usiadła przed ekranem komputera z egzemplarzem „Otella” i skupiła się na czekającym ją zadaniu, usłyszała pukanie do drzwi.

Nie otworzyła, przekonana, że to Jordan, który znalazł nowy pretekst, żeby się jej narzucać.

Rany boskie, zamierzała spędzić dwie godziny nad książkami, a potem zastanowić się nad tym, co usłyszała na Wzgórzu Wojownika, jak również nad tym, czego nie usłyszała w drodze powrotnej.

Jeśli już musiała myśleć o Jordanie, nie zamierzała tego robić w jego obecności. Wyczułby to natychmiast, niczym pies myśliwski.

Stukanie rozległo się ponownie, tym razem bardziej natarczywie. Dana wyszczerzyła tylko zęby. Musiała się zastanowić.

Ale szczekanie przyciągnęło jej uwagę.

Zdając sobie sprawę, że do niczego nie dojdzie, jeśli nie otworzy temu komuś, kto puka, wstała i podeszła do drzwi.

- Co tu robicie, do jasnej cholery? I on, i ty - spiorunowała wzrokiem Flynna, po czym podrapała psa za uszami i przesłała mu całusa. - Czyżby Małory cię wykopała? Biedactwo. - Obdarzyła brata lodowatym spojrzeniem. - Nie będziesz tu nocował.

- Nawet nie zamierzałem.

- No więc co masz w tej torbie?

- Różne rzeczy. - Flynn przecisnął się obok psa i siostry. - Podobno miałas kiepską noc.

- To było ciekawe przeżycie, ale nie zamierzam go roztrząsać.

Jest już po dziesiątej. Chciałbym jeszcze trochę popracować, a potem położyć się spać.

Zapalając wszystkie światła, pomyślała. Tak jak poprzedniej nocy.

- No to świetnie. Tu są jego rzeczy.

- Czyje rzeczy?

- Moego. Jutro przytaszczę wielkie opakowanie psiego żarcia, ale to wystarczy na śniadanie.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - Zajrzała do torby, którą jej wtknął, i dostrzegła pogryzioną piłkę tenisową, poszarpany sznurek, pudełko psich herbatników i pięciofuntowy worek suchej karmy.

- Co to ma znaczyć, do cholery?

- To jego rzeczy - powtórzył dziarsko Flynn i jęknął, gdy Moe oparł łapy na jego ramionach. - Moe chwilowo u ciebie zamieszka. No cóż, muszę lecieć. To na razie, do jutra.

- O, nie. - Cisnęła torbę na krzesło i rzuciła się ku drzwiom, wyprzedzając Flynną o krok. - Nie wyjdiesz stąd bez psa.

Obdarzył ją niewinnym, lekko zdziwionym uśmiechem.

- Przecież sama powiedziałaś, że nie mogę tu nocować.

- Bo nie możesz. I on też nie.

- No popatrz, zraniłaś jego uczucia. - Spojrzał ze smutkiem na psa, który usiłował wepchnąć nos do torby. - Nie gniewaj się, starszku. Ona nie chciała.

- Przestań się zgrywać.

- Nie wiadomo, jak wiele psy rozumieją. Badania naukowe nie przyniosły jednoznacznych rezultatów. - Braterskim gestem poklepał Dane po policzku. - W każdym razie Moe tu zostanie na parę tygodni. Jako stróż.

- Jako stróż? - Zauważyła, że Moe zaczął już obgryzać torbę. - Nie rozśmieszaj mnie.

Moe, któremu brązowy papier najwyraźniej nie smakował, zaczął węszyć za okruciami. Flynn zaś usiadł i rozprostował nogi. Ponownie przemyślał swoją strategię i doszedł do wniosku, że wygra z Daną tylko jednym sposobem.

- No dobra. Skoro Moe nie budzi w tobie zaufania, ja zostanę stróżem. Rzućmy monetę, kto będzie spał w łóżku.

- W moim łóżku śpiam wyłącznie ja sama i mam do ciebie jeszcze mniejsze zaufanie niż do tego przerośniętego kundla, który właśnie kręci się za swoim ogonem. Moe! Przestań, zanim do szczętnie zdemolujesz mi mieszkanie.

Omali nie zaczęła wrywać sobie włosów z głowy, kiedy Moe w desperackiej próbie zatopienia zębów we własnym ogonie zde- rzył się ze stołem i książki posypały mu się na łeb. Wydał pełne za- skoczenia szczeknięcie i poszukał schronienia u Flynna.

- Wynos się i zabieraj tego gamonia.

Flynn tylko uniósł stopy i wykorzystał Moego w charakterze podnóżka.

- Przedyskutujmy sprawę - zaczął.

Dwadzieścia minut później Dana ciężkim krokiem weszła do kuchni. Staneła jak wryta i z sykiem wciągnęła powietrze na wi- dok zawartości kosza na śmieci rozrzuconej po całej podłodze. Po- środku tego bałaganu wylegiwał się zadowolony z siebie Moe, przeżuwiąc zwitek papierowych ręczników.

- Jak on to robi? Jak, u diabła, zdołał mnie na to namówić?

Musiała przyznać, że między innymi na tym polega zagadka Flynna Hennessy'ego. Człowiek sam nie wiedział, kiedy pozwalał mu się zapędzić w kozi róg.

Przykucnęła, by znaleźć się nos w nos z psem.

Moe spojrział w bok, unikając oczu Dany. Mogła przysiąc, że gdyby psy potrafiły gwizdać, usłyszałyby melodię typu: „I cóż ja takiego zrobiłem?”.

- No dobra, kolego, powtórzmy sobie zasady obowiązujące w tym domu.

W odpowiedzi polizał ją po twarzy i przewrócił się na grzbiet, nadstawiając brzuch.

Gdy się obudziła, promienie słońca padały prosto na jej twarz, a nogi były pozbawione czucia. Słońce łatwo dało się wytłumaczyć. Po prostu znowu zapomniała zaciągnąć zasłony. A pierwsze uczu- cie paniki szybko minęło, kiedy stwierdziła, że wcale nie ma spa- ralizowanych nóg. Przygniatało je masywne cielsko Moego.

- Nie nazwałabym tego miłym początkiem - mruknęła, siadając, i z całych sił odepchnęła zwierzę. - Powiedziałam: żadnym psem nie wolno włązić do łóżka. Podkreśliłam tę zasadę bardzo wyraźnie.

Wydał z siebie jęk o zadziwiająco ludzkim brzmieniu i usta Da- ny drgnęły w uśmiechu. Następnie otworzył jedno oko. Sekundę później oko to rozbłysło obłąkańczą radością.

- Nie!

Ale było już za późno. Jednym skokiem Moe unieruchomił pod sobą nie tylko jej nogi, ale całe ciało. Roztańczone łapy wbijały jej

się w podbrzusze, brzuch i piersi, a jęzor obmywał twarz z wigorem świadczącym o płomiennym uczuciu.

- Przestań! Siad! O Matko Boska! - Wybuchnąwszy historycznym śmiechem, zaczęła mocować się z psem, który w końcu zeskoczył z łóżka i umknął z pokoju. - Uff.

Przeczesała palcami włosy. Takie przebudzenie z pewnością nie należało do najprzyjemniejszych w jej życiu, lecz był to na szczęście wyjątek, nie reguła.

Teraz musiała się napić kawy. Natychmiast.

Zanim zdążyła odrzucić kołdrę, Moe wrócił w podskokach do sypialni.

- Nie! Ani się waż! Wynoś się stąd z tą obrzydliwą, oślizłą piłką!

Rano poruszała się zazwyczaj z prędkością ślimaka, który zażył valium, lecz teraz jeden rzut oka na piłkę tenisową w pysku Moego obudził w niej sprinterkę klasy olimpijskiej. Zerwała się na równe nogi, a Moe błyskawicznie zmienił kierunek i wpadł w poślizg. Z rozpędem rąbnął w ramę łóżka, po czym, niezrażony wypuścił piłkę u stóp Dany.

- Nie bawimy się piłką w domu. Nie bawimy się piłką, kiedy jestem naga, a w tej chwili, jak widzisz, jestem. Nie bawimy się piłką, dopóki nie wypiję kawy.

Moe z wdziękiem przekrzywił łeb i uniósł przednią łapę.

- Musimy pójść na kompromis. Najpierw coś na siebie włożę. - Podeszła do szafy i wyciągnęła szlafrok. - Potem wypiję pierwszą filiżankę kawy. Następnie wyprowadzę cię na bardzo krótki spacer, w trakcie którego będziesz mógł opróżnić pęcherz i pobawić się piłką przez całe trzy minuty. Tyle mogę ci poświęcić.

Nie wiedziała, jak to osiągnął - jaki pan, taki pies, pomyślała sobie - ale zabawa z Moem w parku przeciągnęła się do dwudziestu minut.

Jej poranny harmonogram nie przewidywał niczego podobnego, a poranny harmonogram był dla Dany rzeczą świętą i nienaruszalną. Przyznawała, że to interludium z głupkowatym psem orzeźwiło ją i dodało otuchy. Nie zamierzała jednak nikomu o tym wspominać.

Moe pochłoniął swoje śniadanie, gdy ona jadła swoje, po czym - szczęśliwie dla wszystkich zainteresowanych - uciał sobie poranną drzemkę. Dana zaś odłożyła książkę towarzyszącą jej ostatnio przy śniadaniu i sięgnęła po „Otella”.

Wertowała go przez pół godziny, a następnie - by lepiej poukładać sobie wszystko w głowie - zabrała się do lektury jednej z książek o czarach. Kane był w jeszcze większym stopniu niż Jago podstępny i pozbawiony wszelkich zasad, a na dodatek posiadał magiczną moc. Być może istniał jakiś sposób, by tę moc osłabić lub się przed nią osłonić podczas poszukiwania klucza.

Poczytała trochę o białej i czarnej magii. O czarnoksięstwie i nekromancji. Robiąc notatki, uświadomiła sobie, że to duża różnica, kiedy się wie, że nieprawdopodobne rzeczy, o których się czyta, mogą być prawdziwe.

Prawda zamiast wymysłów i kłamstw.

Warto to zapamiętać, pomyślała, zamykając książkę. Najistotniejsze, żeby zapamiętać prawdę.

Pochłonięta fizyczną pracą, Dana doszła do wniosku, że pokrywanie spłowiełej ściany świeżą farbą podkładową sprawia wielką satysfakcję.

Nasze miejsce, pomyślała.

W trakcie malowania poinformowała Zoe i Malory o tym, czego się dowiedziała na Wzgórzu Wojownika.

- Więc on może nam wyrządzić krzywdę. - Marszcząc brwi, Zoe uzupełniła zapas farby w automatycznym wałku Malory. - Albo same możemy ją sobie wyrządzić. Chyba o to właśnie mu chodzi.

- Jeśli za bardzo się oddalimy od rzeczywistości, owszem - przyznała Dana. - Chyba tak.

- Ale nie może nas skrzywdzić, jeśli mu na to nie pozwolimy - wtrąciła Malory. - Rzecz w tym, żeby właśnie nie pozwolić, co nie jest takie łatwe, jak się wydaje.

- Nie musisz mi mówić. - Wspomnienie przelotnego kontaktu z Kane'em nadal wywoływało w Danie zimny dreszcz. - Jeśli mamy znaleźć pozostałe dwa klucze, musimy się jakoś przed nim ochronić.

- I siebie, i bliskie osoby - przypomniała Zoe. - Chciał też dopaść Flynn'a. Gdyby spróbował coś zrobić Simonowi... cokolwiek... ścigałabym go do końca życia.

- Nie martw się, mamuśka. - Dana mocno uściśnęła jej ramię. - Gdy przyjdzie kolej na ciebie, wszyscy zaopiekujemy się Simonem. Zawsze możemy postawić na straży Moego - dodała i obrzuciła Malory surowym spojrzeniem. - Prawdziwa przyjaciółka zadzwoniłaby do mnie i ostrzegła, że ktoś mi chce wcisnąć psa.

- Prawdziwa przyjaciółka wiedziała, że będzie ci się lepiej spało z psem chrapiącym obok łóżka.

- Obok, akurat! Wlazł na łóżko, kiedy spałam. Co oznacza, że nie zbudziłoby mnie nawet trzęsienie ziemi, bo Moe nie należy do istot subtelnych. I pozwolę sobie dodać, że zabezpieczenie mieszkania przed tym psem nie jest sprawą łatwą. Pomijając już fakt, że w mojej kamienicy w ogóle nie wolno trzymać psów.

- To tylko parę tygodni i chodzi głównie o noc - przypomniawszy jej Malory. - Od razu po tobie widać, że lepiej spałaś.

- Może. Tak czy inaczej, powinnam was zapoznawać na bieżąco z wynikami moich poszukiwań.

Przygotowały pierwszy pokój do malowania i przeszły do następnego, gdzie czekało je żmudne zabezpieczanie stolarki okiennej.

- Zazdrość, czary, prawdziwy charakter Kane'a. - Stojąc na nowej drabinie, Malory zabrała się do malowania sufitu. - Bardzo sprytne.

- Tak mi się wydaje. Rozwiązanie znajduje się w książce. Na pewno. Dla ciebie to był obraz, a jedna z córek, która wygląda jak ty, jest artystką. No owszem, chodzi o grę na instrumencie, ale to także sztuka.

Zoe obejrzała się przez ramię.

- Mam nadzieję, że nie będę musiała ćwiczyć cholernej szermierki, mimo że bogini z moją twarzą trzyma miecz.

- A także słodkiego małego szczeniaczka - wtrąciła Malory.

- Nie mogę teraz wziąć do domu psa. Wiem, że Simon bardzo by chciał, ale... Ach, chodziło ci o to, żeby przestała myśleć o mieczu.

- No i proszę.

Dana przysiadła na piętach i wyprostowała plecy.

- To szczenię i miecz są swego rodzaju metaforami. W swoim czasie dowiemy się, co oznaczają. Ale wiemy, że klucz Malory krył się w namalowanym obrazie. Malory chciała być malarką, lecz zabrakło jej talentu... - Urwała, gotowa odgryźć sobie język. - Przepraszam cię. To zabrzmiało bardzo nietaktownie.

- Nie. Zabrzmiało szczerze. - Malory przyjrzała się sufitowi. Do tego rodzaju malarstwa najwyraźniej miała dryg. - Ponieważ nie potrafiłam malować, skupiłam się na karierze, która w inny sposób wiązała mnie ze światem sztuki. To, co powiedziałaś, wcale mnie nie uraziło.

- No dobra, ale potem masz rzut wolny, jeśli tylko zechcesz. Otóż Kane wykorzystał malarskie ambicje Malory, by wciągnąć ją w iluzję, odwieść od poszukiwań. Tymczasem nasza bohaterka przechytryła wroga i odwróciła sytuację na jego niekorzyść.

Malory królewskim gestem skłoniła głowę.

- To mi się podoba.

- Mnie też - przyznała Zoe. - Czy chcesz zostać pisarką, Dano?

- Nie. - Przyjaciółka zacisnęła usta i zastanawiała się przez chwilę. - Nie, nie chcę. Ale książki są mi potrzebne, kocham je. Fascynują mnie ludzie, którzy piszą.

- Tacy jak Jordan?

- Nie roztrząsajmy tego, przynajmniej na razie. Chcę powiedzieć, że książki są dla mnie czymś osobistym, tak jak sztuka dla Mai. Dlatego uważam, że mój klucz wiąże się w jakiś sposób z książkami. Instynktownie wyczuwam, że chodzi o książkę, którą znam. To znowu coś osobistego. Zamierzam jeszcze raz przejrzeć tytuły, pod kątem słowa „klucz” i sprawdzić, co z tego wyniknie. - Ściągnęła brwi, szukając odpowiedzi. - Takie podejście może wydawać się zbyt proste, zbyt banalne, ale przynajmniej daje mi nowy punkt zaczepienia.

- Mam pomysł - powiedziała Malory. - Jeśli sporządzisz listę książek, podzielimy ją na trzy części i każda z nas zajmie się swoją.

- To by pomogło. Nie wiadomo, czego mamy szukać - podjęła Dana - ale musimy wierzyć, że rozpoznamy to na pierwszy rzut oka.

- Może powinnaś też spisać książki z „boginią” w tytule - zaproponowała Malory. - Mój klucz był związany ze śpiewającą boginią, która pojawiała się we wskazówce Roweny. Twój może się wiązać z boginią, która przechadza się lub czeka.

- Słusznie. - Skończywszy swój kawałek ściany, Dana dźwignęła się na nogi. - Boże, chyba krew nam pójdzie z oczu. Jest jeszcze jedna rzecz. - Żeby zająć czymś ręce, zaczęła bawić się wążkiem do malowania. - Twój klucz, Mai, wiązał się z tym miejscem, z wizją szczęśliwego domu, rodziny, pracowni malarskiej. Moja wizja obejmowała na razie tylko bezludną tropikalną wyspę. Nie przypuszczam, by jej korzenie tkwiły tu, w Valley.

- Nie wiesz, dokąd cię zabierze następnym razem.

Dana odłożyła wążek i wpatrzyła się w przestrzeń.

- O rany. To dopiero radosna myśl.

Rozdział ósmy

Jak na osobę bezrobotną, Dana pracowała wyjątkowo ciężko i w pełnym wymiarze godzin, a nawet dłużej.

Moe, którym musiała się teraz zajmować, budził w niej skojarzenia z grubym raczkującym bobasem. Należało go karmić, wyprowadzać na spacer, besztać i nie spuszczać z oka.

Czysto fizyczna praca, jaką było malowanie ścian przez kilka godzin dziennie, wzmogła szacunek Dany wobec ludzi, którzy w ten sposób zarabiali na życie. Ale Moe stanowił źródło pociechy i rozrywki, prace remontowe zaś - satysfakcji i dumy. Może niewiele jeszcze było widać - postanowiły zeskrobać starą farbę z wszystkich ścian, zanim na serio zaborą się do malowania - lecz gdy pracę wykonywały z wielkim zaangażowaniem trzy zdecydowane kobiety, efekty nie dawały długo na siebie czekać.

No i była jeszcze kwestia planów i strategii przedsiębiorstwa, które miało ruszyć w ciągu najbliższych miesięcy. Dana sporządziła długie listy książek, dodatkowych atrakcji, godnych rozważenia modeli regałów i stolików, kieliszków i filiżanek.

Snucie marzeń o własnej księgarni to jedno, lecz zupełnie czym innym okazały się zmagania z tysiącnymi drobiazgami niezbędnymi do realizacji owych zamierzeń.

Do tego dochodziło nocne ślęczenie nad książkami i poszukiwanie drogi wiodącej do klucza. Czytanie zawsze było jej pasją, lecz teraz stało się także misją. W którejś książce kryła się odpowiedź. Albo przynajmniej następane pytanie.

A jeżeli odpowiedź lub pytanie znajdowały się w jednej z książek przekazanych przyjaciółkom? I jeżeli one przeoczą wskazówkę, którą tylko Dana potrafiłaby odczytać?

To prosta droga do obłądu, powiedziała sobie.

Jakby mało miała pracy, zmartwień i materiału do przemyśleń, musiała jeszcze przygotować się do randki. Randki, na którą w ogóle nie powinna była się zgodzić.

Droga do obłądu nie musi być prosta.

Gdyby odwołała spotkanie, Jordan wierciłby jej dziurę w brzuchu dopóty, dopóki nie zarznąłaby go rzeźnickim nożem i nie wyładowała na resztę życia za kratkami. Albo, co gorsza, zrobiłby zadowoloną minę typu „a nie mówiłem” i twierdził, iż to tylko dowodzi jej lęku przed kontaktem z nim.

Co również sprowadzało kwestię do rzeźnickiego noża i pobytu w kobiecym zakładzie karnym.

Nie miała zatem wyboru - musiała pójść na randkę, i to w pełnym rynsztunku. Powinna udowodnić Jordanowi, że perspektywa spędzenia z nim paru godzin nie budzi w niej najmniejszych obaw. A przy okazji doprowadzić go do szaleństwa.

Wiedziała, że jest wrażliwy na zapachy, więc nie pożałowała sobie perfumowanego balsamu do ciała, a następnie włożyła bieliznę, którą nazywała w myślach „dzisiaj jest ta noc”. Nie żeby Jordan miał jakąkolwiek szansę ją obejrzyć, ale sama Dana będzie świadoma faktu, iż ma na sobie seksowny czarny stanik, koronkowe figi i przejrzyste pończochy, a do nich obszyty koronką pas.

Ta świadomość daje jej poczucie siły.

Obejrzała się w lustrze, z przodu, z boku i z tyłu.

- Wyglądam pierwszorzędnie. Niech ci serce pęka, Hawke.

Sięgnęła po suknię leżącą na łóżku. Krój wydawał się bardzo prosty: długa, miękka, czarna linia. Gdy jednak wypełniło ją ciało, następowała niezwykle przemiana.

Dana wśliznęła się w suknię, poprawiła ją tu i ówdzie, i ponownie obejrzała się w lustrze.

Głęboki, okrągły dekolt nabierał nowego wymiaru, gdy wyzierały z niego kusząco kobiece piersi. Przy najłżejszym ruchu rozchyłało się długie rozcięcie z boku, odsłaniając smukłą nogę.

Wsunęła stopy w szpilki, zadowolona, że wysokie obcasy dodają trzy cale do jej i tak imponującego wzrostu. Nigdy nie miała na tym punkcie kompleksu. Przeciwnie, podobało jej się to.

Fryzurę zawdzięczała Zoe. Lśniące włosy opadały swobodnie, podpięte nad lewym uchem niewielką ozdobną spinką. Kolejny wabik, uznała Dana. Spinka nie pełniła żadnej funkcji użytkowej - wystarczyło, że połyskiwała wabiąco.

Wtarła po kropelce perfum w okolice obojczyków, rowek między piersiami i nadgarstki. Potrząsnęła głową.

- Już po tobie, koleś. Nie masz szans.

Uświadomiła sobie, że z niecierpliwością oczekuje tego wieczoru. Już dawno nie stroiła się na randkę. Ponadto musiała przyznać, że jest zaciekawiona. Jak Jordan się zachowa? Jak obydwójce zachowają się wobec siebie nawzajem? Zastanawiała się, co będą czuli - teraz, gdy nie sajuż chłopcem i dziewczyną, lecz mężczyzną i kobietą.

Było to, nie mogła zaprzeczyć, emocjonujące. Zwłaszcza iż nie wątpiła, że Jordan zamierza zdobyć ją na nowo, ona zaś nie miała zamiaru mu ulec.

Zbliżyła twarz do lusterka, pociągnęła usta zabójczą czerwienią i wrzuciła szminkę do torebki. Zaciśnęła wargi i rozchyliła je ponownie z buńczuczным pyknięciem.

- Zatem do dzieła.

Gdy punktualnie o wpół do ósmej Jordan zapukał do drzwi, reakcja była taka, jak przewidywała.

Wyrzeszczył oczy, które natychmiast zasłzy mgiełką. Z trudem przełknął ślinę. Następnie zwinęta dłonią dwa razy stuknął się w pierś, jakby chciał przywrócić akcję serca.

- Próbujesz mnie zranić, prawda?

- Bezwzględnie tak. - Przechyliła głowę. - I jak mi idzie?

- Strzał w dziesiątkę. Czy już zacząłem się ślinić?

Uśmiechnęła się promiennie i zawróciła po płaszcz. Jordan wszedł za nią, pochylił się i pociągnął nosem.

- Jeśli zacznę skomleć, możesz...

Urwał, kiedy zobaczył książki. Całe ich sterty obok sofy, słupek wznoszący się na małym stoliku, duży stół uginający się pod ich ciężarem.

- Jezu Chryste, Dana, powinnaś się leczyć.

- Nie są mi potrzebne do czytania dla przyjemności, choć nie widziałabym w tym nic złego. Potrzebuję ich do pracy i szukam informacji. Przeglądam je pod kątem klucza i przygotowuję się do otwarcia księgarni.

Włożyła płaszcz, usiłując stłumić lekką urazę, że Jordan wydaje się bardziej zainteresowany książkami niż jej urzekającym wyglądem.

- „Klucz do Rebeki”, „Kluczowy świadek”, „Dom bez klucza”. Widzę, do czego zmierzasz. „Klucz do seksualnego spełnienia”? - Posłał jej długie, kpiące spojrzenie.

- Zamknij się. Idziemy coś zjeść czy nie?

- Idziemy, idziemy. Czeka cię sporo roboty. - Przykucnął, podniósł książkę i przerzucił kilka stron. - Chcesz, żebym zabrał trochę do przejrzania?

- Przerzuciłam już część brzemienia na barki Malory i Zoe. - Wiedziała, że on za chwilę zatonie w lekturze; nie zdoła się powstrzymać. Pod tym względem byli jak jednojajowe bliźnięta. - Wystarczy. Jestem głodna.

- Też mi nowina. - Odłożył książkę na stertę i obdarzył Dane kolejnym przeciągłym spojrzeniem. - Aż dech zapiera.

- Miło mi to słyszeć. Idziemy?

Podszedł do drzwi i otworzył je przed nią.

- Gdzie Moe?

- Baraszkuje w parku ze swoim najlepszym przyjacielem. Flynn go przyprowadzi przed powrotem do domu. Gdzie będziemy jedli?

- Wskakuj do samochodu, panno Myśląca Tylko o Jednym. Zostaniesz nakarmiona. Jak się spisuje malarska ekipa? - spytał, gdy Dana siedziała już z przodu, a on za kierownicą.

- Idziemy jak burza. Poważnie. Nie mogę się nadziwić, ile zrobiliśmy. Bola mnie wszelkie możliwe części ciała.

- Jeśli chcesz, żebym ci coś rozmasował, daj mi tylko znać.

- To naprawdę wielkoduszna i bezinteresowna propozycja.

- Taki już jestem.

Założyła nogę na nogę celowo powolnym ruchem, by rozcięcie sukni rozchyliło się do połowy uda.

- Ale o to zatroszczy się Chris.

Spojrzenie Jordana powędrowało w dół, aż do cienkiego obcasa jej buta i wróciło tą samą drogą.

- Chris? - Powstrzymał się od warknięcia.

- Tak.

- A kim jest Chris?

- Kimś, kto zajmuje się masażem i ma w rękach cudowny dar. - Przeciągnęła się lekko, jak gdyby pod dotykiem owych rąk i jęknęła cicho. O tak, pomyślała, słysząc sapnięcie Jordana, tym razem wykorzystam przeciw tobie zupełnie nową broń. - Z polecenia Zoe - dodała. - Ona planuje całą gamę zabiegów w swoim salonie.

- Czy ta osoba ma na imię Christine czy Christopher?

Wzruszyła ramionami.

- Dziś po południu zamówiłam na próbę masaż karku i ramion. Próba wypadła doskonale. - Zmarszczyła brwi, gdy przemknęli przez granice Pleasant Valley. - Niejemy w mieście?

Ilekoć odetchnął, wdychał to, czym się skropiła, żeby doprowadzić go do szaleństwa. Tak na marginesie, pomyślał, na wypadek, gdyby zapomniał, że jej nogi sięgają do samej szyi, robiła, co w jej mocy, by mu o tym przypomnieć. Jeżeli w jego głosie zabrzmiało pewne napięcie, to nie bez powodu.

- Karmię cię i płacę rachunek. Wybór miejsca należy do mnie.

- Lepiej, żeby było godne mojego stroju i apetytu, inaczej zapłacisz nie tylko rachunek.

- Pamiętam twoje apetyty. - Nakazał sobie spokój. Jeszcze przyjdzie na niego kolej w tej rozgrywce. - No więc powiedz mi, co jest kluczem do seksualnego spełnienia?

- Przeczytaj książkę. To ty mi powiedz, z czym ci się kojarzy „klucz” w literaturze?

- Z zagadką zamkniętych drzwi w powieściach kryminalnych.

- Zatem jeszcze jeden punkt widzenia. A bogini, inna niż w mitologii?

- Typ *femme fatale*. Jak ta tajemnicza kobieta w „Sokole maltańskim”.

- Dlaczego uważasz ją za boginię?

- Może rzucić urok na mężczyznę, wykorzystując seks, urodę i kłamstwa.

- Aha. - Niespiesznie przesunęła między palcami długie pasmo włosów. - Niezłe. Warte przemyślenia.

Zastanawiając się, straciła poczucie czasu i kierunku. Dochodziła ósma, gdy wreszcie ocknęła się z zadumy i zamrugała na widok dużego białego budynku, przytulonego do zbocza.

Moja kolej, pomyślał Jordan. Czy Dany zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Luciano? - Nie mogła uwierzyć. - Żeby zarezerwować stolik u Luciana o tej porze roku, potrzeba specjalnego dekretu Kongresu. Nawet poza sezonem czeka się kilka tygodni, a w październiku nie dostaniesz się tutaj, choćbyś im zaofiarował własną krew.

- To nie było konieczne. - Wysiadł z auta i oddał kluczyki parkingowemu.

- Zawsze chciałam tu zjeść, ale nie miałam żadnych szans.

- Raz próbowałem zarezerwować stolik na twoje urodziny. Nie wysmiali mnie, choć niewiele brakowało.

- Przecież nie było cię stać na... - Umilkła, czując, jak mimo woli mięknie jej serce. Właśnie czegoś takiego mogła się po nim spodziewać, przypomniała sobie. Czegoś nieprzewidzianego i nierozważnego. - To bardzo miłe - dokończyła i pocałowała go w policzek.

- Tym razem mi się udało. - Oniemiała z zaskoczenia, gdy uniósł jej dłoń do ust. - Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Lepiej późno niż wcale.

- Jesteś dzisiaj czarujący. Dlaczego taki jesteś?

- Dostrajam się do twojego wyglądu.

Nie wypuszczając ręki Dany, wprowadził ją na schody.

Dom, w którym mieściła się restauracja, służył niegdyś jako letniskowa siedziba pewnej zamożnej i wpływowej rodziny z Pittsburga. Dana nie była pewna, czy można by go uznać za pałacyk, lecz niewątpliwie posiadał wszelkie atrybuty wiejskiej rezydencji - kolumny, balkony, portyki.

Budynek był przepięknie położony i wiosną, latem, a nawet wczesną jesienią oferowano gościom obiady i kolacje na świeżym powietrzu, aby, spożywając wysmienite potrawy, mogli rozkoszować się widokami. Odnowiono wnętrze, zachowując atmosferę wykwintnie urządzonego domu.

W holu położono marmurową posadzkę, zdobiły go włoskie dzieła sztuki, na gości czekały wygodne sofy i fotele. Dana nie zdążyła nacieszyć się w pełni światłem i kolorami, ponieważ *maitre d'* natychmiast pospieszył z powitaniem.

- Panie Hawke, tak się cieszymy, że zechciał nas pan dzisiaj odwiedzić. Witamy u Luciana, *signorina*. Stolik już czeka. A może życzyście sobie państwo wstąpić na chwilę do naszego baru?

- Dziękuję, ale obecna tu dama jest głodna, więc wolelibyśmy stolik.

- Oczywiście. Pani pozwoli, że wezmę okrycie?

- Proszę bardzo.

Jordan uprzedził *maitre d'* i zdjął z niej płaszcz, muskając przy tej okazji ramiona opuszkami palców. Poprowadzono ich głównymi schodami do prywatnego gabinetu ze stolikiem nakrytym na dwie osoby. W jednej chwili pojawił się kelner z butelką szampana.

- Zgodnie z pana zamówieniem - oznajmił *maitre d'*. ~ Czy wystrój odpowiada pańskim wymaganiom?

- W zupełności - zapewnił Jordan.

- *Bene*. Gdyby pan sobie czegoś życzył, proszę dać znać. Miłego wieczoru. *Buon appetito*.

Wyśliznął się z pokoju, zostawiając ich samych.

- Gdy już odnosisz zwycięstwo - zaczęła Dana, odzyskawszy głos - to na całej linii.

- Połowiczne działania nie mają sensu. - Uniósł kieliszek i trącił się z nią lekko. - Za ulotne chwile. Dawne, obecne i przyszłe.

- Bezpieczny toast. - Upiła łyk szampana. - O rany. Można zrozumieć, co miał na myśli stary mnich, gdy mówił o spijaniu gwiazd po zakosztowaniu tych bąbelków. - Ponownie uniosła kieliszek do ust, przyglądając się Jordanowi. - No dobrze. Jestem pod wrażeniem. Naprawdę jest pan szycią, panie Hawke, trudno zaprzeczyć.

- Być może, ale najważniejsze jest skuteczne działanie. Miejscowy chłopak, który osiągnął sukces, może zazwyczaj liczyć na stolik w restauracji.

Dana rozejrzała się po pokoju. Przyćmione światło, odosobnienie, romantyczny nastrój.

Kwiaty i świece stały nie tylko na stole, lecz także na rzeźbionym barku i zabytkowym kredensie. Ich woń unosiła się w powietrzu wraz z subtelnymi dźwiękami skrzypcowej muzyki.

Na kominku z czarnego marmuru płonął niewielki ogień; świece i kwiaty zdobiły gzyms, odbijając się w półokrągłym lustrze, które pogłębiało nastrój intymności.

- Stolik, dobre sobie - mruknęła po chwili.

- Chciałem być z tobą sam na sam. Nie psuj tego. - Przykrył jej dłoń, zanim zdążyła cofnąć rękę. - To tylko kolacja, Żyrafo.

- W takim miejscu nic nie jest „tylko”.

Odwrócił jej dłoń i przesunął po niej palcem.

- Pozwól, że spróbuję swoich sił w dziedzinie romansu. Tylko dzisiaj. Na początek mógłbym ci powiedzieć, że w tej chwili zamiera mi serce, gdy na ciebie patrzę.

Serce Dany zabiło gwałtownie, a potem zaczęło uderzać w nieregularnym rytmie.

- Jak na początkującego, nieźle ci idzie.

- Tylko nie uciekaj, a zobaczysz, jak się poprawię.

Nie wyrwała ręki. Byłby to podły, małostkowy gest wobec kogoś, kto chciał jej podarować coś wyjątkowego.

- To nie ma znaczenia, Jordanie. Nasze drogi się rozeszły.

- A mnie się wydaje, że właśnie się zeszły. Może byśmy się tak odprężyli i zaczerpnęli nieco radości z życia? - Skinał na kelnera, czekającego dyskretnie za drzwiami. - Mówiłaś, że jesteś głodna.

Wzięła kartę dań, którą jej podała.

- Co jak co, ale to do ciebie dotarło.

Dana doszła do wniosku, że musiałyby się naprawdę bardzo postarać i wysilić wyobraźnię, by uniknąć odprężenia i radości z życia. Ponadto postąpiłaby podle. Niewykluczone, że Jordan wymusił na niej randkę, lecz zrobił wszystko, by było to pamiętne, a nawet w pewien sposób magiczne spotkanie.

Próbował swych sił w „dziedzinie romansu”. To było coś nowego. Kiedy się spotykali i coś dla siebie znaczyli, staromodny romans nie odgrywał istotnej roli w ich związku.

O, Jordan potrafił być miły, gdy akurat miał taki nastrój. I potrafił zaskakiwać. Ale nikt, nawet najbardziej mu życzliwy, nie nazwałby Jordana Hawke'a łagodnym romantykiem.

Mimo to Danie podobała się jego kanciastość. Przyciągała ją i pobudzała.

Nie zamierzała się skarżyć, że zaprosił ją na kolację wytworny, czarujący mężczyzna, który najwyraźniej pragnął spełnić jej marzenia.

- Powiedz, jak chciałabyś urządzić księgarnię.

Nabrała na widelec kolejny kawałek przepysznie przyrządzonego strzępiela.

- A ile masz czasu?

- Ile zechcesz.

- No więc, przede wszystkim chcę, żeby była dostępnym, swoim miejscem. Takim, do którego ludzie wchodzić bez skrępowania, rozglądają się, czasami przysiadają na chwilę z książką i czytają. Ale jednocześnie nie chciałabym, by traktowali je jak prywatną bibliotekę. To ma być lokalna księgarnia, w której najważniejszy jest czytelnik i do której ludzie chętnie przychodzą.

- Ciekawe, dlaczego nikt wcześniej nie próbował otworzyć w mieście takiej księgarni?

- Nie staram się dociekać - wyznała. - Jeśli nikt tego nie zrobił, może istnieją po temu powody.

- Pewnie nie znalazła się dotychczas osoba tak jak ty - powiedziała szczerze. - Co jeszcze planujesz? Sprowadzisz książki z wszystkich dziedzin czy chcesz się w czymś specjalizować?

- Z wszystkich, żeby był duży wybór. Ale po latach pracy w bibliotece wiem, o co ludzie najczęściej pytają. Dlatego niektóre działy, takie jak romanse, powieści kryminalne, sprawy regionu,

będą bardziej rozbudowane niż inne, ambitniejsze. Chciałabym nawiązać kontakty ze szkołami, dowiadywać się, jakie lektury zalecają nauczyciele. I sprawdzić, czy uda mi się zorganizować przynajmniej jeden klub książki w ciągu pierwszych sześciu miesięcy.

- Sięgnęła po kieliszek. - A to dopiero początek. Mai, Zoe i ja będziemy pracować razem i byłoby świetnie, gdybyśmy miały wspólne klientki. Wiesz, ktoś przychodzi kupić książkę i myśli: „O, jaki piękny wazon z dmuchanego szkła! Idealny prezent urodzinowy dla mojej siostry”. Albo kupuje coś do czytania, żeby się nie nudzić na fryzjerskim fotelu u Zoe.

- Albo zagląda, żeby rzucić okiem na obrazy w galerii i dochodzi do wniosku, że warto by sobie zrobić manikiur.

- Właśnie. - Uniosła kieliszek w geście toastu i upiła łyk.

- To dobry plan. Wy trzy pasujecie do siebie. Uzupełniacie się nawzajem. Każda z was ma inny styl, ale te style ładnie z sobą harmonizują.

- Zabawne. Zaledwie przedwczoraj przyszło mi do głowy to samo. Gdyby ktoś mi wcześniej powiedział, że wejdę w spółkę z dwiema kobietami, które znam dopiero miesiąc, i włożę w ten interes wszystkie pieniądze, jakie mam, pękłabym ze śmiechu. Ale tak się stało. I dobrze zrobiłam. Tego jednego jestem absolutnie pewna.

- Jeśli chodzi o księgarnię, postawiłbym na ciebie każdą sumę.

- Zatrzymaj swoje pieniądze. Mogę potrzebować pożyczki, zanim interes ruszy. Powiedz mi za to, czego byś szukał w dobrej miejscowej księgarni. Z punktu widzenia pisarza.

Odchylił się na oparcie krzesła, co było sygnałem dla kelnera, by sprzątać ze stołu.

- Nazwałaś mnie pisarzem, nie dodając żadnego obraźliwego przymiotnika.

- Nie wpadaj w pychę. Staram się podtrzymać nastrój wieczoru.

- No to zamówmy kawę i deser, a ja odpowiem na twoje pytanie.

Zanim skończyli rozmawiać, pożałowała, że nie wzięła notesu. Jordan był dobry, musiała mu to przyznać. Poruszył kwestie, o których nie pomyślała, a inne twórczo rozwinął.

Kiedy mówili o książkach, zdała sobie sprawę, jak bardzo jej tego brakowało. Dyskusji z kimś, kto podzielał jej miłość do literatury. Kto, tak jak ona, pożerał i analizował książki, smakował je i rozkoszował się nimi.

- Ładna noc - zauważył, pomagając Danie wstać. - Może prze spacerujemy się po okolicy, zanim wrócimy do domu?

- Chcesz przez to powiedzieć, że za dużo zjadłam i muszę spa lić kalorie?

- Nie. Chcę dłużej побыć z tobą sam na sam.

- Naprawdę zrobiłeś postępy - stwierdziła, gdy wychodzili z gabinetu.

Jej płaszcz pojawił się niemal równie szybko, jak przedtem zniknął. Dostrzegła również, że Jordan z całym spokojem potrak tował prośbę *maitre d'* o autograf na książce.

W tym też był dobry. Napisał dedykację utrzymaną w lekkim, przyjaznym tonie, dołączając podziękowania za miły wieczór.

- Jakie to uczucie? - zapytała, gdy wyszli na zewnątrz. - Kiedy ktoś cię prosi o podpisanie książki?

- Sto razy przyjemniejsze niż wtedy, gdy nikt się mną nie inte resuje.

- Nie zbywaj mnie. Pytam poważnie. Jak się wówczas czujesz?

- Zadowolony. - Roztargnionym gestem pogładził kołnierz jej płaszcza. - Pochlebiony. Zaskoczony. Chyba że ten ktoś ma obłą kańczy błysk w oku i nieopublikowany rękopis pod pachą.

- Zdarza się tak?

- Dość często. Przeważnie jednak to miłe uczucie. Hej, oto oso ba, która przeczytała, co napisałem, albo ma taki zamiar. I uważa, że fajnie będzie mieć mój autograf. - Wzruszył ramionami. - Czy to nie miłe?

- Niezbyt emocjonalnie do tego podchodzisz.

- Nie jestem facetem, który daje się ponieść emocjom.

Prychnęła.

- Przedtem taki byłeś.

- A ty byłaś apodyktyczna i uparta jak osioł. - Uśmiechnął się szeroko, dostrzegając jej zmarszczone brwi. - Widzisz, jak się zmieniliśmy?

- Puszczę tę uwagę mimo uszu, bo naprawdę nieźle się bawi łam. - Odetchnęła głęboko, kiedy ruszyli wyłożoną kostkami ścieżką, i spojrzała w niebo na księżyc, którego przybyło od no wiu. - Wkraczamy w drugi tydzień - mruknęła.

- Świetnie sobie radzisz, Żyrafo.

Pokręciła głową.

- Nie wydaje mi się, abym była bliższa rozwiązania zagadki. Jeszcze nie. Dni uciekają tak szybko. Nie panikuję ani nic takiego

- dodała pospiesznie - ale mam poważne obawy. Tyle ode mnie zależy. Boję się, że zawiodę osoby, które stały mi się bliskie. Wiesz, o czym mówię?

- Wiem. Nie jesteś sama. Może najbardziej się narażasz, ale nie cały ciężar spoczywa na twoich barkach. - Położył dłonie na jej ramionach i przyciągnął ją do siebie, tak iż oparła się o niego. - Chcę ci pomóc, Dano.

Pasowali do siebie. Tak było, odkąd pamiętała. Gdy to sobie uświadomiła, gdzieś w jej głowie zadźwięczały ciche dzwonki alarmowe.

- Wiadomo, że tak czy inaczej jesteś z tym związany.

- Chcę czegoś więcej. - Pochylił się i musnął ustami jej ramię. - I chcę ciebie.

- Mam w tej chwili dostatecznie dużo zmartwień.

- To niczego nie zmienia. - Obrócił ją ku sobie. - Nie przestanę cię pragnąć. A ty będziesz o tym wiedziała. - Uśmiechnął się lekko, przesuwając dłońmi wzdłuż jej ramion. - Zawsze lubiłem tę twoją minę.

- Jaką minę?

- Ten wyraz łagodnej irytacji, kiedy ktoś stawia przed tobą problem do rozwiązania. Wtedy pojawia ci się taka drobna zmarszczka... o, tutaj. - Dotknął wargami jej czoła pomiędzy brwiami.

- Myślałam, że jesteśmy na spacerze.

- Byliśmy. Teraz uważam, że ten wieczór prosi się jeszcze o jedno.

Z niezmierną przyjemnością obserwował wygięcie jej ust, a potem przebłysk zaskoczenia na twarzy, gdy - zamiast pocałunku - poprowadził ją w powolnym, kołyszącym tańcu.

- Spryciarz z ciebie - mruknęła, lecz była poruszona.

- Zawsze lubiłem z tobą tańczyć. Fantastyczne doznania. To, że czuję zapach twoich włosów, twojej skóry. I to, że z bliska, z bardzo bliska, mogę dostrzec swoje odbicie w twoich oczach. Twoje oczy od początku mnie uziemiały. Nigdy ci tego nie powiedziałem, prawda?

- Nie, nigdy. - Poczwała, że drży, a dzwonki ostrzegawcze zagłuszyły walenie serca.

- Tak było. Wciąż tak jest. Czasami, kiedy udało nam się razem spędzić noc, budziłem się wcześniej i patrzyłem na ciebie, pogrążoną we śnie. Żeby zobaczyć, jak otwierasz oczy.

- To nie fair. - Głos jej się załamał. - To nie fair, że mówisz mi teraz coś takiego.

- Wiem. Powinienem być powiedzieć ci wtedy. Ale pozostała mi tylko terazniejszość.

Dotknął wargami jej ust, bardzo lekko. Skubnął delikatnie. Wyczuł, że jej ciało zaczyna się poddawać i stłumił pragnienie głębszego kontaktu.

Całował ją powoli, smakując to, co wcześniej pochłaniał, przedłużając to, co dawniej obydwójce robili tak niecierpliwie. W świetle gwiazd, gdy uniosła ramiona i otoczyła jego szyję, nie było miejsca na gwałtowność. Zastąpiło ją kuszenie.

Wciąż wirowali w tańcu. A może po prostu Danie zakręciło się w głowie? Wargi Jordana były ciepłe i nienatarczywe; wyczuwała w ich dotyku tłumiony żar i wewnętrzne napięcie. Z westchnieniem przyciągnęła go bliżej. I dała się porwać wzbierającej fali.

Delikatna, cierpliwa płynność. Chłodne powietrze muskające rozgrzaną skórę, zapachy wieczoru, bliskość ust, szepczących jej imię.

Jeżeli lata rozłąki stworzyły przepaść między nimi, pocałunek w opustoszałym ogrodzie stał się pierwszym krokiem do zbudowania mostu nad tą przepaścią.

Jordan całował czule jej dłoń.

- Daj mi szansę, Dano.

- Sam nie wiesz, o co prosisz. Nie, nie wiesz - uprzedziła jego protest. - Ajajeszcze nie znam odpowiedzi. Jeśli chcesz, żeby moja odpowiedź naprawdę coś znaczyła, musisz poczekać, aż sobie wszystko przemyślę.

- Dobrze. - Odsunął się odrobinę, nie puszczając jej rąk. - Zaczekam, ale naprawdę chciałbym ci pomóc. Niezależnie od tego, co jest między nami.

- Nad tym też muszę się zastanowić.

- W porządku.

Zawrócili w stronę parkingu, a Dana uświadomiła sobie w pełni, że nie jest tak po prostu zakochana w tym mężczyźnie. Zmienił się, jak sam zauważył. Przy tym, co teraz do niego czuła, dawna miłość wydawała się blada i ulotna jak wiosenna mgła.

Jordan zgasił światło na ganku i wszedł do domu. Pomyślał przy tym, że już od dawna nikt nie zostawił dla niego zapalonego światła.

Sam tego chciał. Sam dokonał wyboru. Wyjechał, zostawił Danę, przyjaciół, wszystko, co znał.

Postąpił słusznie, tego był pewien. Zrozumiał jednak, że w jego postępowaniu krył się błąd. Błąd, który wymazał cząstkę przeszłości. Jak można zbudować coś nowego na nietrwałych fundamentach?

Ruszył ku schodom i zatrzymał się na widok Flynna.

- Czekasz na mnie, tatuśku? Czyżbym wracał za późno?

- Widzę, że wieczór poza domem wprowadził cię w szampański nastrój. W takim razie zapraszam do gabinetu.

Nie czekając na odpowiedź, Flynn zawrócił w stronę kuchni. Rozejrzał się. Owszem, była paskudna, nawet on to widział. Stare niby-miedziane rondle, brzydkie szafki i linoleum, które zapewne wyglądało świeżo i nowocześnie za czasów jego dziadka.

Nadal jednak nie potrafił sobie wyobrazić, jak kuchnia będzie wyglądała po generalnym remoncie. I nie potrafił zrozumieć, dlaczego perspektywa rozebrania tego pomieszczenia na czynniki pierwsze i złożenia z powrotem sprawia Malory tak wielką przyjemność.

- W poniedziałek mają przyjść jacyś faceci, żeby obrócić to w perzynę.

- I bardzo dobrze - skomentował Jordan.

- Sam planowałem coś takiego, prędzej czy później. Właściwie nie używałem tej kuchni. Ale Malory z uporem przyrządza tu posiłki. - Kopnął kuchenkę. - Nienawidzi tego urządzenia. Aż mnie to przeraża.

- Ściągnąłeś mnie tutaj tylko dlatego, żeby porozmawiać o kuchennych obsesjach Malory?

- Nie. Zachciało mi się ciasteczka. Nie mogę ich jeść w łóżku, bo Malory sobie nie życzy. Pod tym względem zupełnie jej nie rozumiem - Flynn wyjął z kredensu paczkę „Chips Ahoy” - ale wyrozumiały ze mnie facet. Mleka?

- Nie, dziękuję.

Flynn ubrany był w szare spodnie od dresu i koszulkę z krótkimi rękawami, którą nosił zapewne jeszcze w college'u. Stopy miał bose, a twarz spokojną.

Pozory czasami bardzo mylą, pomyślał Jordan.

- Wcale nie jesteś taki wyrozumiały, Hennessy. Tylko udajesz, żeby postawić na swoim.

- Przecież nie jem w łóżku, sam widzisz.

- To małe piwo, synu. W łóżku masz kobietę.

- Owszem. - Flynn z szerokim uśmiechem nalał mleka do szklanki i usiadł, wyciągając nogi. - Mam kobietę, która wertuje książki, zamiast przerabiać ze mną zróżnicowane pozycje seksualne, ale gotów jestem zaczekać.

Jordan usiadł. Wiedział, że prędzej czy później Flynn powie, co mu leży na sercu.

- No więc, chcesz pogadać o swoim życiu erotycznym? Będziesz się przechwalał czy szukasz porady?

- Wolę działać niż się przechwalać i nieźle sobie radzę, dziękuję. - Zamoczył ciastko w mleku. - A jak tam Dana?

Dobre pytanie, pomyślał Jordan.

- Chyba trochę się niepokoi, ale nie traci ducha. Pewnie zauważyłeś tę górę książek, przez którą się przebija.

- Owszem, oczy mnie bołą na samą myśl. Co jeszcze?

- Wydaje się, że odzyskała równowagę po tamtej nocy. Może jest wystraszona, ale równocześnie zaciekawiona. Znasz ją.

- Jasne.

- Czemu nie zapytasz, jak się mają sprawy między nami?

- Żeby penetrować twoje osobiste życie?

- Wypchaj się, Hennessy.

- O, jakże twórczo i zwięźle to ująłeś. Wcale się nie dziwię, że odniosłeś sukces jako powieściopisarz.

- Poniekąd. - Jordan sięgnął po ciastko, na które zupełnie nie miał ochoty. - Wtedy, lata temu, sam wszystko popsułem. „Wyjeżdżam, fajnie było, no to do zobaczenia”. - Poczul ból w dole brzucha, gdy sobie o tym przypomniął. - Może nie dosłownie tak, ale coś w tym rodzaju. - Wbił zęby w ciastko, obserwując przy tym twarz przyjaciela. - Czy z tobą też wyszło mi nie tak?

- Może w pewnym sensie. - Flynn odepchnął łokciem ozdobną świecę i przesunął na środek stołu torbę z ciasteczkami. - Poczulem się trochę nieswojo, kiedy dałeś nogę, ale cię zrozumiałem. Cholera, sam miałem na to ochotę.

- Biznesmen, początkujący pisarz i zaangażowany dziennikarz. Wspaniała trójca.

- Przynajmniej tyle udało nam się osiągnąć, w ten czy inny sposób. Nigdy nie opuściłem miasta, choć taki miałem zamiar, dlatego patrzyłem na ciebie i Brada jak na coś w rodzaju przedniej straży. No, ale ja nie spałem z tobą.

- Ona mnie kochała.

Flynn odczekał chwilę, dostrzegając w twarzy przyjaciela irytację i zdumienie.

- Wreszcie zapaliła ci się w głowie żarówka? Coś ci tam nie działa, mój drogi.

- Wiedziałem, że mnie kocha. - Jordan z niesmakiem nalał sobie szklankę piwa. - Cholera jasna, Flynn, wszyscy się kochaliśmy. Byliśmy jak jedna rodzina. Nie zdawałem sobie sprawy, że wchodzi tu w grę duże M. Skąd facet ma to wiedzieć, dopóki kobieta nie spojrzy mu w oczy i nie powie: „Jestem w tobie zakochana, ty głupku”. Tego właśnie - ciągnął z narastającym gniewem - można by oczekiwać od Dany. Ona zazwyczaj w ten sposób załatwia sprawy. Ale nic nie powiedziała, więc skąd miałem wiedzieć? I wyszedłem na durnia.

Zaniepokojony chłodem Jordana, Flynn z ulgą zauważył u niego narastającą złość.

- Nie tylko w tym wypadku wyszedłeś na durnia. Mogę ci przedstawić listę.

- Ja tobie też, i byłaby dłuższa - mruknął Jordan.

- Chcesz się założyć? No to super.

Nie jest tylko rozzłoszczony, pomyślał Flynn, spoglądając na twarz przyjaciela. Jest nieszczęśliwy. Mimo to pewne rzeczy musiały zostać wypowiedziane. Głośno.

- Posłuchaj. Kiedy Lily mnie rzuciła, wybierając sławę i majątek w wielkim mieście, bardzo mnie to zabolowało. A przecież jej nie kochałem. Mieliście rację, ty i Brad. Wydawało mi się jednak, że ją kocham i kiedy mnie spławiła, byłem bliski załamania. Dana naprawdę cię kochała. Nie dziw się, że twój wyjazd, niezależnie od powodów, spała jej życie.

Jordan usiadł i w zamyśleniu przełamał ciastko na pół.

- Ostrzegasz mnie, żebym ponownie nie spała jej życia?

- Tak. Właśnie przed tym cię ostrzegam.

Rozdział dziewiąty

Dana próbowała rozładować seksualną i emocjonalną frustrację za pomocą książek. Skupiła się na swoim celu i przez pół nocy roztrząsała dane, słowa, przypisy oraz własne przypuszczenia związane z miejscem, w którym mógł znajdować się klucz.

Główną nagrodą za tę mrówczą pracę był potężny ból głowy.

Spała krótko i niespokojnie. Rano, gdy nawet Moe nie zdołał poprawić jej nastroju, postanowiła zastosować jako remedium wysiłek fizyczny.

Odwiozła Moego do Flynna i po prostu wpuściła go do środka, otworzywszy drzwi zapasowym kluczem. Ponieważ było to w niedzielę przed dziewiątą rano, zakładała, że wszyscy jeszcze śpią.

Jej stan ducha sprawił, że wykrzywiła usta w złośliwym uśmiechu, słysząc donośnie szczekanie, z jakim Moe popędził w górę po schodach.

- Bierz ich, Moe - rzuciła zachęcająco, po czym zamknęła drzwi i wróciła do samochodu.

Pojechała prosto do siedziby firmy. Do „Pokusy”, poprawiła się w myślach, parkując auto. To była „Pokusa”, a nie „firma” albo „ten budynek”, jak zdarzało jej się dotychczas myśleć.

Już od progu poczuła silny zapach świeżej farby. Przyjemny zapach. Kojarzył się z rozkwitem, czystością, sukcesem.

Może biała gruntowa powłoka nie wyglądała ładnie, ale za to jasno i pogodnie - i patrząc na nią, Dana uświadomiła sobie, jak wiele już udało im się zdziałać.

- No to do roboty.

Zakasała rękawy i ruszyła po farby i narzędzia.

Przyszło jej do głowy, że po raz pierwszy znalazła się tu sama. Zaraz potem pomyślała, że może prosi się o guza, przebywając samotnie w miejscu, w którym Kane już raz pokazał swą czarodziejską moc.

Zerknęła niespokojnie w górę schodów. I pomyślała o zimnej, błękitnej mgle. Zadygotała, jak gdyby chłód tej mgły już jej dosięgnął.

- Nie mogę się bać tu przebywać.

Słyszac echo własnego głosu, pożałowała, że nie przyniosła radia. Albo czegokolwiek, co wypełniłoby ciszę jakimkolwiek dźwiękiem.

Nie będę się bać, poprawiła się w myślach, otwierając puszkę farby. Jak którakolwiek z nich mogła uczynić to miejsce swoim domem, jeśli lękały się *znaleźć* w nim same?

Kiedyś niewątpliwie musiało się zdarzyć, że któraś z nich przyjdzie wcześniej lub wyjdzie później niż pozostałe. Nie mogły bez przerwy trzymać się razem. Należało przywyknąć do ciszy i do odgłosów domu. Normalnej ciszy, normalnych odgłosów, powtarzała sobie w duchu. Do diabła, przecież lubiła samotność i lubiła mieć wielki pusty dom tylko dla siebie. Były to chwile specjalnie przeznaczone dla niej.

Wspomnienie paskudnych gierek Kane'a nie mogło jej odstraszyć.

Ponadto nie musiała rywalizować z przyjaciółkami o supermaszynę do nakładania farby.

Mimo to, zaczawszy pracę, pożałowała, że nie słyszy głosów Malory i Zoe, tak jak przedtem, gdy zmieniały te wszystkie puste pokoje w jasne i pogodne wnętrza.

Pocieszyła się, że skończyły pomieszczenia Malory i zdążyły sporo zrobić w jej, Dany, części domu. To byłaby frajda, dokończyć robotę własnymi rękoma.

Mogła bawić się w myślach ustawianiem regałów. Czy dać, na przykład, kryminały tutaj, czy to lepsze miejsce na literaturę faktu? A może na sprawy lokalne?

I czy nie będzie fajnie rozłożyć albumy na niskim stoliku?

Być może uda jej się gdzieś dostać starą biblioteczkę do działu kawiarnianego. Wstawiłaby do niej puszki z herbatą, kubki, książki. Czy powinna zdecydować się na urocze okrągłe stoliki, które kojarzyły jej się z lodziarnią, czy na poważniej wyglądające kwadratowe? I czy ten pokój jest idealnym miejscem, by urządzić

w nim przytulny kącik do czytania, czy rozsądniej byłoby wyko-
rzystać go jako pomieszczenie do zabawy dla małych dzieci?

Obserwowanie, jak ruch za ruchem czysta biała farba pokrywa
mdły beż, zaznaczając prawo własności Dany miało działanie te-
rapeutyczne. Nikt nie mógł jej stamtąd wypędzić, tak jak wypę-
dzono ją z biblioteki. Tym razem pracowała na własny rachunek
i sama określała reguły.

Nikt nie odbierze jej tego marzenia, tej miłości, tak jak kiedyś
odebrano jej inne marzenia. I inne miłości.

- Sądysz, że to ma znaczenie? Sklepić w małym miasteczku?
Chcesz pracować, zмагаć się z losem, troszczyć, wkładać tyle my-
śli i serca w coś nieważnego? I dlaczego? Ponieważ nic innego nie
masz. Ale mogłabyś mieć.

Poczuła zimny dreszcz. Zaczęła oddychać zbyt szybko, mięśnie
brzucha skurczyły się niemal boleśnie. Przesuwała wałkiem po
ścianie, słuchała cichego warkotu silniczka. Nie mogła przestać
malować.

- Dla mnie to ma znaczenie. Wiem, czego chcę.

- Czyżby?

Był tutaj. W jakiś sposób się tu znalazł. Wyczuwała go w na-
głym lodowatym podmuchu. Być może stanowił jego uciele-
śnienie.

- Twoje miejsce na ziemi. Już ci się wydawało, że na nie zapra-
cowałaś, służąc innym. Ale czy kogokolwiek obchodzi, że ode-
szłaś?

Cios był celny. Czy ktoś w ogóle zauważył jej nieobecność w bi-
bliotece? Ludzie, z którymi i dla których pracowała? Czytelnicy,
którym pomagała? Czy okazała się tak łatwa do zastąpienia, iż jej
nieobecność przeszła bez najmniejszego echa?

Czy liczyła się dla kogokolwiek?

- Ofiarowałaś serce i przywiązanie mężczyźnie, który odtrącił
cię bez chwili wahania. Jak wiele dla niego znaczyłaś?

Niezbym wiele, pomyślała.

- Mogę to zmienić. Mogę ci go dać. Mógłbym ci dać mnóstwo
rzeczy. Pragniesz sukcesu?

Księgarnia była pełna ludzi. Półki uginały się pod ciężarem
książek. Przy zgrabnych stolikach klienci popijali herbatę i roz-
mawiali. Dana zauważyła chłopca siedzącego po turecku na pod-
łodze w kącie z otwartą książką przyrodniczą na kolanach. Cała
sceneria łączyła w sobie atmosferę relaksu i ruch w interesie.

Ściany mają wręcz idealny odcień, pomyślała. Malory dokonała słusznego wyboru. Oświetlenie stwarzało ciepły, przyjazny nastrój - i te wszystkie książki, ustawione na regałach lub kusząco rozłożone do przeglądania.

Krażyła niczym duch, przenikając na wylot przez ludzi, którzy wertowali lub kupowali książki, stali albo siedzieli. Widziała znajome i obce twarze, słyszała głosy, czuła zapachy.

Tu i ówdzie dostrzegała atrakcyjne, interesujące dodatki. Na przykład papeterie, które zamierzała dołączyć do oferty. Zakładki, podpórki. A fotel, czyż nie nadawał się doskonale do tego, by w nim usiąść i czytać? Obszerny, głęboki, zapraszający.

Bardzo mądrym pomysłem było urządzenie kuchni jako wspólnej przestrzeni - z książkami, świecami, balsamami kosmetycznymi i dziełami sztuki, które w efektowny sposób się uzupełniały.

Uświadomiła sobie, że to jej wizja. Spełnienie wszystkich nadziei i marzeń.

- To niewątpliwie przyjemne, ale ci nie wystarczy.

Odwróciła się i wtedy go zobaczyła. Nie zdziwiło jej wcale, że Kane stoi tuż obok, podczas gdy ludzie przechodzą wokół nich i poprzez nich.

Kto tu jest duchem? - przemknęło jej przez głowę.

Był smagły i przystojny, niemal jak bohater romantyczny. Czarne włosy okalały urzekającą twarz o wyrazistych rysach. Oczy uśmiechały się do niej, lecz mimo to tliło się w nich coś przeżającego.

- Dlaczego nie wystarczy?

- Co będziesz robiła wieczorami? Przesiadywała samotnie, mając tylko książki do towarzystwa? Kiedy wszyscy inni powrócą do swoich bliskich? Czy ktokolwiek pomyśli o tobie choć raz, znalazłszy się za drzwiami?

- Mam przyjaciółki. Mam rodzinę.

- Twój brat związał się z kobietą, a ona z nim. Nie ma między nimi miejsca dla ciebie, nieprawdaż? Druga twoja przyjaciółka ma syna i na zawsze pozostanie dla nich osobą z zewnątrz. Opuszcza cię, tak jak wszyscy inni.

Jego słowa raniły serce jak zatrute strzały. Zauważyła, że uśmiecha się do niej - niemal życzliwie.

- Mogę sprawić, że zostanie z tobą. - Mówił teraz łagodnym tonem, jak do kogoś, kogo skrzywdzono. - I zapłaci za to, co ci zrobił, za lekceważenie, niezdolność zrozumienia twoich pragnień.

Czy nie chciałabyś, żeby cię kochał tak, jak nigdy nie kochał żadnej kobiety? A ty, zależnie od kaprysu, będziesz go mogła zatrzymać albo porzucić.

Znalazła się w pokoju, którego nie rozpoznała, ale w jakiś sposób wydał jej się znajomy. Duża sypialnia, nasycona barwami. Ciemnobłękitne ściany, ogromne łoże przykryte rubinową narzutą i poduszkami w kolorach klejnotów. Dwa wygodne fotele stały przed kominkiem, na którym płonął trzaskający ogień. Siedziała w jednym z tych foteli, mając u stóp Jordana. Ręce mu drżały, kiedy ścisnął jej dłonie.

- Kocham cię, Dano. Jesteś całym moim życiem. Bez ciebie nie ma ono sensu.

Coś tu było nie w porządku. Nigdy przedtem nie okazywał słabości, nie błagał.

- Przestań.

- Musisz mnie wysłuchać - podjął żarliwie i złożył głowę na jej kolanach. - Musisz dać mi szansę, żebym dowiódł, jak bardzo cię kocham. Opuszczenie ciebie było największym moim błędem. Odtąd nic, cokolwiek zrobiłem, nie miało znaczenia. Spełnię każdy twój rozkaz. - Uniósł głowę i Dana z lekką *zgrozą* dostrzegła łzy w jego oczach. - Będę taki, jakim zechcesz mnie widzieć. Jeśli tylko mi wybaczysz i pozwolisz, abym wielbił cię nieustannie, do końca moich dni.

- Odczep się ode mnie! - Wstrząśnięta i przerażona, mocno odepchnęła Jordana i zerwała się z fotela.

- Kop mnie. Bij mnie. Zasłużyłem na to. Tylko pozwól mi zostać przy tobie.

- Myślisz, że tego właśnie pragnę? - krzyknęła, odwracając się gwałtownie. - Wydaje ci się, że nade mną zapanujesz, przetwarzając moje myśli w obrazki? Nie pojmujesz moich pragnień i dlatego wygram z tobą. Wypchaj się, dupku. A to, co pokazujesz, jest nie tylko kłamstwem, ale w dodatku żalosnym kłamstwem.

Jej pełen furii głos odbił się echem od ścian pustego pokoju. Wałek do malowania leżał na podłodze.

Na białej ścianie widniały smolście czarne litery, układające się w słowa:

„Topić się?”

- Niedoczekanie, ty draniu. - Choć trzęsły jej się ręce, podniosła wałek i zamalowała czarny napis na białe. Wtem jej dłonie znieruchomiały, palce zacisnęły się na uchwycie. - Zaraz, chwileczkę!

Czując zamęt w głowie, upuściła wałek, z którego bryznęła farba, złapała torebkę i wybiegła, jakby ścigali ją wszyscy bogowie.

Kilka chwil później wpadła do swojego mieszkania. Rzuciła torebkę i sięgnęła po wypożyczony z biblioteki egzemplarz „Otella”.

- „Topić się, topić się?”. To gdzieś tu jest. - Zaczęła przewracać strony, gorączkowo usiłując przypomnieć sobie scenę i kontekst.

Chodziło o rozmowę Jagona z Roderigiem, podczas której Jago stosuje jeden ze swych podstępów. Pamiętała to.

Znalazłszy, czego szukała, usiadła na podłodze.

- „To tylko żądza obudzona we krwi za zgodą woli” - przeczytała głośno. - „Bądź mężczyzną. Topić się? Top koty i ślepe szczenięta”.

Starła się odzyskać spokój.

Żądza obudzona we krwi za zgodą woli. Tak, to trafnie określało nikczemne postęпки Kane'a.

Zazdrość, intryga, zdrada i ambicja. To, co wiedział Jago, a czego nieświadom był Otello. Kane jako Jago? Bóg-król jako Otello? Król nie zabił, lecz mimo to utracił córki, które kochał, za sprawą kłamstw i ambicji.

A ta sztuka... niewątpliwie zawierała w sobie także piękno, prawdę i odwagę. Czy była kluczem?

Nakazując sobie metodyczne działanie, przekartkowała książkę i zajrzała pod oprawę. Następnie powtórzyła te czynności z własnym egzemplarzem. Zmusiła się, by usiąść i przeczytać na nowo całą scenę.

Były jeszcze inne wydania dramatu. Postanowiła pojechać do księgarni w centrum handlowym i tam się rozejrzeć. W poniedziałek mogła znowu wstąpić do biblioteki. Wstała i zaczęła krążyć po pokoju.

W Valley znajdowały się zapewne dziesiątki rozmaitych wydań „Otella”. Uznała, że zajrzy do szkół, do cołlege'u. Będzie chodziła po domach, jeśli to się okaże konieczne.

- Sam się utop - mruknęła i zgarnęła z podłogi torebkę. Pojedzie do centrum handlowego teraz, zaraz.

Szarpięciem otworzyła drzwi, gdy nagle uderzyła ją pewna myśl. Wściekła na siebie, cofnęła się o dwa kroki i zatrzasnęła drzwi z powrotem.

Była głupia, dała się nabrać. Idiotka. Kto zostawił napis na ścianie? Kane. Kłamca zacytował kłamcę. To nie wskazówka, tylko błędny trop, żeby skreśliła w ślepa uliczkę. Co też uczyniła.

- Cholera jasna! - Cisnęła torebką przez cały pokój. - Zwyczajne kłamstwo czy pokrętnie wyrażona prawda? Jak z tym jest?

Z rezygnacją przemierzyła pokój, by podnieść torebkę. Musiała się przekonać, więc wyglądało na to, że mimo wszystko odbędzie wycieczkę do centrum.

Wróciwszy do domu, Dana pomyślała, że zachowuje się dość spokojnie jak na osobę, która spędziła całe przedpołudnie na szukaniu wiatru w polu. Mimo to wołała, by Zoe i Malory przyjechały jak najprędzej. Kilka godzin w towarzystwie przyjaciółek przynajmniej podniesie ją na duchu.

Zjedzą coś, pogadają. A Zoe - gdy Dana zadzwoniła i powiedziała, że potrzebuje ich obecności - obiecała zrobić pedikur.

Niezły interes.

Zaniosła do kuchni chińskie potrawy, które kupiła po drodze, postawiła je na blacie. A potem po prostu stała przez chwilę bez ruchu.

No dobrze, przyznała, może nie była tak zupełnie spokojna. Jeszcze nie. W głowie dudniły jej echa porannego strachu i późniejszej frustracji.

Poszła do łazienki, wyjęła z apteczki fiolkę ekstramocnego tylenolu i popiła dwie tabletki wodą z kranu.

Może, powinna wybrać drzemkę zamiast towarzystwa. Ale, niezależnie od bólu głowy i lekkich mdłości, nie chciała być teraz sama.

Słyszając pukanie, niemal podbiegła do drzwi.

- Dobrze się czujesz? - Zoe postawiła torby, które niosła, na podłodze i otoczyła Dane ramionami. - Przepraszam, że dopiero teraz przyjechałam.

- Nie ma za co. Nic mi nie jest. - Dana zdała sobie sprawę, że to nieporównanie lepsze niż drzemka. - Naprawdę się cieszę, że cię widzę. Co z Simonem?

- Flynn się nim zajmie. To bardzo miło z jego strony. Obaj z Jordanem zabiorą go do Bradleya. Będzie mógł z nimi pograć, pobiegać z Moem, zjeść coś niezdrowego, pooglądać mecz. Jest zachwycony. Czy Mai jeszcze nie dotarła? Wyjechała przede mną.

- Depczę ci po piętach! — Malory nadeszła szybkim krokiem i zanim przekroczyła próg mieszkania, pokazała pudełko z cukierkami. - Zatrzymałam się po drodze. Czekoladowe ciastka z kremem karmelowym.

- Kocham was, dziewczyny. - Głos Dany załamał się przy tych

słowach i ze zgrozą przycisnęła oczy palcami. - O Jezu, jestem w gorszej formie, niż myślałam. Nie ma co, parszywy dzień.

- Chodź, skarbie, usiądź. - Zoe wzięła sprawy w swoje ręce i poprowadziła przyjaciółkę w stronę sofy. - Rozluźnij się trochę. Zrobię ci coś do jedzenia.

- Mam chińszczyznę. W kuchni.

- Świetnie. Posiedź sobie spokojnie, a my się wszystkim zajmujemy.

Rozstawiły talerze, zaparzyły herbatę, okryły kapą nogi Dany i w ogóle zrobiły to, co kobiety robią instynktownie, by kogoś pocieszyć.

- Dziękuję wam. Poważnie. Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem tak bliska załamania. Drań naprawdę dopiekl mi do żywego.

- Opowiedz, co się stało. - Malory pogładziła włosy Dany.

- Pojechałam do naszego domu malować ściany. Obudziłam się rozdrażniona i musiałam się czymś zająć. - Zerknęła na Malory. - Przepraszam, że poszczułam cię Moem o tak wczesnej porze.

- Nie ma za co.

- No więc - Dana zwilżyła gardło herbatą - zaczęłam malowanie. To było przyjemne uczucie i wyobrażałam sobie, jak wszystko będzie wyglądało. Wtedy on się zjawił.

Kontynuowała opowieść najskładniej jak potrafiła, lecz po chwili Zoe przerwała jej z oburzeniem:

- To bzdura! Bezczelne kłamstwo. Oczywiście, że się liczysz. On nie ma o tych sprawach zielonego pojęcia.

- Po prostu gra na moich słabościach. Jestem tego świadoma. Nie chciałam się przyznać, jak bardzo mnie przygnębiło odejście z biblioteki. Odnosiłam wrażenie, że to, co tam robiłam, nie miało znaczenia dla nikogo prócz mnie. Kane wykorzystuje takie myśli, potęguje je, żeby bardziej bolały.

Sięgnęła po filiżankę i opisała pokoje po ich przeobrazeniu w kompletnie urządzone księgarnię.

- To była moja własna wizja - ciągnęła. - Nawet nie do końca uświadamiałam sobie, że ją mam. Ukazywała nie tylko wygląd, lecz także oddawała atmosferę tego miejsca, które, rzecz jasna, wypełniały tłumy czytelników. - Dołeczki w jej policzkach pojawiły się i zniknęły. - Zasugerował, że jest to możliwe tylko z jego pomocą. Mylił się. No dobrze, czytelnicy niekoniecznie będą się pchali drzwiami i oknami, ale wygląd i atmosfera zależą ode mnie. Od nas. Zrobimy, co w naszej mocy.

- Cholerna racja. - Siedząca na podłodze Zoe uściśnęła kolano Dany.

- A potem przerzucił się na Jordana. Muszę teraz zjeść coś słodkiego. - Pochyliła się i wzięła ciastko ze sterty ułożonej przez Malory na talerzu. - Znalazłam się w bajecznej sypialni, jednym z moich wymarzonych pokoi. Wiecie, takim, jak się urządza w myślach, jak się człowiekowi żywnie podoba. No a Jordan kłęczy przede mną w pozie suplikanta. Jest bliski łez, mówi, jak bardzo mnie kocha i że nie potrafi beze mnie żyć. Takie różne brednie, które nigdy nie przeszłyby mu przez usta. Kiedyś zmuszałam go w myślach do takich wyznań, by móc mu potem dołożyć. Odplącić za to, co zrobił. - Ze świstem wypuściła powietrze. - Rany, powiedział nawet, żebym go biła, kopała, cokolwiek zechcę. - Umilkła, słysząc chichot, i wbiła spojrzenie w Zoe. Potem jej usta zadrgały lekko. - No tak, może to brzmi zabawnie. Hawke, który płacze u moich stóp i błaga, abym pozwoliła mu się wielbić do końca życia.

Malory również zdecydowała się na ciastko.

- Co miał na sobie?

Po długiej chwili milczenia Dana Wybuchnęła śmiechem. Ból, napięcie, złe samopoczucie rozwiały się jak dym.

- Dzięki! Kurczę, gdy pomyślę, że gotowa byłam beczeć jak dziecko... Czułam się nawet winna, bo ta scena z Jordanem przypominała niektóre gry mojej wyobraźni. Jak to on zrozumie swój straszny błąd, wróci pokornie i będzie błagał o przebaczenie. Wiecie, w myślach coś takiego daje satysfakcję. Ale powiem wam, że kiedy dzieje się naprawdę, czy choćby tak się człowiekowi wydaje, jest to po prostu okropne. Dlatego, ogólnie rzecz biorąc, powiedziałam Kane'owi, żeby pocałował mnie w tyłek i znalazłam się w punkcie wyjścia.

Zoe zdjęła Danie buty i zaczęła masować jej stopy.

- Faktycznie miałaś paskudne przedpołudnie.

- I jeszcze jedno. Zobaczyłam na ścianie czarny napis: „Topić się?”. Zamalowałam go.

- To ohydne. Chciał ci przypomnieć tamtą wyspę i nawałnicę - mruknęła Zoe. - Wpadł w złość i tyle. Nawet nie potrafił ci wmówić, że wizje, które pokazuje, są prawdziwe. Od początku wiedziałś, kto się za tym kryje.

- Sądzę, iż właśnie o to mu chodziło - odparła Dana z zadumą.

- Przypuszczam, że próbuje nowej metody ataku. Ale napis nie

odnosił się do wyspy. To był cytat z „Otella”. Rozpoznałam go niemal natychmiast i Kane wiedział, że go rozpoznam. Wybiegłam stamtąd jak wariatka, żeby to sprawdzić. Żeby poszukać klucza w książce.

- W tej książce? - Zoe odwróciła się i wzięła jeden egzemplarz ze stolika. - Nie wiem, jak ty potrafisz coś takiego zapamiętać. Masz prawdziwy talent. Czemu jednak Kane miałby ci dawać wskazówki?

- Bystrość umysłu to dopiero prawdziwy talent - westchnęła Dana. - Dałam się nabrać. Myślałam tylko o tym, że znam ów cytat i że już wcześniej zwróciłam uwagę na fakt, w jak wielkim stopniu Jago przypomina Kane'a. Ruszyłam więc z kopyta, bez namysłu, najgłębiej przekonana, że klucz wpadnie prosto w moją nadstawioną dłoń. - Odchyliła się na oparcie. - Nawet gdy mnie wreszcie oświeciło, musiałam doprowadzić sprawę do końca. No i straciłam pół dnia na pogoni za mrzonkami.

- Nie straciłaś, jeśli potrafiłaś go rozgryźć. Wiedziałaś, że kłamie na temat księgarni - zauważyła Malory. - „Rozpoznaj prawdę w jego kłamstwach”... czy nie tak to szło? Rozpoznałaś prawdę. Zrozumiałaś, że napis miał cię zmylić. Gdybyś tego nie sprawdziła, nie byłabyś pewna.

- Chyba nie. Ale i tak będę wertować każde wydanie tej sztuki, na jakie natrafię.

- Zrozumiałaś dzisiaj coś bardzo ważnego. - Malory poklepała przyjaciółkę po kolanie. - Wezwałaś nas, ponieważ jest to nasze wspólne przedsięwzięcie. A prócz tego, choć takie fantazje dają satysfakcję, gdy czujesz ból albo wściekłość, nie chcesz widzieć Jordana w roli fagasa.

- No cóż... może przez dzień czy dwa. Zwłaszcza jeśli Zoe nauczy go masażu stóp. - Dana odchyliła głowę, próbując się odprężyć. - Problem w tym, że... jestem w nim zakochana. Głupota i strata czasu. - Wydała przeciągłe westchnienie. - Nie wiem, co do jasnej cholery mam zrobić.

Malory podsunęła jej talerz.

- Zjedz jeszcze jedno ciastko.

Jeżeli nawet coś jej się śniło, Dana po przebudzeniu nic nie pamiętała. Półmrok i monotony szum deszczu skłoniły ją do przewrócenia się na drugi bok, by ponownie zapaść w sen.

Moe miał odmienny pogląd na tę sprawę.

Nie było wyjścia; narzuciła na siebie byle co, włożyła czapkę baseballową i stare botki. Zrezygnowała z parasola na korzyść kubka kawy i przespacerowała się z psem w deszczu, pobudzając organizm kofeiną.

Ponieważ obydwójce przemokli do nitki, musiała zaciągnąć Moego do łazienki. Skomlał, wył i zapierał się wszystkimi czterema łapami, zupełnie jakby wlokła go na rzeź. Zanim wytarła podopiecznego do sucha, trudno ich było odróżnić po zapachu - dominowała woń mokrej psiej sierści.

Prysznic i drugi kubek kawy postawiły Dane na nogi. Zastanawiała się właśnie, która książka najlepiej się nadaje na deszczowy poranek, gdy zadzwonił telefon.

Dziesięć minut później odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się szeroko do Moego.

- Wiesz, kto dzwonił? Pan Hertz. Zapewne nie miałeś okazji poznać pana Hertza ani pana Foya, którzy uczestniczą w najdłuższej prowadzonym konkursie wiedzy ogólnej w naszym pięknym powiecie. Obydwaj zawodnicy najwyraźniej przypuszczali, że mówiąca te słowa jest na urlopie i dlatego nie pełni swej zwykłej funkcji mistrzyni ceremonii.

Niedorzecznie rozradowana, weszła do kuchni, by nalać sobie trzeci kubek kawy.

- Dziś rano jednak pan Foy wstąpił do biblioteki, gdzie go poinformowano, że już nie należę do grona pracowników. - Oparła się o blat i wypić łyk kawy, podczas gdy Moe sprawiał wrażenie gorliwego słuchacza. - Padły pytania, na które odpowiadała głównie obrzydliwa Sandi. Pan Foy, wedle słów pana Hertza, wyraził opinię, iż zwolnienie mnie jest, cytat, „skandalem i podłym świństwem”, koniec cytatu, następnie zaś opuścił gmach.

Zasłuchany Moe przekrzywił łeb i zaczął ziajać.

- Wkrótce potem współzawodnicy odbyli nieoficjalną naradę w jadłodajni przy Main Street i doszli do wniosku, że jeśli kierownictwo miejskiej biblioteki w Pleasant Valley nie potrafi docenić takiego skarbu jak ja, nie życzą sobie w dalszym ciągu zasięgać informacji w tej instytucji. Pan Hertz zapytał, czy wobec tego nie zechciałabym rozstrzygać ich zakładów jako wolny strzelec.

Ponieważ był z nią jedynie Moe, który okazywał pełne zrozumienie, nie poczuła zakłopotania, gdy łza spłynęła jej po policzku.

- Wiem, że to głupie tak się wzruszać, ale nic nie poradzę. Po prostu miło się dowiedzieć, że komuś mnie brakowało. - Pociągnę-

ła nosem. - W każdym razie, muszę sprawdzić w Internecie, kiedy wyprodukowano pierwsze pudełko pizzy w proszku. - Z kubkiem w ręku ruszyła w stronę stojącego na biurku komputera. - Skąd oni biorą takie pytania?

To zdarzenie pobudziło Dane do działania. Uznała je za symboliczne, zyskała potwierdzenie słuszności swego celu, a także miejsca w społeczeństwie. Pleasant Valley było dla niej czymś niezmiernie ważnym i stan przejściowy - między biblioteką a księgarnią - w jakim się znalazła, sprawiał, że czuła się pozbawiona praw obywatelskich.

Nie chodziło o nawał pracy, lecz o fakt, iż wszystko, co robiła w przeszłości, wydawało się mieć znaczenie wyłącznie dla niej samej.

Z zapałem rzuciła się w wir zajęć, składała zamówienia na książki i otwierała rachunki. Jej nastrój poprawił się do tego stopnia, że gdy pukanie do drzwi oderwało ją od wertowania książek związanych z kluczami, nawet nie poczuła irytacji. I tak już czas rozprostować nogi.

Zmarszczyła brwi na widok chłopaka, który stał w progu i trzymał pojedynczą czerwoną różę w wąskim, przezroczystym flakonie.

- Rozglądasz się za dziewczyną? Milutki jesteś, ale dla mnie trochę za młody.

Oblał się rumieńcem, dorównującym barwą róży.

- Tak, proszę pani. Nie, proszę pani. Dana Steele?

- Zgadza się.

- To dla pani. - Wręczył jej kwiat i czmychnął co sił w nogach.

Wciąż ze zmarszczonymi brwiami Dana zamknęła drzwi, a potem zdjęła karteczkę przywiązaną do flakonu.

„Przypomina mi Ciebie. Jordan”.

Myślami Jordan przebywał w puszczy na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku. Tropiono go. Jego bronią był rozum, siła woli i pragnienie, by znowu zobaczyć swoją kobietę. Gdyby zdołał przetrwać następne pięć minut, przetrwa i dziesięć. A jeżeli dziesięć, to i godzinę.

Drapieżnik, który go ścigał, zamierzał nie tylko odebrać mu życie. Polował na jego duszę.

Pasma mgły pęłzały w dole niczym szare węże. Krew przesiąkała przez prowizoryczny bandaż na ramieniu i jej krople skapy-

wały na ziemię. Ból wyostrzał jego zmysły, przypominał, że ma do stracenia coś więcej niż trochę krwi.

Powinien był się domyślić, że to pułapka. Popełnił błąd. Ale teraz nie miał już odwrotu, żale i modlitwy na nic nie mogły się przydać. Jedyne, co mu pozostało, to działanie. Utrzymanie się przy życiu.

Usłyszał jakiś szmer. Z lewej strony? Jak gdyby coś potężnego przesuwano się przez mgłę. Wycofał się między drzewa, przylgnął plecami do pnia.

- W co ty się, u diabła, bawisz?

- Jezu Chryste. - W jednej chwili wrócił z wyimaginowanego świata, który prznosił na monitor błyskawicznymi ruchami palców śmigających po klawiaturze. Z szumem w uszach, wywołanym tym nagłym powrotem, wpatrzył się w Dane.

Stała w progu z dłońmi na biodrach i mierzyła go podejrzliwym spojrzeniem.

- W coś, co nazywam zarabianiem na życie. Piszę. Idź sobie i przyjdź później.

- Mówię o kwiatku i mam takie samo prawo tu być jak ty. To dom mojego brata.

- A to jest obecnie mój pokój w domu twojego brata.

Rozejrzała się z szyderczym błyskiem w oku. Nieposłane łóżko, jej własna komoda z lat dzieciństwa, którą podarowała Flynnowi, gdy kupił dom, otwarta walizka na podłodze. Biurko, przy którym Jordan pracował, należało do Flynnna w czasach, kiedy był nastolatkiem; z boku brakowało jednej szuflady. Na blacie Dana zauważyła laptopa, kilka teczek i książek, paczkę papierosów i metalową popielniczkę.

- Przypomina raczej stację przeładunkową - skomentowała.

- Nie musi być ładny. - Z rezygnacją sięgnął po papierosa.

- Idiotyczny nałóg.

- Tak, tak, tak. - Zapalił i bez pośpiechu wydmuchał dym. - Pół paczki dziennie i to przeważnie przy pracy. Przestań się czeptać. O co ty się właściwie wściekasz? Myślałem, że kobiety lubią dostawać kwiaty.

- Przysłałeś mi pojedynczą czerwoną różę.

- Owszem.

Przyjrzał jej się uważniej. Włosy ściągnęła do tyłu, a zatem pracowała. Nie zawracała sobie głowy makijażem, więc nie zamierzała nigdzie wychodzić. Miała na sobie dzinsy, wypłowiałą sportową koszulę i czarne skórzane botki na niskim obcasie.

Znając ją, domyślił się, że planowała pracę w domu, a potem złapała w pośpiechu pierwszą parę butów, jaka nawinęła jej się pod rękę.

A to oznaczało, że kwiat spełnił swoje zadanie.

- Manewr z czerwoną różą jest ponoć bardzo romantyczny. - Uśmiechnął się z odcieniem samozadowolenia.

Dana wkroczyła do pokoju, omijając walizkę.

- Napisałeś, że przypomina ci mnie. Co to niby ma znaczyć?

- Wysoka, seksowna i ładnie pachnie. O co ci chodzi, Żyrafo?

- Słuchaj, nasza sobotnia randka miała styl i rozmach. Dobra robota. Ale jeśli sądzisz, że podbijesz mnie wyszukaną kolacją i kwiatkiem, to grubo się mylisz.

Zauważyła, że się nie ogolił i przydałaby mu się wizyta u fryzjera. Niech to szlag, zawsze ją pociągał ten jego wygląd na-pograniczu-abnegacji.

Zanim zdał sobie sprawę, że nie jest sam w pokoju, jego twarz miała szczególny wyraz - rozmarzony i jakby nieobecny. Wargi zaciskały się z posępną stanowczością. Dana musiała przytrzymać się futryny, by natychmiast nie podbiec i nie ugryźć go w usta.

Teraz patrzył na nią z zuchwałym półuśmiechem. Sama nie wiedziała, czy go trzasnąć, czy rzucić się na niego.

- Już nie jestem małą dziewczynką, która buja w obłokach i... z czego się cieszysz?

- Ściągnąłem cię tutaj, czyż nie?

- Ale tu nie zostanę. Przyszłam ci tylko powiedzieć, że takie sztuczki to nie ze mną.

- Tęskniłem za tobą. Dopiero teraz widzę, jak bardzo.

Jej serce zabiło mocniej i zostało bezlitośnie zignorowane.

- To także do mnie nie przemawia.

- A co przemawia?

- Mógłbyś dla odmiany spróbować zwyczajnej szczerości. Powiedzieć, czego właściwie chcesz, prosto z mostu, bez tych wszystkich głupawych zagrań. Oklepanych, nawiasem mówiąc - dodała, gdy zgasił papierosa i wstał.

A oklepane chwytły dlatego stają się oklepane, pomyślała, że są cholera jasna, skuteczne.

- W porządku. - Stanął przed nią, zahaczył palcami o wycięcie jej koszuli i pociągnął ku sobie. - Nie mogę o tobie zapomnieć, Dano. Chwilami udaje mi się zepchnąć cię na obrzeża świadomości, ale ciągle tam tkwisz. Jak drzazga.

- Więc mnie wyrwij. - Uniosła podbródek. - Nie krępuj się.

- Wolę, żebyś została. Może jestem z natury cierpiętnikiem. Podobasz mi się, gdy tak pogardliwie krzywisz usta i pachniesz deszczem.

Uniósł ręce, ściągnął z jej włosów opaskę i odrzucił na bok. Jego palce zastąpiły opaskę.

- Chcę z tobą pójść do łóżka, teraz, zaraz. Chcę się w tobie zanurzyć. A kiedy skończymy, chcę to zrobić jeszcze raz. - Przechylił głowę, patrząc jej prosto w oczy. - Jak mi idzie z tą szczerością?

- Całkiem nieźle.

Rozdział dziesiąty

Wpatrywał się w Dane, próbując ocenić jej nastrój.

- Jeśli to nie znaczy „tak” - zaczął wreszcie - lepiej bierz nogi za pas. Szybko.

- To...

Dalszy ciąg zdania uwiązał jej w gardle, gdy Jordan gwałtownym ruchem porwał ją na ręce.

- Za późno. Przegrywasz walkowerem.

Starła się zmarszczyć groźnie brwi, lecz przeszkadzał jej w tym dreszcz emocji i lekki zawrót głowy.

- Może mnie podniecasz tylko dlatego, że jesteś jednym z nielicznych facetów, którzy huśtają mną, jakbym należała do wagi piórkowej.

- To już coś. Podoba mi się twoja figura, Żyrafo. Rozległe przestrzenie, czekające na odkrycie. Ile ważysz? - Zakołysał nią. - Jakież sto pięćdziesiąt funtów?

Jej oczy błysnęły gniewnie.

- Myślisz, że po takiej uwadze zmięknę jak wosk?

- A każda cudowna uncja na swoim miejscu.

- Nieźle z tego wybrnąłeś.

- Dziękuję. Twoja twarz też mi się podoba.

- Jeśli teraz powiesz, że widać w niej siłę charakteru, zrobię ci coś złego.

- Te tajemnicze ciemne oczy. - Położył ją na łóżku. - Nigdy nie potrafiłem wyrzucić ich z pamięci. I te usta. Smakowite jak dojrziałe wiśnie. - Delikatnie skubnął zębami jej dolną wargę. - Godzinami mogłem rozmyślać o twoich ustach.

Jeszcze nie zmiękła, choć musiała przyznać, że poczuła wewnątrz obezwładniające ciepło.

- Jesteś w tym lepszy niż dawniej.

- Cicho bądź. Ja tu pracuję. - Przesunął wargami po jej policzku. - No i te dołeczki. Zaskakujące, kapryśne, dziwnie seksowne. Zawsze mi się podobałaś.

Znowu pochylił się nad nią i długi, powolny, głęboki pocałunek rozszedł się rozkoszną falą po całym jej ciele, aż do palców stóp.

O tak, pomyślała, teraz był w tym znacznie lepszy.

- Pamiętasz nasz pierwszy raz?

Wygięła się lekko i obróciła głowę w bok, gdy musnął nosem jej szyję.

- Omal nie podpaliliśmy dywanu w salonie, więc trudno było by zapomnieć.

- Cała tłumiona namietność i energia. Aż dziw, że to przeżyliśmy.

- Byliśmy młodzi i odporni.

Popatrzył na nią z uśmiechem.

- A teraz jesteśmy starsi i mądrzejsi. Zamierzam doprowadzić cię do szaleństwa i będzie to trwało bardzo długo.

Napięte mięśnie brzucha przebiegł dreszcz. Pragnęła być dotykana. Pragnęła dzielić z kimś doznania, a z Jordanem zawsze było to możliwe.

Wychodząc ze swojego mieszkania, wiedziała, że wylądują w łóżku. Może w głębi duszy czuła, że tak się stanie, już w chwili, gdy otworzyła drzwi domu Flynnna i ujrzała Jordana.

Pragnęli się wzajemnie. Mogła tylko mieć nadzieję, że jej to wystarczy.

- Tak się składa, że mam trochę wolnego czasu.

- Więc zacznijmy... od tego.

Całował z powściągliwą żarliwością, która wywołała w niej gwałtowny przypływ pożądania. Gdy serce zaczęło tłuc się w piersi, zmienił taktykę, aż wreszcie tętno Dany zwolniło nieco.

Przywołała wspomnienie tego, co kiedyś było między nimi. Płomienia i zapału. Potem wróciła do teraźniejszości. Do zadziwienia i głębi. Niezdolna oprzeć się jednemu i drugiemu, spragniona tego, co znajome i tego, co nowe, objęła go mocno.

Wszystko w nim było znajome. Szerokie ramiona, wąskie biodra. Ta sama gra mięśni pod jej dłońmi. Ten sam ciężar, te same ręce, ten sam kształt ust.

Tak bardzo jej brakowało poznawania drugiego człowieka. I fa-
li miłości, łączącej się z rozkoszną świadomością bycia poznawaną.
Lecz w chwili, gdy odnalazła dawny rytm, Jordan odsunął się de-
likatnie i spojrzął na nią.

- Co? Co się stało?

- Po prostu chcę na ciebie popatrzeć. - Bez pośpiechu rozpiął jej
koszulę, wyczuwając grzbietem dłoni nagą skórę i nie odrywając od
niej oczu. - I chcę, żebyś ty na mnie patrzyła. Jacy byliśmy, jacy je-
steśmy. Właściwie nie ma aż tak wielkiej różnicy. - Nadal wpatrując
się w jej twarz, przesunął opuszkami palców po cienkiej bawełnie
stanika. - Ta, która jest, podsyca zainteresowanie. A ty jak myślisz?

- Wymagasz ode mnie myślenia? - Zadrzała, gdy leniwe palce
musnęły jej sutki.

- Myślisz bez przerwy. - Zdjął z niej koszulę. - Masz niezmier-
nie dociekliwy umysł. To również mnie w tobie pociąga.

Gdy gładził jej plecy, zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Straszny z ciebie gaduła, Hawke.

- Masz więc dodatkowy temat do przemyśleń, czyż nie? - Roz-
piął jej stanik i zsunął ramiączka.

Usta Jordana dotykały jej warg i cofały się, dotykały i cofały,
dopóki nie przyciągnęła go nagłym ruchem i nie pozwalając mu
się oderwać, wstrzymała oddech.

Pragnął wywołać ten przebłysk pożądania. Wcale nie chciał, by
myślała, lecz by czuła to, co potrafią sobie nawzajem dać. Tu i teraz.

Zanurzył dłonie we włosach, odchylił jej głowę w tył, drażniąc
subtelną pieśczołą usta i szyję.

Mógł ją pochłonać jednym nierozważnym kęsem. Ale to byłoby
zbyt szybkie, zbyt łatwe. Dlatego pozwolił, by żar ogarnął i drę-
czył ich oboje.

Upajał się, smakował. Zachłannie penetrował posłuszne dło-
niom ciało, by w następnej chwili błądzić nimi z celową powolno-
ścią. Drżał, czując jej drzenie.

Ta dziewczyna zawsze była dla Jordana źródłem najczystszej
rozkoszy. Pobudzała jego zmysły nie tylko ponętnymi kształtami,
lecz i gorliwym oddawaniem się przyjemności, otwartością na
przygodę, jaką jest seks. Gwałtowne bicie serca, wyczuwane war-
gami, podniecało go równie mocno jak jej pełne piersi.

Cudownie gładka skóra, którą przebiegały dreszcze pod do-
tknięciem jego języka i zębów, dostarczała jeszcze bardziej emocjo-
nujących przeżyć, gdy kobieta ponaglała go, by wziął więcej.

Gardłowy pomruk aprobaty, gdy ściągnęła mu koszulę i przesunęła paznokciami po jego nagiej skórze, rozpalił w nim krew; musiał stoczyć zawziętą walkę z samym sobą, żeby nie zacząć się spieszyć.

Ale nie zamierzał wypijać duszkiem tego, co mógł sączyć łyk po łyku.

Skąd tyle cierpliwości? Chciał Dane doprowadzić do szaleństwa. Dlaczego jego usta były tak rozgorączkowane, a dłonie tak spokojne? Nie mógł opanować drżenia mięśni pod jej dotykiem - znała go, o tak, znała go wystarczająco dobrze, by wykorzystać potrzeby i słabości. Mimo to, kiedy dawał jej to, czego pragnęła, kiedy doprowadzał ją do stanu rozdygotanego napięcia, odsunął się w pewnej chwili i popatrzył na nią.

- Jordan, na miłość boską.

- To jeszcze nie jest prawdziwe szaleństwo. - Choć rwał mu się oddech, przytrzymał jej ramiona i dotknięciami ust podsycił płomień. - Dopiero będzie.

Pragnął Dany całej. Przepysznego ciała, badawczego umysłu i tej części serca, którą lekkomyślnie utracił. Nie chodziło tylko o pożądanie i fizyczny żar. Pragnął czegoś więcej. Chciał odzyskać jej zaufanie i gotów był się zadowolić iskierką dawnego uczucia. Chciał odzyskać to, z czego musiał zrezygnować, by przetrwać.

Wziął ją w ramiona. Przywarła do niego, gdy obydwoje przetoczyli się po łóżku.

Skórę miała śliską od potu; była gorąca, wilgotna i gotowa. Wystarczyło otoczyć dłońmi nabrzmiałe piersi, by pchnąć ją poza krawędź. Wyszłochała jego imię, pręcąc ciało w spazmie rozkoszy. Gdy zmiękła i rozluźniła się pod nim, wiedział, że ofiarowała mu coś, o czym marzył, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Uległość.

- Dana.

Powtarzał to imię, wodząc ustami po jej twarzy. Kiedy otworzyła ciemne, zamglone oczy i spojrzała na niego, wsunął się w nią jedwabiście gładkim ruchem.

Ten akt był jak powrót do domu i odkrycie, że to, co się pozostawiło, jest teraz jeszcze pełniejsze, prawdziwsze i mocniejsze niż dawniej.

Wyprężona, przyjęła go w siebie i odnalazła jego usta. Słodycz narastającej rozkoszy aż zapiekła ją w gardle. Poruszali się zgodnym rytmem, coraz szybciej, w końcu znieruchomieli, wciąż złączeni ustami, biodrami, dłońmi.

Dana, leżąc przy Jordanie, którego obejmowała ramieniem i udem, pomyślała sobie, że był to najbardziej upajający akt seksualny w jej życiu.

Nie zamierzała jednak dzielić się tą refleksją. Pomimo błogostanu i różowej miłosnej mgiełki, nie musiała schlebiać próżności kochanka. A gdyby jednak przyszło coś powiedzieć, przyznałaby, iż jej ciało jeszcze nigdy nie zostało wykorzystane równie cudownie. Nie miałyby nic przeciw temu, by wykorzystywano je regularnie w taki właśnie sposób.

Ale seks nigdy nie stanowił dla nich problemu. Czyżby stanowił go fakt, że sama nie wiedziała, na czym polegał ich problem? Albo na czym mógłby polegać?

Do diabła z tym.

- Znowu rozmyślasz - mruknął Jordan i wolno przesunął palcem wzdłuż jej kręgosłupa. - Myślisz cholernie głośno. Pewnie nie możesz tego odłożyć na kilka minut, żeby mi się zregenerowało trochę komórek w mózgu.

- Co martwe, to martwe, mądralo.

- To miała być metafora, delikatny eufemizm.

- Tobie i twoim eufemizmom daleko do delikatności.

- Potraktuję to jako komplement. - Pociągnął ją za włosy. - Naprawdę nieźle wyglądasz, Zyrafo, taka potargana i wyczerpana. Zostaniesz?

Przechyliła głowę.

- Czy później będę jeszcze bardziej potargana i wyczerpana?

- Taki jest plan.

- No to chyba zostanę i zaczekam na drugą turę. - Przetoczyła się na bok, usiadła i przeczesła włosy palcami. Gdy wyciągnęła rękę, uniosła znacząco brwi.

On jednak spowaźniał i ostrożnie musnął jej pierś.

- Trochę cię podrapałem. - Potarł knykциями podbródek. - Gdybym wiedział, że do mnie zajrzysz, tobym się ogolił.

- Jak rozumiem, „zajrzysz” to kolejny eufemizm. - Musiała utrzymywać beztroski ton, żeby jej serce nie stopniało do reszty. - Poza tym właśnie twój wygląd niedogolonego artysty z kręgów cyganerii pomógł ci zwabić mnie do łóżka. - Przeciągnęła się i poklepała go przyjaźnie po policzku. - Boże, umieram z głodu.

- Chcesz, żebym zamówił pizzę?

- Nie mogę czekać. Muszę się pożywić natychmiast. W kuchni na pewno znajdzie się coś w miarę jadalnego.

- Nie liczylibym na to. Kuchnia jest w rozsypce. Remont.
- Prawdziwy mężczyzna zszedłby na dół i zdobył jakiś pro-
wiant.

- Nienawidzę, gdy mówisz, co zrobiłby prawdziwy mężczyzna.
- Wiem. - Jego reakcja wlała balsam w serce Dany. - Czy to nadal na ciebie działa?

- Tak, cholera. - Wstał z łóżka i wciągnął dzinsy. - Ale bierzysz, co będzie. Bez wybrzydzenia.

- Zgoda. - Zadowolona, położyła się na boku i wtuliła głowę w poduszkę. - Coś nie tak? - spytała, gdy stanął, patrząc na nią.

- Regeneruję komórki mózgowie.

Wjej policzkach pojawiły się dołeczki.

- Jeść!

- Już idę.

Wyszedł z pokoju, pozostawiając Dane całkiem zadowoloną z siebie. Może to było trochę małostkowe, chełpić się - choćby w myślach - że nadal potrafi trącić właściwą strunę. Ale sprawiała jej ogromną przyjemność i nikomu nie szkodziło.

Byłoby znacznie gorzej, gdyby zaczęła się martwić i zadrećcać, co dalej. Tym razem będzie dość rozsądna, by cieszyć się chwilą i powściągnąć nadzieje na coś więcej.

Dobrze się czuli w swoim towarzystwie, nawet gdy wbijali sobie nawzajem szpile. Te same osoby bardzo wiele znaczyły dla nich obojga. I łączył ich silny pociąg seksualny.

Wszystko to stanowiło podstawę udanego, zdrowego związku.

Dlaczego więc, u diabła, musiała się w nim zakochać? Gdyby nie ten drobiazg, byłoby wspaniale.

Realistycznie patrząc, był to właściwie jej problem. Tak jak poprzednio. Jordan nie miał obowiązku odwzajemniania uczuć i cokolwiek traciła lub zyskiwała w tej sytuacji, sama ponosiła odpowiedzialność.

Zależało mu na niej. Zamknęła oczy, powstrzymując westchnienie. Jezu, to była gorzka pigułka. Czy istniało coś równie bolesnego i poniżającego jak miłość do kogoś, komu na tobie szczerze i po przyjacielsku zależy?

Lepiej o tym nie myśleć, wyłączyć tę cząstkę świadomości na jak długo się da. Nie miała żadnych złudzeń co do ich wspólnej przyszłości, stworzenia domu, założenia rodziny.

Jego życie toczyło się w Nowym Jorku, jej życie zaś w Pleasant Valley. I Bóg świadkiem, że czerpała z życia dostatecznie dużo sa-

tysfakcji i miała dostatecznie dużo zajęć bez snucia marzeń związanych z Jordanem Hawkiem.

Zraniła ją wyłącznie dlatego, że na to pozwoliła. Doszła do wniosku, że jest teraz nie tylko starsza, lecz także mądrzejsza i silniejsza.

Starła się utwierdzić w tym przekonaniu, patrząc na monitor laptopa. Włączył się wygaszacz ekranu w postaci falującej kolorowej spirali, która przyprawiła Dane o zawrót głowy.

Jak on to znosił?

Zaledwie zadała sobie to pytanie, znała już odpowiedź. Widok tej spirali tak go denerwował, że czym prędzej wracał do pracy.

W zamyśleniu usiadła na łóżku. Nie wyłączył komputera, kiedy mu przeszkodziła. I chyba nie zamknął dokumentu.

Przygryzając wargę, zerknęła w stronę drzwi.

To by oznaczało, że tekst, który pisał, jest na wyciągnięcie ręki i wystarczy lekko trącić mysz, by wyskoczył na monitorze. No a komu to szkodzi, że ona przypadkiem przeczyta, co napisał?

Nasłuchując odgłosu kroków, wysliznęła się z łóżka i na palcach podeszła do biurka. Delikatnie trąciła mysz czubkiem palca, usuwając wygaszacz.

Obejrawszy się ostatni raz na drzwi, przewinęła dokument o dwie strony w tył i zaczęła czytać.

Lektura natychmiast ją wciągnęła, choć natrafiła na środek opisowego fragmentu. Jordan potrafił zaintrygować czytelnika, narzucić mu przedstawianą scenerię.

Ta była mroczna, zimna i przesycona cichą grozą. Coś czaiło się w ciemnościach. Po pierwszej stronie Dana znalazła się w głowie bohatera, poznała jego dramatyczne położenie, wyczuwała podskórny lęk. Coś go ścigało i już karmiło się jego bólem.

Gdy dotarła do końca, zakłęta cicho.

- Cholera jasna, co dalej?

- To niezwykły komplement w ustach nagiej kobiety - zauważył Jordan.

Drgnęła nerwowo. Była zła na siebie, ale omal nie wyskoczyła ze skóry, czyli jedyne, co miała na sobie. W dodatku się zarumieniła, co było jeszcze gorsze. Poczowała, że robi się jej gorąco. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła Jordana stojącego w drzwiach; miał zwichrzone włosy i trzymał w ręku paczkę chrupek, puszkę coli oraz jabłko.

- Ja tylko... - Zdała sobie sprawę, że nie ma żadnego wytłu-

maczenia, więc po prostu wyznała krępującą prawdę: - Byłam ciekawa. I nietaktowna.

- Nie ma sprawy.

- Nie, naprawdę, nie powinnam była wścibiać nosa w twoją pracę. Ale sam się o to prosiłeś, bo zostawiłeś włączanego laptopa i nie zamknąłeś pliku.

- To przez ciebie. Najpierw mi przeszkodziłaś, a potem rozproszyłaś moją uwagę za pomocą seksu.

- Na pewno nie wykorzystałam seksu, żeby... - Urwała z głośnym westchnieniem. Jordan szczyrzył zęby i nie mogła mu tego mieć specjalnie za złe. - Dawaj te chrupki.

Podszedł do łóżka i usiadł, opierając się plecami o poduszkę.

- Chodź i weź sobie. - Wsadził rękę do torebki, wyciągnął garść chrupek i wrzucił do ust.

- Właściwie wszystkimu jest winien twój wygaszacz ekranu. Dostawałam od niego zeza.

Od niechcenia, jak jej się wydawało, przysiadła na łóżku i wyjęła Jordanowi torebkę z ręki.

- Nienawidzę sukinsyna. - Ugryzł jabłko i podsunął Danie puszkę z napojem. - A zatem chcesz wiedzieć, co będzie dalej?

- Lekko mnie to zaciekawiło. - Otworzyła puszkę, pociągnęła spory łyk. Zjadła kilka chrupek, wymieniła je na jabłko, oddała z powrotem. A on, pomyślała z obrzydzeniem, nie zamierza puścić farby.

- No dobra, kto to jest? Co go ściga? Jak się tam dostał?

Jordan sięgnął po colę. Czy istnieje coś bardziej satysfakcjonującego, zadał sobie pytanie, niż zainteresowanie tym, co piszesz, ze strony kogoś, kto kocha książki tak samo jak ty? Fakt, że partnerką do rozmowy o literaturze była bardzo ponętna naga kobieta, dopełniał miary szczęścia.

- To długa historia. Powiedzmy po prostu, że ten człowiek popełnił kilka błędów i szuka sposobu, by je naprawić. Przekonuje się, że nie ma łatwych rozwiązań i że prawdziwe odkupienie win ma swoją cenę. Ale miłość, ta, która się w życiu liczy, sprawia, że warto zapłacić tę cenę.

- Co zrobił?

- Zdradził kobietę, zabił mężczyznę. - Jordan zjadł następną garść chrupek, wsłuchując się w szum deszczu, za oknem i w puszczy, o której rozmyślał. - Wydawało mu się, że ma po temu powody. Może i miał. Ale czy to były słuszne powody?

- Jako autor powinieneś wiedzieć.
- Nie, to on powinien wiedzieć. Taka jest część ceny odkupienia.
Niewiedza go przesładuje, ściga jak to coś, co krąży za nim po lesie.

- A co krąży za nim po lesie?

Zaśmiał się cicho.

- Przeczytaj książkę.

Odgryzła kolejny kęs jabłka.

- To bardzo podstępna metoda pozyskiwania klientów.

- Człowiek musi jakoś zarobić na życie. Nawet jeśli zajmuje się w tym celu tworzeniem „przyziemnych i przewidywalnych powieści komercyjnych”. Jedna z twoich związanych recenzji.

Odepchnęła od siebie lekkie poczucie winy.

- Jestem bibliotekarką. A raczej byłam - poprawiła się. - I mam zamiar zostać właścicielką księgarni. Cenię wszystkie książki.

- Jedne bardziej, inne mniej.

- To w większym stopniu kwestia prywatnego gustu niż zawodowego punktu widzenia. - Czuła coraz silniejsze zakłopotanie. - Twój komercyjny sukces niewątpliwie świadczy, że potrafisz zadowolić szerokie rzesze czytelników.

Pokręcił głową i nagle zapragnął papierosa.

- Nikt ci nie dorówna, jeśli chodzi o skąpe pochwały z żądłem krytyki.

- Nie mówiłam w tym sensie. - Wiedziała, że sama pod sobą kopie dołek. Nie mogła jednak wyznać, że jest miłośniczką jego twórczości, kiedy siedziała naga w jego łóżku, pogryzając kukurydziane chrupki. Był to gwarantowany sposób, żeby obydwójce poczuli się niezręcznie.

I w tych okolicznościach każda szczerza pochwała zabrzmiałaby jak głupie pochlebstwo.

- Robisz to, co zawsze chciałeś robić, Jordanie. W dodatku z powodzeniem. Powinieneś być z siebie dumny.

- Trudno zaprzeczyć. - Dopił colę i odstawił puszkę. Oplótł palcami kostkę Dany. - Nadal jesteś głodna?

Zadowolona ze zmiany tematu, zwinęła torebkę z chrupkami i cisnęła na podłogę obok łóżka.

- Prawdę mówiąc... - zaczęła i skoczyła na niego.

Nie powinien się aż tak przejmować i piekielnie go to irytowało. Nie zakładał z góry, że jego książki będą się podobały wszyst-

kim. Już dawno przestały wprawiać go w przygnębienie niepo-
chlebne recenzje lub cierpkie uwagi czytelników. Nie należał do
przewrażliwionych, egzaltowanych artystów, których każda kry-
tyczna ocena wprawiała w panikę.

Mimo to, psiakrew, lekceważąca opinia Dany działała mu na
nerwy.

Teraz było jeszcze gorzej, pomyślał, wpatrując się posepnie
w okno sypialni. Gorzej, ponieważ odniosła się do jego pisania
z życzliwością. Już wolał znosić jej zjadliwe, nieproszone uwagi, jej
wyniosłą, arystokratyczną wzdargę wobec gatunku, jaki uprawiał,
niż to łagodne i życzliwe poklepywanie po głowie.

Pisał dreszczowce, często z domieszką czegoś więcej; ona zaś
potraktowała je jak komercyjną sieczkę, schlebającą najniższym
gustom.

Zniósłby to spokojnie, gdyby rzeczywiście była zadzierającą no-
sa snobką, ale rzecz się miała zupełnie inaczej. Dana po prostu
kochała książki jako takie. Wypełniały po brzegi jej mieszkanie,
a na regałach stało mnóstwo beletrystyki. Ale nie zauważył ani
jednej powieści autorstwa Jordana Hawke'a.

Nie da się ukryć, pomyślał, to mnie ubodło.

Poczuł absurdalne rozradowanie, gdy - wróciwszy do sypialni
- zastał Danę pochyloną nad laptopem i wydało mu się, że czyta
z żywym zainteresowaniem jego powieść.

Ciekawość, wyjaśniła. Nic więcej.

Najlepiej o tym zapomnieć, powiedział sobie. Odłożyć na półkę,
zanim utkwi zbyt głęboko i przemieni się w ropiejącą ranę.

Dzięki Bogu, znowu byli kochankami. I miał nadzieję, że zna-
leźli się na drodze do zostania przyjaciółmi. Nie chciał utracić ko-
chanki i przyjaciółki, ponieważ nie potrafił się pogodzić z jej bra-
kiem zainteresowania albo dezaprobatą dla jego pracy.

Nie wiedziała, ile dla niego znaczy bycie pisarzem. Skąd mogła wie-
dzieć? Owszem, mówił jej, że tego pragnie i na to liczy. Ale nigdy się jej
nie zwierzył, dlaczego przywiązuje do tej sprawy tak wielką wagę.

Musiał przyznać, że z wielu rzeczy się Danie nie zwierzył.

Z pisaniem było inaczej, tak. Często dawał jej coś do przeczyta-
nia; pochwały były źródłem satysfakcji, a komentarze czy opinie
ciekawiły i intrygowały. Prawdę mówiąc, na płaszczyźnie czysto
praktycznej, jej zdanie należało do tych, które cenił najwyżej.

Nigdy jednak jej nie powiedział, jak bardzo mu zależy, by stać
się kimś. Jako mężczyzna, jako pisarz. Ze względu na samego sie-

bie, oczywiście. I ze względu na matkę. Jordan nie widział innego sposobu, by odwdziżyć się matce za wszystko, co dla niego zrobiła, z czego zrezygnowała, nad czym pracowała.

Ale nie powiedział o tym Danie ani nikomu innemu. Nikomu się nie zwierzył z osobistego smutku, poczucia winy, rozpaczliwego pragnienia.

Teraz postanowił odsunąć to wszystko od siebie i skupić się na odbudowaniu tego, co dało się odbudować i rozpoczęciu od nowa tego, co było niemożliwe do odbudowania.

Nie tylko bohater jego opowieści szukał odkupienia.

Dana zwlekała, dopóki nie pomalowała całej ściany w przysłym salonie Zoe. Kilkakrotnie tego ranka gryzła się w język, dochodziła do wniosku, że nic nie powie, a potem znowu podejmowała spór z samą sobą, wracając do punktu wyjścia.

W końcu uznała, że milczenie byłoby zniewagą dla przyjaźni.

- Przespałam się z Jordanem - wyrzuciła z siebie, nie odrywając oczu od ściany, przygotowana na eksplozję pytań i uwag.

Po pięciu długich sekundach ciszy odwróciła głowę i zauważyła, że przyjaciółki wymieniają spojrzenia.

- Wiecie? Już o tym wiecie? Czy mam rozumieć, że ten arogancki, zadowolony z siebie sukinsyn pomaszerał prosto do Flynna i pochwalił się, że mnie przeleciał?

- Nie. - Malory z trudem stłumiła śmiech. - Przynajmniej ja nic o tym nie słyszałam. A jestem pewna, że gdyby Jordan powiedział cokolwiek Flynnowi, on by mi to przekazał. W każdym razie nie wiedziałyśmy. Po prostu... - Umilkła i spojrzała w sufit.

- Zastanawiałyśmy się, ile czasu upłynie, zanim się na siebie rzucicie - dokończyła Zoe. - Nawet myślałyśmy, żeby się założyć, ale to by było trochę wulgarne. Wygrałabym - dodała. - Przewidywałam samozapłon na dzisiaj. Malory sądziła, że wytrzymasz jeszcze tydzień.

- No tak. - Dana wsparła pięści o biodra. - To wiele wyjaśnia.

- Przecież się w końcu nie założyłyśmy - wtrąciła Malory. - I zauważ, jakie z nas dobre przyjaciółki, nie wypominamy ci, że nam o tym mówisz, choć gdyby Jordan powiedział Flynnowi, okazałby się aroganckim, zadowolonym z siebie sukinsynem.

- Odebrało mi mowę.

- O nie, nie ma tak dobrze. - Zoe pokręciła głową. - Najpierw musisz nam opowiedzieć, jak było. Użyjesz dziesięciostopniowej skali czy wolisz retrospektywny opis?

Dana parsknęła śmiechem.

- Słowo daję, nie wiem, za co was tak lubię.

- Ależ wiesz. No, mów - ponagliła Zoe. - Widzę, że już nie możesz wytrzymać.

- Było wspaniale. I nie tylko dlatego, że dojrzałam do samozaopłonu. Tęskniłam za jego bliskością. Można myśleć, że się zapomniało, jakie to uczucie... tak mocna więź z drugim człowiekiem. Ale tego się nie zapomina. Naprawdę. Zawsze było nam dobrze w łóżku. A teraz jest jeszcze lepiej.

Zoe westchnęła głęboko.

- Czy to było romantyczne, czy szalone?

- Który raz?

- No, teraz się przechwalasz.

Dana ze śmiechem wróciła do malowania.

- Już dawno nie miałam się czym przechwalać.

- Jak zamierzasz sobie z tym poradzić? - zapytała Malory.

- Z czym?

- Powiesz mu, że go kochasz?

Pytanie lekko zwarzyło radosny nastrój Dany.

- A jaki to by miało sens? Albo by się wycofał, albo czułby się winny.

- Jeżeli będziesz z nim szczerą...

- To twoja metoda - przerwała Dana. - W taki sposób stawiałaś czoło temu, co czułaś do Flynna. Dla ciebie i dla niego to było dobre wyjście. Ale dla mnie... no cóż, tym razem niczego od Jordana nie oczekuję i gotowa jestem przejąć odpowiedzialność za własne uczucia i ich konsekwencje. Nie zamierzam natomiast otwierać przed nim wezbranego serca i zmuszać do dokonania wyboru. Wystarczy mi to, co jest. Na razie. O jutro zaczniemy się martwić, kiedy nadejdzie.

- Nie będę się z tobą spierać - zaczęła Zoe. - Może potrzebujesz czasu, żeby sytuacja się wyklarowała. Co więcej, może tak właśnie ma być. Może to część poszukiwań.

Wałek do farby podskoczył w ręce Dany.

- Moje spanie z Jordanem częścią poszukiwań? A co to, u diabła, ma do rzeczy?

- Nie chodziło mi o sam seks. Choć posiada on, powiedzmy szczerze, magiczną moc.

- No dobrze, nie wykluczam, że bogowie śpiewali, a wróżki płały. - Dana przejechała wałkiem po ścianie. - Ale nie wierzę, że łóżkowe szaleństwa z Jordanem doprowadzą mnie do klucza.

- Mówię o związku, o więzi, jakkolwiek chcesz to nazwać. O tym, co między wami było, jest i będzie. - Zoe zawiesiła głos, a Dana opuściła wałek i wpatrywała się w nią zdumionym wzrokiem. - Czy to nie pasuje do wskazówek Roweny? Może jest częścią tego wszystkiego?

Po chwili milczenia Dana zanurzyła wałek w farbie.

- Zaskoczyłaś mnie, Zoe. Jest w tym pewna logika, ale nie wiem, do czego mogłaby mi się przydać. Jakoś nie przypuszczam, że znajdę klucz do Szkatuły Dusz w pościeli, gdy następnym razem będę się kochać z Jordanem, jest to jednak ciekawy trop, którym miło będzie podążyć.

- Może chodzi raczej o jakąś rzecz lub miejsce, które znaczyło coś dla ciebie albo dla was obojga. Nie tylko dawniej, ale i teraz. I potem. - Zoe rozłożyła ręce. - Mówię od rzeczy.

- Wcale nie - zaprzeczyła Dana, marszcząc w zamyśleniu brwi. - Tak na poczekaniu nic mi nie przychodzi do głowy, ale jeszcze się zastanowię. Może porozmawiam z Jordanem. Nie da się zaprzeczyć, że on odgrywa istotną rolę w całej tej historii, więc równie dobrze mógłby się na coś przydać.

- Chcę powiedzieć jedno. - Malory wyprostowała ramiona. - Miłość nie jest ciężarem. Dla nikogo. Jeżeli Jordan czuje inaczej, nie jest ciebie wart.

Ochłonawszy z zaskoczenia, Dana odłożyła wałek. Podeszła do Malory, pochyliła się i pocałowała ją w policzek.

- Jesteś prawdziwym skarbem.

- Kocham cię. Kocham was obie. A każdego, kto nie odwzajemnia waszych uczuć, uważam za kretyna.

- Rany, zasłużyłaś na dodatkowy uścisk. - Dana mocno objęła Malory. - Cokolwiek się stanie, cieszę się, że was mam.

- Jakie to miłe. - Zoe otoczyła obydwie przyjaciółki ramionami. - Wspaniale, że Dana poszła z Jordanem do łóżka, bo dzięki temu możemy teraz przeżyć taką chwilę.

Wszystkie trzy ryknęły śmiechem. Dana lekko szturchnęła Malory i Zoe łokciem.

- Zobaczę, co uda mi się zdziałać dziś w nocy i może jutro urządzimy sobie prawdziwe święto.

Rozdział jedenasty

Jordan usnął, otaczając ramieniem talię Dany i oplatając nogą jej nogi, jak gdyby chciał ją zatrzymać w miejscu. Choć to nie ona odeszła, wcale nie był teraz pewien, czy pozwoli mu zostać. W swoim łóżku czy też w swoim życiu.

Obejmował ją, wędrując w sennych marzeniach. W księżycową, gorącą letnią noc, przesyconą dojrzałymi, tajemniczymi zapachami zieleni.

Lasy spowijał mrok; tylko robaczki świętojańskie rozbłyskiwały niczym złote iskierki na czarnym tle. We śnie Jordan skądś wiedział, że jest dorosłym mężczyzną, a nie chłopcem, który niegdyś kroczył wśród dzikich traw, rosnących na skraju tego lasu. Jego serce waliło mocno... ze strachu? Niecierpliwości? Pod wpływem przecucia? Wpatrywał się w ogromny czarny dom, nad którego majestatyczną sylwetką płynął po niebie księżyc.

Tamtej upalnej letniej nocy, pamiętnej nocy, przyjaciele znajdowali się tuż obok. Teraz nie było Flynna ani Brada z nielegalnie kupionym piwem i papierosami, sprzętem turystycznym oraz od wagą i beztroską wspólną trzem nastolatkom.

Był sam; bramy za jego plecami strzegli strażnicy, a opustoszały dom milczał niczym grobowiec.

Nie, pomyślał, nie opustoszały. Myliłby się ten, kto uważałby stare domy za puste. Wypełniały je wspomnienia, nikłe echa głosów. Wylane łzy, przelana krew, dawny śmiech, przypływy i odpływy energii, które przez lata wsiąkały w mury.

Czy nie była to, mimo wszystko, forma życia?

Wiedział również, że istnieją domy, które oddychają. W ich drewnie i kamieniu, ceglach i zaprawie wyczuwało się coś w rodzaju jaźni, bardzo zbliżonej do ludzkiej.

Było jednak coś, co pragnął sobie przypomnieć w związku z tym domem, z tym miejscem. I z tamtą nocą. Coś, o czym wiedział, lecz zamazywało mu się w pamięci. Przepływało i odpływało, nękając go jak zasłyszana niegdyś melodia.

Wydało mu się kwestią najwyższej wagi, by ustawić w myślach ostrość obrazu, jak w obiektywie aparatu fotograficznego.

Nadal śniąc, zamknął oczy i zaczął oddychać powoli, głęboko, starając się oczyścić umysł, by wypłynęło to, czego szukał.

Zobaczył ją, zaledwie otworzył oczy. Kroczyła wzdłuż balustrady wąskiego balkonu pod białą kulą księżyca. Samotna, tak jak Jordan. I być może tak jak on pogrążona we śnie.

Jej peleryna wydymała się i falowała, choć nie było wiatru. Miał wrażenie, że powietrze wstrzymało oddech, a wszelkie nocne odgłosy - szelesty, piski, pohukiwania - zastąpiła przerażająca cisza.

Serce zaczęło mu się tłuc w piersi. Kobieta na balkonie wykonała półobrót. Za sekundę, pomyślał, już za sekundę spojrzymy sobie w oczy.

Nareszcie...

Jaskrawy blask słońca oślepił go, wywołał wstrząs. Zachwiał się, porażony tym nagłym przeniesieniem z atramentowej nocy w jasny dzień.

Ptaki zanosiły się radosnym śpiewem, który przywodził na myśl brzmienie fletów, harfi piszczałek. Jordan usłyszał szum, jaki wydaje woda spadająca z dużej wysokości i pieniąca się na kamieniach.

Usiłował zorientować się w terenie. Widział las, lecz go nie rozpoznawał. Błyszczące liście miały odcień soczystej zieleni lub łagodnego błękitu, a gałęzie ugięły się pod ciężarem owoców o barwie rubinów i topazów. W powietrzu unosił się dojrzały, intensywny aromat, jak gdyby ono samo prosiło się o skosztowanie.

Jordan szedł między drzewami po sprężystym ciemnobrunatnym podłożu, aż dotarł do jaskrawoniebieskiego wodospadu i falującej sadzawki, w której płały złote rybki.

Zaciekawiony, zanurzył w niej rękę. Poczował wilgoć, chłodną świeżość. Potem dostrzegł, że woda ściekająca z dłoni nie jest przezroczysta, lecz niebieska.

Pomyślał, że to niemal przekracza wytrzymałość zmysłów. Czyste piękno wydawało się zbyt skondensowane, zbyt nasycone, by umysł zdołał je przyswoić i przetworzyć. A gdy już raz się je zo-

baczyło i wchłonęło, jak można było przetrwać bez niego w wyblakłej, mdłej rzeczywistości?

Ulegając fascynacji, ponownie wyciągnął rękę w stronę sadzawki i wtedy zauważył jelenia, pijącego wodę po drugiej stronie.

Był olbrzymi, miał gładką, złocistą sierść i lśniące, srebrne poroże. Uniósł potężny łeb i popatrzył na Jordana oczyma równie niebieskimi i chłodnymi jak rozdzielająca ich tafla sadzawki.

Nosił na szyi wysadzaną klejnotami obrozę. Szlachetne kamienie przechwytywały smugi słonecznego blasku i rozszczepiały je na pryzmatyczne barwy.

Jordanowi wydało się, że zwierzę przemówiło, choć nie dostrzegł żadnego ruchu i nie usłyszał dźwięku. Słowa jakby uformowały się w jego głowie.

„Staniesz po ich stronie?”

„Czyjej?”

„Idź i zobacz”.

Jeleń zawrócił i odszedł w stronę lasu. Srebrne kopyta stąpały bezgłośnie.

To nie sen, pomyślał Jordan. Wyprostował się, chcąc okrążyć sadzawkę i pójść za zwierzęciem.

Przystanął jednak. Jeleń nie powiedział: „Chodź”, tylko „Idź i zobacz”. Słuchając głosu instynktu, Jordan ruszył w przeciwną stronę.

Wyszedł pomiędzy drzew prosto w morze kwiatów o barwach tak intensywnych, że porażały zmysły. Szkarłatne, szafirowe, ametystowe, bursztynowe połyskiwały w promieniach słońca, jak gdyby każdy płatek był osobną fasetą doskonale oszlifowanego klejnotu. A pośrodku tego morza, niczym najcenniejsze kwiaty, spoczywały Szklane Córy, uwięzione w swych kryształowych trumnach.

- Nie. Ja nie śpię - przemówił, chcąc usłyszeć **dźwięk własnego** głosu. I zebrać myśli, zanim wkroczy w **morze kwiatów**, by przyjrzeć się twarzom, które już znał.

Wydawały się pogrążone we śnie. Ich **nienaruszone piękno** tchnęło chłodem. Widział to zimne, niezmiennie **piękno, uwięzione** na zawsze w jednym ułamku czasu.

Ogarnęło go współczucie połączone z oburzeniem, a także - gdy wpatrywał się w twarz tak bardzo podobną do twarzy **Dany** - rozdzierający żal, jakiego nie czuł od śmierci matki.

- To jest piekło - powiedział głośno. - Taki stan zawieszenia

między życiem a śmiercią, gdy i jedno, i drugie pozostaje nieosiągalne.

- Trafiłeś w sedno. - Kane stał po drugiej stronie szklanej trumny. Ubrany w wytworne czarne szaty, w wysadzonej klejnotami koronie, zdobiącej grzywę jego ciemnych włosów, uśmiechał się do Jordana. - Przejawiasz bystrość umysłu, której najwyraźniej brakuje wielu istotom twego gatunku. Piekło, jak to nazywasz, jest po prostu nieskończoną pustką.

- Na piekło powinno się zasłużyć.

- Ach, filozofia. - W głosie Kane'a zabrzmiała nuta rozbawienia, a zarazem chłodnego wyrachowania. - Czasami jednak, chyba zgodzisz się ze mną, piekło się dziedziczy. Zostały na nie skazane przez swego ojczulka i jego kochanicę. - Zamaszystym ruchem ręki wskazał trumny. - Ja byłem tylko narzędziem, które, by tak rzec... - obrócił nadgarstek - przekreśliło klucz.

- Dla chwały?

- Tak. I dla potęgi. Dla tego wszystkiego. - Rozpostarł ramiona, jak gdyby zamierzał ogarnąć cały swój świat. - To wszystko nie może i nigdy nie będzie należeć do nich. W królestwie bogów nie ma miejsca na miękkie serca i ludzkie słabości.

- A przecież bogowie kochają, nienawidzą, zazdroszcza, spiskują, walczą, śmieją się i płaczą. Ludzkie słabości?

Kane przechylił głowę.

- Zaciekawiasz mnie. Wdajesz się w dysputę, wiedząc, kim i czym jestem? Wiedząc, że sprowadziłem cię tutaj, za Zasłonę Mocy, gdzie znaczysz nie więcej niż mrówka, którą się strąca z okruszyny chleba? Mógłbym cię zabić jedną myślą.

- Doprawdy? - Jordan powoli obszedł kryształową trumnę. Nie mógł znieść nawet odbicia Dany między nimi dwoma. - Więc czemu tego nie robisz? Może dlatego, że wolisz terroryzować i dręczyć kobiety. Stawienie czoła mężczyźnie to zupełnie inna sprawa, no nie?

Cios odrzucił go dziesięć stóp do tyłu. Poczował w ustach smak krwi i wypluł ją na zgniecione kwiaty, zanim dźwignął się na nogi. Dostrzegł w twarzy Kane'a nie tylko moc. Dostrzegł także furję. A gniew był oznaką słabości.

- Dym i lustra. Ale brak ci ikry, żeby walczyć jak mężczyzna. Na pięści. Jedna runda, ty sukinsynu. Jedna runda, na moich warunkach.

- Na twoich warunkach? Ty tutaj nie stawiasz żadnych warunków. I zaraz poznasz, co to cierpienie.

Lodowate szpony, ostre jak brzytwa, wbiły się w pierś Jordana. Niewysłowny ból powalił go na klęczki i wydarł z gardła niepostrzymany krzyk.

- Proś. - Głos Kane'a zabrzmiał jak pomruk zadowolenia. - Błagaj o litość. Czołgaj się u moich nóg.

Resztką sił Jordan uniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy.

- Pocałuj mnie w...

Obraz zamazał mu się przed oczyma. Poprzez szum w uszach dobiegło go wołanie, fala ciepła przebiła się przez uczucie potwornego chłodu. W myślach usłyszał pełen wściekłości wrzask Kane'a:

- To jeszcze nie koniec!

Jordan stracił przytomność.

- Jordan! O Boże! O Boże, Jordan, obudź się!

Pomyślał, że znajduje się prawdopodobnie na morzu, w rozkołysanej łodzi. Niewykluczone, że tonał. Klatka piersiowa paliła go żywym ogniem, w głowie czuł tępe pulsowanie. Ktoś go ratował, przyciskał ciepłe usta do jego warg. Przywracał go do życia, czy mu się to podobało, czy nie.

Tylko skąd się, u diabła, wziął na otwartym morzu jakiś pies, który szczekał jak opętany?

Jordan otworzył oczy, zamrugał i ujrzał nad sobą twarz Dany.

Choć błada jak płótno, stanowiła pożądany widok. Przesuwała drżącą dłońią po jego policzku i włosach, kołysząc go w ramionach.

Za zamkniętymi drzwiami sypialni Moe szczekał donośnie i całym ciężarem uderzał w drewnianą powierzchnię.

- Co do cholery...? - wykrztusił Jordan i utkwiał otepiałe spojrzenie w Danie, która Wybuchnęła histerycznym śmiechem.

- Wróciłeś. Już dobrze, wróciłeś. - Zachłysnęła się lekko, usiłując stłumić historię. - Masz krew na ustach. Masz krew na ustach i na piersi i jesteś... tak strasznie zimny.

- Zaczekaj chwilę. - Nie próbował się poruszać, przynajmniej na razie, gdyż zdążył się już przekonać, że nawet lekkie odwrócenie głowy wywołuje koszmarną falę bólu i mdłości.

Ale to, co widział, przynosiło błogosławioną ulgę. Znajdował się w sypialni Dany, leżał w jej łóżku - a właściwie na jej podołku - ona zaś tuliła go w ramionach jak niemowlę.

Gdyby nie czuł się jak potracony przez ciężarówkę, właściwie nie mógłby narzekać na swoją sytuację.

- Nie. - Przycisnęła policzek do jego policzka. - To nie był sen.
- Na początku... a może faktycznie było inaczej. Masz w domu jakąś whisky? Muszę się napić.

- Mam butelkę paddy's.

- Dam ci tysiąc dolarów za pół szklaneczki paddy's.

- Umowa stoi. - Jej śmiech zabrzmiał niemal jak szloch. - Leż, przyniosę ci. Okryj się, cały dygoczesz. - Podciągnęła kołdrę i otuliła go jak kokonem. - Jezu Chryste. - Wstrząsnęła nią dreszcz, gdy ich czoła się zetknęły.

- Dwa tysiące, jeśli przyniesiesz tę butelkę w ciągu najbliższych czterdziestu pięciu sekund.

Wybiegła z pokoju, a Jordan doszedł do wniosku, że jeszcze nie jest z nim tak źle, skoro potrafi docenić urodę nagiego ciała Dany w ruchu.

Sekundę później ból powrócił z potrójną siłą, gdyż na łóżko z rozpędem wskoczył Moe. Jordan otworzył usta, żeby zakląć, lecz poprzestał na westchnieniu, kiedy pies warknął cicho, obwąchał pościel i polizał go po twarzy.

- No tak, to nas oduczy wykopywania cię za drzwi tylko dlatego, że chcemy uprawiać seks bez świadków.

Moe zaskomlał, trącił nosem bark Jordana, okręcił się niezgrabnie trzy razy i wreszcie ułożył na boku.

Dana wróciła biegiem z butelką i szklanką. Nalawszy znacznie więcej niż na trzy palce, wsunęła ramię pod głowę Jordana i uniosła szklankę do jego ust.

- Dzięki. Dam sobie radę.

- OK. - Delikatnie pomogła mu oprzeć się o poduszki, po czym sama pociągnęła solidny łyk prosto z butelki.

Przypuszczała, że Jordan poczuł w żołądku takie samo gwałtowne uderzenie ciepła jak ona. Już spokojniej podeszła do szafy i wyciągnęła szlafrok.

- Musisz to wkładać? Lubię na ciebie patrzeć.

Nie chciała mu mówić, że czuje się tak, jakby ktoś natarł jej skórę lodem.

- Nie powinniśmy byli wyrzucać psa z pokoju.

- Aha, właśnie omawialiśmy z Moem tę sprawę. - Położył rękę na szerokim grzbiecie psa. - To on cię obudził?

- On i twój krzyk. - Zadrzała i przysiadła na brzegu łóżka. - Jordanie, twoja pierś.

- Co? - Spojrzył w dół, gdy odwinęła kołdrę. W okolicy serca

biegło pięć wyraźnych rowków, wyglądających jak ślady szponów. Dzięki Bogu, były dość płytkie. Ale sączyła się z nich krew i dotkliwie bolały. - Poplamiłem ci pościel.

- Wypierze się. - Z trudem przełknęła ślinę. - Lepiej opatrzę te skaleczenia. A ty w tym czasie możesz mi opowiedzieć, co on ci, do cholery, zrobił.

Weszła do łazienki po antyseptyk i bandażę - i po prostu zacisnęła dłonie na krawędzi umywalki, nakazując sobie oddychać głęboko, dopóki nie minie uczucie, że w jej gardło wbijają się ostre noże.

Teraz już wiedziała, czym jest prawdziwy strach. Bała się, gdy burza szalała nad wyspą, a czarne fale piętrzyły się, by ją pochłoniąć. Ale nawet tamto głębokie przerażenie bladło przy tym, co przeżyła, gdy pełen zaskoczenia i udręki krzyk Jordana wyrwał ją ze snu.

Powstrzymała łzy. Nie mogła się bezsensownie rozklejać, gdy należało działać. Zabrała, co trzeba i wróciła do sypialni, by zająć się ranami Jordana.

- Przyniosłam ci aspirynę. Nie mam niczego mocniejszego.

- Wystarczy, dzięki. - Połknął trzy tabletki, popijając wodą. - Słuchaj, sam sobie z tym poradzę. Pamiętam, że niezbyt dobrze reagujesz na krew.

- Nie stchórzę, jeśli dasz mi dobry przykład. - Ignorując lekkie mdłości, usiadła obok niego. - Mów do mnie, to zwiększy szansę, że nie zemdleję. Co się stało? Dokąd cię zabrał?

- Zaczęło się gdzie indziej. Niedokładnie to sobie przypominam, więc może jednak mi się śniło. Szedłem. Była noc, ale świecił księżyc w pełni. Wydaje mi się że to mogło być Wzgórze Wojownika. Nie jestem pewien. Pamiętam jak przez mgłę.

- Mów dalej. - Koncentrowała się na jego głosie, na słowach. Na wszystkim, byle nie na kawałku gazy, który nasiąkł czerwinią, gdy przyłożyła go do skaleczeń.

- Zanim się spostrzegłem, był biały dzień. Wyglądało to trochę tak, jak sobie wyobrażałem działanie teleportera w serialu „Star Trek”. Natychmiastowe i dezorientujące.

- Nie zaliczyłabym tego do moich ulubionych środków transportu.

- Żartujesz? Bije na głowę... Chryste Panie!

- Wiem. Przepraszam. - Zacisnęła zęby i kontynuowała prze-mywanie ran środkiem odkażającym. - Opowiadaj. Jakoś przez to przebrniemy.

Zaniepokojony Moe pospiesznie schował się pod łożko. Jordan dokładał wszelkich starań, by pokonać ból regulowaniem oddechu.

- Byłem za Zastoną Mocy - powiedział i zdał Danie relację.

- Sprowokowałeś go? Rozmyślnie? - Odsunęła się lekko, a wraz z zainteresowania i troski zniknął z jej twarzy, zastąpiony zniecierpliwieniem i irytacją. - Koniecznie musisz być taki męski?

- Owszem, muszę. Ponadto on i tak zamierzał zrobić to, co zrobił. Czemu nie miałbym mu najpierw zadać kilku ciosów, choćby tylko werbalnych?

- Och, doprawdy nie wiem. Niech pomyślę. - Każde jej słowo aż ociekało sarkazmem. Postukała się palcem w skroń. - Może dlatego, że... jest bogiem?

- A ty byś, oczywiście, stała tam z założonymi rękami i prowadziła uprzejmą rozmowę?

- Nie wiem. - Odetchnęła głęboko i zakończyła bandażowanie. - Chyba nie. - Uznawszy, że zrobiła, co w jej mocy, pochyliła się nisko i opuściła głowę między kolana. - Obym nie musiała tego więcej robić.

- No to jest nas dwoje. - Wciąż obolały, obrócił się sztywno i pogładził Dane po plecach. - Jestem ci wdzięczny.

Z wysiłkiem kiwnęła głową.

- Opowiedz mi resztę.

- Resztę właśnie zdezynfekowałam i zabandażowałam. Sama widziałam, jak to wygląda. A doznanie, które temu towarzyszyło, było jeszcze gorsze.

- Krzyczałaś.

- Czy musisz mi to ciągle wypominać? Czuję się zażenowany.

- Jeśli cię to pocieszy, ja także krzyknęłam. Obudziłam się, a ty... wyglądałaś, jakbyś dostał konwulsji. Byłeś biały jak ściana, dygotałeś, krwawiłeś. Zupełnie nie wiedziałam, co robić. Chyba wpadłam w panikę. Złapałam cię i zaczęłam wrzeszczeć. Zrobiłeś się bezwładny. Gdy tylko cię dotknęłam, zrobiłeś się zupełnie bezwładny. Myślałam... przez chwilę myślałam, że nie żyjesz.

- Usłyszałem cię.

Nie podnosiła głowy, ponownie walcząc ze łzami.

- Kiedy?

- Po tym, jak drugi raz zaliczyłem glebę. Usłyszałem twoje wołanie i poczułem się tak, jakby teleporter wciągał mnie z powrotem. Jego też usłyszałem, gdy traciłem świadomość. Ale raczej w głowie niż w uszach. „To jeszcze nie koniec”, powiedział. To

jeszcze nie koniec. I był nieziemsko wkurzony. Nie mógł mnie zatrzymać. Jeszcze ze mną nie skończył, ale nie mógł mnie tam zatrzymać.

- Dlaczego?

- Bo ty się obudziłaś. - Jordan musnął palcami jej policzek. - Zawołałaś mnie. Dotknęłaś. To mnie uratowało.

- Kontakt z drugim człowiekiem?

- Może to rzeczywiście takie proste - przyznał. - Może tak się dzieje, gdy ludzie są z sobą związani.

- Ale dlaczego ty? - Sięgnęła po gazę i przyłożyła do jego rozciętej wargi. - Dlaczego zabrał cię za Zasłonę?

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć. A gdy się dowiemy... auu, Dana!

- Przepraszam.

- Kiedy się dowiemy - powtórzył, odpychając jej rękę - będziemy mieli więcej elementów tej specyficznej układanki.

Może to było proste, może skomplikowane, lecz Dana potrzebowała odpowiedzi. W towarzystwie Moego, wystawiającego radośnie łeb przez okno po stronie pasażera, jechała na Wzgórze Wójownika. Analizy i domysły to jedno, ale teraz jej kochanek przelał krew i chciała poznać suche, konkretne fakty.

Drzewa nadal mieniły się kolorami na tle szarego nieba, zasnutego ołowianymi chmurami. Ale na drodze i w lesie leżała gruba warstwa liści.

Ich najpiękniejsza pora minęła, pomyślała. Czas upływał i jej cztery tygodnie skurczyły się do dwóch.

Co myślała? Ile wiedziała? Dokonała przeglądu wszystkiego, co przyszło jej do głowy, gdy przemierzała ostatnie mile i wjeżdżała w bramę.

W ogrodzie Rowena zrywała jesienne kwiaty. Miała na sobie gruby ciemnoniebieski sweter w złotawe cętki oraz - ku zaskoczeniu Dany - wytarte dżinsy i podniszczone buty. Włosy, ścignięte w wijący się koński ogon, opadały jej na plecy.

Wiejska bogini w swoim ogrodzie, pomyślała. Przypuszczała, że Malory dostrzegłaby w tym obraz.

Rowena uniosła dłoń w powitalnym geście, a gdy zobaczyła Moego, uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Witajcie. - Podbiegła do samochodu i otworzyła drzwiczki, przez które rozradowany pies natychmiast wyskoczył. - Jest mój

przystojny chłopiec! - Zaśmiała się dźwięcznie, kiedy Moe liznął ją po twarzy. - Miałam nadzieję, że mnie odwiedzisz.

- Ja czy Moe?

- Obydwoje sprawiliście mi przemiłą niespodziankę. Co my tu mamy? - Schowała rękę za plecy, a następnie wyjęła z powrotem, trzymając milk bone olbrzymich rozmiarów, na co Moe zaskomlał z rozkoszy. - Tak, to bez wątpienia dla ciebie. Jeśli usiądziesz i podasz łapęjak dżentelmen...

Zaledwie wymówiła te słowa, Moe klapnął zadem na ziemię i unióś przednią łapę. Wymienili z Roweną uścisk dłoni i długie spojrzenie, pełne wzajemnego zachwytu. Delikatnie wyjął przyśmak z palców ofiarodawczyni i schrupał go, ległszy u jej stóp.

- Czy to coś w stylu doktora Dołittle? - zaciekaWiła się Dana. Rowena pośłała jej zdziwione spojrzenie.

- Proszę?

- No wiesz, rozmowy ze zwierzętami.

- Aha. Powiedzmy, że... w pewnym sensie. A tobie co mogę zaproponować?

- Odpowiedzi na kilka pytań.

- Jakże poważna, jakże konkretna. I jak atrakcyjnie dziś wyglądasz. Piękny strój. Masz tyle eleganckich kurtek - zauważyła Rowena, wodząc palcem po rękawie z ozdobnej matowozłotej tkaniny. - Zazdroszczę ci.

- Przypuszczam, że możesz sobie coś podobnego wyczarować równie łatwo, jak tego psiego herbatnika.

- Ach, ale to by mnie pozbawiło zabawy i przygody, jaką są zakupy. Zechcesz wejść do domu? Napijemy się herbaty przy kominku.

- Nie, dziękuję. Nie mam zbyt wiele czasu. Umówiłam się z Malory i Zoe w naszej wspólnej siedzibie na wczesne popołudnie, więc zaraz powinnam ruszać z powrotem. Roweno, są pewne rzeczy, które muszę wiedzieć.

- Powiem ci, ile będę mogła. Przejdziemy się? Nadciąga deszcz - dodała, spoglądając w niebo. - Ale jeszcze nie tak prędko. Lubię tę duszną atmosferę wyczekiwania przed deszczem.

Ponieważ Moe błyskawicznie rozprawił się z milk bonę, Rowena otworzyła dłoń, ukazując jaskrawoczerwoną gumową piłkę. Rzuciła ją daleko na trawnik.

- Ostrzegam, Moe będzie oczekiwał od ciebie rzucania tej piłki przez następne trzy a może cztery lata.

- Nie ma doskonalszego zwierzęcia niż pies. - Rowena życzliwym gestem ujęła Dane pod rękę i ruszyły naprzód. - Podpora, przyjaciel, obrońca, pociecha. W zamian chcą tylko miłości.

- Dlaczego nie masz psa?

- No cóż... - Rowena ze smutnym uśmiechem poklepała Dane po rękę i schyliła się, żeby podnieść piłkę, którą przyniósł Moe. Zmierzwiała mu sierść i cisnęła piłkę, ponownie.

- Nie możesz. - Dana w nagłym olśnieniu przytknęła palec do skroni. - To znaczy, nie w sensie braku możliwości, ale realnie rzecz biorąc, życie psajest żałośnie krótkie. - Przypomniała sobie, co Jordan mówił o ich samotności, o nieśmiertelności, będącej w tym wymiarze raczej przekleństwem niż darem. - Jeśli wziąć pod uwagę fenomenalną długowieczność kogoś takiego jak ty i ograniczoną długość życia przeciętnego kundla, powstaje problem.

- Tak. Miałam psy. Kiedyś, w domu, dawały mi wiele radości.

Podniosła piłkę, obślinioną już i noszącą ślady psich zębów, zważyła w wytwornej dłoni i rzuciła, ku uciesze niezmordowanego Moego.

- Kiedy nas wygnano, pragnęłam wierzyć, że wypełnimy naszą powinność i wrócimy. Wkrótce. Tęskniłam za moim światem i na pociechę wzięłam sobie psa. Pierwszym był wilczarz. O, jakież on był piękny i waleczny, i wierny. Dziesięć lat. - Westchnęła, obchodząc skraj lasu. - Był ze mną przez dziesięć lat. Jedno pstryknięcie palcami. Pewnych rzeczy nie możemy zmienić, nie wolno nam, dopóki tu przebywamy. Nie mogę przedłużyć zwierzęciu życia. Nawet ukochanemu psu.

Zgarnęła piłkę z ziemi i posłała w innym kierunku.

- Ja też miałam psa, kiedy byłam mała. - Dana, podobnie jak Rowena, obserwowała Moego, który pomknął za piłką tak obocho, jakby to był pierwszy raz. - Właściwie to była suka mego ojca. Wziął ją rok przed moim urodzeniem, więc wychowywałam się z nią. Zdechła, kiedy skończyłamjedenaście lat. Płakałam trzy dni.

- Więc wiesz, jak to jest. - Rowena uśmiechnęła się lekko, gdy Moe nadbiegł w podskokach, merdając ogonem, z piłką, która w jego pysku przypominała jabłko. - Byłam zrozpaczona i przysięgłam sobie, że więcej nie ulegnę tego rodzaju pokusie. Ale uległam. Wiele razy. Aż wreszcie musiałam przyjąć do wiadomości, że po prostu pęknie mi serce, jeśli będę musiała patrzeć na śmierć jeszcze jednego ukochanego stworzenia, po tak krótkim czasie.

Dlatego bardzo się cieszę... - pochyliła się i ujęła w dłonie łeb psa - i bardzo ci jestem wdzięczna, że zabrałaś Moego, jadąc do mnie w odwiedziny.

- A więc to nie jest tak piękne, jak mogłoby się wydawać? Po-
tęga, nieśmiertelność?

- Za wszystko się płaci. Niekiedy bólem lub poczuciem straty.
Czy tego chciałaś się dowiedzieć?

- Między innymi. Są zatem granice, przynajmniej dopóki jeste-
ście tutaj. I możliwości Kane'a także są ograniczone, gdy ma do
czynienia z naszym światem. Czy tak?

- Prawidłowy wniosek. Jesteście istotami obdarzonymi wolną
wolą. Tak musi być. On może kusić, kłamać, zwodzić. Ale nie mo-
że przymuszać.

- Czy może zabić?

Rowena tym razem rzuciła piłkę dalej, by Moe miał dłuższą
drogę do przebycia.

- Chyba nie mówisz o wojnie lub odpieraniu ataku, o obronie
niewinnych lub umiłowanych istot? Kara za odebranie życia oso-
bie śmiertelnej jest tak surowa, że nawet Kane nie narażałby się
na nią.

- Kres istnienia - podsunęła Dana. - Sprawdzałam w źródłach.
Nie śmierć, nie przejście w inną formę bytu, lecz kres.

- Nawet bogowie żywią obawy, a to jest jedna z nich. Prócz te-
go utrata mocy i uwięzienie pomiędzy światami, bez prawa wstę-
pu do któregokolwiek... Na to mógłby się poważyć.

- Próbował zabić Jordana.

Rowena odwróciła się gwałtownie, złapała Dane za ramię.

- Opowiedz mi o tym. Dokładnie.

Dana zrelacjonowała wszystko, co wydarzyło się w środku nocy.

- Zabrał go za Zastonę? - spytała Rowena. - I przelał jego
krew?

- Właśnie.

Zaczęła chodzić tam i z powrotem tak nerwowym krokiem, że
Moe przysiadł cicho z pogryzioną piłką w pysku.

- Nadal nie jest nam dane widzieć, nie wolno nam wiedzieć.
Powiadasz, że byli sami? Nikt inny nie pojawił się w pobliżu?

- Jordan wspomniał coś o jeleniu.

- O jeleniu... - Rowena zastygła w bezruchu. - Jakim jeleniu?
Jak on wyglądał?

- Wyglądał jak jelen. - Dana uniosła ręce. - Z tym, że chyba ta-

kiego gatunku, jakiego można się spodziewać w miejscu, gdzie kwiaty są podobne do rubinów i tak dalej. Jordan mówił, że miał złotą sierść i srebrne rogi.

- A zatem był dorosłym samcem.

- Tak. Aha, i jeszcze miał obrozę wysadzaną klejnotami.

- To możliwe - szepnęła Rowena. - Ale co oznacza?

- A skąd ja to mogę wiedzieć?

- Jeśli to był on, dlaczego na to pozwolił? - Wzburzona, zaczęła krążyć między trawnikiem a drzewami. - Dlaczego do tego dopuścił?

- Kto i do czego? - spytała z naciskiem Dana, szarpiąc Rowenę za ramię, by przyciągnąć jej uwagę.

- Król - odparła Rowena. - Jeśli to nasz król przybrał postać jelenia, dlaczego pozwolił Kane'owi sprowadzić śmiertelnego za Zastonę? I wyrządzić mu krzywdę, przelać jego krew? Jakaż to wojna toczy się w moim świecie?

- Przykro mi, nie mam pojęcia. Ale jedynym rannym, o ile mi wiadomo, jest Jordan.

- Porozmawiam z Pitte'em - oświadczyła Rowena. - Zastanowię się. Na pewno nie widział nikogo więcej?

- Tylko jelenia i Kane'a.

- Nie mogę ci udzielić odpowiedzi, których potrzebujesz. Kane ingerował już wcześniej, lecz nigdy nie posunął się tak daleko. Zakłęcie było jego dziełem i sam wyznaczył granice. Teraz jednak je przekracza i nikt go nie powstrzymuje. Mogę uczynić więcej i uczynię. Ale nie jestem już pewna zasięgu mocy i opieki ze strony króla. Nie jestem nawet pewna, czy on jeszcze rządzi.

- A jeśli nie?

- To oznacza wojnę - odparła Rowena głosem pozbawionym wyrazu. - A jednak nie sprowadzono nas do domu. Dlatego sędzę, że cokolwiek się stało lub dzieje w świecie, z którego przybyłam, pozostaje moim przeznaczeniem doprowadzić do końca to, co mi nakazano. Muszę wierzyć, że twoim przeznaczeniem jest mi w tym dopomóc. - Odetchnęła głęboko, usiłując odzyskać spokój.

- Dam ci balsam na rany twojego mężczyzny.

- Sypiamy z sobą. Nie wiem, czy to wystarczy, żeby go nazwać moim mężczyzną.

Rowena w rozrządzeniu machnęła ręką.

- Muszę pomówić z Pitte'em. Strategia jest jego dziedziną, nie moją. Chodźmy, poszukam lekarstwa.

- Jeszcze jedno. Jordan. On ma zasadnicze znaczenie dla mojego klucza?

- Czemu pytasz o coś, co już wiesz?

- Pragnę potwierdzenia.

W odpowiedzi Rowena dotknęła czubkami palców serca Dany.

- Uzyskałaś je wcześniej.

- Czy on jest częścią tego wszystkiego, ponieważ go kocham?

- Jest częścią ciebie, ponieważ go kochasz. A ty jesteś kluczem.

- Wzięła Dane za rękę. - Chodź. Dam ci balsam dla twego wojownika i wyprawię cię w drogę. - Zerknęła na ciemniejące niebo. - Nadciąga deszcz.

Rozdział dwunasty

Brad nasypał lodu do ocynkowanego wiaderka, będącego skromnym acz zimnym gniazdkiem dla butelki cristala. Wystającą szyjkę przykrył czystą szmatką.

Zajęgo plecami Flynn z Jordanem ustawili stół do kart.

- Obrus jest tam, w torbie.

Flynn obejrzał się przez ramię.

- Jaki obrus?

- Na stół.

- Po co im obrus? Stół jest czysty.

- Nie gadaj, tylko rozłóż ten cholerny obrus.

Jordan podszedł i rozerwał worek.

- Patrzcie, jakie urocze różyczki. I serwetki do kompletu - dodał, grzebiąc w worku.

- Sama słodycz. Nie znałem dotąd kobiecych cech twojego charakteru.

- Jak skończymy, skopię wam tyłki, żeby podbudować swoją męskość i trochę się przy tym zabawić. - Brad wyjął kieliszki do szampana i obejrzał pod światło, czy nie ma na nich plamek. - A potem może powiem dziewczynom, że to był mój pomysł i zakasuję was w ich oczach.

- Ejże, ja zapłaciłem za kwiaty - przypomniał Flynn.

- A ja kupiłem ciastka. - Jordan potrząsnął pudełkiem z ciemierni.

- Pomysły robią większe wrażenie niż ciastka i kwiaty, drodzy przyjaciele. - Brad lekkim pociągnięciem wyrównał obrus. - Najważniejsze są pomysły i ich oprawa. Z czego wynika, że kobiece cechy charakteru pomagają mężczyznom w zdobywaniu kobiet.

- Więc jak to się dzieje, że Flynn i ja mamy się z kim bzykać, a ty nie?

- Dajcie mi trochę czasu.

- Powiniennem ci przywalić za to wyrażenie, bo w końcu chodzi tu o moją dziewczynę i moją siostrę. - Flynn zmierzył spojrzeniem uśmiechniętego Jordana. - Ale ponieważ jest ono trafne i w dodatku uciera Bradowi nosa, puszczam je mimo uszu. Ile mamy czasu?

- Sporo - odparł Jordan. - Zawarcie umowy powinno być dość prostą sprawą, ale sąjeszcze prawnicy, bankierzy, papiery do podpisania, więc to wszystko potrwa dwa razy dłużej, niż się człowiek spodziewa.

Cofnął się o krok i przyjrzał stolikowi ustawionemu w holu. Musiał przyznać, że jest to miły akcent, odbijający od płacht i przyborów malarskich. Barwna, radosna plama na tle zagruntowanych na biało ścian.

Wiedział, że dziewczyny rozpułną się jak lody w lipcowy dzień, gdy to zobaczą.

- No dobra, pomysł był przedni, Brad.

- Mam ich na kopy.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego musimy się stąd zmyć, zanim przyjadą - zgłosił pretensję Flynn. - Miałbym ochotę na szampa na i ciastko, nie wspominając już o czułych, gorących całusach, jakie ten widok zapewne pociągnąłby za sobą.

- Bo to jest dla nich ważna chwila, oto dlaczego. - Brad z zadowolaniem oparł się o drabinę. - Wzięcie tego faktu pod uwagę przyniesie ci na dłuższą metę jeszcze więcej czułych, gorących całusów.

- Lubię od razu odbierać nagrodę. - Flynn umilkł na chwilę, rozglądając się wokoło. - To miejsce naprawdę zapowiada się świetnie. Nowatorski pomysł, dobra lokalizacja, ładna okolica. Pleasant Valley na tym skorzysta. I one także. Powinniście zobaczyć parę rzeczy, które Mai włączyła do kolekcji. Odwiedziliśmy w weekend kilku artystów. Kapitalny towar.

- Pojechał oglądać dzieła sztuki - pokiwał głową Jordan, po czym z uśmiechem wsunął zakrzywiony palec do ust i pociągnął kącik ku górze, czyniąc aluzję do ryby złapanej na haczyk. - Od tego już tylko krok do wieczoru w operze.

- Zobaczymy, kto będzie się ironicznie uśmiechał, kiedy usiądziesz w księgarni Dany, popijając ziołową herbatkę.

- Tojeszcze nie takie złe. Brad pewnie będzie musiał dać sobie położyć maseczkę na twarz, żeby zdobyć Zoe.

- Nagroda nagrodą, ale istnieją nieprzekraczalne granice. - Brad spojrział w górę schodów. - Trzeba tu zainstalować odpowiednie oświetlenie. I wymienić część stolarki. A w ubikacji na górze przydałaby się nowa umywalka.

- Zamierzasz uwieść Zoe za pomocą instalacji łazienkowych? - spytał Flynn. - Spryciarz z ciebie. Jestem dumny, że mogę cię nazwać przyjacielem.

- Uwiedzenie jej byłoby bardzo przyjemną korzyścią uboczną. W końcu dzięki drabinie dostałem kurczaka na kolację.

- Kurczaka? Kurczaka to możesz dostać w jadłodajni przy Main Street w każdy wtorek. Specjalność szefa kuchni. - Flynn ze smutkiem pokręcił głową. - Chyba niejestem z ciebie aż tak dumny, jak mi się wydawało.

- Dopiero zaczynam. Ale naprawdę przyda im się pomoc. Przy kafelkach, stolarce, instalacjach kanalizacyjnych i elektrycznych. Muszą wymienić część okien. Możemy im zaproponować coś więcej niż szampana i ciastka.

- Popieram - rzucił Jordan.

- Jasne. Już o tym myślałem. - Flynn wzruszył ramionami. - Cholera, mój dom i tak zamienił się w plac budowy. Chętnie się podzielę wrażeniami. A gdy wbijemy kilka gwoździ, może przestaniemy tak świrować na punkcie kluczy.

- Jeśli już o tym mowa - Jordan zerknął w stronę okien, o które zaczęły bębnić krople deszczu - chciałbym wam opowiedzieć, co się zdarzyło tej nocy.

- Coś się stało Danie? - Flynn aż odskoczył od ściany. - Dobrze się czuje?

- Nic jej się nie stało. Czuje się świetnie. Cholera, muszę zapalić. Chodźmy na ganek.

Stanął na zewnątrz, wsłuchując się w bębnienie deszczu o okap. Jordan opowiedział o kolorach, dźwiękach, ruchach, budując napięcie tak, jak swego czasu w namiocie albo w lesie przy ognisku.

Tym razem jednak nie pofolgował wyobraźni. Choć bujna i lotna, nie zdołałaby wyźłobić krwawych bruzd w jego klatce piersiowej. Nadal go piekły. Gdy podciągnął koszulę, żeby je pokazać, gwałtowne sapnięcie Flynnna i pełna współczucia mina Brada nieco go pokrzepiły.

- Chryste, paskudnie to wygląda - Flynn przyjrzał się z bliska zaognionym, czerwonym rowkom. - Może by to zabandażować albo coś?

- Dana opatrzyła je w nocy, ale dość marna z niej siostra miłośniczka. Rano posmarowałem to jeszcze jakimś gównem. Rzecz w tym, że nasz przyjaciel był autentycznie wkurzony, na tyle, że by mnie zaatakował. Co w takim razie czeka dziewczyny?

W oczach Flynna rozbłysły iskry.

- Nie tknął Malory. W sensie fizycznym ani razu. Próbował mieszać jej w głowie i to już było przerażające, ale coś takiego... Musimy dać mu nauczkę.

- Jestem otwarty na sugestie - Jordan rozłożył ręce. - Problem w tym, że jeśli chodzi o magiczne sztuczki, nie potrafię nawet wyciągnąć królika z kapelusza.

- W pewnej mierze jest to zmylenie kierunku, zwykłe przywidzenie - zadumał się Brad.

- Jedno ci powiem, synu: kiedy ten gość wbija w ciebie pazury, to nie jest żadne przywidzenie.

- Nie, miałem raczej na myśli naszą sytuację - wyjaśnił Brad. - Jeżeli mu się pokażemy, pozostawimy kobietom szersze pole manewru. Nie bez powodu przypuścił atak na ciebie. Gdybyśmy odkryli ten powód, moglibyśmy na dwa tygodnie odwrócić jego uwagę od Dany. I od Zoe, gdy przyjdzie na nią czas.

- Nie nasuwa mi się nic konkretnego. Mam niejasne wrażenie, że coś wiem, ale nie potrafię tego określić. - Jordan z irytacją wbił ręce w kieszenie. - Odpowiedzią jest coś, co wiem, co zrobiłem, co mam. Albo jedną z odpowiedzi. Jakiś element przeszłości, który odgrywa rolę w chwili obecnej.

- To, co jest między tobą a Daną? - podsunął Brad.

- Musi istnieć jakiś związek, no nie? Inaczej to by odbiegało od ustalonego wzorca. I po co miałyby się ze mną opieprzać, gdyby chodziło o coś mało ważnego?

- Może już czas zwołać naradę - zaczął Brad.

- Wy, biznesmeni w eleganckich garniturach, nic, tylko byście zwoływali narady - burknął Flynn.

- Zmuszony jestem zaznaczyć, że nie mam na sobie garnituru.

- Na sobie może nie, ale w sobie tak. I to zapewne w prążki. Założę się też, że gdzieś tam w środku przez cały czas nosisz krawat. Ale odbiegam od tematu. Może kolega biznesmen ma rację - zwrócił się do Jordana. - Nasza szóstka powinna się spotkać. U ciebie - tu poklepał Brada po ramieniu. - Masz więcej mebli i lepsze żarcie.

- Zgoda. Im prędzej, tym lepiej. - Brad zerknął na zegarek. -

Niestety, muszę jechać na naradę. Uzgodnijcie termin z dziewczynami i dajcie mi znać.

Zawrócił po kurtkę i pobiegł w deszczu do samochodu. Jordan odprowadził go spojrzeniem.

- Kiedy przez to przebrniemy i zacznie się ostatnia runda, jego głowa pójdzie pod topór.

- Myślisz, że on o tym nie wie?

- Nie, przypuszczam, że wie. Zastanawiałem się tylko, czy Zoe także zdaje sobie z tego sprawę.

W owej chwili Zoe wiedziała tylko, że jest to jeden z najważniejszych dni w jej życiu. Ścisnęła w dłoni klucze, swoje własne klucze. Fabrycznie nowe, podobnie jak zamki, które kupiła, żeby wprawić w miejsce starych.

Zamierzała sama założyć zamek w drzwiach wejściowych. Umiała to zrobić. Doszła do wniosku, że dopełni w ten sposób swego rytuału. Obejmie dom w posiadanie.

Zaparkowała auto, przebiegła w strugach deszczu na ganek i zaczęła na przyjaciółki. Malory miała oryginalne klucze. Poza tym powinny wejść tam ramię w ramię, wszystkie trzy.

I czyż nie było to słuszne, nawet symboliczne, że oryginalny klucz dzierżyła Malory? Że Dana i Zoe miały czekać, aż ona otworzy drzwi? Pierwsze drzwi.

Malory doprowadziła swoje poszukiwania do końca i zdobyła klucz. Teraz Dana przystąpiła do dzieła. A potem, jak Bóg da, przyjdzie kolej na Zoe.

- Deszcz strąci z drzew mnóstwo liści - zauważyła Malory, chroniąc się pospiesznie pod okapem. - Niewiele zostanie kolorów.

- Było miło, ale się skończyło.

- Ano tak. - Malory podeszła do drzwi i nagle znieruchomiała. - Właśnie do mnie dotarło, że to jest już nasze. Naprawdę nasze. Może powinniśmy wypowiedzieć jakieś ważne słowa, zrobić coś symbolicznego?

- Nie przenoszę żadnej z was przez próg. - Dana odgarnęła w tył wilgotne włosy.

- Zatrzęśmy tyłkami - zdecydowała Zoe, rozśmieszając Dane.

- Zatrzęśmy. Na trzy.

Nieliczne przejeżdżające tamtędy osoby mógł nieco zdziwić widok trzech kobiet na niebieskim ganku, kręcących pupami na wprost zamkniętych drzwi.

Chichocząc, Malory przekreśliła klucz.

- To było to. No, wchodzimy.

Otworzyła drzwi pełnym rozmachu gestem i opadła jej szczęka.

- O mój Boże, patrzcie!

- Co? - Zoe odruchowo złapała ją za ramię i pociągnęła w tył. - Czy to Kane?

- Nie, nie. Spójrzcie. Ach, jak to miło! Popatrzcie, co zrobili. - Wbiegła do holu i niemal wtuliła twarz w róże stojące na stoliku.

- Kwiaty. Nasze pierwsze kwiaty. Flynn dostanie za to wieceelką nagrodę.

- Bardzo ładnie postąpił. - Zoe powąchała kwiaty i otworzyła pudełko z cukierni. - Ciastka. I to wykwintne. Kochanego masz chłopaka, Malory.

- Nie zorganizował tego sam. - Dana wyjęła z wiaderka butelkę szampana i na widok nalepki uniosła brwi. - Wszędzie widzę odciski palców Brada. Jeśli już szampan, to z tych najlepszych.

Zoe zmarszczyła brwi.

- Jest drogi, prawda?

- Nie tylko drogi, ale wysokiej klasy. Piłam go raz w życiu, kiedy Brad podarował mi butelkę na dwudzieste pierwsze urodziny. Zawsze miał styl.

- Zrobili to we trzech, specjalnie dla nas. - Malory z przeciągłym westchnieniem pogładziła płatki opuszkami palców. - Rzekłabym, iż wszyscy trzej mają styl.

- Nie sprawmy im zawodu. - Dana wyciągnęła korek i nalała szampana do wąskich kieliszków stojących na stoliku.

- Powinniśmy wnieść toast - Zoe rozdała kieliszki.

- Byle nie taki, przy którym się popłaczemy. - Malory odechnęła, żeby się uspokoić. - I tak już miałam łzy w oczach, jak zobaczyłam te kwiaty.

- Mam. - Dana wzniosła kieliszek. - Za „Pokusę”.

Trąciły się i wypiły. I mimo wszystko uroniły kilka łez.

- Chcę wam coś pokazać. - Malory odstawiła swój kieliszek i sięgnęła po teczkę. - Trochę się pobawiłam. Nie musicie czuć się zobowiązane. Nie zranicie moich uczuć, jeśli wam się nie spodoba. To tylko taki... taki pomysł.

- Nie trzymaj nas w napięciu. - Dana wzięła ciastko. - Mów.

- OK. Myślałam o logo, wiecie, takim, które by łączyło wszystkie trzy przedsięwzięcia. Oczywiście każda z nas pewnie będzie chciała mieć własne, oddzielne, ale przyda nam się też wspólne do

umieszczenia na papierze listowym, wizytówkach, w witrynie internetowej.

- W witrynie internetowej. - Dana zacisnęła usta, pokiwała głową. - Zdystansowałeś mnie.

- Planowanie się opłaca. Pamiętasz Toda?

- Jasne. To ten miły gość, z którym pracowałeś w galerii.

- Właśnie. Dobry z niego kolega i świetnie się zna na grafice komputerowej. Mogłybyśmy go poprosić o opracowanie strony. Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że uda mi się zaproponować mu pracę u mnie. Wprawdzie jeszcze nie w tej chwili, ale optymistycznie patrząc, będę potrzebowała pomocnika. Wszystkie będziemy potrzebowały.

- Nie wybiegałam myślami tak daleko naprzód - przyznała Dana. - Owszem, przyda mi się ktoś na pół etatu, kto by się zajmował parzeniem herbaty, podawaniem wina. Może nawet dwie osoby, realnie rzecz biorąc.

- Zaczęłam się już rozglądać za fryzjerką i manikiurzystką. I nie tylko. - Zoe przycisnęła dłoń do niespokojnego żołądka. - O rany. Będziemy zatrudniać pracowników.

- To mi się podoba. - Dana uniosła kieliszek. - Fajnie jest być szefową.

- Potrzebujemy również doradcy podatkowego, wyposażenia biura, specyfikacji, opracowania budżetu reklamowego, sieci telefonicznej... Zrobiłam spis - dokończyła Malory.

- Nie wątpię - zaśmiała się Dana. - Co masz w tej aktówce?

- No to wróćmy do logo. Po prostu przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Wyjęła teczkę, otworzyła ją i położyła na stoliku rysunek.

Przedstawiał kobietą sylwetkę, spoczywającą w salonowym fotelu w swobodnej, zrelaksowanej pozycji. Kobieta trzymała w rękach książkę, a na stoliku obok stał kieliszek wina i róża w wąskim flakonie. Wokół biegła ozdobna obwódka, przypominająca ramę stylizowanego portretu.

Nad obwódką widniało słowo: POKUSA. A pod nim dopisek: DLA CIAŁA, UMYŚLU I DUCHA.

- O rety. - Niezdolna wykrztusić nic więcej, Zoe położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

- To tylko projekt - rzuciła Malory pospiesznie. - Coś, co ma nawiązywać do naszej działalności, skoro prowadzimy ją pod wspólnym szyldem. Możemy potem umieścić coś podobnego na in-

dywidualnych wizytówkach, papeterii, fakturach i tak dalej, a do tego wydrukować, bo ja wiem... zachętę w rodzaju: „Pokusa piękna. Pokusa książki. Pokusa sztuki”. W ten sposób podkreślimy ich odrębność, zachowując wspólną nazwę.

- Cudownie! - wykrzyknęła Zoe. - To po prostu cudowne. Dana?

- Idealne. Wręcz idealne, Mai.

- Naprawdę? Podoba się wam? Nie chciałabym ograniczać waszej swobody, narzucając swoje...

- Umówmy się - przerwała Dana. - Ilekroć którakolwiek z nas poczuje, że ogranicza się jej swobodę, od razu głośno o tym powie. Jesteśmy dziewczynami, ale nie jesteśmy beksami. Zgoda?

- Zgoda. Mogę to dać Todowi - podjęła Malory. - W ramach przysługi wydrukowałby dla nas próbkę papieru listowego. Lepiej sobie radzi z poligrafią komputerową niż ja.

- Nie mogę się doczekać! - Zoe z tryumfalnym okrzykiem zaczęła tańczyć wokół stolika. - Jutro od samego rana zabieramy się do poważnej roboty.

- Zaraz, chwileczkę. - Dana rozłożyła ręce, wskazując ściany. - A jak nazwiesz to całe malowanie, które zdążyliśmy odstawić?

- Wierzchołkiem góry lodowej. - Nie przestając tańczyć, Zoe chwyciła swój kieliszek szampana.

Dana nigdy nie uważała się za leniucha. Nie unikała ciężkiej pracy, uczciwie wypełniała swoje obowiązki i robiła, co do niej należy. Obijanie się było dla niej rzeczą niedopuszczalną.

Zawsze sądziła, że wiele od siebie wymaga pod względem osobistym i zawodowym, i pokpiwała z ludzi, którzy odbębniali robotę i narzekali, że zadanie, jakiego się podjęli, jest zbyt trudne, zbyt wymagające, zbyt kłopotliwe.

Ale w porównaniu z Zoe - doszła do wniosku Dana, wpadłszy po zakupy do supermarketu - była okazem wałkonia. Mięczakowatym mazgajem. W ciągu pierwszej doby ta kobieta niemal ją wykończyła.

Farba, tapety, stolarka, oświetlenie, artykuły żelazne, okna, wykładziny podłogowe oraz budżet obejmujący to wszystko i jeszcze więcej. I nie chodziło tylko o roztrząsania i decyzje - pomyślała, zastanawiając się nad kłocią bananów - od których aż pękała głowa. Chodziło także o fizyczną harówkę.

Skrobanie, dźwiganie, ustawianie, przestawianie, wiercenie, przykręcanie, przybijanie.

Przebijając w pomarańczach, uznała, iż co do jednego nie ma wątpliwości. Organizacja, przydzielanie i realizacja zadań związanych z fizyczną harówką odbywały się pod kierownictwem Zoe McCourt.

Praca, podejmowanie decyzji, spędzające sen z powiek poszukiwanie klucza, walka o podporządkowanie serca rozsądkowi, gdy w grę wchodził Jordan - wszystko to sprawiło, że naprawdę czuła się wyczerpana.

Czy jednak mogła pojechać do domu, paść na łóżko i spać dwie godziny? O nie, syknęła w myślach, podchodząc do półek z nabiałem. Skądże znowu. Musiała wziąć udział w ważnym zebraniu u Brada, w jego domu nad rzeką.

Naprawdę potrzebowała co najmniej dwóch godzin całkowitej samotności i ciszy, lecz musiała poświęcić część tego czasu zakupom spożywczym, jeśli nie chciała w nadchodzącym tygodniu umrzeć z głodu.

Na dodatek wcale już nie była przekonana, że znajdzie drogowskaz prowadzący do klucza w którymś ze stosów zgromadzonych książek. Czytała i czytała, podążała za każdym możliwym tropem, ale wciąż nie udało jej się sformułować żadnej konkretnej teorii, nie mówiąc już o rozwiązaniu.

A gdyby poniosła klęskę, co wtedy? Zawiodłaby nie tylko przyjaciółki, brata, kochanka, nie tylko Rowenę i Pitte'a, lecz jej nieporadność skazałaby Szklane Córy na niebyt, dopóki nie zostaną wybrane następne trzy kobiety.

Jak żyć z tą świadomością? Przygnębiona, wrzuciła do koszyka karton mleka. Na własne oczy widziała Szkatułę Dusz i błękitne światełka, tłukące rozpaczliwie o ściany więzienia.

Jeżeli nie odnajdzie klucza, nie wsunie go w zamek, jak to przed nią uczyniła Malory, wszelkie ich działania okażą się daremne.

A Kane zwycięży.

- Po moim trupie - wypowiedziała na głos i drgnęła gwałtownie, gdy ktoś dotknął jej ramienia.

- Przepraszam - zaśmiała się stojąca za nią kobieta. - Przepraszam panią. Odniosłam wrażenie, że toczy pani wewnętrzną walkę. Ja zwykle osiągam ten etap w dziale mrożonych deserów.

- No cóż, wiadomo, jak to jest. Mleko pełne, niskotłuszczowe czy dwuprocentowe? Istna dżungla.

Kobieta przesunęła wózek, by przepuścić nadchodzącą klientkę.

Atrakcyjna brunetka pod czterdziestkę, odnotowała w myślach Dana, usiłując skojarzyć z czymś jej twarz.

- Przepraszam, ale chyba skądś panią znam. Tylko nie pamiętam skąd.

- Dwa tygodnie temu spotkałyśmy się w bibliotece. Pomogła pani mojemu synowi. - Kobieta wzięła z półki galon mleka. - Miał napisać na następny dzień referat z historii.

- Ach tak, rzeczywiście. - Dana z wysiłkiem odepchnęła mroczne myśli. - Historia Stanów Zjednoczonych, pani Janesburg, siódma klasa.

- Zgadza się. Jestem Joannę Reardon. - Wyciągnęła rękę. - A chłopak, któremu pani ocaliła życie, to mój syn Matt. Wstąpiłam do biblioteki w zeszłym tygodniu, żeby jeszcze raz pani podziękować, ale poinformowano mnie, że pani już nie pracuje.

- Niestety. - Kilka czarnych myśli natychmiast powróciło. - Byłam zmuszona do natychmiastowego zakończenia współpracy z tą instytucją.

- Przykro mi. Bardzo pomogła pani Mattowi. To było niesamowite. Dostał szóstkę. No, szóstkę z minusem, ale każda szóstka Matta to w naszym domu wielkie święto.

- Naprawdę się cieszę. - Zwłaszcza że jest to końcówka wyczerpującego dnia. - Z pewnością napisał dobrą pracę. Pani Janesburg nie rozdaje szóstek ot, tak sobie.

- Napisał, dzięki pani wskazówkom. Przekreśliła pani właściwy klucz w jego głowie. Miałam szczęście, że na panią trafiłam.

- Ja również. Dzięki pani poczułam się lepiej.

- Przykro mi, że straciła pani pracę. W sumie nic mi do tego, ale gdyby pani potrzebowała referencji, gotowa jestem ich udzielić.

- Dziękuję. Właśnie próbuję z przyjaciółkami uruchomić własne przedsiębiorstwo. Za miesiąc, może dwa, otworzę księgarnię.

- Księgarnię? - Orzechowe oczy Joannę rozbłysły zainteresowaniem. - Tu, w mieście?

- Tak. Swego rodzaju sprzedaż wiązana. Księgarnia, galeria artystyczna i salon piękności. Remontujemy dom przy Oak Leaf.

- Brzmi fantastycznie. Świetny pomysł. Wszystko w jednym miejscu i w dodatku w mieście. Mieszkam zaledwie o półtorej mili dalej. Mogę obiecać, że zostanę waszą stałą klientką.

- Jeśli utrzymamy obecne tempo, zdążymy z otwarciem jeszcze przed świętami.

- Wspaniale. Czy myślałyście o zatrudnieniu pracowników?

- Pracowników? - Dana w zamyśleniu przyjrzała się rozmówcy. - Szuka pani pracy?

- Myślałam o tym, ale chciałam *znaleźć* coś w pobliżu domu, coś sympatycznego i w elastycznych godzinach. Jednym słowem, posadę dla przyjemności. Zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę, że nie pracuję zawodowo od ponad dziesięciu lat, komputerem posługuję się dopiero od niedawna i jeszcze nie nabrałam wprawy, a moje doświadczenie ogranicza się do papierkowej roboty w małej kancelarii adwokackiej w Filadelfii, gdzie trafiłam tuż po szkole średniej i raczej nie błyszczałam. - Parsknęła śmiechem. - Nie przedstawiam swoich kwalifikacji w zbyt korzystnym świetle.

- Lubi pani czytać?

- Gdy mam książkę pod ręką i dwie godziny spokoju, nic więcej mi nie potrzeba do szczęścia. Poza tym łatwo nawiązuję kontakt z ludźmi i nie zależy mi na wysokiej pensji. Mój mąż ma dobrą pracę i jesteśmy materialnie zabezpieczeni, ale chciałabym trochę dołożyć do domowego budżetu. I robić coś, co nie ma nic wspólnego z praniem, gotowaniem czy zmuszaniem jedenastoletka, żeby posprzątał w swoim pokoju.

- Uważam, że to doskonała rekomendacja. Może wpadłaby pani do nas? To dom z niebieskim gankiem. Obejrzy go pani sobie, a potem porozmawiamy.

- Świetnie. Uff. - Joannę znowu się zaśmiała. - Tak się cieszę, że panią spotkałam. To chyba przeznaczenie.

Przeznaczenie, pomyślała Dana, gdy się pożegnały. Dotychczas nie doceniała przeznaczenia. Konieczność uzupełnienia zapasów w spiżarni przygnała ją do supermarketu i postawiła przed półkami z nabiałem.

Taka drobnostka, powiedziała sobie w duchu, ruszając dalej przejściem. Zwyczajne, banalne zdarzenie. A jednak dzięki temu zbiegowi okoliczności znalazła się tutaj w odpowiedniej chwili. I natrafiła na kobietę, która mogła stać się dodatkową siłą napędową w jej życiu.

A nawet czymś więcej. Ta kobieta powiedziała coś, co Dana pragnęła usłyszeć.

„Przekreśliła pani właściwy klucz w jego głowie”.

Czy Joannę użyła tego sformułowania wyłącznie przez przypadek? Nie, Dana nie sądziła, by to był zwykły przypadek. Jej kluczem - prawdziwym kluczem - była wiedza.

Obiecała sobie, że go odnajdzie. Odnajdzie klucz, zachowując otwarty umysł.

Rozdział trzynasty

Zdaniem Dany wiele można by powiedzieć o Bradleyu Charlesie Vane Czwartym.

Był zabawny, inteligentny i bardzo przystojny. Potrafił, w sprzyjającym nastroju i okolicznościach, prezentować nienagane maniery światowca w sposób, który kojarzył się jej z Jamesem Bondem, zamawiającym martini z wódką w Monte Carlo - a potem momentalnie zmienić się w przygłupa, który wylewa ludziom na ubranie wodę sodową.

Mógł dyskutować o francuskim kinie ze swadą kogoś, kto nie potrzebuje napisów u dołu ekranu, a zaraz potem wdać się w gorący spór na temat tego, czy godniejszym przeciwnikiem dla Królika Bugsa jest Elmer Fudd czy Yosemite Sam.

Między innymi dlatego Dana przepadała za Bradem.

Ale przepadała też za jego domem.

Miejscomi nazywali go Domem Vane'ów albo Domem nad Rzeką - i od ponad czterdziestu lat był jednym i drugim.

Zbudował go ojciec Brada, wykorzystując drewno, które stworzyło podwaliny finansowego imperium Vane'ów. Mając do dyspozycji ów budulec, ładną okolicę oraz wprawne oko, B.C. Vane Trzeci połączył prostotę z wystawnością.

Złoty drewniany dom rozsiadł się na brzegu rzeki, pyszniąc się obszernymi i pięknie urządzonymi tarasami. Linie i załamania dachu stykały się w harmonii, która podkreślała piękno drewnianej konstrukcji. Ponadto roztaczał się stamtąd wspaniały widok na rzekę, kępy drzew i starannie zaprojektowane ogrody.

Patrząc na ten budynek, nie myślało się o włożonych weń pieniądzach. Kwitowało się raczej pełnym podziwu: ho, ho!

Dana często bywała u Brada - najpierw jako siostra Flynn, potem jako dziewczyna Jordana. Zawsze czuła się tam swobodnie. Odnosiła wrażenie, że ten dom zbudowano przede wszystkim z myślą o wygodzie, a zaraz na drugim miejscu znalazł się styl.

O Bradzie można było powiedzieć jeszcze jedno: gdy już zapraszał gości, nie skąpił im przekąsek.

Nie były to specjalnie wyszukane potrawy, a w każdym razie nie podawano ich w wyszukany sposób. Przepyszna sałatka z makaronem, która aż się prosiła o repetę, mnóstwo smakowitych przystawek, plastry szynki i pełnoziarnisty ciemny chleb do robienia kanapek.

Ponadto taca z serem Brie, okolonym wielkimi soczystymi maślinami oraz krakersy tak cienkie, że niemal przezroczyste - i cudownie chrupiące za każdym kąsem.

Było także piwo, wino, napoje bezalkoholowe i woda mineralna.

Dana już wiedziała, że dzisiaj nie oprze się miniaturowym ptyśiom, spiętrzoną w kuszący pagórek na półmisku o rozmiarach stanu New Jersey.

Wszystko to rozstawiono z niedbałą elegancją w wielkim pokoju, gdzie trzaskał ogień na kominku, a fotele były z rodzaju tych, w które człowiek zapada z rozkoszą i najchętniej by nie wstawał przez kilka tygodni.

Nic szczególnie wykwintnego ani przesadnie krępującego. Po prostu klasa.

Cały Bradley Vane. Nic dodać, nic ująć.

Nasłuchując cichego szmeru toczących się wokół niej rozmów, ukołysana dobrym jedzeniem, ciepłem i przytulną atmosferą, bliska była zapadnięcia w błogi letarg. I zapadłaby weń, gdyby siedząca tuż obok Zoe przestała się wiercić.

- Wytrząśnij wreszcie te mrówki z majtek - poradziła przyjaciółce Dana.

- Przepraszam. - Zoe ponownie zerknęła w stronę drzwi. - Trochę się niepokoję o Simona.

- Niby dlaczego? Siedzi sobie w pokoju gier z talerzem żarcia, które wystarczyłoby do nakarmienia batalionu głodnych żołnierzy. Spełnienie największych marzeń dziewięciolatka.

- W tym domu jest tyle różnych rzeczy - szepnęła Zoe. - Kosztownych rzeczy. Dzieła sztuki, szkło, porcelana i tak dalej. Simon nie przywykł do takiego otoczenia. - Ja też nie, pomyślała, zmuszając się, by siedzieć spokojnie. - A jeśli coś rozbije?

- No cóż - Dana leniwym gestem wrzuciła malinę do ust. - Wówczas Brad najprawdopodobniej stłucze go na kwaśne jabłko.

- On bije dzieci? - wykrzyknęła ze zgrozą Zoe.

- O Jezu, nie. Kobieto, weźże się w garść. Dziewięcioletni chłopcy już tutaj bywali, a trzech z nich nawet przeżyli i siedzą w tym pokoju. Odpręż się, kieliszek wina dobrze ci zrobi. A przy okazji przynieś mi jeszcze trochę malin.

Pół kieliszka, pomyślała Zoe, wstając. Lecz gdy sięgnęła po butelkę, Brad ją ubiegł.

- Chyba coś cię gnębi. - Napełnił kieliszek i podał jej. - Masz jakiś kłopot?

- Nie. - Cholera, miało być pół kieliszka. Dlaczego ten facet ciągle włąził jej w drogę? - Chciałam tylko sprawdzić, co porabia Simon.

- Wszystko w porządku. Wie, gdzie co jest w pokoju gier. Ale jeśli chcesz, zaprowadzę cię do niego - dodał Brad, zauważając zmarszczone brwi Zoe.

- Nie, dziękuję. To bardzo miło z twojej strony, że pozwoliłeś mu się tam pobawić. - Zdawała sobie sprawę, że słowa brzmią zimno i zachowuje się sztucznie, lecz nic nie mogła na to poradzić.

- Do tego właśnie, jak słyszałem, służy pokój gier.

Ton Brada harmonizował z jej własnym, więc Zoe po prostu skinęła głową.

- Eee... Dana poprosiła, żebym jej przyniosła... no właśnie. - Zażenowana bez konkretnego powodu, zgarnęła garść malin do miski i wróciła na sofę,

- Napuszony dupek - mruknęła pod nosem, na co przyjaciółka zamrugała ze zdumieniem.

- Kto, Brad? - Dana wzięła od niej miskę z malinami. - Przykro mi, skarbie, ale wybrałaś zły numer.

Podszedł do nich Jordan, który przysiadł na poręczy sofy i zwał kilka owoców z miski Dany.

- Zostaw! Sam sobie przynieś.

- Twoje są lepsze. - Zaczął się bawić jej włosami. - Skąd te jasne pasemka?

- To nie do mnie pytanie, zwróć się do Zoe.

Wrzucił do ust kolejną malinę, pochylił się naprzód i mrugnął do Zoe.

- Dobra robota.

- Gdybyś chciał się ostrzec, zrobimy to na koszt firmy.

- Zapamiętam. - Odchylił się na oparcie krzesła. - Zastanawiacie się zapewne, po co was tu dzisiaj sprowadziliśmy - zaczął, wywołując wybuch śmiechu u Dany.

- Oto napuszony dupek do kwadratu. - Mimo to położyła dłoń na jego udzie. - Przypuszczam, że skoro mamy rozmawiać o kluczu, a ja mam go odnaleźć, to już chyba zacznę.

Wręczyła Jordanowi miskę z resztką malin, wstała z sofy i zgarnęła ze stolika kieliszek z winem. Zaledwie zrobiła pierwszy krok, Jordan wśliznął się na jej miejsce. Błysnąwszy zębami w uśmiechu, ułożył ramię na oparciu za plecami Zoe.

- Często tu bywasz? - zagadnął.

- Bywałabym częściej, gdybym wiedziała, że cię tu spotkam, przystojniaku.

- Boki zrywać - mruknęła Dana i precyzyjnie się obok nachmurzonego Brada w stronę butelki wina. Co w końcu, cholera jasna, przecież nie prowadziła samochodu.

- Czy wszyscy siedzą wygodnie? - Zawiesiła głos i pociągnęła łyk wina. - Mój klucz jest związany z wiedzą bądź prawdą. Nie wiem, czy należy traktować owe pojęcia wymiennie, ale czy to z osobna, czy w połączeniu odnoszą się do moich poszukiwań. W grę wchodzi również przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Zmarnowałam trochę czasu, podejmując fałszywe tropy, i teraz uważam, że cała ta sprawa ma wymiar osobisty.

- Myślę, że masz rację - wtrąciła Malory. - Rowena wciąż podkreśla, że to my same jesteśmy kluczami. My trzy. A w moim wypadku wyszły na jaw kwestie osobiste. Jeśli istnieje jakiś wzorzec, widzę w tym jego część.

- Zgadzam się z tobą. Przedstawiciele płci męskiej znajdujący się w tym pokoju są częścią mojej przeszłości i teraźniejszości. Z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że w ten czy inny sposób będę skazana na ich towarzystwo, są zatem również częścią mojej przyszłości. Jednocześnie wszyscy zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy z sobą nawzajem powiązani. Ja jestem związana z każdym z was, a wy ze mną i między sobą. Do tego dochodzą jeszcze obrazy, które Mai wprowadziła do swoich poszukiwań.

Spojrzenia wszystkich skierowały się ku portretowi, który Brad zawiesił nad kominkiem. Było to jedno z dzieł Roweny i przedstawiało Szklane Córy po zaklęciu, które odebrało im dusze. Spoczywały, blade i nieruchome, w kryształowych trumnach.

- Brad kupił go na aukcji, nie wiedząc, co się wydarzy. Podob-

nie Jordan; kupił w galerii, w której pracowała Malory, obraz Roweny ukazujący młodego króla Artura tuż przed wyciągnięciem miecza z kamienia. I także zrobił to na długo przed obecnymi wydarzeniami. Co z kolei łączy nas z Roweną, Pitte'em i boginiami.

- I z Kane'em - dodała Zoe. - Nierozsądnie byłoby go pominąć.

- Masz rację - przyznała Dana. - I z Kane'em. Już wtrącał się w nasze życie i nie ulega wątpliwości, że zrobi to ponownie. Wiemy, że jest zły. I że jest potężny. Ale jego potęga ma pewne granice.

- Niewykluczone, że ktoś lub coś wytycza owe granice. Wykroił ze mnie plasterek - powiedział Jordan - a Rowena podarowała Danie słoiczek maści. Wczoraj wam pokazywałem, jak to wygląda.

- Rozpiął koszulę. Po skaleczeniach pozostały jedynie gojące się blizny. - Zaczęły znikać po kilku minutach od nasmarowania maźdłem. Sęk w tym, że cokolwiek mi zrobił, Rowena potrafiła sobie z tym poradzić. Ale nie udało jej się tego całkowicie zlikwidować.

- Z czego płynie wniosek - zakończyła Dana - że ich siły są mniej więcej równe.

- Ale on ma swoje słabe punkty. - Jordan w roztargnieniu zaplął koszulę. - Miłość własna, pycha, złość.

- Kto powiedział, że to są słabe punkty? - Dana przysiadła na poręczu fotela, który zajmował Brad. - W każdym razie chodzi o coś więcej. On tak naprawdę nie potrafi nas osiągnąć, jako ludzi, jako śmiertelnych. Jako jednostki. Ślizga się po powierzchni, wykorzystuje nasze marzenia i lęki, ale nie dociera do istoty człowieczeństwa... przynajmniej na razie. Dzięki temu Malory go pokonała.

- Tak, ale gdy już ma cię w garści, kontury rzeczywistości zaczynają się zacierać, a świadomość zanika. - Malory pokręciła głową. - Nie wolno nam go lekceważyć.

- Nie mam takiego zamiaru. Ale dotychczas to chyba on lekceważył nas. - Dana w zamyśleniu przyjrzała się portretowi. - Chce, żeby cierpiały, ponieważ są po części śmiertelne. Rowena wspominała o przeciwstawnych siłach: pięknie i brzydocie, wiedzy i ignorancji, odwadze i tchórzostwie. O tym, że jedno bez drugiego traci moc. Zatem Kane jest ciemnością, a bez ciemności nie ma światła. Przypuszczam, iż odgrywa w tym wszystkim istotną rolę, a nie tylko przeszkadza. - Zawahała się, upiła łyk wina. - Nie jest dla was tajemnicą, że między Jordanem a mną istniała intymna więź. Nie sądzę również, by dla kogokolwiek było tajemnicą, że ta więź... istnieje nadal.

Jordan odczekał kilka sekund.

- Nigdy dotąd nie zauważyłem, Żyrafo, żeby mówienie o seksie wytrącało cię z równowagi.

- Chciałam tylko, żeby wszystko było jasne. Żebyś i ty wiedział, że nie śpię z tobą po to, by odnaleźć klucz. Nawet jeżeli coś tu jest na rzeczy - dorzuciła pospiesznie - ponieważ, jak ktoś mi ostatnio powiedział, w seksie tkwi potężna magia...

- Jeśli uprawiasz go we właściwym miejscu i z właściwą osobą - wtrącił Jordan.

- A zatem, podsumujmy, co wiemy - odezwał się Brad, usiłując wrócić do tematu. - Kane spowodował to, co wydarzyło się w przeszłości. - Wyprostował palec wskazujący. - Jego manipulacje wpływają na obecne poszukiwania klucza. To terażniejszość. - Uniósł drugi palec. - I bez niego nie zlikwiduje się zaklęcia. - Trzeci palec. - Jest niezbędnym czynnikiem. Bez pracy nie ma kołaczy, bez wysiłku nie ma wygranej, każde zwycięstwo wymaga ryzyka.

- Kolejny tradycyjny element poszukiwań - wtrącił Jordan. - Zło, które należy pokonać.

- Rozumiem - odezwała się Zoe. - I to jest ważne. Ale w jaki sposób pomoże Danie odnaleźć klucz?

- Poznaj swego wroga - odparł Brad.

- Najprościej rzecz ujmując - przyznała Dana.

- Ale to nie wszystko - zauważył Flynn. - Polała się krew. Jeszcze jeden tradycyjny element poszukiwań. Ja także umiem czytać - podkreślił. - Dlaczego była to krew Jordana? Musi istnieć jakiś powód.

- Może dlatego, że Jordan go wkurzył, w czym zresztą potrafi być naprawdę niezły - odparła Dana. - Ale tak naprawdę, to chyba dlatego, że potrzebuję Jordana, by odnaleźć klucz.

- Nie tylko do tego, Żyrafo.

- Zignorujmy ten wybuch pychy i skupmy się na tym, co nas czeka. - Dana wykonała szeroki gest ręką, w której trzymała kieliszek. - Klucz kryje się w wiedzy. W czymś, co już wiem lub czego dopiero się dowiem. W prawdzie, którą muszę odsiać od kłamstw. Kane przepłata prawdę i kłamstwa. Co w jego słowach i czynach jest prawdą? To jeden z punktów widzenia, które rozważam. I jest jeszcze ten fragment wskazówki. Gdzie jedna bogini się przechadza, inna oczekuje. To dla nas nadal zagadka. Malory miała śpiewającą boginię i odtworzyła tę chwilę wraz z kluczem, malując ją. Gdybyśmy szli dalej tym tropem, moja bogini, Niniane, powinna się przechadzać. Ale gdzie, kiedy i po co? I która bogini czeka? Czy ta związana z Zoe?

- Może powinnaś to opisać? - podsunęła Zoe. - Stworzyć opowieść. Tak jak Malory namalowała obraz.

- Niezły pomysł - zastanowiła się Dana. - Problem w tym, że nigdy nie chciałam pisać, nie tak, jak Malory pragnęła malować. Ale może chodzi o coś, co powinnam przeczytać, choć Bóg mi świadkiem, że na nic nie natrafiłam w tych sześciu milionach książek, które przejrzałam do tej pory. Może więc powinnam sama to najpierw napisać.

- A może powinien to zrobić Jordan. - Flynn w zamyśleniu bawił się pasmem włosów Malory. - Jest pisarzem... ja zaś, niczego nie ujmując memu nadzwyczajnemu talentowi, tylko dziennikarzem. To on wymyśla najrozmaitsze bzdety.

- Cenione przez czytelników - przypomniał Jordan.

- Ma się rozumieć. Myślę, że przynajmniej dla wprawy i ćwiczenia zwięzłości stylu Jordan powinien to wszystko opisać. W formie opowiadania. Może kiedy Dana je przeczyta, łuski opadną z jej oczu, wyciągnie klucz i urządzimy sobie przyjęcie z pysznym ciastem.

- To nie taki głupi pomysł - skostatowała Dana.

- Wręcz znakomity. - Zoe obróciła się i uśmiechnęła promiennie do Jordana. - Zrobisz to? Przepadam za twoimi książkami, a coś takiego byłoby jeszcze wspanialsze.

- Dla ciebie wszystko, ślicznotko. - Ucałował jej dłoń.

- Odczuwam lekkie mdłości. - Dana pomasaowała brzuch. - Kiedy dostanę coś do przejrzenia? - zwróciła się do Jordana.,

- Mówisz zupełnie jak moja redaktorka. To może wywołać u mnie blokadę twórczą i zwolnić tempo pracy.

- Miewasz takie chwile? To znaczy, blokady twórczej. - Dla Zoe sama myśl o czymś podobnym była frapująca. - Zawsze się zastanawiałam, jak to jest z wami, artystami.

- O Boże, teraz nazwała go artystą. - Dana dźwignęła się na nogi. - Muszę wracać do domu. Chyba się położyę.

Nie zwracając na nią uwagi, Jordan utkwił spojrzenie w Zoe.

- Niezupełnie. To moja praca i tak się składa, że bardzo ją lubię. Moja redaktorka... ta prawdziwa - dodał, zerkając na Dane - jest kobietą o wyrafinowanym guście, biegłą w swoim fachu i wykazującą olbrzymie zdolności dyplomatyczne.

- Twoje książki redaguje kobieta? Jak wam się układa? Czy pracujecie razem od początku do końca, czy po prostu mówi ci, czego od ciebie chce albo... - Umilkła, pokręciła głową. - Przepraszam. Odbiegam od tematu.

- Nie szkodzi. Chciałabyś pisać?
- Pisać? Ja? - Jej niezwykle oczy rozszerzyły się, a potem parsknęła śmiechem. - Nie. Tylko lubię wiedzieć, na jakiej zasadzie różne rzeczy działają.

- A gdy mowa o działaniu, jutro czeka nas pracowity dzień. - Malory poklepała Flynna po ręce.

- Rozumiem. Przywożę Moego - zwrócił się do Dany.

- Zaczyna już brakować psiego żarcia. On pochłania jak słoń.

- Podrzucę ci trochę. - Ujął jej twarz w dłonie. - Trzymaj go blisko siebie, dobra?

- Raczej nie ma innej możliwości.

- Flynn, mógłbyś przy okazji zabrać Simona? - Zoe odruchowo zaczęła sprzątać naczynia. - On i Moe rozumieją się bez słów, więc nie powinien ci sprawić kłopotu.

- Jasne.

- A my chyba już się zmyjemy. Sprawdzę, czy uda mi się zapędzić tego faceta do odrobienia pracy domowej. - Kciuk Dany wycelował w Jordana. - Masz dla mnie jakąś radę, Zoe?

- Przekupstwo. Oto moja metoda.

Brad zbliżył się o krok, przykrył ręką dłoń Zoe. Podskoczyła jak spłoszony królik.

- Nie musisz zawracać sobie tym głowy.

- Przepraszam. - Natychmiast odstawiła talerze. - Siła przyzwyczajenia.

Pomyślał, że ta kobieta celowo przeinacza w duchu co drugie jego słowo.

- Chodziło mi tylko o to, żebyś nie robiła sobie kłopotu. Czy ktoś chce kawy?

- Ja.

- Nieprawda, nie chcesz. - Łokieć Dany skierował Jordana w stronę drzwi. - Robota czeka, koleś. Dostaniesz kawę, kiedy napiszesz kilka stron.

- Przekupstwo - Zoe z aprobatą pokiwała głową. - Nigdy nie zawodzi.

Do pokoju wpadł Moe, zamazana plama futra. Zachwycony widokiem przyjaciół zaczął podskakiwać i lizać ich po rękach; mierzając ogonem, w szaleńczej radości zmiotł ze stolika kieliszki i wsadził nos w talerz z krewetkami koktajlowymi, zanim został powstrzymany.

- Przepraszam, przepraszam. - Flynn złapał psa za obrozę

i odciągnął go, czy raczej dał mu się odciągnąć w stronę drzwi. - Zamknę go w samochodzie Jordana. Wystaw mi rachunek za szkody. No to na razie. Aha, Zoe, Simon potrzebuje jeszcze kilku minut, żeby skończyć grę. Jezu Chryste, Moe! Stój!

- Tak wygląda teraz moje życie - oznajmiła radośnie Malory. - I wcale nie narzekam. Dzięki, Brad, przykro mi z powodu naczyń. Zoe, Dana, do zobaczenia rano. Dobranoc, Jordanie.

- Muszę ratować moją tapicerkę. - Jordan chwycił Dane za ramię i ruszył ku drzwiom. - Pogadamy później.

- Nie szarp mnie. Całusy, Brad. Do jutra, Zoe.

Drzwi zatrzęsły się z nimi i zapanowała absolutna cisza.

Zoe zdołała jedynie pomyśleć, że to wszystko działo się niesłychanie szybko. W żadnym wypadku nie zamierzała wychodzić ostatnia. To było okropne. Przerażające.

Właściwie powinna pomaszerować czym prędzej po Simona, ale nie bardzo wiedziała, gdzie jest pokój gier. Nie mogła przecież stać w miejscu i nawoływać syna. Musiała jednak coś zrobić.

Schyliła się, by pozbierać szkło, które Moe strącił na podłogę. Jednocześnie Brad wpadł na ten sam pomysł.

Stuknęli się głowami i natychmiast wyprostowali, napięci jak struny.

- Ja to podniosę. - Przykucnął, zebrał kieliszki i postawił na stoliku. Znajdował się teraz dostatecznie blisko, by poczuć jej zapach. Za każdym razem wydawał mu się inny, czasami zmysłowy, czasami lekki, zawsze bardzo kobiecy.

Między innymi to go w niej fascynowało. Ta jej zmienność.

-Kawy?

- Naprawdę powinnam już pójść po Simona. Zwykle o tej porze kładzie się spać.

- Ach, tak. Rozumiem.

Stał, patrząc na nią i Zoe poczuła rumieniec zakłopotania pełną od nasady karku. Czy zrobiła coś nie tak? Coś przeoczyła?

- Dziękuję za zaproszenie.

- Cieszę się, że mogliście przyjść.

Nastąpiła długa pauza, podczas której Zoe powstrzymywała się z wysiłkiem od zagryzania ust.

- Simon... Nie wiem dokładnie, gdzie go szukać.

- W pokoju gier. Och... - Brad zaśmiał się, rozbawiony swoim i jej zachowaniem. - Przecież ty nie wiesz, gdzie jest ten pokój. Chodź, zaprowadzę cię.

Dom, w którym się znalazła, coraz bardziej się Zoe podobał i coraz mocniej ją onieśmielał. Przede wszystkim był ogromny, a przy tym urzekający, olśniewający i po prostu piękny. Przypuszczała, że ozdoby na półkach i stolikach to coś znacznie więcej niż zwykłe bibeloty.

Brad skręcił z korytarza do pokoju, który skojarzył się Zoe z biblioteką. Wysoki drewniany sufit potęgował wrażenie rozmachu i przytulności zarazem.

- Tyle tu miejsca. - Urwała, przerażona, że powiedziała to głośno.

- Rzecz w tym, że mój ojciec, gdy już raz zaczął, nie mógł przestać. Wpadał na kolejny pomysł i dołączał go do projektu.

- To wspaniały dom - zapewniła pospiesznie. - Wcale nie wydaje się przeładowany mimo tylu rozmaitych szczegółów. Musiałeś mieć szczęśliwe dzieciństwo.

- Miałem.

Przeszedł do następnego pokoju. Uszu Zoe już wcześniej dobiegł ryk silników, rozgłośna strzelanina oraz pełne uniesienia skandowanie Simona: „dawaj, dawaj, dawaj”.

Gra wideo, polegająca na wojnie gangów samochodowych czy czymś podobnym, błyskała na gigantycznym ekranie telewizyjnym, zajmującym pół ściany. Simon, zlekceważywszy miękkie fotele z regulowanymi oparciami, siedział po turecku na podłodze w miejscu, które stanowiło ucieleśnienie marzeń każdego chłopca. Stół bilardowy, trzy flippery, dwie maszyny z salonu gier. Automaty na monety, automat z napojami gazowanymi, szafa grająca. W kasetonowym suficie z drewna o barwie miodu kryły się rzędy małych lampek.

Na kominku wesoło trzaskały płomienie, w pobliżu stał lśniący barek oraz drugi telewizor z obudową wyposażoną w przeróżne elementy.

- O rety. Oto prywatna wersja rajy Simona Michaela McCourta.

- Mój tata uwielbia zabawki. Spędzaliśmy tu mnóstwo czasu.

- Nie wątpię. - Stała tuż za plecami syna. - Simon, musimy już iść.

- Jeszcze nie, jeszcze nie. - Na jego twarzy malowało się najwyższe skupienie. - To jest Wielka Kradzież Aut, część trzecia. Zaraz, naprawdę lada moment, wezwą Gwardię Narodową. Z czołgami i wszystkim. Daję w tyłek brygadzie antyterrorystycznej. Mogę pobić rekord. Jeszcze dziesięć minut.

- Simon, pan Vane chce odzyskać swój dom.

- Panu Vane'owi wcale się tak bardzo nie spieszy - skorygował Brad.

- Proszę cię, mamó. Proszę. Czołgi!

Zawahała się. Widziała w twarzy syna coś więcej niż ferwor gry. Widziała radość.

Ktoś zginął na ekranie w rozbryzgach krwi, a z pełnego zadowolenia chichotu wywnioskowała, iż tym kimś nie był Simon.

- To trochę brutalna gra - uprzytomnił sobie Brad i wzdrygnął się lekko. - Jeżeli wolisz, żeby nie grał w coś takiego...

- Simon potrafi odróżnić rzeczywistość od gier wideo.

- To dobrze. Świetnie. Może byśmy jednak napili się kawy? - zaproponował. - Kilka minut nikomu nie zaszkodzi.

- Zgoda. Dziesięć minut, Simon.

- Dobra, mamó, dzięki. Uda mi się - wymamrotał, wracając do wirtualnego świata. - Naprawdę mi się uda.

- Miło z twojej strony, że pozwalasz mu się pobawić - zaczęła Zoe, gdy zostawili w pokoju toczącego walkę Simona. - Gdy był tu poprzednim razem, mówił o tym przez kilka dni.

- Fajny dzieciak. To prawdziwa frajda mieć go przy sobie.

- Ja też tak uważam.

Znaleźli się w kuchni - kolejnym przestronnym, imponującym pomieszczeniu, utrzymanym w jasnej, pogodnej, biało-żółtej tonacji, która zapewne sprawiała, że wydawało się ono słoneczne nawet w pochmurny dzień.

Zoe spoglądała z zazdrością na imponujące wielkością blaty i niezliczone szafki, niektóre z uroczymi kryształowymi szybkami. Podziwiała opływowe kontury kuchennych urządzeń - być może dzięki nim gotowanie posiłków stawało się zapewne radosnym procesem twórczym zamiast przyziemnym obowiązkiem.

Wtem uświadomiła sobie, że ponownie znalazła się z Bradem sam na sam.

- Wiesz, powinnam właściwie wrócić do Simona, żebyś mógł... zająć się swoimi sprawami. W ten sposób szybciej się nas pozbędziesz.

Skończył odmierzanie kawy i dopiero wtedy się odwrócił.

- Dlaczego sądzisz, że chcę się was pozbyć?

- Na pewno masz wiele spraw do załatwienia.

- Nie tak wiele.

- No cóż, ale ja mam. Mnóstwo spraw. Naprawdę powinnam

czuwać, żeby oderwać Simona od tej gry, zanim straci poczucie czasu i rozpocznie następną. Pójdę po niego i pojedziemy.

- Nie rozumiem tego. - Zapominając o kawie, Brad zrobił krok w stronę Zoe. - Daję słowo, że nie rozumiem.

- Czego?

- W towarzystwie Flynnna i Jordana czujesz się wystarczająco swobodnie, by z nimi flirtować, przy mnie już po dwóch minutach nie tylko wieje od ciebie chłodem, ale jesteś jedną nogą za drzwiami.

- Nie flirtuję z nimi. - W jej głosie pojawiła się ostra nuta. - To nie tak. Jesteśmy przyjaciółmi. Są chłopakami Malory i Dany, na litość boską. Jeżeli myślisz, że należę do osób, które by...

- No właśnie - podjął Brad z podziwu godnym, jak mu się wydawało, spokojem. - W dodatku automatycznie wyciągasz pochopne wnioski, zazwyczaj błędne, na mój temat.

- Nie wiem, o czym mówisz. Przede wszystkim ledwie cię znam.

- Nieprawda. W sytuacjach pełnych napięcia ludzie dość szybko się poznają. A my znajdujemy się w takiej sytuacji od blisko dwóch miesięcy. Spędzamy razem czas, mamy wspólnych przyjaciół, no i przyrządziłaś dla mnie kolację.

- Nie przyrządziłam dla ciebie kolacji. - Zoe uniosła podbródek. - Przypadkiem znalazłeś się w moim domu, kiedy przygotowywałam kolację. Zjadłeś ją. To co innego.

- Punkt dla ciebie - przyznał. - Wiesz, z bliżej nieokreślonego powodu sposób, w jaki na mnie reagujesz, sprawia, że przypomina mi się mój ojciec, kiedy jest zirytowany. Jego głos nabiera wówczas szczególnego zabarwienia, gesty ulegają zmianie. Wkurzało mnie to jak wszyscy diabli, kiedy byłem mały.

- Nie mam najmniejszego zamiaru cię wkurzać. Zaraz wyjdziemy.

W przekonaniu Brada istniał czas gadania i czas działania. Kiedy człowiek miał dość tego pierwszego, przychodziła kolej na to drugie. Zaciśnął palce na ramieniu Zoe, by ją zatrzymać, i dostrzegł cień gniewu i zmieszania przemykający po jej wyrazistej twarzy.

- Znowu to samo - powiedział. - Typowa reakcja z twojej strony. Rozdrażnienie lub zdenerwowanie, albo jedno i drugie. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego tak się dzieje. Bardzo często zadaje sobie różne pytania na twój temat.

- Więc chyba nie wiesz, co robić z czasem. Puść mnie. Wychodzę.

- A oto - podjął swobodnie - jedna z moich teorii.

Położył wolną dłoń na karku Zoe, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Pragnął tego od tygodni. Może nawet od lat. Pragnął poczuć jej smak na wargach, na języku, we krwi. Dotknąć jej, pomyślał, obejmując ramieniem i przytulając mocniej.

Miała pełne, dojrzałe usta. Ten pocałunek wywarł na nim silniejsze wrażenie, niż przypuszczał. Jej ciało przebiegł dreszcz - zaskoczenia, może oburzenia. W tym momencie to się nie liczyło. Podobnie jak nie liczyło się dla Brada, czy ten odosobniony akt zostanie potraktowany jako wypowiedzenie wojny czy propozycja zawarcia pokoju. Wiedział jedynie, że pragnienie wzięcia Zoe w ramiona doprowadza go z wolna do szaleństwa.

Zawahała się, zamiast natychmiast go odepchnąć. I na tym, pomyślała później, gdy znowu była w stanie myśleć, polegał jej błąd.

Jego usta były ciepłe, twarde i doświadczone. Boże, tak dawno nie przytulał jej żaden mężczyzna. Poczowała obezwładniającą falę gorąca, która wzbierała od palców stóp poprzez brzuch aż po gardło, następnie zaś opadała z długim, rozkosznym drżeniem.

Na jedną szaloną chwilę zachłysnęła się nim, jego męskim zapachem, smakiem, jego siłą i namiętnością - i dała się porwać czemuś w rodzaju radosnego zatracenia. Przypominało to zawrotną przejażdżkę na jakiejś diabelskiej maszynie w wesołym miasteczku, kiedy człowiek nie miał pewności, czy nie wyfrunie z siedzenia w powietrze.

I czyż to nie było bajeczne?

Lecz chwilę później gwałtownie wcisnęła hamulce. Cóż jej pozostało innego? Wiedziała, co może się zdarzyć podczas przejażdżki zbyt szybkiej, porywającej, podniebnej. I nie był to jej dom ani jej mężczyzna. Za to jej dziecko bawiło się w sąsiednim pokoju.

Wyrwała się z objęć Brada.

Przejęty do głębi, zdołał jednak spojrzeć jej w oczy i chłodno skinąć głową.

- Chyba przekazałem, co miałem do przekazania.

Nie była rozdygotaną dziewcziną ani łatwowierną laleczką. Nie cofnęła się - to by wyglądało na ucieczkę - lecz trwała niewzruszenie w miejscu, wytrzymując spojrzenie Brada.

- Wyjaśnijmy sobie parę rzeczy. Lubię mężczyzn. Lubię ich towarzystwo, rozmowy z nimi, ich poczucie humoru. Tak się składa, że jednego sama wychowuję i zamierzam zrobić to jak należy.

Pomyślał, że Zoe wygląda jak rozgniewana i podekscytowana leśna nimfa.

- Robisz to jak należy.

- Lubię całować się z mężczyzną. Odpowiednim mężczyzną, w odpowiednich okolicznościach. Lubię seks, pod tym samym warunkiem.

Jego oczy nabrały odcienia ciepłej, przydymionej szarości, równie nieoczekiwanej, co zniewalającej. Dwie nieznaczne bruzdy na policzkach, pełne uroku, lecz zbyt męskie, aby nazwać je dołkami, lekko się pogłębiły. Aż zaświerzbiała ją palce, by pogłodzić te zmarszczki, co stanowiło ostrzeżenie, że pakuje się w kłopoty.

- Co za ulga to słyszeć.

- Wolałabym, żebyś zrozumiał, dlaczego na tym etapie życiowym stawiam warunki. Fakt, że mam dziecko, choć nie jestem mężatką, nie oznacza, że jestem łatwa.

Gniew i zaskoczenie odbiły się na jego twarzy.

- Chryste, Zoe. Uważam cię za interesującą, niezwykle atrakcyjną kobietę i miałem wielką ochotę cię pocałować. Kto tu mówi, że jesteś łatwa?

- Po prostu chcę postawić sprawę jasno. Poza tym nikt nie będzie wykorzystywał mojego dziecka, żeby mnie zmiękczyć.

Spojrzenie Brada zlodowaciało. Poraził ją powiew zimna z odległości zaledwie stopy.

- Jeżeli przypuszczasz, że robię coś takiego, obrażasz całą naszą trójkę.

Zakłopotanie i poczucie winy odezwały się w niej jednocześnie. Otworzyła usta, lecz w tej samej chwili do kuchni wpadł Simon.

- Wygrałem! Pobiłem cię na punkty, frajerze! - Odańczył wokół Brada triumfalny taniec, unosząc ręce w zwycięskim geście.

Brad z wysiłkiem zepchnął własne uczucia jeszcze głębiej i zachaczył zgiętym ramieniem szyję chłopca.

- Tylko chwilowo, zaręczam ci. Ciesz się, dopóki możesz, mi-krusie.

- Następnym razem pokonam cię w barażach NBA.

- Niedoczekanie. Utrę ci nosa i będziesz się czołgał na brzuchu jak marny robak, którym jesteś.

Gdy Zoe słuchała tej wymiany zdań i widziała, z jak wyraźną sympatią obaj odnoszą się do siebie, jej poczucie winy narastało.

- Simon, musimy już iść.

- Dobra. Dzięki, że mogłem przetrzeć tobą podłogę.

- Wciągam cię w pułapkę, żeby potem z tym większą satysfakcją ci dołożyć. - Wciąż obejmując chłopca, spojrzął na jego matkę.

- Przyniosę wasze okrycia.

Rozdział czternasty

Ponieważ bardzo szybko stało się jasne, że Dana nie posługuje się zbyt zręcznie narzędziami używanymi do prac remontowych, mianowano ją główną malarką pokojową. Co oznaczało, pomyślała smętnie, pokrywanie ściany farbą przez cały dzień, podczas gdy Zoe krążyła po domu ze zgrabną elektryczną wiertarką albo śrubokrętem, a Malory majstrowała przy cieknącej rurze pod kuchennym zlewem.

Fakt, iż to właśnie Malory, najbardziej kobieca ze znanych Dana kobiet, zajęła się hydrauliką, był nieco przygnębiający.

Właściwie Dana nie miała nic przeciw malowaniu jako takiemu - choć mimo czarodziejskiego automatycznego wałka wydawało jej się zajęciem niesłychanie monotonnym. Wolałaby jakieś urozmaicenie. Odczuwała jednak satysfakcję, gdy spoglądała na ściany, stopniowo nabierające koloru. Malory i Zoe wybrały znakomite odcień, dodający przyszłej księgarni ciepła i elegancji zarazem.

Zoe zapewniła, że gdy podłogi zostaną wyczyszczone i nawoskowane, zalśnią pełnym blaskiem.

Dana wiedziała, jak to miejsce może wyglądać. Kane jej pokazał. Jeśli nawet wykorzystał w tej wizji jej własne marzenia, nic nie szkodzi. Tym właśnie marzeniom zamierzała nadać realny kształt.

Nagle rozjaśniło jej się w głowie i zastygła w bezruchu, a potem odłożyła wałek.

Prawda w jego kłamstwach. Jej marzenia i jego manipulacje.

A jeśli jej klucz znajduje się tutaj, tak jak klucz Malory? Czemu nie? To byłoby proste. Sam Kane ukazał jej tamtą wizję. Spójrz, co możesz mieć, jeśli będziesz ze mną współpracować: wymarzoną

księgarnię, bogatą ofertę, tłumy czytelników. Teraz wiedziała, że to nie było realne, nie było prawdziwe. Ale gdzieś wewnątrz kryła się prawda. Tego pragnęła, po to pracowała. Temu poświęcała czas i wysiłek.

Może klucz gdzieś tu jest, byle tylko zdołała go dostrzec. I wydobyć, tak jak to zrobiła Malory.

Dana odetchnęła głęboko kilka razy, poruszyła ramionami i rozprostowała je niczym pływakka przed skokiem z trampoliny. A potem zamknęła oczy i dała się unieść nurtowi.

Słyszała warkot wiertarki Zoe i muzykę z radia, które włączyła Malory. Kto to śpiewa? Zespół ABBA? Jezu, czy ona nie mogła znaleźć stacji radiowej nadającej piosenki z tego tysiąclecia?

Dana z irytacją spróbowała wymazać z myśli obraz nastoletniej „dancing queen”.

Klucz. Śliczny złoty klucz. Był mały, błyszczący, z zawiłym celtyckim wzorem na rękojeści. Czy klucz ma rękojeść? - zastanowiła się przelotnie. Na pewno istnieje jakieś inne określenie, przecież to nie jest żaden cholerny miecz. Musi poszukać w słowniku.

Przestań wreszcie!

Wypuściła powietrze z płuc i zebrała myśli.

Warkot wiertarki, brzęczenie radia, stłumiony szum aut przejeżdżających ulicą. Stukot pieca grzewczego, który właśnie się włączył. I jeszcze - uświadomiła sobie po chwili - skrzypnięcia kości starego domu.

Jej domu. Jej własnego domu. Pierwszego, jaki w życiu kupiła na własność. Pierwszy krok z przeszłości w stronę przyszłości. Jeden stanowczy ruch, zmieniający to, co było, w to, co może być.

Czuła woń świeżej farby, świadectwo nowego początku. To było realne, równie realne jak jej własne ciało i krew. To była prawda.

Klucz naprawdę istniał. Musiała go tylko zobaczyć, dotknąć, wziąć do ręki.

Ujrzała go teraz na zielonkawoniebieskim tle. Falował i połyskiwał kusząco. Gdy jednak wyciągnęła rękę, jej palce przeszły przez niego na wylot, jak gdyby był niematerialną zjawą. On albo ona.

Ja jestem kluczem. Jest przeznaczony dla mnie.

Spróbowała jeszcze raz i jeszcze raz, z wysiłkiem, aż krople potu wystąpiły jej na czoło.

Jest mój, myślała. I to miejsce też jest moje. Już niebawem pojawiają się tu książki, zapełnią całe ściany. Wiedza.

- Dana!

Raptownie wróciła do rzeczywistości i zachwiała się, gdy ręce Zoe ścisnęły jej ramiona.

- Co on ci zrobił? Co ci znowu zrobił? Malory!

- Nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

- O nie, nie wydaje mi się. Zaczekaj chwilę! Mai! - wrzasnęła Zoe co sił w płucach.

Dana ważyła co najmniej trzydzieści funtów więcej niż Zoe, mimo to przyjaciółka zdołała ją utrzymać w pozycji pionowej.

- Co jest? Co się stało? - Malory przybiegła co prędzej z półkolistym kluczem francuskim w ręku.

Na widok ślicznej, bardzo kobiecej blondynki w czarnych legginsach i obcisłym zielonym sweterku - z dopasowaną kolorystycznie opaską na włosach - wznoszącej bojowym gestem klucz francuski, Dana parsknęła słabym chichotem.

- To Kane. Kane znowu ją dorwał. Była w transie.

- Nie, to nie Kane. Trochę kręci mi się w głowie. Chyba powinienam usiąść.

Osunęła się na podłogę, pociągając za sobą Zoe.

- O Boże. Jesteś w ciąży?

- Co? - Pytanie dotarło do niej z opóźnieniem i dopiero po chwili wytrzeszczyła oczy na Zoe. - Ależ skąd, rany boskie. Dopiero co zaczęłam uprawiać seks, nie pamiętasz? Przestańcie się na mnie gapić, jakbym nagle zaczęła mówić nieznanymi językami.

- Napij się wody. - Zoe wyciągnęła butelkę z podręcznego zestawu.

- Nic mi nie jest. - Mimo to przełknęła łyk wody. - Eksperymentowałam tylko z autohipnozą.

- Daj łyka - Malory sięgnęła po butelkę wody. - Śmiertelnie mnie przeraziłaś.

- Przepraszam. Właśnie przyszło mi do głowy, że klucz znajduje się tutaj. Tak jak twój... a do tego doszła przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Nasza firma, nasz biznes. Moje książki. Prawda w jego kłamstwach. Kane pokazał mi regały pełne książek i tłumy czytelników.

- Rozumiem. - Zoe wyciągnęła biało-czerwoną chusteczkę i osuszyła nią czoło Dany. - Ale co się stało? Bo gdy weszłam, stałaś na środku z wyciągniętą ręką. Chwiałaś się i miałaś zamknięte oczy. Naprawdę, skarbie, wyglądałaś okropnie.

- Bo próbowałam... no wiecie... przywołać klucz. Zobaczyć go. Wcielić się w niego. Cholera, idiotycznie to brzmi.

- Nie, wcale nie. - Malory z namysłem oddała Zoe butelkę. - To dobry pomysł. Twój klucz może tu być. Cholera, może być wszędzie, więc czemu nie tutaj?

- Pomysł jest niezły - przyznała Zoe. - Ale chyba nie powinnaś wypróbować go sama. Otworzyłybyś się przed Kane'em i nikt by ci nie pomógł. Żadna grupa wsparcia. Naprawdę kiepsko wyglądałaś.

- Racja - uśmiechnęła się Dana. - Przestań wydziwiał, mamusi. - Żartobliwie uszczypnęła Zoe w ramię. - Jesteś o wiele silniejsza, niż się wydaje. Ćwiczysz regularnie?

- Od czasu do czasu. To właściwie kwestia budowy. - Jej serce trochę się uspokoiło. - Już lepiej wyglądasz. Może warto by stworzyć taką grupę wsparcia? Tylko my trzy.

- Możemy spróbować - zgodziła się Malory.

- Jeżeli czujesz się na siłach, Dano. Mogłybyśmy tu usiąść, złapać się za ręce. A Mai i ja pchnęłybyśmy w twoją stronę pozytywną energię.

- Pamiętasz pewne drobne zdarzenie z zeszłego miesiąca, związane z tabliczką *ouija*? - zagadnęła Dana.

- Nigdy tego nie zapomnę. - Zoe aż się wstrząsnęła. - Ale teraz wchodziłaby w grę tylko nasza wzajemna więź. To by nie było igranie z wiedzą tajemną czy czymś takim.

- No dobra. - Z zaciśniętymi ustami Dana rozejrzała się po pokoju. - Ale to będzie wyglądało trochę głupio. My trzy, siedzące na płachcie w pustym, nie do końca odmalowanym pomieszczeniu i usiłujące wywołać magiczny klucz siłą woli. Mimo to... - Ujęła dłoń Zoe, a potem Malory. - Jestem za.

- Mai, może jej coś poradzisz? Jak ty się sama czułaś, co robiłaś.

- Nie wiem, czy potrafię to wyjaśnić. Tyle się zdarzyło ot tak, po prostu. Jak we śnie, ale w takim, gdzie wiesz, że śnisz, a jednocześnie zdajesz sobie sprawę, że to wcale nie sen.

- Faktycznie, wielka pomoc. - Dana uściśnęła dłoń przyjaciółki i zaśmiała się cicho. - Wiem, o co ci chodzi. Czuję to, kiedy pokazywał mi księgarń.

- Nie do końca rozumiem, skąd wiedziałam, co mam robić, ale wszystko nagle stało się jasne. Musiałam się skupić na tym, co miałam do zrobienia, tak by on niczego nie zauważył. Było mi trudno, naprawdę, między innymi dlatego, że bardzo się bałam. Całą siłą umysłu skoncentrowałam się na obrazie, na samej sztu-

ce i jej tworzeniu. Na barwach, odcieniach, szczegółach. Nie wiem, czy to ci w czymś pomoże.

- Ja też nie wiem. Sprawdźmy.

- Nie pozwolimy, żeby coś ci się stało - zapewniła Zoe. - Będziemy przy tobie.

- Dobra.

Dana odetchnęła głęboko i zamknęła oczy. Dotyk palców przyjaciółek dodawał jej otuchy. Kojarzył się z kotwicą, chroniącą przed dryfowaniem do miejsc, w których nie powinna się znaleźć.

Wysłuchiwała się ponownie w odgłosy domu, we własny cichy, miarowy oddech, któremu wtórowały w tym samym rytmie oddechy Malory i Zoe. Czuła woń farby i perfum.

I znowu klucz zalśnił na tle - jak sobie teraz uświadomiła - świeżo pomalowanej ściany. Jej ściany, o barwie wybranej przez siedzące obok kobiety. Gdy jednak sięgnęła po niego w myślach, nie zdołała przyciągnąć go bliżej.

Tłumiąc zniecierpliwienie, spróbowała sobie wyobrazić, jaki jest w dotyku. Gładki, pomyślała. I chłodny.

Nie, on będzie ciepły. Przecież kryje w sobie moc. Dana przypuszczała, że wyczuje ów ogień, w którym go odlano, a gdy zaciśnie na nim palce, klucz dopasuje się do jej dłoni.

Dlatego że jest jej przeznaczony.

Kolor rozmył się w mocną biel okoloną czernią. Na tym tle klucz wtopił się, tworząc połyskliwy złoty krążek, który rzucił bryzgi światła na biel i czern, a potem zniknął.

W myślach Dana usłyszała przeciągłe westchnienie. Kobiece westchnienie. I poczuła powiew wiatru, niosący zapach palonych jesiennych liści.

Przechadzała się nocą i sama była nocą ze wszystkimi jej cieniami i tajemnicami. Kiedy płakała, płakała cały dzień.

Słowa przebiegające przez umysł odezwały się w sercu bólem, od którego mogło się niemal wykrwawić, jak od śmiertelnej rany. W akcie samoobrony odcięła się od nich.

I wówczas wszystko się rozwiało. Znowu poczuła woń farby i perfum.

Otworzyła oczy i napotkała czujny wzrok przyjaciółek.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - spytała łagodnie Zoe, i puszczając rękę Malory, dotknęła policzka Dany.

- Tak, jasne.

- Płaczesz. - Zoe otarła jej policzek chusteczką.

- Naprawdę? Sama nie wiem dlaczego. Chyba coś mnie zabolowało. O, tutaj - przycisnęła dłoń do serca. - Nie wiem, gdzie on jest. Nadal nie wiem, gdzie jest klucz.

Przesunęła grzbietem dłoni po twarzy i opowiedziała, co sobie wyobraziła.

- Przechadza się nocą - powtórzyła Malory. - Bogini się przechadza.

- Aha. Te słowa zabrzmiały znajomo, ale mogłam je sama wymyślić. Albo mogą się odnosić do Niniane. Wiem tylko, że poczułam przeraźliwy smutek. - Wstała i podeszła do okna, żeby je otworzyć. Potrzebowała świeżego powietrza. - Jest samotna w ciemnościach. Tak o niej myślę. Wszystkie są samotne w ciemnościach. Jeśli nie uczynię tego, co należy uczynić, pozostaną tam.

Zoe stanęła za nią i przytuliła policzek do jej barku.

- Mają siebie nawzajem i mają nas. Nie zdręczaj się tak. Przecież próbujesz.

- I myślę, że do czegoś dochodzisz. - Malory podeszła do nich. - Nie mówię tego ze sztucznym optymizmem. Składasz w całość różne fragmenty wskazówki Roweny. Twój mózg pracuje nad nimi, przedstawia, usiłuje dopasować. Wydaje mi się, że podczas tej ostatniej próby zaczęłaś się wreszcie posługiwać sercem. Bo nie tylko umysł musi być otwarty - dodała, gdy Dana odwróciła się i patrzyła na nią zaskoczona. - Serce również. Tego jednego się nauczyłam. Inaczej nie zrobisz ostatniego śmiałego kroku. Nie będziesz gotowa do podjęcia ryzyka.

Nie wiedziała, dlaczego się tym tak przejmuję, dlaczego na samą myśl ogarnia ją gniew. Otworzyć serce? Co to miało oznaczać? Że powinna odsłonić swoje uczucia, by każdy, komu to przyjdzie do głowy, mógł po nich deptać?

Czy nie wystarczy, że wypruwa z siebie flaki i dostaje migreny od wielogodzinnych poszukiwań, sporządzania notatek, przewidywań i przypuszczeń?

Przecież mi zależy, do cholery, myślała, wpadając jak burza do swojego mieszkania. Nie był jej obojętny los tych trzech młodych kobiet, pół bogiń, pół śmiertelniczek, skazanych na wieczność w szklanym więzieniu. Wylewała nad nimi łzy i przelałaby krew, gdyby okazało się to konieczne.

Jak mogła się jeszcze bardziej otworzyć?

Zmęczona, obolała, rozdrażniona pomaszzerowała do kuchni otworzyła butelkę piwa i rozerwała torebkę precli. Potem opadła na fotel w salonie, żeby popijać, pogryzać i się dąsać.

Ostatni śmiały krok?

Stawiała czoło potężnemu, prastaremu czarnoksiężnikowi. Wkładała prawie wszystkie pieniądze w nowe przedsięwzięcie. Zamówiła półki i stoliki, krzesła i książki. Nie zapominajmy o książkach.

Do tego dochodziły automat do cappuccino, oryginalne imbryczki do herbaty, kieliszki i artykuły papiernicze, co - razem wzięwszy - miało niebawem wyczyścić jej konto. I robiła to wszystko, nie znając przewidywanego dochodu. Czyż to nie były śmiałe kroki?

Łatwo Malory mówić o otwartych sercach i podejmowaniu ryzyka. Wykonała już swoje zadanie i obydwójce z Flynnem pławili się w błogim szczęściu.

Masz swój dom, swojego psa i swojego faceta, pomyślała Dana z chmurną miną. Moje gratulacje.

Boże, ależ z niej była jędra. Odchyliła głowę i wpatrzyła się w sufit.

- Spójrz prawdzie w oczy, Dano: jesteś zazdrosna. Malory nie tylko zdała egzamin na szóstkę z plusem, ale zgarnęła wszystkie łakocie. A ty drepczesz w miejscu, sypiasz z mężczyzną, który już raz złamał ci serce, i panicznie się boisz, że zawalisz sprawę.

Słyszając stukanie do drzwi, podniosła się i z piwem w rękę poszła otworzyć.

Moe na powitanie wepchnął jej nos między uda, a potem rzucił się w głąb mieszkania, by chwycić w zęby poszarpany kawałek sznura, który zostawił na dywanie podczas ostatniej wizyty. Wrócił w podskokach, wachlując uszami, i pełen nadziei trącił Dane w kolano.

- Nie wstąpiłaś po Moego - zauważył Jordan.

- Zapomniałam. - Wzruszyła ramionami, zawróciła do salonu i ponownie usadowiła się w fotelu.

Jordan zamknął za sobą drzwi i rzucił na stolik dużą szarą koPERTę. Znał ten wyraz twarzy, który zaobserwował teraz u Dany. Była w złym humorze i na najlepszej drodze do wybuchu wściekłości.

- Co się dzieje?

- Nic specjalnego. - Ponieważ Moe pchał jej się na kolana, wyszarpnęła mu z pyska sznurek i rzuciła w stronę Jordana.

Osiągnęła spodziewany i satysfakcjonujący rezultat: Moe zaszarżował niczym byk na arenie. Jordan zaś, ruchem matadora strzepującego muletę, machnął złapanym sznurkiem, przesuując rękę w bok. Mężczyzna i pies rozpoczęli zabawę w przeciąganie liny; pies warczał żartobliwie, podczas gdy mężczyzna wpatrywał się w kobietę.

- Ciężki dzień? Zamierzałem do was zajrzeć i trochę pomóc, ale wciągnęła mnie robota.

- Dajemy sobie radę.

- Dodatkowa para rąk mogłaby się przydać.

- Chcesz zrobić dobry użytek ze swoich rąk?

- Czemu nie.

- Świetnie. - Poderwała się z fotela i skierowała do sypialni. -

Zabierz je z sobą.

Jordan zerknął na Moego, unosząc brwi.

- Przepraszam, stary, pobaw się sam. Mam teraz co innego na głowie.

Wszedł za Daną do sypialni i zamknął drzwi. Z drugiej strony dobiegł go odgłos walącego się na podłogę cielska i głębokie psie westchnienie.

Dana zdążyła już zrzucić bluzkę i buty, a teraz rozpinała dzinsy.

- Wyskakuj z ciuchów.

- Swędzi cię, Żyrafo?

- Zgadłeś. - Zsunęła dzinsy i odrzuciła w tył włosy. - Podrapiesz mnie czy może sprawi ci to jakiś kłopot?

- Żadnego, o ile wiem. - Zdjął płaszcz i cisnął go na bok.

Gdy zdejmował koszulę i buty, Dana ściągnęła z łóżka narzutę. Zrozumiał, że źle ocenił jej nastrój. Była rozwścieczona, chciała rozładować furję.

Kiedy chciała rozpiąć stanik, Jordan postąpił krok naprzód i na krótką, nasyconą erotyzmem chwilę przytrzymał jej dłonie. Potem puścił, by przesunąć opuszkami palców wzdłuż pleców.

- Może byś tak zostawiła coś dla mnie?

Wzruszyła ramionami, wplotła palce w jego włosy i przyciągnęła go do siebie.

Wbiła w niego zęby i paznokcie, sterując w stronę szybkiego, ostrego seksu z lekkim odcieniem brutalności. Nie pragnęła wyrafinowanych pieszczot ani czułych muśnieć, lecz żaru i szybkiego tempa.

Natychmiast wyczuła fizyczną reakcję Jordana, gwałtowne uderzenia serca, falę gorąca, która ogarnęła także ją. Sycił się nią,

zagarnawszy całą niecierpliwym, zaborczym gestem. Wilgotna i gotowa, popchnęła go w stronę łóżka.

Chciała go dosiąść, żeby wszystko potoczyło się szybko, lecz przewrócił ją i uwięził pod sobą. Zerwał z niej stanik i pochwyił pierś zębami. Jej biodra drgnęły gwałtownie, zacisnęła dłonie na ramionach mężczyzny i przywarła do niego, zatracając się w dziwnym pożądaniu.

Czerwonawa mgła przesłoniła mu oczy, ciałem wstrząsnął niepoohamowany, przejmujący dreszcz. Zachłystnął się szaleństwem chwili. Wsunął rękę między ich ciała, zanurzając palce w ciepłe kobiety, popychając ją bezlitośnie poza krawędź.

Eksplodowała pod nim, wijąc się i prężąc, gotowa do kolejnego skoku w przepaść. Czuł wbijające się w skórę paznokcie, falowanie bioder doprowadzało go do szaleństwa.

Przetoczyli się po łóżku owładnięci płomienną, pełną uniesienia zawziętością, wywołującą dreszcz za dreszczem. Usta Dany były gorące i spragnione, dłonie zachłanne i niecierpliwie.

Wolał zginać w walce z nią niż żyć w spokoju z kimkolwiek innym.

Dyszac spazmatycznie, uniosła się nad nim i jednym silnym pchnięciem zagarnęła go w siebie. Fala mrocznej rozkoszy wypełniła ją całą, zatapiając gniew i wątpliwości.

To jest prawdziwe, pomyślała. To wystarczy.

Patrzyli sobie w oczy, gdy objęła go udami.

Rozgrzani, sycąc się sobą, skupili się na jednym, choć podwójnym celu: rozkoszy i uldze. Poruszała się nad nim z bezlitosną energią, zmieniającą jej własne ciało w rozlewisko pragnienia. Pragnęła szybkiego tempa, namiętności. Pragnęła czegoś więcej.

Gdy zacisnął palce na jej biodrach i zobaczyła nieprzytomny wyraz tych zazwyczaj roziskrzonych niebieskich oczu, odrzuciła głowę i skoczyła wraz z nim w nieskończoność.

Drżała jeszcze, gdy przytuliła się do niego. Leżeli, dysząc ciężko. Jakimś cudem zdołał ją objąć i doszedł do wniosku, że prędzej czy później odzyska władzę w kończynach. Na razie jednak wolał leżeć tam, gdzie leżał, zmaltretowany i bezgranicznie szczęśliwy.

- No i jak się teraz czujesz? - zapytał.

- Znacznie lepiej. A ty?

- Nie narzekam. Kiedy przestanie mi dzwonić w uszach, może zechcesz powiedzieć, co cię dzisiaj tak wkurzyło.

- Wiele rzeczy. - Lekko uniosła głowę i odgarnęła włosy, by do-

tknąć policzkiem jego skóry. - Bez przerwy szukam czegoś po omacku. I nagle przypomniałam sobie, że jest coś, co mi naprawdę dobrze wychodzi.

- Jeśli mowa o tym ostatnim, nie będę się spierał. Czego szukasz po omacku?

- Mam ci przedstawić listę? Czuję, że lada chwila odnajdę klucz, a potem go gubię. Czuję, że całe przedsięwzięcie rozpadnie się na kawałki. Dzisiaj od rana malowałam ściany, ponieważ moja zdolność posługiwania się jakimikolwiek narzędziami jest, łagodnie mówiąc, nikła.

- Więc zapewne nie życzysz sobie, abym zwrócił ci uwagę, że masz farbę we włosach.

Westchnęła ciężko.

- Wiem. Nawet Malory, choć taka kobieca, radzi sobie ze śrubokrętem lepiej niż ja. A Zoe? To istny majsterklepka w spódnicy. Czy wiedziałaś, że ona ma kolczyk w pępku?

- Naprawdę? - Nastąpiła chwila ciszy. - Naprawdę? - powtórzył Jordan z nutą męskiego zainteresowania, co rozśmieszyło Dane.

- Dobra, nieważne. - Przewróciła się na plecy. - Jakby tego wszystkiego było mało, dokonałam w myślach pewnych skomplikowanych obliczeń i przygłębiła mnie świadomość, że znajduję się na krawędzi bankructwa. Same wydatki, żadnych dochodów... a bez wydatków nie ma mowy o dochodach. Zresztą nawet gdy dochody się pojawiają, czeka mnie w najbliższej przyszłości finansowa ekwilibrystyka.

- Mógłbym ci pożyczyć trochę pieniędzy, żebyś miała jakieś pole manewru. - Jej milczenie było niezwykle wymowne. - To była by inwestycja. Pisarz, księgarnia. Logiczne.

- Nie jestem zainteresowana pożyczką - odparła chłodnym tonem, w którym kryła się uraza. - Nie szukam nowego wspólnika.

- OK. - Wzruszywszy lekceważąco ramionami, pociągnął ją za włosy. - Rozumiem. Mogę ci płacić za seks. Jak sama powiedziałaś, jesteś w tym dobra. Ale chciałbym ustalić cenę jednostkową aktu i mam nadzieję, że otrzymam jakąś zniżkę na zasadzie „cztery w cenie trzech” czy coś takiego. Omówimy to.

Obserwował jej twarz; zarys dołeczków zdradził, że powstrzymała śmiech.

- Ale z ciebie zboczeniec. - Położyła się na brzuchu i podparła łokciami. - Miło z twojej strony, że schodzisz na samo dno, byle mnie pocieszyć.

- Robię co mogę. - Przesunął palcem po jej policzku. - Założę się, że chętnie byś coś przekąsiła. Chcesz pójść do restauracji?
 - Absolutnie nie chcę nigdzie iść.
 - To dobrze, bo ja też nie. - Zmienił pozycję, przybierając czarujący wyraz twarzy. - Zapewne nie zechcesz przyrządzić kolacji.
 - Słusznie. Nie zechcę.
 - W porządku. Ja przyrządzę.
- Zamrugła, usiadła i przytknęła palce do skroni.
- Przepraszam, chyba się przesłyszałam. Powiedziałeś, że przyrządzisz kolację?
 - Nie masz się czym podniecać. Myślałem o jajecznicy albo grzankach z roztopionym serem.
 - Olejmy cholesterol i zjedzmy jedno i drugie. - Pochyliła się i musnęła go przelotnie ustami. - Dzięki. Wezmę szybki prysznic.

Gdy weszła, ubrana w wygodny dres, Jordan stał już w kuchni i mieszał jajka na patelni, podczas gdy na drugiej rumieniły się grzanki, a pies obwąchiwał wielką miskę żarcia.

Brak mu tylko fartuszka z falbankami, ale wygląda interesująco.

- Nie wiedziałam, że taki z ciebie znawca sztuki kulinarnej.
- Nawet w Nowym Jorku człowiek powinien umieć coś ugotować w podbramkowej sytuacji. Wyjmiesz talerze?

Nowy Jork, pomyślała, otwierając szafkę. Nie może zapominać, że ten facet mieszka w Nowym Jorku i raczej nie będzie jej regularnie przyrządzał grzanek z serem.

Odepchnęła tę myśl, nakryła do stołu i zapaliła dwie świece.

- Pycha - powiedziała po pierwszym kęsie. - Naprawdę dziękuję.

- Mama robiła mi grzanki z serem, kiedy byłem w złym humorze.

- Podnoszą na duchu. Chrupiące pieczywo, masło, ciepły, roztopiony ser.

- Mniam. Posłuchaj, gdybyś chciała wykorzystać moje ręce do czegoś innego niż namiętne pieszczoty, mógłbym ci jutro poświęcić trochę czasu.

- Jeśli go masz.

- Zajrzałbym już dzisiaj, ale musiałem odrobić zadanie domowe. - Wskazał przyniesioną kopertę.

- O, czyżbyś wszystko spisał?

- Chyba udało mi się ująć to, co najważniejsze. Przejrzyj i sprawdź, czy czegoś nie pominąłem.

- Świetnie. - Zerwała się i pobiegła po kopertę.
- Nikt ci nie mówił, że to niegrzecznie czytać przy stole?
- Nikt. - Usiadła, odrzucając włosy. - Czytanie nigdy nie jest niegrzeczne. - Przerzuciła kartki, zaskoczona liczbą stron. - Pracowity z ciebie chłopak.

Zgarnął do ust kolejną porcję jajecznicy.

- Doszedłem do wniosku, że lepiej będzie wywalić wszystko naraz.

- Zobaczmy, co tu mamy.

Jaadła i czytała, czytała i jaadła. Jordan sprawił, że cofnęła się do samego początku, do owego wieczoru, gdy jechała podczas burzy na Wzgórze Wojownika. Ujrzała je ponownie, poczuła wszystko, co się później wydarzyło.

Na tym polegał jego dar. Jego sztuka.

Opowiedział historię z żywymi, prawdziwymi bohaterami, z przejrzystą akcją, w trakcie której czytelnik wciąż pragnął więcej.

- Flynn miał rację - oznajmiła, przewracając ostatnią kartkę. - Takie spojrzenie pomaga. Muszę to sobie przyswoić, przeczytać ponownie. Ale teraz widzę jedną, choć krętą drogę zamiast rozlicznych krzyżujących się ścieżek.

- Muszę to opisać.

- Już to zrobiłeś - pokręciła głową.

- Nie, tylko część. W najlepszym razie połowę. Dzisiaj w trakcie pisania zdałem sobie sprawę, że muszę wszystko opisać, przekształcić w książkę. Czy dla ciebie stanowi to jakiś problem?

- Nie wiem. - Wygładziła palcami strony. - Chyba nie, ale czuję się trochę dziwnie. Nigdy jeszcze nie byłam postacią z książki.

Otworzył usta, lecz nic nie powiedział i dojadł jajecznicę. Nie była postacią z przeczytanej książki, pomyślał. Co, gdy się bliżej przyjrzeć, na jedno wychodziło.

Rozdział piętnasty

Spójrz - rzekł Kane - jak zdradzasz się we śnie.

Dana patrzyła na łóżko, na którym spała z Jordanem. Tuż obok na podłodze Moe popiskiwał z podnieceniem i poruszał łapami.

- Co mu zrobiłeś?

- Zesłałem mu sen, nieszkodliwy, pogodny sen. Pogoń za królikami w słoneczny wiosenny dzień. To go zajmie na pewien czas, ja zaś pragnąłbym z tobą to i owo omówić.

Prawa tylna łapa Moego poruszyła się tak, jakby biegł.

- Nie mam zbyt wiele do powiedzenia komuś, kto zakrada się nocą do mojej sypialni i podgląda.

- Ja nie podglądam, ja obserwuję. Interesujesz mnie, Dano. Doceniam twoją inteligencję. W moim świecie, w każdym świecie, ceni się uczonych. A tu mamy uczoną i gawędziarza. - Wskazał łóżko. - Wspaniałe zestawienie, można by rzec. Ale my Wiemy lepiej.

Widok splecionej pary na łóżku przerażała ją i fascynował jednocześnie.

- Nie znasz nas. Nigdy nas nie poznasz. I dlatego cię pokonamy.

Uśmiechnął się tylko. Było mu do twarzy w aksamitnej, jedwabistej czerni, która podkreślała płonące oczy.

- Szukasz, lecz nie znajdujesz. Bo jak? Twoje życie to udawanie, Dano, senne marzenia takie jak te. Spójrz, jak przywierasz do niego we śnie. Ty, silna, inteligentna kobieta, która uważa się za niezależną, nawet samowolną. A mimo to narzucasz się mężczyźnie, który już raz cię odtrącił i uczyni to ponownie. Pozwalasz, by rządziły tobą namiętności, a to cię osłabia.

- A co kieruje tobą, jeśli nie namiętności? - odparowała. - Ambicja, zachłanność, nienawiść, próżność. To przecież namiętności.

- Ach, właśnie dlatego twoje towarzystwo sprawia mi przyjemność. Moglibyśmy prowadzić bardzo interesujące rozmowy. Nie, namiętności nie ograniczają się jedynie do świata śmiertelnych. Ale płacenie bólem za miłość i cielesne rozkosze... - Pokręcił głową. - Byłaś mądrzejsza, kiedy go nienawidziłaś. Teraz znowu pozwalał mu się wykorzystywać.

On kłamie. Kłamie. Nie mogła dać się wciągnąć w pułapkę temu uwodzicielskiemu głosowi, zapomnieć o jego kłamstwach.

- Nikomu nie pozwolę się wykorzystać. Tobie również.

- Może powinnaś sobie wyraźniej przypomnieć różne rzeczy.

Padał śnieg. Czuła na skórze delikatne, zimne, wilgotne płatki, choć ich nie widziała. Wydawały się zawieszane w powietrzu.

Wyczuwała podmuchy wiatru, lecz ich nie słyszała i nie przejmowały jej chłodem.

Świat przypominał czarno-białą fotografię. Ciemne drzewa, biały śnieg. Białe szczyty gór na tle jasnego nieba, a w oddali czarne kontury Wzgórza Wojownika.

Wszędzie bezruch, zimno i cisza.

Na końcu przecznicy jakiś człowiek zastygł w trakcie odśnieżania podjazdu. Trzymał uniesiony szpadel, wokół którego zawisły w locie śnieżne obłoczki.

- Znasz to miejsce? - spytał Kane.

- Tak. - Trzy przecznice na południe od Market, dwie na zachód od Pine Ridge.

- I ten dom.

Ciasne dwupiętrowe pudełko, pomalowane na biało, z ciemnymi okiennicami. Na drugim piętrze mansardowe okna dwóch małych sypialni. Samotny dereń o cienkich gałązkach obsypanych śnieżnym puchem i biegnący tuż obok wąski podjazd. Na podjeździe dwa samochody. Stare auto typu kombi i używany mustang.

- To dom Jordana. - Zaszczoło jej w ustach. Język wydawał się spuchnięty i zdrętwiały. - To... był dom Jordana.

- Jest - poprawił Kane. - W tej zatrzymanej chwili.

- Po co się tu znalazłam?

Okrażył ją, nie pozostawiając w śniegu śladów stóp. Rąbek jego czarnej szaty powiewał tuż nad białą powierzchnią. Na łańcuchu sięgającym niemal do pasa zwiisał rubin, duży okrągły kaboszon. W tym czarno-białym świetle lśnił niczym wielka kropla świeżo utoczonej krwi.

- Wyświadczam ci tę uprzejmość, że widzisz, iż jest to wspo-

mnienie. Pozwalam ci stanąć z boku i obserwować. Rozumiesz, co widzisz?

- Rozumiem, że jest to wspomnienie.

- Pierwszej z was pokazałem, co mogłoby się zdarzyć. Podobnie jak tobie. Zdaję sobie jednak sprawę, że jesteś istotą bardziej... ziemską. Taką, która woli mieć do czynienia z rzeczywistością. Czy jednak wystarczy ci odwagi, by zmierzyć się z tym, co rzeczywiste?

- Z czym? - Ale już wiedziała.

Świat zaczął nabierać kolorów. Ciemna zieleń sosen pod zwałami śniegu, jaskrawoczerwona skrzynka na rogu, błękit, zieleń i czerwień kurtek rozbawionych dzieci, które lepiły na podwórkach bałwany i fortece.

Wraz z kolorami powrócił ruch. Zaczął padać śnieg, a na chodniku wylądowała z głośnym stuknięciem zawartość łopaty. Mężczyzna pochylił się i zgarnął następną. Dana usłyszała wysokie, dźwięczne krzyki rozbawionych dzieci i charakterystyczne płasniecia śnieżek trafiających w cel.

Zobaczyła siebie, skuloną w pikowanej ciemnofioletowej kurtce. Co ona sobie właściwie myślała? Wyglądała jak Violet w „Charliem i fabryce czekolady”.

Miała na głowie wełnianą czapkę, a na szyi włóczkowy szalik. Maszerowała szybko, lecz zdążyła po drodze stoczyć krótką i zawziętą bitwę na śnieżki z młodymi Dobsonami i ich przyjaciółmi.

Usłyszała swój własny śmiech i już wiedziała, o czym wtedy myślała, co czuła.

Szła na spotkanie z Jordanem, zamierzała go namówić, eby wyszedł na świeże powietrze. Od śmierci matki zbyt wiele czasu spędzał zamknięty w domu. Potrzebował obecności kogoś, kto go kocha.

Ostatnie miesiące przemieniły się w koszmar: szpitale, lekarze, cierpienie, rozpacz. Jordan potrzebował pociechy i łagodnego bodźca, który by mu przywrócił chęć życia. Potrzebował jej, Dany.

Nieodśnieżonym podjazdem dobiegła do drzwi, zatupała na wycieraczkę i weszła bez pukania. Ten dom zawsze stał przed nią otworem.

- Jordan!

Ściągnęła czapkę i przeczesała palcami włosy. Obcięła je w ramach eksperymentu, czego bardzo żałowała i codziennie pragnęła, by wreszcie odrosły.

Zawołała Jordana ponownie, rozpinając kurtkę.

Pomyślała, że dom ciągle pachnie panią Hawke. Nie cytrynowym mleczkiem do czyszczenia mebli, nie kawą, która podgrzewała się na kuchennej płytce, ale jej chorobą. Dana zapragnęła po otwierac wszystkie okna i wymieść za nie najcięższy smutek i żal.

Jordan pojawił się u szczytu schodów. Jak zawsze, jej serce na jego widok fiknęło koziołka. Wysoki, przystojny, dobrze zbudowany, o niebezpiecznie kuszącym uśmiechu i spojrzeniu.

- Myślałam, że będziesz w warsztacie, ale Pete mi powiedział, że dzisiaj nie przyjdiesz.

- Fakt. Nie przyjdę.

Miał lekko schrypnięty głos, jakby dopiero co wstał z łóżka. Ale dochodziła już druga po południu. Serce jej się ścisnęło, gdy dostrzegła jego podkrażone oczy. Podeszła do schodów i posłała mu przelotny uśmiech.

- Może byś włożył kurtkę? Mali Dobsonowie próbowali urządzić na mnie zasadzkę. Chętnie skopałabym im tyłki.

- Jestem zajęty, Dano.

- Aż tak, że nie masz czasu obrzucić Dobsonów kilkoma śnieżkami?

- Tak. Muszę się spakować.

- Spakować? - Jego słowa jeszcze jej nie zaniepokoiły, jedynie zbiły z tropu. - Wyjeżdżasz?

- Owszem. Do Nowego Jorku. - Zawrócił w stronę swojego pokoju.

- Do Nowego Jorku? - Nadał nic jej nie zaniepokoiło. Podekscytowana, pomknęła po schodach na górę. - Chodzi o książkę? Dostałeś wiadomość od tego agenta? - Wbiegła do sypialni i skoczyła Jordanowi na plecy. - Dostałeś wiadomość i nic mi nie powiedziałeś? Musimy to uczcić. Zrobić coś szalonego. Co ci napisał?

- Jest zainteresowany.

- Oczywiście, że jest zainteresowany. To wspaniale, Jordan. Jedziesz się z nim spotkać? Spotkanie z nowojorskim agentem literackim! - Aż zapiszczała z radości i nagle zobaczyła dwie otwarte walizki, worek marynarski i pudło.

Powoli, czując pierwsze uczucia niepokoju, zsunęła się z pleców Jordana.

- Mnóstwo rzeczy zabierasz na to spotkanie.

- Przenoszę się do Nowego Jorku. - Nie odwracając się, wrzucił do jednej z walizek sweter i parę dzinsów.

- Nie rozumiem.

- Wczoraj wystawiłem dom na sprzedaż. Prawdopodobnie nie uda się go upłynnić przed wiosną. Facet z pchlego targu zabierze większość mebli i innych rzeczy.

- Sprzedajesz dom. - Nogi ugięły się pod nią i przysiadła na krawędzi łóżka. - Ależ, Jordanie, przecież ty tutaj mieszkasz.

- Już nie.

- Ale... nie możesz się tak po prostu spakować i wyjechać do Nowego Jorku. Wiem, mówiłeś, że prędzej czy później się tam przeprowadzisz...

- Skończyłem z tym miejscem. Nie mam tu już czego szukać.

Poczuła się tak, jakby zadał jej cios w samo serce.

- Jak możesz tak mówić? Jak możesz mówić, że nie masz tu czego szukać? Wiem, że ciężko przeżyłeś odejście matki i nadal ją opłakujesz. To nie jest odpowiednia chwila, żeby podejmować takie decyzje.

- Ja już podjąłem decyzję. - Zerknął w stronę Dany, lecz unikał jej oczu. - Mam jeszcze parę spraw do załatwienia, a potem znikam. Wyjeżdżam jutro rano.

- Ot tak, po prostu? - Duma poderwała ją na nogi. - Zamierzałeś mnie w ogóle o tym poinformować czy tylko wysłać pocztówkę, gdy dotrzesz na miejsce?

Spojrzał na nią, lecz nie potrafiła odczytać wyrazu jego oczu, przeniknąć tarczy, którą się przed nią załonił.

- Chciałem do was wstąpić wieczorem, zobaczyć się z tobą i Flynnem.

- Bardzo ładnie z twojej strony.

Wsunął palce we włosy gestem znamionującym zniecierpliwienie i frustrację.

- Posłuchaj, Dano, robię to, bo muszę.

- Nie. Robisz to, bo chcesz. Bo skończyłeś z tym miejscem. I z ludźmi, którzy tu mieszkają. - Starała się mówić cicho, bardzo cicho, żeby nie zacząć krzyczeć. Wrzeszczeć. - Ja również do nich należę. Z tego wynika, że ostatnie dwa lata guzik dla ciebie znaczą.

- Nieprawda, i dobrze o tym wiesz. - Gwałtownym ruchem zamknął jedną z walizek. - Zależy mi na tobie. Zawsze mi zależało. Robię to, co uważam za słuszne i co chcę zrobić. Tak czy tak, na jedno wychodzi. Nie potrafię tutaj pisać. Nie potrafię, cholera, nawet myśleć. A muszę pisać. Mam szansę stać się kimś i wykorzystam ją. Ty byś postąpiła tak samo.

- Faktycznie, już stałeś się kimś. Samolubnym draniem. Nabrałeś mnie. Od początku miałeś zamiar puścić mnie kantem, kiedy tylko będzie ci tak wygodniej.

- Tu nie chodzi o ciebie, tu chodzi o mnie i o to, że muszę się wynieść z tego pieprzonego domu, z tego cholernego miasta. - W jego tarczy pojawiła się szczelina, przez którą Dana dostrzegła furię. - Żeby więcej nie wypruć sobie flaków w brudnym warsztacie, zarabiając na czynsz i próbując wykroić parę godzin na pisanie. Tu chodzi o moje życie.

- Zdawało mi się, że jestem częścią twojego życia.

- Chryste. - Znowu przesunął dłonią po włosach i szarpnięciem otworzył szufladę.

Ani mu się śni przerwać pakowanie, pomyślała, nawet gdy łamię jej serce.

- Jesteś częścią mojego życia. Ty, Flynn, Brad. Do diabła, przeprowadzka do Nowego Jorku tego nie zmienia.

- O ile mi wiadomo, nie sypiasz ani z Flynnem, ani z Bradem.

- Nie zamierzam tu ugrzęznąć na całe życie tylko dlatego, że ty i ja mieliśmy na siebie chętkę.

- Ty sukinsynu. - Poczwała, że zaczyna drżeć, a w gardle wzbierają piekące łzy. Całą siłą woli przekształciła ból w gniew. - Możesz to wszystko mieć za nic. Możesz samego siebie mieć za nic. Ale nie mnie.

Tym razem przerwał pakowanie, odwrócił się, popatrzył na nią z żalem i jak gdyby ze współczuciem.

- Dano, nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

- Zostaw. - Odtrąciła jego wyciągniętą rękę. - Nigdy więcej mnie nie dotykaj. Skończyłeś z Pleasant Valley? Skończyłeś ze mną? Świetnie się składa, boja skończyłam z tobą. Będziesz miał szczęście, jeżeli przeżyjesz w Nowym Jorku miesiąc, mozołnie płodząc te swoje bzdety. Ale kiedy wrócisz z podkulonym ogonem, nie dzwoń do mnie. Nawet się do mnie nie odzywaj. Bo co do jednego na pewno się nie mylisz, Hawke: nie masz tu już czego szukać.

Wyminęła go i uciekła z pokoju.

Obserwując siebie, wybiegającą z domu, zauważyła teraz, że zapomniała czapki. Nie poczuła śnieżki, ciśniętej przez jednego z Dobsonów, która uderzyła ją w sam środek pleców.

Nie czuła zimna ani łez spływających po twarzy. Nie czuła nic. On sprawił, że stała się niczym.

Jak mogła zapomnieć? Jak mogła mu to wybaczyć?

Ani wówczas, ani teraz nie dostrzegła, że Jordan stoi przy mansardowym oknie i odprowadzają wzrokiem.

Gdy się obudziła, świeciło blade jesienne słońce. Była zziębnięta, miała mokre policzki.

Żal powrócił, tak świeży i przejmujący, że zwinęła się w kłębek na skraju łóżka, modląc się, by to doznanie jak najszybciej minęło.

Nie mogła i za nic nie chciała przechodzić przez coś takiego po raz drugi. Czy po to starała się wyrzucić go z pamięci, odepchnąć od siebie smutek, przygębienie i ból, by teraz na nowo otworzyć im drogę?

Czy była aż tak słaba, aż tak głupia?

Może i była, gdy w grę wchodził Jordan. Może istotnie była do tego stopnia słaba i głupia. Ale nie musiała taka być.

Wyśliznęła się z łóżka. Wciągnęła na siebie szlafrok niczym zbroję i ruszyła do kuchni zaparzyć kawę.

Moe dźwignął się sprzed łóżka i podążył za nią. W kuchni chwycił w zęby smycz i zadreptał w miejscu.

- Nie teraz, Moe. - Pochyliła się, wtuliła twarz w jego sierść. - Jeszcze nie czuję się na siłach.

Wyczuwając jakieś kłopoty, zaskomlał, upuścił smycz i polizał Dane po twarzy.

- Dobry pies. Goniłeś króliki, co? Nie szkodzi. Ja też za czymś goniłam. Ale żadne z nas nie złapie tego, za czym goniło.

Wypiła kawę na stojąco i właśnie nalewała sobie drugą, gdy usłyszała kroki Jordana.

Ubrał się, lecz wciąż był rozczochrany i zaspany. Jęknął, kiedy łapy Moego uderzyły o jego pierś, i zrećcznie wykradł Danie kubek z ręki. Pociągnął głęboki łyk.

- Dzięki. - Oddawszy kubek, schylił się i podniósł smycz Moego. Podniecony pies zaczął biegać w kółko.

- Chcesz, żebym go wyprowadził?

- Tak. Możesz go zawieźć do Flynnna.

- Jasne. Pobiegałbyś sobie przed śniadaniem? - zwrócił się do psa, przypinając smycz. - Założę się, że tak.

- Nie chcę, żebyś tu wracał.

- Co? - Zerknął w górę, dostrzegł wyraz jej twarzy. - Co powiedziałaś?

- Nie chcę, żebyś tu wracał. Ani dzisiaj, ani nigdy.

- Siad, Moe. - Jakaś nuta w jego przyciszonym głosie sprawiła,

że pies usłuchał. - Czyżbym przespał kłótnię albo... Kane - rzucił nagle i złapał Dane za ramię. - Co ci zrobił?

- On nie ma z tym nic wspólnego. Chodzi o mnie. Popełniłam błąd, pozwalając ci ponownie wkroczyć w moje życie. Chcę go teraz naprawić.

- Co się stało, do diabła? Jeszcze tej nocy...

- Świetnie nam z sobą w łóżku. - Wzruszyła ramionami, napiła się kawy. - To dla mnie za mało. A może za dużo. Wszystko jedno. Już raz rozdarłeś mnie na strzępy.

- Dano, chciałbym...

- Nie, wystarczy. - Odsunęła się od niego. - Nie pozwolę na to, nigdy więcej. Czerpię z życia przyjemność i satysfakcję. Nie jesteś mi do niczego potrzebny. Nie życzę sobie, żebyś tu przychodził. Dlatego ci mówię, żebyś odszedł, dopóki nie powstały między nami animozje. Dopóki jeszcze możemy zostać dobrymi znajomymi. - Wyminęła go szybkim ruchem. - Wezmę prysznic. Wolałabym, żeby cię tu nie było, kiedy wrócę.

Wszedł do domu Flynna nadal kompletnie ogłuszony. Czy ona właśnie tak się wtedy czuła? - zadał sobie pytanie. Czy tak się czuła, kiedy ją zostawił? Odrętwiała i pusta w środku?

A gdy wreszcie odrętwienie minęło? Czuła ból czy gniew? Czy może jedno i drugie?

Pragnął, aby to był gniew. Chryste, pragnął odnaleźć dawny gniew.

Ciągnąc za sobą smycz, którą Jordan zapomniał odpiąć, Moe wdarł się do kuchni i tupot jego łap powitały radosne okrzyki Flynna.

- Chłopiec i jego pies. - Malory zbiegła po schodach świeża i promienna, w spodniach khaki i granatowej sportowej bluzie. - Wcześniej dziś wróciłeś - podjęła - albo ja wstałam za późno. - Stanęła i przyjrzała mu się uważniej. - Co jest? Co się stało? - W jej głosie zadźwięczała nuta lęku. - Czy Dana...

- Nic jej nie jest. Czuje się świetnie.

- W przeciwieństwie do ciebie. Chodź. Usiądźmy na chwilę.

- Nie, muszę...

- Usiądźmy - powtórzyła, ujęła go za ramię i wciągnęła do kuchni.

Flynn siedział przy karcianym stoliku, wstawionym tutaj na czas remontu. Ściany były pomalowane na ciemny morski błękit,

podkreślający złotawy połysk nowych drewnianych szafek. Wy-równana podłoga czekała na twarde klepki, wybrane przez Malory. Kawałek sklejki ułożony na niskich skrzynkach pełnił funkcję prowizorycznego blatu.

Flynn jadł płatki śniadaniowe, którymi - wnosząc z zawstydzo-nych min obydwóch - dzielił się z Moem.

- Hej, co się dzieje? Jak chcesz coś zjeść, masz na to około kwa-dransa, zanim zjawi się ekipa.

- Siadaj, Jordanie. Należę ci kawy.

Flynn przyglądał się twarzy przyjaciela.

- W czym problem? Pokłóciłeś się z Daną?

- Nie. Powiedziała mi po prostu, że bym sobie poszedł.

- Dokąd?

- Flynn! - Malory postawiła przed Jordanem kubek kawy i po-łożyła mu dłoń na ramieniu. - Czy naprawdę jesteś aż tak tępy?

- Jezu, zaczekajcie chwilę, bo nie nadażam. Jeżeli się z nią nie pokłóciłeś, to czemu cię wykopała?

- Bo nie życzyła sobie mojej obecności.

- I tak po prostu wyszedłeś? - dociekał Flynn. - Nie dowiadu-jąc się, co ją wkurzyło?

- Nie była wkurzona. Gdyby była zła, jakoś bym sobie z nią po-radził. Z całą sytuacją. Ale ona wydawała się po prostu... zmęczo-na i smutna. Przybita. - Potarł twarz dłońmi. Więc jednak gniew się nie pojawi, pomyślał. Tylko ból.

- Cokolwiek czuła, cokolwiek się za tym kryje, musisz się do-wiedzieć. - Malory potrząsnęła go lekko za ramię. - Czy ona nic dla ciebie nie znaczy?

Posłał jej pełne udręki spojrzenie. Westchnęła i objęła go mocno.

- No dobrze - mruknęła kojąco. - Już dobrze.

- Znaczy dla mnie wystarczająco dużo - zaczął z wysiłkiem - że bym nie chciał już nigdy wywoływać takiego wyrazu najej twa-rzy. Jeśli życzy sobie mojego odejścia, odejdę.

- Mężczyźni to durnie. Czy nie pomyślałeś, że chce, abyś odszedł, ponieważ spodziewa się, iż to prędzej czy później i tak nastąpi?

Zoe powitała Malory we frontowych drzwiach i delikatnie wy-pchnęła ją z powrotem na zewnątrz.

- Czekałam na ciebie. Dana już przyjechała, maluje ściany u ciebie. Widzę, że coś jest nie w porządku, ale ona nie chce o tym rozmawiać.

- Zerwała z Jordanem.
- Jeśli się pokłócili...
- Nie, chodzi o coś innego, wcale nie o zwykłą sprzeczkę. Zobaczę, co da się z tym zrobić.

- Powodzenia. - Zoe weszła do domu.

- Swoją drogą, co to za hałas?

- Dodatkowy problem. Bradley jest w pokojach Dany i oczyszcza podłogi elektryczną cykliniarką. Nie chciał mi jej dać do rąk. Owszem, bardzo miło z jego strony, że jej nam użyczył - dodała, gdy Malory uniosła brwi. - Ale ja naprawdę doskonale potrafię się obchodzić z cykliniarką. A jego obecność utrudni nam wyciągnięcie Dany na zwierzenia.

- Zajmij go czymś. Spróbuję pogadać z Daną.

- Nie chcę go niczym zajmować. Kiedy ostatnio zostałam z nim sama na dziesięć minut, zaczął się do mnie przystawiać.

- W jaki sposób?

Zoe obejrzała się przez ramię w stronę, z której dochodził warkot cykliniarki.

- Tamtego wieczoru, gdy spotkaliśmy się u niego, a potem wszyscy wyszliście... po prostu prowadziliśmy nieobowiązującą rozmowę i nagle mnie pocałował.

- Pocałował cię? Ależ z niego maniak i zboczeniec! Na szubienicę z nim!

- Cha, cha, bardzo śmieszne.

- No dobra. Musiałaś się przed nim bronić? Pozostawił trwałe ślady w twojej psychice?

- Nie, ale... - Ściszyła głos, choć gdyby nawet krzyczała, nikt by jej nie usłyszał. - On mnie naprawdę pocałował i na chwilę zakręciło mi się w głowie, więc oddałam mu pocałunek. Mam teraz naprawdę za dużo spraw na głowie, żeby się bawić w podchody. Poza tym on mnie peszy.

- Jasne, mnie też peszą przystojni faceci, którzy zwalniają się z pracy, żeby mi pomóc przy remoncie. Słuchaj, muszę porozmawiać z Daną. Kiedy skończymy, wrócę tu i wyzwolę cię z lubieżnych objęć Brada. Jeżeli, oczywiście, nie dasz sobie rady sama.

- To chwyć poniżej pasa.

- Postaraj się tylko, żeby nam nie przeszkodził w rozmowie. No, zmykaj. - Odpędziła Zoe ruchem ręki i skierowała się w przeciwną stronę.

W pierwszej chwili pomyślała tylko: „och!”. Ściany zaczęły nabierać delikatnego, bladożółtego koloru, którego sama sobie zażyła. Był doskonały. Idealne tło dla dzieł sztuki.

Zaraz potem zauważyła zaciętą, pozbawioną wyrazu twarz Dany. Coś tu było nie w porządku, bardzo nie w porządku.

- Świetnie to wygląda.

Dana, najwyraźniej wytracona z zamyślenia, odwróciła głowę.

- Aha. Z kolorystyką trafiłaś w dziesiątkę. Myślałam, że to będzie wyglądało nijako, nawet trochę obskurnie. A tymczasem wręcz świeci własnym wewnętrznym światłem.

- W przeciwieństwie do ciebie. Ty dzisiaj nie masz w sobie ani isierki światła.

Wzruszywszy ramionami, Dana podjęła pracę.

- Nie mogę od rana do wieczora promiennie się uśmiechać.

- Widziałam się z Jordanem. On także wydał mi się jakiś przegazony. Prawdę mówiąc - podjęła, zbliżając się do Dany - wyglądał na załamane.

- Przejdzie mu.

- Naprawdę tak myślisz czy może po prostu chcesz wybrnąć z kłopotliwej sytuacji?

- Nie jestem w kłopotliwej sytuacji. - Dana wbiła twarde spojrzenie w ścianę, którą malowała. Żłoto na bieli, złoto na bieli. - Postąpiłam tak, jak uważam za stosowne. Nic ci do tego, Malory.

- Nieprawda. Kocham cię. Kocham Flynna, a on też kocha ciebie.

- Słowem, jesteście jedną wielką, kochającą się rodziną.

- Możesz się na mnie złościć, jeśli ci to pomoże. Ale zapewniam cię, że jestem po twojej stronie. Cokolwiek się zdarzy.

- Więc powinnaś zrozumieć, dlaczego z nim zerwałam i wesprzeć mnie w tym postanowieniu.

- Oczywiście, gdybym wiedziała, że naprawdę tego chcesz, że jesteś pewna swojej decyzji. - Malory pogładziła Danę po plecach.

- Gdyby to cię uszczęśliwiło.

- Na razie nie szukam szczęścia. - Krzepiący dotyk przyjaciółki sprawił, że miała chęć usiąść na podłodze i zawyc. - Wystarczy mi prosty odcinek życiowej drogi.

- Powiedz, co się wydarzyło ubiegłej nocy?

- Coś sobie przypomniałam... ze skromną pomocą Kane'a.

- Wiedziałaś - warknęła Malory z błyskiem gniewu w oczach.

- Wiedziałaś, że to jego sprawka.

- Zaczekaj chwilę. Zabrał mnie w krainę wspomnień, co oznacza, że owszem, jest sukinsynem, ale nie zmienia faktów. - O Boże, jaka była zmęczona. Chciała tylko w spokoju pomalować te ściany, odsuwając od siebie ból i znużenie. - Nie zmienił ani nie wypaczył biegu wydarzeń. Nie musiał. Sama wiem, że popełniłam błąd.

- Dlaczego uważasz za błąd miłość do porządnego mężczyzny?

- Dlatego że on mnie nie kocha. - Zerwała opaskę z włosów, jak gdyby mogła w ten sposób usnąć ból wzbierający u podstawy czaszki. - Dlatego że lada chwila stąd wyjedzie. Dlatego że ilekroć z nim jestem, pograżam się jeszcze bardziej i nie potrafię kontrolować swoich uczuć. Nie potrafię w jego towarzystwie zapomnieć, że go kocham.

- Zapytałaś go, co czuje?

- Nie. A wiesz, dlaczego? Bo po prostu nie zniosłabym kolejnego zapewnienia w stylu „zależy mi na tobie”. Jeśli chcesz, podaj mnie do sądu.

Na chwilę zapadło milczenie, wypełnione oddechem Dany, pomrukiem malarskiego wałka i monotonnym warkotem cykliniarki z przeciwległej części domu.

- Zadałaś mu ból. - Malory podeszła i wyłączyła wałek. - Może nie doceniasz jego uczuć. Dziś rano zobaczyłam mężczyznę zrannego do głębi. Jeśli chciałaś mu odpłacić, udało ci się.

Dana odwróciła się na pięcie, drżąc z gniewu i urazy. Upuściła wałek z farbą, który pozostawił złotawy zygzak na ochronnej plandecie.

- Na miłość boską, za kogo mnie uważasz? Myślisz, że śpię z nim wyłącznie po to, żeby się odegrać?

- Nie. Myślę tylko, że jeśli nawet potrzebny ci jest prosty odcinek drogi, nie musisz strącać ludzi do rowu i zostawiać ich zakrwawionych na łasce losu.

Dana cisnęła opaską z włosów o podłogę i pożałowała, że nie trzyma w ręku cięższego przedmiotu.

- Ty to masz tupet.

- Być może.

- To moje pieprzone pięć minut, Malory. Ani ty, ani nikt inny nie będzie mi dyktował, z kim mam się zadawać, a z kim nie.

- Wydaje mi się, że Kane właśnie to robi. Wskazał ci ścieżkę, a ty natychmiast nią podążyłaś. Nawet nie zadałaś sobie pytania, dlaczego popycha cię w tę stronę.

- Więc powinnam zostać z Jordanem z powodu klucza? Pouczasz mnie, jak mam postąpić, żeby nie popsuć twoich perspektyw?

Malory odetchnęła głęboko. To nie była odpowiednia chwila, by tracić cierpliwość. Ani by mieć Danie za złe, że ponoszą ją nerwy.

- Jeśli tak uważasz, nie znasz mnie, a co więcej, nie wiesz, czego się podjęłaś. Możesz dalej malować ścianę i gratulować sobie, że uniknęłaś wybojów na drodze... albo możesz przestać chować głowę w piasek i rozmówić się szczerze z Jordanem. - Malory ruszyła w stronę drzwi. - Powinnaś go znaleźć bez trudu - rzuciła przez ramię. - Wspomniał Flynnowi, że wybiera się w odwiedziny do matki.

Rozdział szesnasty

Zdecydował się na goździki. Nie był to sezon na jej ukochane tulipany. Lecz zawsze najbardziej lubiła zwyczajne kwiaty. Tulipany, żonkile, pnące róże i stokrotki. Właśnie goździki wydawały mu się takie zwyczajne i proste, a przy tym ich łagodny, staroświecki róż miał w sobie coś kobiecego.

Gdyby żyła, pochwaliłaby je, trochę powydziwiła nad nimi i wstawiła do wazonu, który dawno temu dostała od swojej matki na Boże Narodzenie.

Nie pomyślał o kupieniu jakiegoś naczynia, musiał więc wystarczyć ozdobny papier z kwaciarni.

Nie cierpiał cmentarza. Wszystkich tych płyt i nagrobków wzierających z ziemi niczym szaro-biało-czarne kłosa na poletku śmierci. Wryte na nich nazwiska i daty przypominały, że nikt nie uniknie swego losu, a zarazem były pamiątkami po ludzkim życiu.

Niezdrowe myśli, ale pasowały do tego miejsca.

Rachityczna trawa rosła kępkami, brunatne łaty wcinały się w zieleń, wysokie źdźbła sterczały tuż przy nagrobkach, gdzie nie dało się ich przyciąć. Inni odwiedzający także przynosili kwiaty swoim zmarłym, choć część wiązanek zdążyła już zwiednąć i uschnąć. Niektórzy rozwiązali tę kwestię, kładąc na płytach sztuczne kwiaty, lecz ich jaskrawe barwy wydawały się Jordanowi czymś fałszywym.

Więcej w tym kłamstwa niż hołdu, pomyślał.

W północnej części cmentarza było wietrznie i zimno, nie osłaniał jej lasek, jak w części wschodniej, ani nie leżała na nasłonecznionym stoku, jak część zachodnia.

Przed kilku laty zamówił nowy nagrobek z gładkiego białego granitu. Matka uznałaby to za niemądrą rozrzutność, ale odczuwał potrzebę zrobienia czegoś dla niej.

Na nagrobku widniało jej nazwisko: Susan Lee Hawke. I daty, w których zamykało się jej krótkie czterdziestosześcioletnie życie. Poniżej, pismem naśladowującym ręczne, wers zaczerpnięty z Emily Dickinson:

„Nadzieja gnieździ się w duszy”.

Nigdy nie utraciła nadziei. Przez całe życie wierzyła w jej moc, podbudowaną uczciwą, ciężką pracą. Nawet gdy choroba zniweczyła jej urodę i zmieniła ją w worek kruchych kości, zachowała nadzieję.

Związaną z nim, pomyślał teraz. Wiązała z nim nadzieje, wierzyła w niego i kochała go bez zastrzeżeń.

Przykucnął i położył kwiaty na grobie.

- Tęsknię za tobą, mamó. Brakuje mi rozmów z tobą, twojego śmiechu. Brakuje mi tego twojego spojrzenia, które mówiło, że wpadłem w tarapaty. A nawet wtedy mogłem na ciebie liczyć. Zawsze mogłem na ciebie liczyć.

Popatrzył na napis na kamieniu. Słowa wydawały się zbyt oficjalne. Ona zawsze była Sue. Zwyczajną, prostolinijną Sue.

- Wiem, że cię tam nie ma. To po prostu znak dla innych ludzi, że istniałaś i byłaś kochana. Czasami wyczuwam twoją obecność tak mocno, jakby wystarczyło się odwrócić, żeby cię zobaczyć. Wierzyłaś w takie rzeczy, w tkwiące w nas wszystkich możliwości. - Wyprostował się, wsunął ręce w kieszenie. - Zadaję sobie pytanie, kim do diabła jestem. Nawaliłem. Nie we wszystkim, tylko w jednej podstawowej sprawie. Mam coś, czego zawsze pragnąłem, a w zamian straciłem coś, czego potrzebowałem, choć nie miałem o tym pojęcia. Może to wyższa sprawiedliwość. Może po prostu nie można mieć wszystkiego. Ale ty i tak obdarzyłaś mnie tym swoim spojrzeniem.

Popatrzył w dół, na wzgórza, które kochała, i na intensywny błękit nieba nad płomiennorudymi koronami drzew.

- Nie wiem, czy potrafię to naprawić. Tak naprawdę nie wiem, czy w ogóle powinienem próbować. - Na chwilę zamknął oczy. - Kiedy tu jestem, czuję ból. Chyba tak być powinno. - Przycisnął palce do ust, a potem dotknął kamienia. - Kocham cię. Jeszcze przyjdę.

Odwrócił się i znieruchomiał na widok Dany, która stała na skraju alejki, wpatrując się w niego.

Jak on smutno wygląda, pomyślała. Zupełnie jakby ten smutek pozbawił go tarczy ochronnej, odsłaniając czułe, obolałe miejsca. Ciężko było znieść tę jego bezbronność, a także świadomość, iż zaskoczyła go nieprzygotowanego w intymnej chwili.

Nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, przemierzyła spłachetek trawy i stanęła obok Jordana przy grobie jego matki.

- Przepraszam. Nie chciałam ci przeszkadzać - zaczęła. - Dlatego nie podchodziłam.

- W porządku.

Spojrzała na świeże kwiaty, leżące na trawie. Teraz już wiedziała, co mówić.

- Przychodzimy tu z Flynnem raz w roku. - Odchrząknęła. - Jego ojciec, moja matka... i twoja. Staramy się przychodzić, gdy spadnie pierwszy prawdziwy śnieg. Wszystko jest takie czyste, białe i spokojne. Przynosimy jej kwiaty. - Uniosła oczy i napotkała spojrzenie Jordana. - Chciałam, żebyś o tym wiedział.

Nie odezwał się, ale wyczytała odpowiedź w jego oczach. Potem pochylił głowę, tak, że zetknęli się czołami.

Trwali w milczeniu, smagani podmuchami wiatru, który tarosił różowe płatki goździków.

- Dzięki. - Jordan wyprostował się powoli, jak gdyby z obawą, że coś w nim pęknie. - Dziękuję ci.

Kiwnęła głową i przez chwilę spoglądali w milczeniu na wzgórze.

- Jestem tu po raz pierwszy, odkąd wróciłem - powiedział wreszcie. - Nigdy nie wiem, jak powinienem się zachować w takim miejscu.

- Tak jak się zachowałeś. Goździki są miłe. Pełne prostoty.

Zaśmiał się cicho.

- To samo sobie pomyślałem. Co cię tutaj sprowadza, Dano?

- Dziś rano powiedziałam ci pewne rzeczy i chyba nie zrobiłam tego tak, jak trzeba.

- Jeżeli zamierzasz podjąć temat w stylu „mimo wszystko możemy zostać przyjaciółmi”, zechciej odczekać parę dni.

- Niezupełnie o to chodzi. Nie wiem, czy wybrałam odpowiednie miejsce i porę - ciągnęła - ale dzisiaj, gdy Malory skończyła już mnie ochrzaniać, doszłam do wniosku, że w pewnych sprawach miała rację i że ty... ja... że jestem winna nam obojgu coś więcej niż ta poranna odprawa.

- Zraniłem cię. Dostrzegłem to w twojej twarzy. Nie chcę cię ranić. Dano.

- Już za późno. - Uniosła i opuściła ramiona. - Postąpiłeś ze mną bezmyślnie, Jordanie. Bezmyślnie i bezwzględnie. Owszem, kiedy wyjechałeś, zdarzyło mi się snuć rozkoszne marzenia, jak to odpłacam ci pięknym za nadobne, ale wiem, że nie tego tak naprawdę chcę. Dlatego moje własne bezmyślne, bezwzględne zachowanie wobec ciebie nie przyniosło mi żadnej satysfakcji.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Ostatniej nocy cofnęłam się w przeszłość. Z drobną pomocą Kane'a. - Zmarszczyła brwi, słysząc zwięzły i dosadny komentarz. - Nie powinieneś używać takiego słownictwa nad grobem matki.

Z niewiadomych względów jej uwaga sprawiła, że przestało go ścisnąć w żołądku.

- Nie jest jej obce.

- Mimo to.

Wzruszył ramionami i było w tym gościu coś z chłopaka, którego pokochała. Dostatecznie dużo, by zabołało ją serce.

- Dokąd się cofnęłaś?

- Do dnia, kiedy się pakowałeś przed przeprowadzką do Nowego Jorku. Przeżyłam wszystko po raz drugi. Obserwowałam swoją reakcję. To było bardzo dziwne i wcale nie mniej okropne mimo świadomości, że oglądałam powtórkę. Zupełnie jakbym stała jednocześnie po obu stronach lustra. Patrząc, a jednocześnie uczestnicząc. Wszystko, co mi powiedziałeś i czego nie powiedziałeś, bolało tak samo jak wtedy.

- Przykro mi.

Uniosła twarz.

- Nawet wierzę i dlatego tu przyjechałam, zamiast spalić twoją podobiznę. Ale znowu poczułam ten sam ból. Mam prawo i obowiązek wobec samej siebie wycofać się z tego. Nie zamierzam ponownie rzucać ci serca do stóp, a nie uchowa się nienaruszone, jeśli dłużej będę z tobą. Może zostaniemy przyjaciółmi, może nie. Ale nie możemy być kochankami. Musiałam ci to wytłumaczyć.

Gdy odsunęła się o krok, położył jej dłoń na ramieniu.

- Przespacerujesz się ze mną?

- Jordan...

- Tylko pospaceruj ze mną przez chwilę. Powiedziałaś, co miałaś do powiedzenia. Teraz proszę, żebyś mnie wysłuchała.

- Dobrze. - Wsunęła ręce w kieszenie, chroniąc je przed chłodem i kontaktem z jego dłońmi.

- Niezbyt dobrze sobie radziłem z sytuacją po śmierci mamy.

- Nikt sobie dobrze nie radzi z czymś takim. Moja matka jest pochowana o, tam. - Wyciągnęła rękę, by wskazać kierunek. - Właściwie jej nie pamiętam. Nie pamiętam, jak odeszła. Ale brak mi jej i czasami czuję się oszukana. Mam kilka rzeczy, które do niej należały. Ulubioną bluzkę, zachowaną przez tatę, trochę biżuterii, fotografie. Cieszę się, że je mam. To, że nie pamiętam matki, że byłam za mała, by zapamiętać jej śmierć, nie oznacza, iż nie rozumiem, co przeżywałeś. A ty nie chciałeś mojej pomocy.

- Racja, nie chciałem. Nie potrafiłem jej przyjąć. - Podtrzymał ją za łokieć, gdy potknęła się na nierównym terenie, i natychmiast puścił. Ruszyli w stronę kępy drzew. - Bardzo ją kochałem, Dano. Nie jest to coś, o czym się codziennie myśli w normalnych okolicznościach. To znaczy, nie budziłem się co rano, myśląc sobie: rany, jak ją kocham moją mamę. Ale tworzyliśmy jedną całość.

- Wiem.

- Kiedy ojciec nas zostawił... cóż, niezbyt dobrze go pamiętam. Za to pamiętam, że mama była jak opoka. Nie zimna, twarda skała, tylko po prostu niezłomna. Harowała jak wół na dwóch etatach, dopóki nie wygrzebaliśmy się z długów, których ojciec narobił. - Jeszcze teraz poczuł lekką gorycz na to wspomnienie. - Musiała padać ze zmęczenia, ale zawsze znajdowała dla mnie czas. Nie tylko na to, żeby postawić obiad na stole albo wręczyć mi czystą koszulę. Obchodziły ją moje sprawy.

- Wiem. Interesowała się wszystkim, co robisz, choć nigdy nie sterczała ci nad głową. Czasami wyobrażałam sobie, że jest moja matka.

Spojrzał w ziemię.

- Naprawdę?

- Tak. Chyba nie myślisz, że jako dzieciak pętałam się ciągle po twoim domu tylko po to, żeby dokuczyć tobie, Flynnowi i Bradowi? Ciągnęło mnie do niej. Pachniała jak prawdziwa matka i często się śmiała. Kiedy spoglądała na ciebie, nawet przelotnie, w jej twarzy było tak wiele miłości, tak wiele dumy. Chciałam mieć matkę, która by na mnie patrzyła w ten sposób.

Jej słowa poruszyły Jordana i zatarły posmak goryczy.

- Ani razu mnie nie zawiodła. Nigdy. Czytała wszystko, co napisałem, nawet kiedy byłem mały. Dużo z tego uratowała i mawiała, że pewnego dnia, gdy zostanę sławnym pisarzem, moje wcześnie utwory sprawią czytelnikom wielką frajdę. Nie wiem, czy

w ogóle byłbym pisarzem, gdyby nie ona. I jej stała, niezachwiana wiara we mnie.

- Cieszyłyby się z twoich osiągnięć.

- Nie dożyła mojej pierwszej wydanej powieści. Chciała, żebym poszedł do college'u. Ja też tego chciałem, ale myślałem, żeby to odłożyć na rok lub dwa, zarobić najpierw trochę pieniędzy. Nie ustąpiła, a potrafiła być cholernie uparta, kiedy jej na czymś zależało. Więc wyjechałem.

Umilkł na chwilę. Słońce przygasało, kryjąc się za chmurą.

- Wysyłałem do domu pieniądze, ale niewiele. Nigdy nie miałem ich za dużo. Nie przyjeżdżałem tak często, jak powinienem. Wciągnęło mnie tamto życie, jego wyzwania. Potem poszedłem na studia magisterskie. Mnóstwo czasu spędziłem z dala od niej.

- Zbyt surowo siebie oceniasz.

- Czyżby? Zawsze stawiała mnie na pierwszym miejscu. Mogłem wrócić wcześniej, zacząć dobrze zarabiać w warsztacie i trochę ją odciążyć.

Dana położyła mu dłoń na ramieniu, skłaniając, by zwrócił się twarzą do niej.

- Nie tego dla ciebie pragnęła i dobrze o tym wiesz. Twoja praca sprawiała jej ogromną radość. Kiedy czasopisma zaczęły drukować twoje opowiadania, była wniebowzięta.

- Mogłem je pisać tutaj. Przecież pisałem, gdy wreszcie wróciłem do domu. Zabrałem się do powieści i pracowałem nad nią jak szalony, nocami, po robocie. Rzecz jasna w chwilach, kiedy nie uganiałem się za tobą. Zamierzałem dokonać cudów, zdobyć wszystko. Pieniądze, sławę, co się tylko da. - Mówił coraz szybciej, jakby zbyt długo więzione słowa zapragnęły w końcu wyrwać się na wolność. - Chciałem ją zabrać z tego beznadziejnego domu, kupić jej coś ładniejszego, najlepiej w górach. Chciałem, żeby już nigdy nie musiała pracować, żeby mogła uprawiać ogród, czytać książki, robić tylko to, na co miałyby ochotę. Chciałem się nią opiekować. Ale nie wyszło. Nie udało mi się.

- Och, Jordan, to nie twoja wina.

- Nie chodzi o winę. Mama zachorowała. Długo mnie nie było, potem wróciłem, żeby jej to wynagrodzić. A ona zachorowała. Mówiła, że jest trochę zmęczona, nic więcej. Pobolewa ją tu i ówdzie. Widocznie się starzeje. I śmiała się z tego. Nie poszła do lekarza. Z pieniędzmi było krucho, nie bardzo mogła wziąć wolne w pracy, więc nie poszła do lekarza, a potem okazało się, że jest już za późno.

Dana, nie mogąc się powstrzymać, ujęła jego dłoń.

- To było straszne. Dla was obojga.

- Nie widziałem, co się dzieje. Byłem pochłonięty własnym życiem, własnymi pragnieniami i ambicjami. Nie zauważyłem, że jest chora, dopóki... Jezu, kazała mi usiąść i poinformowała, co u niej wykryli.

- Nie możesz się obwiniać. To głupota. Twoja matka pierwsza by się ze mną zgodziła.

- Pewnie i sam doszedłem do tego wniosku. Ale wtedy i zaraz potem... Wszystko stało się tak szybko. Wiem, że ciągnęło się kilka miesięcy, dla mnie jednak nastąpiło błyskawicznie. Lekarze, szpital, operacja, chemoterapia. Chryste, czuła się fatalnie. Nie wiedziałem, jak się nią opiekować...

- Zaraz. Zaczekaj. Zaopiekowałeś się nią. Siedziałaś przy niej, czytałaś jej. Na Boga, karmiłaś ją, gdy już sama nie mogła jeść. Stałaś się dla niej opoką. Widziałam przecież.

- Byłem przerażony, wściekły i nie mogłem jej o tym powiedzieć. Zamknąłem się w sobie, bo nie widziałem innego wyjścia.

- Dopiero co przekroczyłeś dwudziestkę i twój świat walił się w gruzy.

Wypowiadając te słowa, zdała sobie sprawę że wówczas tego nie rozumiała, przynajmniej nie do końca.

- Gaśła w oczach, a ja nie mogłem temu zapobiec. Gdy już wiedzieliśmy, że umiera, że zostało niewiele czasu, powiedziała mi, jak bardzo jej przykro, że musi odejść, zostawić mnie samego. I że zawsze była ze mnie dumna, cieszyła się mną. Załamane się. Zupełnie straciłem głowę. Chwilę potem odeszła. Nie wiem, czy się z nią pożegnałem, czy powiedziałem, że ją kocham. Nie pamiętam, co wtedy mówiłem, co robiłem.

Zawrócił w stronę nagrobków, wyrastających spomiędzy kęp trawy.

- Załatwiła wcześniej wszystkie formalności, więc pozostało mi tylko wypełnienie jej zaleceń. Krok po kroku. Nabożeństwo żałobne, sukienka, w której chciała być pochowana, muzyka, jakiej sobie życzyła. Miała polisę ubezpieczeniową. Odkładała pieniądze co miesiąc. Bóg jeden wie, jak jej się to udawało. Wystarczyło, by spłacić większość długów i zapewnić sobie jakieś pole manewru.

- Byłaś jej dzieckiem. Chciała cię zabezpieczyć na przyszłość.

- Zrobiła to, pod każdym możliwym względem. Nie mogłem tu dłużej zostać, Dano. Nie wtedy. Nie mogłem dalej mieszkać w do-

mu, gdzie wszystko mi ją przypominało. Ani w tym mieście, pełnym znajomych twarzy. Wydawałoby się, że powinienem znaleźć w tym pociechę. Ale nie znalazłem nic prócz bólu. Chwilami się dusiłem, a chwilami czułem się tak, jakbym miał zaraz eksplodować. Musiałem stąd uciec. Musiałem pogrzebać ten ból, podobnie jak ją.

- Nie chciałeś ze mną o tym rozmawiać.

- Nie potrafiłem. Nawet gdybym znalazł słowa, udławiłbym się nimi. Nie twierdzę, że dobrze zrobiłem. Chyba nie. Ale tak wygląda prawda. Pragnąłem coś w życiu osiągnąć, a tutaj to było niemożliwe. Albo wydawało się niemożliwe, więc co za różnica?

- Musiałeś wyjechać - mruknęła - bo inaczej nie byłbyś tym, kim jesteś. - Dlaczego dopiero teraz to zrozumiała?

- Nie mogłem znieść tej sytuacji. Bałem się, co ze mną będzie, jeśli zostanę. Wyobraziłem sobie, jak zasuwam w warsztacie dzień w dzień, rok po roku, spisując na straty wszystko, co dla mnie zrobiła i co sobie wymarzyła, bo na nic lepszego mnie nie stać. Gniew i ból pochłonięły mnie do tego stopnia, że na nic innego nie zwracałem uwagi.

Przystanął ponownie obok grobu matki, popatrzył na kwiaty.

- Nie wiedziałem, że mnie kochasz. Trudno mi powiedzieć, czy postąpiłbym inaczej, gdybym wiedział, ale nie wiedziałem. Wydawałaś się tak silna, pewna siebie, nawet niefrasobliwa, że nie dostrzegłem, co się pod tym kryje. - Odgarnął pasmo włosów z policzka Dany i natychmiast cofnął rękę. - Może nie chciałem dostrzec. Po tym, co się stało z mamą, nie było we mnie miejsca na miłość. Zraniłem cię i zrobiłem to z rozmysłem, bo uznałem, że będzie mi lżej, jeśli się obrazisz i odejdiesz. Wstydzę się tego. Zasłużyłaś na coś lepszego.

- Nie wiem, co powiedzieć. Dobrze, że mi wszystko wyjaśniłeś. Na pewno nie przyszło ci to łatwo.

- Dano, nie płacz. Nie zniosę twoich łez.

- Trudno mi się powstrzymać. - Otarła dłońmi policzki. - Byliśmy młodzi, Jordanie, i obydwójce popełnialiśmy błędy. Nie zmienimy przeszłości, ale możemy ją naprawić i spróbować się przyjaźnić na nowo.

- Teraz jesteśmy dorosłymi ludźmi i musimy sobie poradzić z dniem dzisiejszym. Jeśli chcesz przyjaźni, będę twoim przyjacielem.

- Zgoda. - Zdobyła się na nikły uśmiech i wyciągnęła rękę.

- Jest jeszcze jedna rzecz, którą powinnaś wiedzieć. - Mocno zacisnął palce na jej dłoni. - Zakochałem się w tobie.

- Och... - Jej serce, które i tak było nierówno, zamarło na chwilę. - O Boże.

- Nigdy nie udało mi się od ciebie uwolnić. Cokolwiek do ciebie czułem w tamtym okresie, zakorzeniło się we mnie. Czas mijał, próbowałem wyrwać ten korzeń, lecz nie zdołałem. Wpadałem, powiedzmy, na kilka godzin do miasta, żeby spotkać się z Flynnem, dostrzegałem cię gdzieś w pobliżu, przelotnie, i z korzenia zaczynał wyrastać pęd.

- Cholera jasna, Jordan. Cholera jasna.

Musiał to z siebie wyrzucić, choćby nie wiem co.

- Tym razem, kiedy zapukałem do drzwi Flynnna i ty mi otworzyłaś, poczułem się tak, jakby ten pęd strzelił na dziesięć stóp w górę i owinał mi się dookoła szyi. Jestem w tobie zakochany, Dana. Nie potrafię i nie chcę zwalczyć tego uczucia. Więc widzisz, teraz ja rzucam ci serce do stóp. Należy do ciebie, cokolwiek zechcesz z nim zrobić.

- Ajak myślisz, ty bałwanie, co z nim zrobić? - Rzuciła mu się w ramiona.

Ulga i radość ogarnęły go potężną falą. Wtulił twarz we włosy Dany.

- Miałem nadzieję, że powiesz coś takiego.

Pierwsze, co Dana usłyszała po powrocie do „Pokusy”, to odgłosy sprzeczki, czyli jednej z podstawowych, jej zdaniem, rzeczy, dzięki którym budynek stawał się domem. Nadstawiła uszu i uniosła rękę ucziszającym gestem, gdy Jordan wszedł za nią.

- Nie zrobię sobie krzywdy. Doskonale potrafię obsługiwać elektryczną cykliniarkę. Po prostu nie chcesz, żeby ktokolwiek prócz ciebie się nią bawił.

- Po pierwsze, to nie jest zabawka. - Ton Brada był oziębły, a zarazem tak pełen irytacji, że Dana omal nie parsknęła śmiechem. - Po drugie, kiedy skończę ten pokój, co już bym dawno zrobił, gdybyś bez przerwy nie zrzędziła...

- Ja nie zrzędzę. - W głosie Zoe jad mieszała się z urazą.

Dana trąciła swego towarzysza w ramię.

- Idź rozstrzygnąć ten zażarty spór - szepnęła. - Ja muszę pogadać z Malory.

- Czemu nie miałybyśmy też pogadać z Malory?

- Prawdziwy mężczyzna nie bałby się...
- Och, przestań. - Zgarbiony, wbił ręce w kieszenie i pomaszrował w stronę, z której dobiegały głosy.

Odetchnęła, wyprostowała się i ruszyła w przeciwnym kierunku, by odbyć sesję bicia się w piersi.

Ściany sali wystawowej w przyszłej galerii były już skończone. Uznała, że wyglądają pierwszorzędnie. Z sąsiedniego pokoju dobiegały dźwięki radiowej muzyki i podśpiewywanie Malory, wtórującej Bonnie Raitt.

Malory była najwyraźniej w radosnym nastroju. Jeżdżąc wałkiem po ścianie, kołysała biodrami w takt melodii.

- Podkreciłaś to radio tak głośno, żeby ci pomogło utrzymać tempo, czy chcesz się odgradzić od seksualnych napięć po drugiej stronie korytarza?

Malory odwróciła się i odłożyła wałek, by dać odpocząć ramionom.

- Jedno i drugie. Jak się czujesz?
- A jak wyglądam?
- Lepiej. - Malory przyjrzała się uważnie przyjaciółce. - Szczerze mówiąc, wyglądasz fantastycznie.
- Bo czuję się fantastycznie. Przede wszystkim, przepraszam cię. Byłam nieszczęśliwa i odreagowałam to na tobie. A ty po prostu próbowałaś mi pomóc.

- Tak to już jest z przyjaciółmi. Jeden się wyładowuje, drugi próbuje pomóc. Obydwoje wydawaliście się tacy przygnębieni.

- Byliśmy przygnębieni. Nie bez powodu. Jakikolwiek są jego motywy, Kane ukazał mi prawdę. Nie dało się tak po prostu prosić przeszłości, całego tego rozgoryczenia. Musiałam się z tym zmierzyć, wydobyć wspomnienia z dna pamięci, ocenić. A przynajmniej zrozumieć.

- Masz rację.
- Nie, to ty miałaś rację. - Dana zdjęła kurtkę, rzuciła ją na parapet. - Wdanie się w romans, a potem zerwanie z Jordanem niczego nie załatwia. Obydwoje pochowaliśmy przeszłość w zbyt płytkim grobie.

- Potrzebowaliście trochę czasu, żeby się poznać na nowo.
- Znowu trafiłaś w dziesiątkę.
- Spróbuję utrzymać ten wynik. Spotkałaś się z Jordanem, przedyskutowaliście kilka spraw i w końcu uznaliście zgodnie, że się kochacie.

- Wynik utrzymany. On mnie kocha. - Oczy Dany zaszkliły się łzami i Malory rzuciła się w jej stronę z chustką, którą ściągnęła z głowy. - Dzięki. Powiedział mi rzeczy, których wcześniej nie mówił. Nie mógł albo nie chciał, to teraz bez znaczenia. Nie był gotowy. Jeśli mam być szczerą, obydwójce nie byliśmy gotowi. Kochałam go, ale nie docierało do mnie, co on przeżywa, czego potrzebuje. Czego ja sama potrzebuję, gdy już o tym mowa. W swoim zaślepieniu wiedziałam tylko jedno: „Chcę Jordana”. Kropka. Zupełnie nie myślałam, jak ma wyglądać nasze wspólne życie, co każde z nas powinno zrobić, żeby je zbudować. Liczyła się wyłącznie chwila terazniejsza.

- Byłaś młoda i zakochana. - Malory odebrała przyjaciółce chustkę i sama otarła oczy.

- Fakt. Kochałam go całą sobą. Ale teraz wiem więcej. To naprawdę zdumiewające uczucie, gdy można cofnąć się o krok i dostrzec, czego Jordan dokonał, jakim mężczyzną się stał. I zrozumieć, że warto było czekać.

- Dana.

Jej wilgotne oczy otworzyły się szerzej. Zamrugała gwałtownie i odwróciła się w stronę drzwi, w których stał Jordan.

- Wstęp tylko dla dziewczyn!

- Dana. - Powtórzył jej imię i po sekundzie znalazł się przy niej. Zanim otoczył ją ramionami, dostrzegła wzruszenie i żar, które zapaliły iskry w jego niebieskich oczach. Wspięła się na palce, gdy przyciągnął ją do siebie i zamknął usta pocałunkiem.

Rozczulona Malory ukryła twarz w chustce.

- No dobra, powiem wam jedno... - Zoe wpadła jak bomba i wyhamowała po środku pokoju. Wpatrując się w splecioną parę, uniosła dłoń do serca. - Och...

Sięgnęła do tylnej kieszeni spodni po chustkę, lecz Brad, który zatrzymał się tuż za nią, podsunął jej swoją.

- Dziękuję. - Zoe wytarła nos. - Ale mam własną.

- Cicho bądź.

Umilkła, nie chcąc psuć tej niezwyklej chwili. Jordan odsunął się lekko od Dany.

- Jest pewna sprawa, którą muszę się zająć.

Dana uniosła brew z lekkim, figlarnym uśmieszkiem.

- Teraz? Przy wszystkich?

- Brawo - mruknął Brad i zarobił szturchańca łokciem w brzuch od Zoe.

- Nie czas na kosmate myśli.
- Zawsze jest na nie czas.
- Nie zwracaj na nich uwagi - mruknął Jordan, przyciskając usta do czota Dany.
- Nie zwracam.
- Jest pewna sprawa, którą muszę się zająć - powtórzył. - Dlatego nie dotrzymam obietnicy i nie pomogę wam dzisiaj w remoncie.
- Ale...
- To ważne - przerwał. - Wieczorem wam wszystko wyjaśnię.
- Musimy się spotkać i pogadać o tym, co napisałeś. Mam już niewiele czasu.
- Może byśmy się spotkali u Flynnna? To dla wszystkich najbliżej. - Obejrzał się na Malory. - Zgoda?
- Nie ma sprawy. Kuchnia nie jest jeszcze odremontowana, więc nie będzie takiego żarcia jak u Brada. Zresztą nawet gdyby była, i tak nie dostalibyście takiego żarcia.
- Wystarczy mi pizza i piwo - oznajmiła Dana.
- Co za dziewczyna. - Jordan pocałował ją po raz kolejny. - No to do zobaczenia.
- Coś przede mną ukrywasz. - Dana zmrużyła oczy. - Czuję to. Jeśli zamierzasz wdać się w porachunki z Kane'em...
- On nie ma z tym nic wspólnego. Muszę to załatwić teraz, bo inaczej w ogóle tego nie załatwię. Brad, jedziesz ze mną.
- Jeszcze nie skończyłem roboty.
- Zabierz go - Zoe wskazała Brada. - I zostawcie cykliniarkę. Nic jej się nie stanie.
- Nie wniesiesz tego sama na piętro.
- Nie jest aż tak ciężka, a ja nie jestem aż taka słaba.
- Ale nie wniesiesz jej po tych schodach.
- Jezu, Vane, zabierz tę maszynę na górę i skończ z tym wreszcie. - Jordan z szerokim uśmiechem otoczył Danę ramieniem. - Naprawdę nie wiesz, jak postępować z kobietami?
- Pocałuj mnie gdzieś. - Brad odwrócił się na pięcie i odszedł.
- Mogę to sama zrobić - zaczęła Zoe.
- Zoe. - Dana pokręciła głową, pławiąc się w blasku nowo odnalezionej miłości. - Przestań się zachowywać jak kretynka.
- Nic na to nie poradzę. - Zoe uniosła ręce i opuściła je bezradnym gestem. - To przez niego tak się zachowuję. - Usłyszała ciche przekleństwo Brada, taszczącego cykliniarkę w stronę schodów

i skrzyżowała ramiona na piersiach. - Nie powiem już ani słowa. I nic więcej nie zrobię.

- Niezły plan. A może byś wzięła watek do ręki? - podsunęła Malory. - Skończymy parter i przeniesiemy się na piętro.

- Czy mogę nieśmiało zauważyć, że zrobiłyście tu naprawdę dobrą robotę?

- A widzisz? - Uradowana Zoe podbiegła do Jordana i głośno cmoknęła go w policzek. - Oto solidny mężczyzna, który potrafi docenić kobiecy potencjał.

- W pełni. Tylko samowystarczalna kobieta jest naprawdę seksowna.

- Ciesz się, Hawke, póki możesz. - Dana odciągnęła go na bok. - A na razie zabieraj kumpla i zjeżdżajcie stąd. Mamy robotę.

Zaczekała aż Jordan i Brad wyjdą z domu, po czym błyskawicznie dopadła okna.

- Co on knuje? Aha, Brad właśnie go pyta, co jest grane. Ale on nie chce odpowiedzieć, bo wie, że tu stoję i patrzę. Cholera jasna! - Cofnęła się ze śmiechem, gdy Jordan spojrzał prosto w okno. - Jego po prostu nie da się wyrolować. I to też mi się w nim podoba.

- Tak się cieszę - westchnęła Malory. - Uważajmy, bo znowu się rozkleimy.

- Dzisiaj już zdążyłam wylać więcej łez niż przez cały ubiegły rok, więc lepiej zabierzmy się do malowania. - Dana odwróciła się, napinając bicepsy nieco przesadnym gestem. - Wiecie co, on ma rację. Robimy tu naprawdę dobrą robotę.

Pomalowały ściany na dole, a potem w ramach przerwy na kawę przysiadły na podłodze, podziwiając swoje dzieło.

- Warto by przetrzeć podłogi u Dany na mokro. Przed zagrunowaniem powierzchnia powinna być czysta.

- Zupełnie się na tym nie znam.

- To proste - zapewniła Zoe. - Pokażę ci. Kiedy już wszystko wyschnie i stwardnieje, będzie można wnieść półki i inne rzeczy.

- O kurczę. - Dana przycisnęła dłoń do żołądka, który zaczął wyczyniać dziwne harce. - Z każdym dniem to się staje coraz bardziej rzeczywiste. Już zamówiłam regały. Jeśli tu dotrą w oznaczonym terminie, razem z innymi rzeczami i pierwszą partią książek, otworzę interes za parę tygodni. Może wcześniej. Mam nawet ewentualną pracownicę.

- Nic nam nie powiedziałaś - ofuknęła ją Zoe. - Kto to taki?

- Kobieta, którą poznałam w bibliotece. Potem spotkałam ją przypadkiem w sklepie i tak jakoś się zgadało. Jest sympatyczna, dobrze się prezentuje, lubi czytać, szuka pracy i nie żąda wysokiej pensji. Zamierza tu wstąpić, żeby się rozejrzeć. Jeżeli nie uciekniesz z krzykiem, to chyba znalazłam odpowiednią osobę.

- Jak myślisz, Zoe, kiedy będę mogła zacząć się urządzać w galerii? - spytała Malory.

- Przypuszczam, że w przyszłym tygodniu. - Zoe napiła się kawy i rozejrzała po pokoju. - Wszystko idzie tak dobrze, nie chciałabym zapeszyć, ale przyszły tydzień wydaje mi się realnym terminem. Mnie zajmie to trochę więcej czasu. Salon kosmetyczny wymaga dłuższych przygotowań. Poza tym musimy wymienić część okien. No i czeka nas jeszcze kupa roboty wykończeniowej.

- Uwielbiam twoje męskie podejście do sprawy - zauważyła Dana. - Ruszajmy na górę. Zabawimy się po męsku z cykliniarką.

- Po pierwsze - oznajmiła Zoe, udatnie naśladowując kąśliwy ton Brada - to nie jest zabawka.

- O rany. - Dana ze śmiechem dźwignęła się na nogi. - Ty mnie po prostu dobijasz.

Rozdział siedemnasty

Naprawdę jesteś pewien? - Brad przyjrzał się uważnie Jordanowi, który trzymał w ręku pierścionek z rubinem o fasetowym szlifie.

- Tak mi się wydaje. Rubin bardziej się jej spodoba niż tradycyjny brylant.

- Nie mam na myśli pierścionka, tylko cel, w jakim go kupujesz.

- Jestem pewien. Trochę mnie mdli, ale jestem pewien.

- Nie zamierzam się na ciebie obrażać - oświadczył Flynn. - Mógłbym poczuć się dotknięty, że mdli cię na myśl o małżeństwie z moją siostrą, ale nie będę chował urazy.

Jordan z lekkim uśmiechem uniósł pierścionek pod światło. Chciał mieć obu przyjaciół przy sobie, gdy będzie stawiał ten krok. Zamknięte koło, pomyślał. Pierścionek też ma kształt koła. Ani Flynn, ani Brad nie odnieśli się z entuzjazmem do wizyty w jubilerskim sklepie w Pittsburgu, lecz mimo to zgodzili się pojechać.

Jak zawsze.

- Co do rubinu nie mam stuprocentowej pewności. Jeśli chodzi o Dane, tak. - Podsunął pierścionek Bradowi. - Jesteś najlepszym znawcą. Co sądzisz o tym kamyku?

Jubiler za ladą był wyraźnie niezadowolony.

- Zapewniam pana, iż jest to kamień najwyższej klasy. Trzykaratowy birmański rubin, osadzony w osiemnastokaratowym złocie. Mistrzostwo wykonania...

- Tak, tak, wiem - zbył go Jordan. - Znam tę gadkę. Wolałbym usłyszeć, co mój kumpel ma do powiedzenia.

- Może użyczylby mi pan lupy? - zagadnął uprzejmym tonem Brad. - Kolega kupuje pierścionek zaręczynowy. To ważna chwila.

Jubiler, acz bez entuzjazmu, podał Bradowi lupe, pocieszając się ewentualną transakcją.

Brad zaczął ostentacyjnie chrząkać, pomrukiwać i pokasływać, a następnie odłożył pierścionek i lupe na aksamitną podkładkę.

- Kamień jest super - oświadczył. - Barwa, szlif i przejrzystość nie pozostawiają nic do życzenia. Na dodatek ma trzy karaty. Na pewno jej się spodoba.

- Tak też myślałem. Proszę zapakować - zwrócił się Jordan do jubilera.

- A teraz może poszlibyśmy na piwo, co? - Flynn zerknął nieufnie na pierścionki w szklanych gablotach. - Jordan powinien nam postawić, w symbolicznym geście... ech, do diabła z tym. Po prostu napijmy się piwa.

- Wszystko w swoim czasie, słodki chłopcze. - Jordan wygrzebał z portfela kartę kredytową. - W drodze powrotnej musimy się jeszcze zatrzymać w pewnym miejscu.

Jordan był z siebie zadowolony. Zdobył dziewczynę, kupił jej pierścionek. A teraz - pomyślał, gdy wjeżdżali w bramę Wzgórza Wojownika - okaże się, czy potrafię nabyć dom.

- To jakiś obłąd - rzucił Flynn z tylnego siedzenia, na którym chrapał Moe, wyczerpany przeżyciami związanymi z podróżą. - Chyba nadal jestem w szoku.

- Może i obłąd - przyznał Jordan - ale naprawdę to miejsce zawsze mnie przyciągało. Od dzieciństwa.

- No dobra, zanim tam wejdiesz i złożysz swoją zwariowaną propozycję, przeanalizujmy sprawę jeszcze raz. - Brad poprawił się na siedzeniu. - Otóż pozwolę sobie zauważyć, że ten dom jest gigantycznych rozmiarów.

- Lubię duże domy.

- Stoi na odludziu.

- Lubię odludzie.

- Nie zapytałeś Dany, czy zechce w nim zamieszkać.

- Nie muszę. Wiem, co myśli na ten temat.

- Zupełnie jakbym mówił do ściany - mruknął Brad. - Dobrze, widzę, że się zaparłeś, ale przynajmniej wyrzuć tę tabliczkę z napisem: „Jestem prostodusznym naiwniakiem z wielką kasą”.

- Oni są bogami, synku. - Jordan zaparkował samochód i otworzył drzwiczki. - Nie sądzę, by pokerowa twarz cokolwiek tu zmieniła.

- Nie wiem, skąd ta pewność, że zechcą sprzedać dom - podjął Brad. - Kupili go zaledwie kilka miesięcy temu. Może i są bogami, ale muszą brać pod uwagę takie drobiazgi, jak wartość nieruchomości, podatki, zysk kapitałowy.

- Biznesmen się odezwał. - Flynn wyszczerzył zęby w uśmiechu, podczas gdy Moe, depcząc po nim, wyskoczył z auta.

- Zamknij się. Jesteś w szoku, nie pamiętasz? Z miasta jedzie się tu dobre pół godziny.

- Owszem, kiedy ty prowadzisz - wymamrotał Jordan.

- Słyszałem. Pół godziny - powtórzył Brad - dla dorosłego, odpowiedzialnego mężczyzny, który przestrzega przepisów ruchu drogowego. A i to przy sprzyjającej pogodzie. Tobie właściwie wszystko jedno, możesz pisać w piżamie, nie ruszając się z domu. Ale Dana będzie musiała jeździć do Valley sześć razy w tygodniu.

- Sześć? - Jordan odwrócił wzrok od domu. - Skąd wiesz, że zaplanowały pracę na sześć dni w tygodniu?

- Dowiedziałem się od Zoe w przerwach między jej zjadliwymi uwagami. Rzecz w tym, że Dana będzie musiała tam jeździć prawie codziennie. A w zimie...

- Kupię jej dżipa z napędem na cztery koła. Kupię jej cholerny czołg, tylko przestań się czepiać.

- Mam nadzieję, że szukają nabywcy i potraktują cię poważnie.

Drzwi otworzyła Rowena, która przykucnęła ze śmiechem, ścisnąc Moego.

- Witajcie! To doprawdy cudowne. Trzech przystojnych mężczyzn i piękny pies.

- Żeby nazwać tego psa pięknym - zauważył Jordan - trzeba go naprawdę pokochać.

- Zgadzam się. - Rowena z promiennym uśmiechem spojrzała mu w oczy. - Wejdźcie, proszę.

Moe nie potrzebował powtórnego zaproszenia. Przemknął obok gospodyni, pośliznął się na kafelkach i zderzył z futryną w drzwiach salonu. Gdy go dogonili, zdążył się już zwinąć w kłębek w fotelu, układając pysk na poręczu i zamiatając ogonem.

- Hej! Złaż stamtąd, łobuzie!

Flynn rzucił się w stronę psa, lecz w tej samej chwili duże brązowe oczy Moego przeniosły się na Rowenę. Ogon zamiatał w zdwojonym tempie.

- Nie, proszę. On ma pełne prawo tam siedzieć. - Rowena pośpieszyła psu na ratunek. - Mimo wszystko, jest moim gościem.

- Ale niezły z niego kombinator.

- O, tak. - Pogładziła zwisające ucho. - Poza tym... jak to się mówi? Przejrzał mnie na wylot. Nic w tym złego. Co mogę wam zaproponować? Kawę, herbatę? - Zerknęła na Flynną, a kąci jej ust drgnęły lekko. - Może schłodzone piwo?

- Czytasz w moich myślach, czy po prostu mam wypisane na czole, że chętnie napiłbym się piwa?

- W pewnym sensie jedno i drugie. Weź przykład z Moego i usiądź. Rozgośćcie się. Za chwilę wrócę.

- Czy Pitte jest w domu? - spytał Jordan.

- Oczywiście. Zaraz go zawołam.

Zaledwie opuściła pokój, Brad zwrócił się do Jordana:

- No dobra, dłużej już nie wytrzymam. Tylko nie opowiadaj, jak to zawsze chciałeś kupić ten dom, i tym podobnych głodnych kawałków.

- Czy wyglądam jak coś, co przed chwilą wypadło z gniazda?

- Kupowałeś już dom?

- Nie, ale...

- A ja tak. Jesteś pisarzem, który wydał całą serię bestsellerów. Wiadomo, że masz pieniądze. Dodaj do tego promienny sen z czasów dzieciństwa i już wystawiasz się na strzał.

Jordan usiadł w fotelu.

- Wiesz co, zaczynam rozumieć, dlaczego tak irytujesz Zoe.

Brad obrzucił go wyniosłym spojrzeniem.

- Nie irytuję jej. Po prostu ją niepokoję. Irytacja jest tylko skutkiem ubocznym.

- Aha, ja też zaczynam ją odczuwać. - Flynn opadł na fotel, zupełnie jak przedtem jego pies. Poderwał się jednak, gdy weszła Rowena, niosąc tacę. - Hej, pozwól, że ci pomogę. - Odebrał jej tacę z pięcioma szklankami piwa.

- Dziękuję. Częstujcie się. Pitte zaraz przyjdzie. - Usiadła na sofie, podwinęła nogi i uśmiechnęła się słodko do Flynną, który wręczył jej szklankę. - Dzisiaj jest ważny dzień.

Poczuł ucisk w żołądku, gdy spojrzała na niego.

- Owszem, chyba tak.

- Masz prawo czuć się trochę nieswojo. To ludzka rzecz. Ach, oto i Pitte.

- Dzień dobry wszystkim. Usłyszałem od Roweny, że mamy pewną sprawę do omówienia. - Usiadł obok niej, sięgnął po piwo.

- Jak samopoczucie?

- Niezłe - odparł Jordan. - Może zacznę od tego, co się wydarzyło.

Opowiedział im o podróży w przeszłość, w którą Kane zabrał Dane.

- Interesujące. - Pitte w zamyśleniu przyjrzał się swojej szklance. - Nie spodziewałem się, że użyje tak prostych środków.

- Oceniał zdobycz i wybrał metodę - zauważyła Rowena. - Bardzo sprytnie. Już nie próbuje mamie i zwodzić Dany. Zamiast tego informuje ją dokładnie, co robi, pozwala patrzeć, a jednocześnie przeżywać. Tak, to doskonała strategia.

- I mogła się okazać skuteczna. Niewiele brakowało. Nie sądzę, abyśmy doszli do porozumienia, przynajmniej w tej chwili, gdyby Malory nie wkroczyła do akcji.

- Wszyscy sześcioro tworzyacie jedną całość. Żywotną, swoistą i wzmocnioną wzajemnymi więzami - podkreśliła Rowena. - Jak rozstrzygnąłeś tę sprawę z Daną?

- Czy muszę ci mówić? Chyba każdy widzi czerwone serduszka krążące nad moją głową.

- Mimo to chciałabym dowiedzieć się o wszystkim od ciebie.

Wysłuchawszy opowieści, skinęła głową i poszukała dłoni Pitte'a.

- Niełatwo zdecydować - zaczęła - co wypuścić z rąk, a co zatrzymać. Cieszę się, że wy dwoje macie siebie nawzajem.

- Ja również, z czysto osobistych powodów. Ale to pasuje do całego schematu, prawda? - Jordan wpatrywał się w jej twarz, żałując, iż nie potrafi z niej nic wyczytać. - Jest elementem poszukiwań.

- W gobelinie każda nić ma znaczenie. Jej długość, faktura, odcień. Kane chciał was rozdzielić, lecz nie dopuściliście do tego. Istnieje między wami długa, barwna i mocna nić.

- Dlaczego rozdzielenie nas jest dla niego aż tak ważne?

- Razem znaczący więcej niż każde z osobna. Sam o tym wiesz.

- Nie tylko o to chodzi. - Pochylił się ku niej. - Powiedz mi, jak mogę pomóc Danie.

- Już pomogłeś. I jeszcze pomożesz. Wierzę w to.

- Jej czas prawie dobiega końca.

- Dotarłeś dalej, niż przypuszczasz, więc bądź ostrożny. On uczyni wszystko, co w jego mocy, by zerwać tę nić.

Jordan odchylił się na oparcie fotela.

- Nie zerwie jej. Przyjechałem do was z jeszcze jednego powodu. Być może i to jest fragmentem naszego gobelinu. Chciałbym kupić ten dom.

Brad zakrztusił się lekko, a Pitte spojrzał na niego z rozbawieniem zabarwionym ironią.

- Czy podać ci szklankę wody?

- Nie, nie. - Brad westchnął i pociągnął łyk piwa. - Nie, dziękuję.

- Ten oto wybitny człowiek interesu uważa, że powinienem krążyć na palcach wokół tematu i prowadzić kilkugodzinne negocjacje. Nie widzę w tym sensu. Nie wiem, co macie w planach, gdy to wszystko się skończy, ale gdybyście chcieli sprzedać dom, gotów jestem go kupić.

Mógłby im od razu wręczyć czek in blanco, pomyślał Brad. Udostępnić numer konta i przepisać akt własności mieszkania w Nowym Jorku.

- Twój wyrachowany przyjaciel ma w kilku kwestiach absolutną słuszość. - Pitte z uznaniem skinął głową w stronę Brada i założyła szklankę. - Z biegiem czasu zacząłem się interesować indywidualną przedsiębiorczością. Podobają mi się te... - Zerknął pytająco na Rowenę.

- Manipulacje.

- O, właśnie. To zajmujące hobby. Nasza posiadłość, pomijając nawet obecne potrzeby jej mieszkańców, jest doprawdy komfortowa. Dom tych rozmiarów, z taką historią i położeniem, z działką obejmującą dwadzieścia pięć koma trzy akra, odchwaszczoną i zalesioną, z garażem na sześć aut, krytym basenem, łaźnią parową i...

- Masażem wodnym. - Rowena parsknęła beztróskim śmiechem. - Bardzo nam się spodobał masaż wodny.

- A tak. - Pitte uniósł dłoń Roweny do ust. - Podobnie jak inne szczegóły i udogodnienia...

- Proszę o głos. - Nie mogąc się powstrzymać, Brad uniósł rękę. - Taki dom to jeden wielki kłopot. Udogodnienia i historia owszem, ale do miasta pozostaje dwadzieścia mil...

- Osiemnaście koma sześć - poprawił Pitte beznamiętnym tonem.

- I kręta górską drogą - uzupełnił Brad. - Ogrzewanie zapewne kosztuje fortunę. Gdybyście wystawili ten dom na sprzedaż, z pewnością nikt by go nie kupił przez najbliższe dziesięć lat.

Pitte wyprostował nogi, skrzyżował kostki. Jordan pomyślał, że nigdy nie widział go tak bardzo odprężonego.

- Chętnie robiłbym z tobą interesy - zwrócił się Pitte do Brada. - Może kiedyś zdarzy się taka sposobność. Przypuszczam, że byłoby to naprawdę podniecające.

- W tej chwili masz do czynienia ze mną - przypomniał Jordan.

- Istotnie. - Pitte zerknął na niego.

- Mam pytanie. - Rowena uspokajającym gestem poklepała swojego mężczyznę po ramieniu, a potem spojrzała na Jordana. - Po co ci potrzebny ten dom?

- Zawsze chciałem go mieć.

Brad tylko przewrócił oczyma.

- Niebiosa, zmiłujcie się nad nim.

- Pytanie brzmi: dlaczego?

- Przemówił do mnie. I nie mam tu na myśli dosłownego znaczenia.

- Rozumiem cię. - Rowena skinęła głową. - Mów dalej.

- Jeszcze w dzieciństwie patrzyłem i myślałem: to mój dom. Czeka, aż dorosnę. Nawet powiedziałem kiedyś matce, że kupię go dla niej i będzie mogła stanąć na samym wierzchołku świata. - Wzruszył ramionami. - Potem podjeżdżałem tu od czasu do czasu, patrzyłem i mówiłem sobie, że pewnego dnia minę bramę i wejść do środka frontowymi drzwiami. Jest piękny, ma w sobie siłę. Choć stoi tak wysoko i tak daleko od Valley, bez niego nasze miasto nie byłoby tym, czym jest. Nie mogłem go podarować mojej matce. Teraz chcę go kupić dla Dany. Chcę z nią tu zamieszkać, chcę tu wychować nasze dzieci. Spoglądać stąd na Pleasant Yalley ze świadomością, iż jesteśmy częścią czegoś trwałego, prawdziwego i ważnego.

- Dostaniesz ten dom.

- Roweno! - Oczy Pitte'a błysnęły gniewnie.

- Za sumę, na jaką zostanie wyceniony - dodała, *grożąc* kochankowi palcem - i ani centa więcej.

- Ranisz mnie, *a ghra*.

- Nie obciążysz go kosztami prawnymi w związku z umową, przekazaniem aktu własności i tak dalej. Uregulujesz należności i... no, jakże się to nazywa? - spytała Brada.

- Procenty. - Z wysiłkiem stłumił śmiech. - Przypuszczam, że masz na myśli procenty.

- Tak, tego typu sprawy. - Zastanawiała się przez chwilę. - To chyba wszystko.

Pitte ze świsem wypuścił powietrze.

- Kobiety wystawiają cierpliwość mężczyzn na ciężką próbę. Może po prostu obwiążę dom wstążeczką i dam mu w prezencie?

- Nie przyjąłby takiego daru. - Rowena pochyliła się i pocałowała nachmurzonego Pitte'a w policzek. - Dom zawsze należał do niego - powiedziała. - Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Niech będzie, co ma być. - Zabębnił palcami po kolanie. - My dwaj - zwrócił się do Jordana - uzgodnimy szczegóły na osobności, bez kobiet brzęczących nad głową.

- Kiedy tylko sobie życzysz.

- Podaj mu rękę - Rowena trąciła Pitte'a łokciem. - Przypieczętnujcie umowę uściskiem dłoni.

- Niech to wszyscy diabli. - Pitte wstał i wyciągnął rękę. - Już lepiej jej posłucham, bo inaczej mnie zamęczy.

Jordan uściśnął jego dłoń i poczuł lekki dreszcz. Nie był pewien, czy pod wpływem nadprzyrodzonej mocy, czy własnego wzburzenia. Z bogami nigdy nic nie wiadomo.

- Dziękuję.

- Przyjmuję podziękowanie. Twój przyjaciel orientuje się zapewne, iż na rynku mógłbym uzyskać sumę znacznie wyższą niż szacunkowa wartość nieruchomości.

- Czy ten uścisk dłoni jest wiążący? - zapytał Brad.

- Jak najbardziej.

- A zatem powiem szczerze, choć nie oglądałem posiadłości, że otrzymalibyście co najmniej o dziesięć procent więcej niż szacunkowa wycena.

- Nawet piętnaście - odezwał się milcząco dotychczas Flynn. - Wydawca lokalnej gazety zawsze wie, co w trawie piszczy. Pewien hotelarz chciał kupić tę posiadłość, przerobić ją na ośrodek wypoczynkowy. Niewiele brakowało - kontynuował Flynn tonem towarzyskiej rozmowy. - Ale ciągle coś stawało na przeszkodzie. Pechowy facet.

Rowena z uśmiechem spojrzała mu w oczy.

- Istotnie, nie miał szczęścia. Czy chciałbyś obejrzeć resztę domu, Jordanie?

Zanim ten zdążył otworzyć usta, Flynn postukał palcem w tarczę zegarka.

- Czas ucieka.

- No tak. A zatem następnym razem. - Uściśnęła dłoń Jordana. - Musisz dokładniej obejrzeć dom, zwłaszcza widoki z tarasów i balkonów.

- Bardzo chętnie. Przywiozę Dane i...

Umilkł i wbił w nią oczy. Trwała w milczeniu, smukła i w jakiś sposób oddalona od wszystkich. Stała mu przed oczyma kobieta oblana księżycową poświatą, w ciemnej pelerynie wydymającej się na wietrze.

- To byłeś ty. To ciebie widziałem wtedy, przed laty.

- Ja też cię widziałam. - Lekko musnęła palcami jego policzek.

- Młody, przystojny chłopak, tak zatroskany i pełen smutnych myśli. Byłam ciekawa, kiedy mnie sobie przypomnisz.

- Dlaczego tylko ja cię zobaczyłem, a oni nie?

- Oni nie musieli.

Nie wiedział, co to wszystko właściwie znaczy, a Rowena pozostawiła go w niepewności. Otwierając drzwi mieszkania Dany, Jordan doszedł do wniosku, że potrzebuje trochę czasu, by uporządkować myśli.

Może powinien je zanotować, tak jak wcześniej spisał przebieg wydarzeń. Usiądzie przy komputerze Dany i pozwoli myślom popłynąć swobodnie.

Wszedłszy do sypialni, usłyszał dobiegający z łazienki szum prysznica. W roztargnieniu nie zauważył samochodu Dany zaparkowanego przed domem. Zajrzał do łazienki, żeby zawiadomić o swojej obecności.

Gdy odciągnął zasłonę prysznica, Dana wydała z siebie wrzask, od którego omal nie popękały szyby. Jedną rękę przycisnęła do piersi, drugą odgarnęła włosy. Z trudem chwyciła oddech.

- Powinieneś jeszcze puścić jakiś piskliwy skrzypcowy kawałek i dokończyć dzieła.

- Hej, przecież nie mam na sobie sukienki i nie trzymam rzeźnickiego noża. Chciałem cię tylko uprzedzić, że tu jestem, żebyś się nie przestraszyła, kiedy wyjdiesz.

- Jasne, lepiej mnie nastraszyć, kiedy jestem mokra, naga i bezbronna.

Z namysłem ściągnął usta. Zawsze mu się podobała mokra i naga.

- Bezbronna?

- No, może nie aż tak bezbronna. - Wyciągnęła rękę i złapała go za koszulę. - Chodź tu, wielkoludzie.

- Bardzo kusząca propozycja, ale muszę z tobą o czymś porozmawiać, no i mamy jechać do Flynna.

- Najpierw gorący, namiętny seks, potem rozmowa.

- Trudno się z tobą spierać. - Ściągnął buty.

Zaczekała, aż do niej dołączy, i wręczyła mu mydło, rzucając zachęcające spojrzenie przez ramię.

- Umyjesz mi plecy?

- Mogę od tego zacząć.

- Za chwilę będę cała śliska... i gładka... i... To nie są moje plecy.

Przesunął namydlonymi dłońmi po jej pośladkach.

- Owszem, dolna ich część. - Pochylił się i skubnął zębami ramię. - Masz absolutnie niesamowite ciało. Czy już ci o tym mówiłem?

- Raz czy dwa, ale w pewnych sytuacjach nie mam nic przeciw nadmiarowi. - Odchyliła głowę do tyłu, czując, jak jego ręce wędrują ku górze, prześlizgując się po piersiach. - Na przykład teraz.

- Więc zaryzykuję i będę się powtarzał. - Odwrócił ją do siebie.

- Kocham cię. Tak bardzo cię kocham.

Z pomrukiem zadowolenia otoczyła ramionami jego szyję, przytulając się mocno.

Woda spływała po nich, buchały kłęby pary. Ich ciała ocierały się o siebie, śliskie od mydła dłonie drażniły i pobudzały. Lekkie muśnięcia warg potęgowały pragnienie.

W sercu Dany wezbrały uczucia tak silne, że dziwiła się, jakim cudem jeszcze nie pękło.

- Teraz jest inaczej. - Całowała usta Jordana, szyję, znowu usta. - Jest zupełnie inaczej, gdy już wiem, że mnie kochasz. - Wplotła palce w jego włosy, lekko odsuwając głowę. - Jest inaczej, gdy mogę ci powiedzieć, że cię kocham.

- Więc zawsze będzie inaczej, ponieważ nigdy nie przestanę cię kochać.

O tak, było inaczej niż przedtem. W ich dotyku, we wzajemnym pragnieniu kryło się poczucie przynależności. W strugach wody Jordan objął Danę mocno i wszedł w nią. Słodycz tego aktu niemal sprawiła jej ból.

Należał do niej, teraz należał do niej. A ona do niego.

Ciasno spleceni, poruszali się w idealnie zgranym rytmie.

Czuł tę kobietę całym sobą. Ciemne oczy, mokre włosy, śmiałe usta, krople wody spływające po policzkach jak łzy. Zawładnęła jego ciałem i sercem. Uświadomił sobie, że już dawno temu.

Przeszył ją gwałtowny dreszcz, westchnęła urywanie, gdy osiągnęła szczyt.

Poszukał spragnionych ust i podążył za nią.

Przez długą, bardzo długą chwilę stali, wtuleni w siebie.

- To wspaniałe, Jordan. Naprawdę wspaniałe.

- Tak.

- Mimo że woda stygnie. Czuję się rozleniwiona i senna. Szkoda, że nie możemy wśliznąć się do łóżka zamiast się ubierać i jechać do Flynnna.

- Jeżeli jesteś zmęczona...

- Nie w tym rzecz. Chciałabym położyć sobie z tobą w łóżku.

Odsunął ją lekko.

- Nie sprzeciwiałbym się. Ale trzeba się ubrać i pojechać do Flynnna, bo wylegiwanie się teraz w łóżku byłoby czymś niewłaściwym.

Pocałowała go.

- Jezu, ta woda rzeczywiście jest zimna.

Sięgnął za jej plecy i zakręcił kurek.

- Możemy pojechać, wyjść stamtąd jak najwcześniej, wrócić tutaj i położyć się do łóżka.

- Dobry plan. - Wysła spod prysznic, chwyciła ręcznik. - No więc, jakąż to tajemniczą misję dziś wypełniałeś? - Owinęła głowę ręcznikiem i sięgnęła po drugi.

Jordan wyciągnął rękę, myśląc, że jest przeznaczony dla niego, lecz Dana zaczęła wycierać sobie nogi. Pokręcił głową i sam wziął sobie ręcznik.

- Porozmawiamy o tym później.

- Dlaczego nie teraz?

- Ponieważ stoimy nadzy w łazience. To po prostu nie jest odpowiednie miejsce.

- Nie wygłupiaj się. Prowadziliśmy już rozmowy, nie mając nic na sobie. I to całkiem interesujące rozmowy, muszę dodać. Dokąd pojechałeś? I do czego byli ci potrzebni Flynn i Brad? Bo wiem, że pojechali z tobą. Potrafię uzyskiwać takie informacje.

Wzięła z półki balsam do ciała i nalała trochę na dłoń.

- Powiem ci później. Wtedy zrozumiesz, dlaczego wolę odbyć tę rozmowę w nieco innej scenarii.

- Dprowadzasz mnie do szału. - Zaczęła wcierać balsam. - Dlatego nie ustąpię. Nie było cię ładnych kilka godzin. Dokąd się wybraliście? Coście robili?

- Poszliśmy do podrzędnej knajpy z tanią gorzałą i oglądaliśmy panienki o fascynujących syntetycznych biustach, które wykonywały sugestywny taniec przy długich srebrzystych rurach.

- Jeśli myślisz, że mnie rozzłościł i dam ci spokój, to się mylisz. - Zdjęła ręcznik z głowy i przeczesała palcami włosy. - Niespecjalnie się przejmuję problemami facetów, którzy chodzą do lokali ze striptizem i robią z siebie idiotów. Więc już lepiej powiedz prawdę.

- Dobrze. W takim razie powiem ci tu i teraz. - Sięgnął po spodnie i wygrzebał z kieszeni pudełeczko od jubilera. Podsunął je Danie, podważwszy kciukiem wieczko.

- Jezu Chryste! - wyrwało się jej i usiadła ciężko na klapie sedesu.

- Pełny romantyzm. Więc jak, podoba ci się?

Z trudem przełknęła ślinę.

- Nie wiem.

- Dlaczego? - Zmarszczył brwi i obrócił pudełko, przyglądając się pierścionkowi. Uważał, że jest piękny, ale z kobietami nigdy nic nie wiadomo. - Pomyślałem, że będziesz wołała coś takiego zamiast oklepanego brylantu. Ale jeśli chcesz, mogę go wymienić.

Zadrżała, choć nie było jej zimno. Wręcz przeciwnie.

- Czyli to ma być pierścionek zaręczynowy?

- No a jak ci się wydaje? Może jednak wstaniesz z tego sedesu, to się już robi nieco groteskowe.

- Przepraszam. - Dźwignęła się na nogi. - Nie byłam pewna, co masz na myśli.

- Małżeństwo, Dano. - Odgarnął do tyłu mokre włosy. - Kocham cię i chcę przeżyć z tobą całe życie. Chcę mieć z tobą dzieci i zestarzeć się przy tobie.

Myliła się, sądząc, iż jej serce jest już wypełnione po brzegi. Zostało jeszcze sporo miejsca. Dla niego.

- Świetnie, to wiele wyjaśnia. Pierścionek jest piękny. Najpiękniejszy, jaki w życiu widziałam. Tylko w jednej sprawie się pomyliłeś.

- W jakiej?

- Ani czas, ani miejsce nie mają dla mnie znaczenia. - Zwróciła ku niemu rozpromienioną twarz. - Absolutnie żadnego znaczenia. Prawdę mówiąc, jeśli włożysz mi ten pierścionek na palec, przez kilka minut nie będę nosiła nic innego. - Wyciągnęła rękę z głębokim, urywanym westchnieniem. - Naprawdę mi się podoba. Chcę wyjść za ciebie i zgadzam się na całą resztę.

Jordan wyjął pierścionek, odłożył pudełko i ujął lewą rękę Dany.

- A zatem rozpoczynamy od nowa.

- Czekam na ciąg dalszy.

Wsunął jej pierścionek na palec. Poczuła lekki, gorący dreszcz, a potem cudowne ciepło.

- Jest piękny. I nawet pasuje.

- Naprawdę? No, to mieliśmy szczęście, wybierając rozmiar na oko. - Obrócił jej dłoń, przyglądając się połyskującemu kamieniowi. - Ładnie wygląda.

Wspięła się na palce, sięgając jego ust.

- Jesteś doprawdy pełen niespodzianek.

- Dobrze to ujęłaś. Od razu zdradzę ci następną. Kupiłem, a raczej kupuję, Wzgórze Wojownika.

Powoli zamrugała oczyma.

- Przepraszam, chyba się przesłyszałam. Powiedziałeś, że kupujesz Wzgórze Wojownika?

- Owszem. Chcę, żebyśmy tam zamieszkali. I założyli rodzinę.

- Chcesz... - Nie usiadła, choć nogi się pod nią ugięły. - Więc nie wracasz do Nowego Jorku?

- Oczywiście, że nie. - Był nieco skonsternowany. - Jak miałbym wrócić do Nowego Jorku, skoro żenię się z tobą, a ty otwierasz księgarnię w Valley? Chyba żartujesz.

- Myślałam... przecież tam mieszkasz.

Ujął w dłoń jej podbródek.

- Przypuszczasz, że będę cię namawiał na przeprowadzkę do Nowego Jorku i rezygnację z księgarni, zanim ją otworzysz? Nie planowałem powrotu na stałe, ale gdybym planował, to by zmieniło moją decyzję.

- A więc nie wracasz?

- Nie. W pewnej chwili musiałem stąd wyjechać. A teraz musiałem wrócić. Powinienem tu być. Teraz, z tobą.

- A ja bym za tobą pojechała - przemogła się Dana. - Chyba przyznasz mi za to plusy.

- Nigdzie nie pojedziemy. Jeśli Wzgórze ci nie odpowiada...

- Widzę, że ty też chcesz zyskać plusy. - Pokonana, Wybuchnęła śmiechem i zarzuciła mu ramiona na szyję. - To cudowne. Wprost fantastyczne. Ale błagam, niech to będzie ostatnia niespodzianka. Bo chyba głowa mi odpadnie od nadmiaru wrażeń.

- Z mojej strony to na razie wszystko.

- No to ubierzmy się i jedźmy do Flynna. - Złożyła dłonie, wpatrując się w pierścionek. - Muszę im powiedzieć. Nie mogę się doczekać.

- Flynn i Brad już wiedzą.

- Mężczyźni! - Machnęła ręką, wkraczając do sypialni. - Na niczym się nie znają. Jejku, niech no tylko Malory i Zoe zobaczą ten pierścionek! Muszę dobrać do niego odpowiednie ciuchy.

- Podobasz mi się w tym, co masz na sobie teraz.

Rzuciła mu jedno spojrzenie przez ramię i otworzyła szafę.

- Wiedziałam. Mężczyźni na niczym się nie znają.

Rozdział osiemnasty

Gdy Flynn wpadł za Moem do domu, usłyszał donośny, przenikliwy krzyk. Moe wyszczerzył kły, Flynn obnażył zęby w złowrogim grymasie i obydwaj rzucili się do kuchni, żądni krwi.

Malory stała pośrodku pomieszczenia, z dłońmi skrzyżowanymi na piersiach i zaśmiewała się do łez.

- Gdzie on jest? Co ci zrobił? Cholerny sukinsyn!

- Kto? - Malory przygotowała się na miłosny skok Moego, lecz nie przewidziała, że Flynn porwie ją na ręce. - O co chodzi?

- Krzyczałaś.

- Och. Moe, dość tego, siad. Puść mnie, Flynn. Nic mi nie jest. Czuję się świetnie. - Zarumieniła się, zakłopotana, i z trudem powstrzymywała chichot. - Myślałam, że jestem sama.

Flynn poczuł, że brak mu tchu. Jego ramiona zaczęły drżeć, więc postawił Malory na podłodze.

- Stajesz w kuchni i zaczynasz krzyczeć, kiedy myślisz, że jesteś sama?

- No, nie. Niekoniecznie. Ale popatrz! Tylko popatrz na to! - Wykonała kilka szybkich, tanecznych kroków, a potem zgrabny piruet.

Nadal nie mając pojęcia, o co chodzi, Flynn podjął kolejną próbę.

- Uświadomiłaś sobie, że pragniesz spełnić dziecięce marzenia i zostać gwiazdą sceny lub srebrnego ekranu?

- Nie! - Ze śmiechem obróciła Flynną w kółko, co skłoniło Moego do kolejnych podskoków. - Spójrz! Mamy podłogę. Cudowne, przepiękne klepki z twardego drewna.

Tym razem tanecznym krokom towarzyszyło przytupywanie.

- Faktycznie, sądząc po odgłosach, jest to drewno.

- Koniec z paskudnym linoleum. I popatrz na to! - Zawirowała, odsuwając się od Flynna i objęła nową, lśniącą lodówkę namiętym gestem kobiety, która wita powracającego z wojny kochanka.
- Czy nie jest wspaniała? Widzisz, jak pasuje?

Flynn wpatrywał się w Malory, która podbiegła do kuchenki.

- Jakie to piękne. - Jej głos brzmiał niemal śpiewnie. - Takie czyste i lśniące. I wszystko działa. Wszystkie przyciski i przełączniki. Już wypróbowałam. Nie mogę się doczekać i chyba zaraz coś ugotuję. Kiedy weszłam i zobaczyłam to, musiałam krzyknąć. Położyli podłogę, Flynn, a potem wnieśli te cudowne urządzenia. Widzisz nową mikrofalówkę?

- Bardzo rajcowna.

- Otóż to! - Malory znowu zaczęła tańczyć, tym razem rumbę. -1 mamy śliczne nowe szafki z cudnymi szybkami z przodu. Wstawię do nich najładniejsze naczynia i błyszczące kieliszki. Teraz to jest kuchnia. Prawdziwa kuchnia.

Przyjrzał się i zaczął rozumieć jej entuzjazm. Od rumby przeszła do... sam nie wiedział czego, ale wyglądała uroczo.

- A przedtem nie była?

- Nie znajduję odpowiedniego określenia na to, czym była przedtem. Czuję się taka szczęśliwa. I wdzięczna. Jesteś najcudowniejszym mężczyzną pod słońcem. - Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała. -A ja jestem potworem.

- Dlaczego? To znaczy, oczywiście, że jestem cudowny, ale dlaczego niby ty masz być potworem?

- Bo nie chciałam z tobą zamieszkać, dopóki nie wyremontujesz kuchni. Postawiłam ci swego rodzaju ultimatum. Przeprowadzę się do ciebie, jeśli przerobisz kuchnię. To było samolubne z mojej strony. Podziałało - dodała, całując go ponownie - ale było samolubne. Zrobiłeś to dla mnie. A na dodatek wygłaszałam kąśliwe uwagi na temat lamp w sypialni na górze.

- Coś w tym stylu, że nie nadają się nawet do jaskini zamieszkaney przez nietoperze i ślepe pająki?

- Aha, między innymi. Wybaczysz mi?

- Wybaczę.

- Wiem, że jeszcze nie jest wykończona. Trzeba zamontować blaty, płytę nad zlewem i kilka innych rzeczy, ale nie chcę dłużej czekać. Wprowadzam się jutro i możemy oficjalnie zamieszkać razem.

- Nie chcę mieszkać razem.

Twarz Malory zastygła.

- Jak to?

- Przepraszam, Mai. - Uściskał jej rękę. - Ale nie chcę z tobą mieszkać.

- Przecież... sam mnie prosiłeś, niedawno temu. I to kilka razy.

- No cóż - wzruszył ramionami. - Zmieniłem zdanie.

- Zmie... zmieniłeś zdanie?

- Właśnie. - Niedbałym ruchem otworzył nową lodówkę. - Ooo, ile tu miejsca. I jak błyszczą!

Malory wpatrywała się w niego. Serce opadło jej do stóp, które nie miały już ochoty tańczyć.

- Nie rozumiem. Nie potrafię zrozumieć, jak mogłeś w jednej chwili zmienić zdanie w tak ważnej kwestii.

- Ja również tego nie pojmuję. Właściwie nie zmieniłem zdania, po prostu zdałem sobie sprawę, że to nie to, czego chcę.

- A więc jednak mnie nie chcesz. - Wstrząs i gniew stłumiły ból. Postąpiła o krok do przodu i pchnęła go z całej siły. - No to świetnie.

- Nie powiedziałem, że cię nie chcę. Powiedziałem tylko, że nie chcę z tobą mieszkać.

- Możesz sobie wsadzić swoją nową kuchnię. Jeśli nie potrafisz wejść w bliski, dojrzały związek, to nie jestem dla ciebie odpowiednią dziewczyną.

- No proszę, chodzi nam o to samo. Bliski, dojrzały związek. - Wyciągnął z kieszeni pudełeczko i otworzył je. - Czy to ci się wydaje dostatecznie dojrzałe?

Malory otworzyła usta, a Flynn pomyślał, że nigdy nie wyglądała tak pięknie, jak w tej chwili, gdy wpatrywała się bez słowa w pierścionek z brylantem.

- Postąpmy jak naprawdę dorośli ludzie, Malory. Pobierzmy się.

- Chcesz wziąć ze mną ślub?

- Tak. Słyszysz, opanowałem tekst. - Obdarzył ją szerokim uśmiechem. - Jesteś trochę błada. Pozwolę sobie uznać to za dobry znak. Jubiler zapewnił, że to klasyczne arcydzieło, a Brad go poparł. - Flynn wyjął pierścionek z pudełka. - Soliter, piękny szlif i tak dalej, bla, bla. Lubisz klasykę, prawda?

Słowo uwięzło jej w gardle, lecz zdołała je wydobyć:

- Tak.

- No widzisz, ty też nauczyłaś się tekstu. - Ujął jej bezwładną dłoń i zanim się spostrzegła, wsunął na palec pierścionek. - Paśu-

je. Nie przypuszczałem, masz takie wąskie palce, ale chyba nawet nie będzie trzeba go dopasowywać.

Poczuła na skórze ciepło, falę ciepła rozchodzącą się od złotego krążka. Tak, pasuje, pomyślała w rozmarzeniu. Tak jakby robione go na miarę.

- Jest piękny. Absolutnie piękny.

- Teraz mogłabyś powiedzieć „tak”.

Spojrzała na Flynna.

- Życie z tobą będzie jak jazda kolejką górską. Zawsze się bałam kolejki górskiej, bo nigdy nie wiadomo, co się w niej za chwili wydarzy. Ale teraz już się nie boję.

- Powiedz „tak”. Wyrzucę te lampy.

Ze śmiechem przypominającym szloch rzuciła mu się w ramiona.

- Tak. Dobrze wiesz, że tak, niezależnie od twoich lamp.

- Kocham cię.

- Ja ciebie też. - Przytuliła policzek do jego twarzy, uniosła rękę z pierścionkiem i popatrzyła na migotliwy kamień. - Jak to możliwe, że ten cudowny pierścionek i te ohydne lampy kupił ten sam człowiek?

- Flynn Hennessy ma różne oblicza.

- Szczęściara ze mnie. - Usłyszała, że otwierają się frontowe drzwi i ruszyła ku nim niemal tak szybko jak Moe. - O, już idą. Muszę się pochwalić. - Zawróciła, by jeszcze raz pocałować Flynną. - Chcę im go pokazać.

Pobiegła do frontowych drzwi, podczas gdy Dana maszerowała już w jej stronę, a Zoe tuż za nią.

- Co jest grane? - dopytywała się Zoe.

- Muszę wam coś pokazać. Mam dla was wiadomość nie z tej ziemi - oznajmiła Dana na widok Malory.

- I tak nie przebijesz tego, co ja mam wam do powiedzenia.

Zoe wepchnęła się między przyjaciółki.

- Rany, niech któraś wreszcie powie coś konkretnego, bo chyba pęknę.

- Ja pierwsza! - zawołały chórem Dana i Malory, po czym każda wyciągnęła lewą dłoń.

Dały się słyszeć okrzyki, a następnie potok niezrozumiałych słów. Niezrozumiałych przynajmniej dla trzech mężczyzn i chłopca, którzy obserwowali, co się dzieje.

Simon przyglądał się matce i jej dwóm przyjaciółkom, podskakującym i piszczącym jak dziewczynki na szkolnym boisku. Marszcząc czoło, zerknął na Brada.

- Dlaczego one się tak zachowują?
- To jedna z wielu tajemnic życia, mały.
- Dziewczyny są pomyłone. - Klepnął ręką w udo, wołając psa, który bezkrytycznie uczestniczył w tych przejawach kobiecej euforii, zachęcając go do zapaśniczych zmaganiań.

Flynn spojrzał na Jordana.

- Piwo?

- Piwo - zgodził się Jordan i ominął epicentrum szaleństwa, by poszukać oazy względnego spokoju w kuchni.

- Wprost nie do wiary! - Zoe złapała Dane i Malory za ręce i podskoczyła na palcach. - Jesteście zaręczone. Obydwie! I to równocześnie. Zupełnie jakby działały jakieś czary. Jakie te pierścionki są piękne! O, rety. - Sięgnęła do kieszeni po chusteczkę.

- Uch, mamó, weźże się w garść.

Zoe spiorunowała syna spojrzeniem.

- Zaraz ciebie wezmę w garść.

Prychnął i przetoczył się po podłodze z wniebowziętym Moem w objęciach.

- Będziemy jedli pizzę czy co?

- Idź do kuchni i zapytaj Flynna. Tylko uprzejmie - dodała, gdy Simon zerwał się na nogi.

- Muszę wam pokazać kuchnię - przypomniała sobie Malory. - Ale najpierw... - Pochwyciła dłoń Dany, by jeszcze raz przyjrzeć się rubinowi. - Jest wspaniały. Wręcz idealny dla ciebie.

- Jordan też. Zaczekaj aż ci opowiem, jak mi się oświadczył.

- Zakasuję cię - oznajmiła Malory.

- Byłaś naga?

- Nie.

Dana polizała palec i przeciągnęła nim po wyimaginowanej tablicy wyników.

- Punkt dla mnie.

- Mamó! - krzyknął Simon, stając w drzwiach kuchni. - Jeżeli chcecie pizzę, musicie powiedzieć jaką albo zjecie to, co dostarczą.

- Coś wam powiem. - Zoe objęła przyjaciółki. - Kiedy już nie będziemy mieć na głowie bandy facetów, którzy nam ciągle przerywają, opowiecie mi wszystko ze szczegółami. Rano urządzimy sobie w „Pokusie” małą uroczystość.

- Jestem za - zgodziła się Dana. - Umieram z głodu, a nie chcę, żeby cebula i pieczarki spaskudziły mi posiłek.

Godzinę później Dana kończyła trzecią porcję pizzy. Wyciągnęła się na podłodze obok Simona i Moego.

-Uff.

- No to teraz - zaczął Flynn - przejdźmy do tematu klucza.

- Simon, zabierz książkę i idź na górę. Może, prawda? - zwróciła się Zoe do Flynnna.

- Jasne. Zna drogę.

- Posiedź tam sobie z Moem. Zawołam cię, kiedy trzeba będzie iść.

- Dlaczego nie mogę posiedzieć tutaj, kiedy rozmawiacie o magii?

- Gdzie to usłyszałeś, Simon? - zapytała Zoe surowym tonem.

- Podśłuchiwałeś?

- Kurczę, mamo. - Spojrzał na nią z urazą, marszcząc brwi. - Nie muszę podśłuchiwać, wystarczy, że mam uszy. - Chwyił się za nie palcami i pokręcił lekko. - Widzisz? Tu jedno, a tu drugie.

- O twoich uszach pogadamy później. Idź na górę, do tej strasznej więziennej celi z telewizorem i weź psa. Jutro możesz napisać skargę do swojego reprezentanta w Kongresie.

- Rany. - Usta Simona zadrgały od tłumionego śmiechu, ale pro forma przewrócił oczyma, i zaraz otworzył je szeroko, gdy dostrzegł, co Brad trzyma w ręku. - O kurczę blade! „WWF Smackdown”!

- Jeśli masz ochotę na kilka rund, to ci pożyczę.

- Naprawdę? „Smackdown” potrafi dać w... - Powstrzymał się w ostatniej chwili i przełknął słowo, które mogło mu narobić poważnych kłopotów, gdyby mama je usłyszała. - Potrafi dać wielką satysfakcję - wybrnął. - Dzięki.

- Nie ma sprawy. Kiedy się zmierzymy *mano a mano* i ponieśiesz sromotną porażkę, nie będziesz mógł narzekać, że nie miałeś okazji poćwiczyć.

- No jasne, no pewnie. - Simon wziął wideodysk. - Superpomysł. Jeszcze raz dzięki.

Wymknął się z torbą pod pachą, przywołując Moego. Zoe spłótła dłonie na kolanach.

- To bardzo miło z twojej strony.

- Simon będzie innego zdania, kiedy dostanie baty w następnej rozgrywce.

- Nie chciałabym, żebyś czuł się zobowiązany...

- Nie czuję się zobowiązany - uciał chłodno i stanowczo, po czym z rozmysłem spojrzął na Dane. - Chcesz rozwinąć temat klucza?

- O tyle, o ile potrafię to zrobić z pozycji horyzontalnej. Jordan spisał przebieg wydarzeń, tak jak to uzgodniliśmy poprzednio.

- Dał mi egzemplarz - wtrąciła Malory. - Zrobiłam dla wszystkich odbitki. Pójdę po nie.

- Ona jest niesamowita - zauważyła Dana, gdy Malory wyszła z pokoju. - Nasza niezmordowana porządnicka. Ponieważ już to przeczytała, a wy przeczytacie za chwilę, powiem tylko, że ujął wszystko w zwięzłej i spójnej formie. Warto się temu bliżej przyjrzeć. Malory, Zoe i ja dostałyśmy zaproszenia na Wzgórze Wojownika, nie znając się wcześniej. Tam zetknęliśmy się po raz pierwszy z Roweną i Pitte'em, którzy opowiedzieli nam o Szklanych Córach. Choć dopiero Flynn tak je nazwał.

- Wtedy Flynn poznał Malory i włączył się w poszukiwania - podjął Jordan. - A każda z was stanęła na rozdrożu, jeśli chodzi o pracę.

- Straciłyśmy pracę - sprostowała Zoe. - I dlatego oferta dwudziestu pięciu tysięcy za szukanie kluczy, w których istnienie chyba żadna z nas tak naprawdę nie wierzyła, okazała się zbyt kusząca, by ją odrzucić.

- Nie tylko. - Malory rozdała wszystkim szare koperty ze schludnie wydrukowanymi nazwiskami. - Owszem, pobudki finansowe odegrały tu pewną rolę. Ale przede wszystkim czułyśmy się sfrustrowane, nie wiedziałyśmy, co się dzieje, co dalej robić. Od razu złapałyśmy kontakt. Jordan wyraźnie to uchwycił.

- Zwróć uwagę na te macki - wtrąciła Dana. - Jak się wyciągnęły, jak złapały Jordana i Brada. Połączyły ich z nami, z naszym poszukiwaniem, z Roweną i Pitte'em, z Córami. To chyba najważniejszy punkt. Każde z nas ma do odegrania pewną rolę, każde jest do czegoś potrzebne.

- I jeszcze Kane. - Malory otworzyła swoją kopertę. - Opisujesz go tak przerażająco i tak dokładnie, jakbyś go widział moimi oczyma.

- Własne mi wystarczą. Myślę, że on jest czymś więcej niż strzydłem z bajki. Jest częścią naszych poszukiwań.

- Zgadzam się - skinał głową Brad. - Jego rola jest równie istotna jak nasza. Nie chodzi tylko o to, żeby go przechrzyć, co się udało Malory, albo sprowadzić jego grę na nasze pole, jak Dana. Musimy go zniszczyć.

- Jak zniszczyć boga? - spytała Zoe.

- Nie wiem, ale najpierw warto uwierzyć, że to możliwe.

- Chyba tak. Najpierw jednak wolałabym mieć w rękach klucz.

- Dana usiadła prosto. - Zostało mi zaledwie kilka dni. Oto, co wiem. Szukać powinnam sama, lecz Jordan odgrywa w tych poszukiwaniach ważną rolę. Kane już próbował nas rozdzielić i nie tylko dlatego, że nie życzy nam wszystkiego najlepszego. Pchnął nas jednak tylko bliżej ku sobie. Nie będzie z tego zadowolony.

Wyciągnęła rękę, zdjęła z pizzy kawałek pepperoni i wsunęła do ust.

- I przeliczył się, ukazując mi przeszłość. Był to jeden z kroków, które miałam podjąć, i być może nie podjęłabym go tak stanowczo, gdyby nie to cofnięcie w czasie. Przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Przeanalizowałam i zaakceptowałam przeszłość, pogodziłam się z terażniejszością i... - Uniosła rękę z pierścieniem. - Z zainteresowaniem spoglądałam w przyszłość. To ważne, nie tylko dla nas osobiście, ale także dla moich dalszych działań. Jednym ze stałych elementów w owych trzech przedziałach czasowych jest Jordan.

- Dziękuję, Żyrafo.

- Nie zadzieraj nosa. Pewną rolę odegrał przypadek. Natomiast gdy się przeczyta to, co napisałeś... - Wyjęła kartki z rąk Malory. - Nawet ktoś, kto nie uczestniczył w wydarzeniach, zaczyna je odczuwać i dostrzegać. Ma przed sobą bardzo wyrazisty obraz. Na przykład ta błękitna mgła, która wypełniła „Pokusę”. Jej chłód, przenikający do szpiku kości, niezwykle światło, kolor, faktura. Człowiek po prostu czuje ją na skórze.

- Pisarska strategia - mruknął Jordan.

- Owszem, a ty jesteś w tym cholernie dobry.

- Słucham?

Dana, zniecierpliwiona nieco, że ktoś jej przerywa, zerknęła na niego i dostrzegła, iż wpatruje się w nią badawczo i z napięciem, od którego aż zapiekły ją policzki.

- Powiedziałałam, że jesteś w tym dobry. O co ci chodzi?

- O nic... Zawsze musi być pierwszy raz. Wezmę sobie coś do picia - rzucił i wyszedł z pokoju.

Dana przestąpiła z nogi na nogę, westchnęła głośno.

- Krótka przerwa - oznajmiła i ruszyła za Jordanem do kuchni.

- Co się dzieje?

Wyjął z lodówki jakiś gazowany napój.

- Nic a nic. - Otworzył puszkę i wzruszył ramionami. - Nigdy... a przynajmniej odkąd się przeprowadziłem do Nowego Jorku, nie pochwaliłaś mojego pisania.

- Byłam na ciebie wkurzona.

- To już wiem. - Pociągnął łyk i odstawił puszkę. Prawda, pomyślał. Choćby miał się całkowicie odsłonić, powie prawdę. - Ale usłyszałem coś ważnego, Dano. Gdy mowa o książkach, twoja opinia jest dla mnie najistotniejsza. Dlatego chciałem wiedzieć, co sądzisz o mojej pracy.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, co sędzę? Chcesz poznać moją szczerą opinię?

- Tak. Bądźmy wobec siebie szczerzy.

- No więc, skoro już kupiłeś mi ten wspaniały pierścionek, winnam ci wyznać całą prawdę. - Wyjęła mu z ręki puszkę, napiła się i oddała. - Masz zadziwiający talent. Masz dar, który pielęgnujesz i doceniasz. Ilekroć czytałam twoją książkę, zdumiewała mnie zasięg wyobraźni, bogactwo języka. Nienawidziłam cię, a jednocześnie byłam z siebie dumna.

- Patrzcie państwo - wymamrotał z trudem.

- Nie żałuję, że krytykowałam twoje teksty. Może dzięki temu lepiej pracowałeś.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Może.

- Więc jak, wszystko w porządku?

- Nawet bardziej niż w porządku.

- No to wracajmy, bo jeszcze nie skończyłam. I bardzo mnie ciekawi, jak skomentujesz to, co mam do powiedzenia.

Wmaszerowała do salonu i usiadła na podłodze.

- Uwaga! - rzuciła, przekrzykując rozmowy. - Koniec przerwy. Chciałam tylko powiedzieć, że niezależnie od umiejętności Jordan przedstawił coś więcej niż pisarski punkt widzenia. Więcej niż serię wydarzeń, wplecionych w opowieść. W trakcie lektury czytelnik widzi, w jakim stopniu autor jest związany z przebiegiem wydarzeń. Szczerze mówiąc, przed laty to właśnie on wyczuł coś niezwykłego we Wzgórzu Wojownika. Nawet mu się wydawało, że ujrzał tam ducha.

Urwała na chwilę, rozbawiona widokiem Malory, która złapała fluorescencyjny pisak i zaczęła zaznaczać omawiane fragmenty na egzemplarzu Flyna.

- Jordan jako pierwszy zobaczył i zakupił obraz Roweny - podjęła. - Flynn jest moim bratem, Brad jest moim przyjacielem, ale Jordan jest kimś więcej. Jest moim kochankiem.

- Złamał ci serce. - Malory skrupulatnie podkreśliła odpowied-

ni wers złotym pisakiem. - Zdruzgotana niewinność. Przepraszam - zwróciła się do Jordana - ale w tym tkwi potężna magia.

- A Kane przelał krew Jordana. - Dana uśmiechnęła się do przyjaciółki. - To Jordan opuścił dom, osierocony, samotny, prawie dziecko. I wrócił - dokończyła, patrząc mu w oczy - aby znaleźć to, czego szukał.

- Myślisz, że to ja mam klucz. - Jordan usiadł, zafascynowany. - Widzę ogólny sens i elementy tradycji, ale zlituj się, Dano... gdzie, jak i kiedy?

- Nie wiem. Jednak dostrzegam w tym pewną logikę. Po prostu wszystko gra. Jest jeszcze wiele znaków zapytania. Na przykład te boginie, które się przechadzają i czekają. Gdzie się przechadzają? Na co czekają? I obraz, który zobaczyłam, kiedy próbowałam wprawić się w trans.

- Gdy co?

- To był eksperyment. Coś jak medytacja. Oczyść umysł i tak dalej, zobacz, co się w nim uformuje. Zobaczyłam klucz, który jak gdyby dryfował na zielonkawoniebieskim tle. To była ściana w „Pokusie”, bo właśnie na nią patrzyłam. Miałam wrażenie, że wystarczy sięgnąć ręką, by go dotknąć. Ale nie mogłam. - Zmarszczyła brwi, przypominając sobie wszystko na nowo. - Potem tło się zmieniło. Stało się białe, z rozmazanymi czarnymi liniami. A ja usłyszałam w myślach słowa.

- Słyszałaś głosy? - spytał Brad.

- Niezupełnie. Słyszałam słowa. Zaraz, chwileczkę, żebym nie przekręciła. „Przechadza się w nocy i sama jest nocą z jej mrokiem i wszystkimi tajemnicami. A kiedy płacze, płacze cały dzień”.

- W takim razie to ona jest tą boginią. Jednym z ostatnich elementów układanki.

- Mogę umieścić ten element we właściwym miejscu - powiedział Jordan. - To ja napisałem te słowa. W „Wieży widm”.

Na moment zapadła pełna zdumienia cisza, a potem wszyscy zaczęli mówić równocześnie.

- Zaczekajcie! - Brad stanął z uniesionymi rękoma. - Nie gubmy wątku. Przede wszystkim, wyeliminujmy zbieg okoliczności. Dana, czytałaś tę książkę?

- Tak, ale...

- Naprawdę?

Dana przewróciła oczyma.

- Nie zamierzam dodatkowo schlebiać twojej pisarskiej próżności. Tak, czytałam tę powieść, ale kilka lat temu. Nawet ja nie znam na pamięć wszystkich książek, jakie przeczytałam w życiu. Nie rozpoznałam tego zdania, gdy je usłyszałam.

- Ja też czytałam „Wieżę widm”. - Zoe uniosła rękę jak uczennica na lekcji i natychmiast ją opuściła, zażenowana. - Bardzo mi się podobała. Ale ta kobieta, która przechadza się nocą, nie była boginią. Była duchem.

- Słuszna uwaga - wtrącił Brad. - Swoją drogą to ciekawe, że Jordan opisał Wzgórze Wojownika i stworzył tę zjawę, ponieważ pewnej nocy wydawało mu się, iż ją widzi.

- Naprawdę? - Zoe zwróciła się do Jordana. - To niesamowite.

- Rozbiliśmy tam obóz, Brad, Flynn i ja. Bradowi udało się... zorganizować piwo i papierosy.

Zoe popatrzyła na Brada.

- Zrobiłeś coś takiego?

- Mieliśmy szesnaście lat - mruknął.

- I niby to cię usprawiedliwia.

- Ochrzanisz go później - przerwała Dana. - Najpierw skończmy ten wątek.

- Zobaczyłem ją na balkonie - podjął Jordan. - W świetle księżyca. Miała pelerynę, którą wydymał wiatr, choć wtedy wcale nie wiało. Wydała mi się duchem i tak ją opisałem. Osamotniona, uwięziona w mroku nocy i rozpaczająca za blaskiem dnia. Ale ona nie była duchem.

Dana położyła dłoń na jego kolanie.

- Była boginią.

- Widziałem wtedy Rowenę. Zrozumiałem to dzisiaj, kiedy do nich pojechałem. Przedtem nie zdawałem sobie sprawy, kogo widziałem.

- Ty pierwszy ją zobaczyłeś - odezwała się miękko Dana. - I opisałeś ją, mniejsza o formę. Nadałeś jej inną postać, umieściłeś w innej rzeczywistości. Ale to ona dzierży klucz. Klucz jest ukryty w książce. - Jej dłonie zaczęły drżeć. - Białe tło z czarnymi liniami. Słowa na kartce. Klucz wtopił się w nią. Wtopił się w książkę. - Wstała. - Flynn, na pewno masz egzemplarz.

- Aha. - Rozejrzał się po pokoju. - Tylko nie wiem gdzie. Jeszcze wszystkiego nie rozpakowałem.

- No jasne, przecież mieszkasz tu dopiero dwa lata. Idź i poszukaj - zażądała Dana.

Obrzucił ją zrezygnowanym spojrzeniem i dźwignął się na nogi.

- Pójdę na górę.

- Mam tę książkę w domu - wtrąciła Zoe. - Ale w tanim wydaniu. Nie stać mnie na twardą oprawę, choć kupiłam wszystkie twoje powieści - dodała przeproszającym tonem.

Jordan pochwyił jej dłoń i przyciągnął do ust.

- Jesteś ucieleśnieniem słodyczy.

- Mogę ją przywieźć. Niewykluczone, że zdążę, zanim Flynn znajdzie swój egzemplarz.

- Daj mu trochę czasu. - Malory zerknęła w stronę sufitu i wyobraziła sobie Flynna rozgrzebującego wszystkie ustawione tam pudła. - Ja także mam tę książkę, a mieszkam najbliżej, więc mogę ją szybko przywieźć. - Umilkła na chwilę i uniosła oba palce wskazujące. - Założę się o dowolną sumę, że każde z nas ma egzemplarz „Wieży widm”.

- Ja mam - zapewnił z miejsca Jordan.

- Ja też - dorzucił Brad.

- No pewnie. Brzdęk, brzdęk, brzdęk - mruknęła Dana. - To brzęczą ogniwa jednego łańcucha. Pospiesz się, Flynn, jak długo można szukać jednej książki?

- Kiedy ostatnio byłaś na górze? - zaciekała się Malory.

- Dobrze pytanie. - Dana zaczęła nerwowo przemierzać pokój. - On tam jest. Wiem, że tam jest. Sama pójdę na górę i poszukam.

Ruszyła ku drzwiom, lecz w tej samej chwili Flynn zbiegł po schodach.

- Znalazłem. Ha! Była w pudle z napisem „Książki”. Nie wiedziałem, że mam pudło z napisem „Książki”. - Wręczył egzemplarz Danie.

Czekając na jakiś znak, pogładziła palcami okładkę i przyjrzała się uważnie zarysowi Wzgórza Wojownika, nad którym świecił księżyc w pełni. Otworzyła książkę i przerzuciła kartki, czując woń papieru i kurzu.

- Gdzie jest to zdanie?

- Na końcu prologu.

Przewróciła kilka pierwszych stron, powtórzyła je w myślach, odczytała głośno. I czekała.

- Nic nie czuję. A powinnam czuć. Malory?

- To kwestia świadomości, swego rodzaju wewnętrznej wiedzy. Nie potrafię dokładniej wyjaśnić.

- Ale gdybym to poczuła, wiedziałabym, o co chodzi - uzupeł-

niła Dana. - A nie czuję. Może powinnam przeczytać całą książkę. Tak jak ty musiałaś namalować cały obraz, żeby w nim znaleźć klucz.

- Zastanawiam się... - zaczęła Zoe i urwała. - Wiesz, zastanawiam się, czy nie dlatego nie ma go w tej książce, że nie jest twoja. Napisał ją Jordan, więc w pewnym sensie wszystkie egzemplarze należą do niego. Ale ty masz swój własny. A przecież sama jesteś kluczem, to chyba logiczne, że powinnaś sprawdzić swój egzemplarz?

Dana wpatrzyła się w nią rozszerzonymi oczyma, a potem rozchyliła usta w uśmiechu.

- Zoe, jesteś genialna. Jazda, moi drodzy! Przenosimy się do mnie.

- Zaraz przyjadę. - Zoe sięgnęła po torebkę. - Tylko odwożę Simona i zapytam, czy sąsiadka go przypilnuje.

- Muszę się pozbyć tych pudełek. Zapakuję dla Simona kilka kawałków pizzy.

Życie, uznała Dana, toczy się naprzód. Niezależnie od magicznych kluczy i nikczemnych czarnoksiężników. Czyż nie dlatego życie jest życiem?

- Jak już załatwisz domowe sprawy, to przyjedź. - Chwyciła Jordana za rękę i ruszyła ku drzwiom. - A przy okazji zapakuj i dla mnie kawałek tej pizzy.

Rozdział dziewiętnasty

Naprawdę przeczytałaś tę książkę czy tylko tak mówiłaś? - zapytał Jordan, gdy jechali do mieszkania Dany.

- Dlaczego miałabym tylko tak mówić?

- Nie wiem. Ale sama wczoraj powiedziałaś, że nigdy nie byłaś bohaterką książki, więc doszedłem do wniosku, że na pewno nie czytałaś „Wieży widm”.

- Błędny wniosek.

- Czytałaś?

- Tak, do cholery. Nienawidziłam tej książki. Była świetna, a ja chciałam, żeby okazała się do chrzanu. Chciałam sobie powiedzieć: widzisz, kiepski z niego pisarz. Ale nie mogłam. Zamierzałam ją wyrzucić, a nawet przyszło mi do głowy, żeby ją spalić.

- Jezu, faktycznie byłaś wkurzona.

- Jeszcze jak. Oczywiście nie mogłam się zdobyć na to, żeby spalić książkę. Moja bibliotekarska dusza truchlała na samą myśl o czymś takim. Wyrzucenie także nie wchodziło w rachubę, z podobnych przyczyn. I jakoś nie mogłam się zmusić, żeby ją oddać do antykwariatu albo komuś podarować.

- Nie zauważyłem w twoim mieszkaniu ani jednej mojej książki.

- Bo są zamaskowane.

Popatrzył na nią i parsknął śmiechem.

- Żartujesz.

- Nie chciałam, by ludzie widzieli, że mam twoje książki. Sama nie chciałam ich widzieć. Ale musiałam je mieć.

- A więc przeczytałaś „Wieżę widm”, ale nie zidentyfikowałaś Kate.

- Kate? - Poszukała w pamięci. - Aha, główna bohaterka. By-

stry umysł, nieco zrozumiwała z tego powodu. Uparta, samowolna i samowystarczalna. Stąd zresztą te jej długie spacery i fascynacja Wzgórzem... a raczej Wieżą. - Zastanowiła się, przywołała w myślach obraz. - Wygadana osoba. Podziwiałam ją za to. Trochę zgryźliwa, zwłaszcza w stosunku do bohatera, ale trudno jej mieć to za złe. Sam się prosił. Dziewczyna z małego miasteczka, która nie chce być nikim innym. Pracuje w... zaraz, chwileczkę... w niewielkim antykwariacie, gdzie czarny charakter chwyta ją w swoją sieć.

- Cała ona.

- Doceniłam jej zdrowy pogląd na sprawy seksu. Zbyt wiele kobiet w literaturze to albo dziewice, albo dziwki. Pracowała głową i nieźle jej to wychodziło, ale w połączeniu z uporem wpakowało ją w tarapaty.

- I nadal nic ci się nie kojarzy? - zapytał po chwili Jordan.

- Jak to, czy nic mi się... - Nagle wpatrzyła się w niego, głęboko wstrząśnięta. - Chcesz powiedzieć, że to ja byłam pierwowzorem?

- W pewnej mierze. Prawdę mówiąc, w dużej mierze. Jezu, Dana, przecież ona ma nawet twoje oczy.

- Moje oczy są po prostu brązowe. A jej... to było coś poetycznego.

- „Jak ciemna czekolada, smakowita i gorzka zarazem”. Chyba tak to szło.

- Nie jestem uparta. Jestem tylko... pewna siebie.

- Aha. - Zatrzymał samochód przed jej kamienicą.

- Nie jestem arogancka. Po prostu nie mam cierpliwości do pyśzałkowatych głupków o ciasnych poglądach.

- No jasne.

Wysiadła z samochodu.

- Teraz już sobie przypominam. Ta Kate potrafiła być prawdziwym wrzodem na tyłku.

- Chwilami. Ale między innymi dlatego wydaje się kimś interesującym, prawdziwym i ludzkim. Zwłaszcza że jest przy tym wielkoduszna i życzliwa. Ma wspaniałe poczucie humoru i umie się śmiać z samej siebie.

- Być może. - Dana z ponurą miną otworzyła drzwi.

Gdy wchodził, Jordan przyjaznym gestem poklepał ją po pośladku.

- Bardzo mi się podobała. Oczywiście gdybym miał ją teraz opisywać... - Oparł Dane o drzwi i ujął jej twarz w dłoń.

- Tak?

- Nie zmieniłbym ani słowa. - Pochylił głowę i ich usta spotkały się w długim pocałunku. - Byłem pewien, że to przeczytasz, rozpoznasz siebie i skontaktujesz się ze mną. Nie skontaktowałaś się, więc doszedłem do wniosku, że nie przeczytałaś mojej książki.

- Może nie byłem gotowa, by dostrzec w niej siebie. Ale na pewno przeczytam ją jeszcze raz. Bo, prawdę mówiąc, to jedyna twoja powieść, której nie przeczytałam powtórnie.

Ze śmiechem odchylił się w tył.

- Czytałaś moje książki więcej niż raz?

- Już widzę, jak się nadymasz, więc wolę uciec, zanim komuś stanie się krzywda. - Przemknęła pod jego ramieniem, kierując się w stronę półek.

- Kobiecie, którą utraciłem. Kobiecie, którą odnalazłem. Jedynej kobiecie, którą kochałem. Szczęściarz ze mnie, że te trzy kobiety to jedna.

Obejrzała się na niego, sięgając po książkę.

- Co to niby ma być?

- Dedykacja, którą właśnie wymyśliłem, do książki, nad którą teraz pracuję.

Dana opuściła rękę.

- Boże, Jordan, za chwilę chyba się rozpułnę. Nigdy przedtem nie mówiłeś niczego podobnego.

- Ale myślałem. Po prostu nie wiedziałem, jak to wyrazić.

- Przypominam sobie pewien fragment. Ten o odkupieniu. Chętnie przeczytałabym dalszy ciąg.

- Napiszę go dla ciebie.

Obserwował ją, gdy zdejmowała książkę z półki i ściągała obwolutę.

- „Wieża widm” - odczytał. - Jordan Hawke. A na zewnętrznej okładce... - Wybuchnął śmiechem. - „Jak walczyć ze szkodnikami w domu i ogrodzie”. To naprawdę niezłe, Żyrafo.

- Mnie to odpowiadało. Inną twoją książkę włożyłam w obwolutę powieści zatytułowanej „Zjadacze psów”. Zresztą wyjątkowo nudnej i bezkrwistej. Poza tym... no, nieważne. Wariacje na ten sam temat.

- Rozumiem.

- Wiesz co? - Przykryła jego dłoń swoją. - Kiedy już z tym skończymy, dokonamy rytualnego odsłonięcia twoich książek, które następnie uroczystie ustawię na honorowym, miejscu na półce.

- Niezły pomysł. - Spojrzał na książkę, potem na Dane. - Zaczekasz na pozostałych?

- Nie mogę. - Widziała, że Jordan i tak się tego po niej nie spodziewa. - Jestem zbyt napięta. I mam uczucie, że powinniśmy to zrobić we dwoje. Ty i ja.

- Więc do dzieła.

Tak jak wcześniej, gdy dotykała egzemplarza Flynna, przesuwała palcami po ilustracji na okładce, przedstawiającej Wzgórze. Ale tym razem... coś poczuła. Jak to nazwała Malory? Świadomość. Tak, właśnie.

- To jest to, Jordanie - szepnęła. - Klucz znajduje się w książce. - Otworzyła ją bez wahania.

Skup się, powiedziała sobie. Skoncentruj uwagę. Klucz tam był. Musiała go tylko zobaczyć.

Jordan obserwował, jak delikatnie przesuwa palcami po stronie tytułowej, opuszkami gładząc nazwisko autora. Jej oddech stał się szybszy.

- Dano.

- Czuję go. Jest ciepły. Czeka. I ona czeka.

Przerzuciła kilka stron i nagle wydała stłumiony okrzyk, książka wysunęła jej się z rąk. Jordan złapał Dane, zanim upadła na podłogę.

Oszołomiony i wystraszony, ułożył dziewczynę na dywanie. Oddychała, ale twarz miała bardzo bladą, a ciało zimne jak lód.

- Ocknij się. Niech to szlag, Dano, ocknij się. - Potrząsnął nią w przypływie paniki. Jej głowa opadła bezwładnie na ramię. - Dokąd ją zabrałeś, sukinsynu? - Kiedy podniósł Dane do pozycji siedzącej, jego spojrzenie padło na otwartą książkę, leżącą obok. - O mój Boże.

Wziął Dane w ramiona i przytulił, pragnąc ją ogrzać, osłonić. Z korytarza dobiegły głosy, więc skoczył ku drzwiom, zanim Flynn zdążył zapukać.

- Dana... - Flynn wyciągnął ręce, dotknął jej twarzy. - Nie!

- Dorwał ją - wyrzucił z siebie Jordan. - Drań wciągnął ją do książki. Uwięził w tej cholernej książce.

Poczuła moc Kane'a. Zrozumiała natychmiast, że tego chciał. Zadał ból, aby nie wątpiła, że potrafi to uczynić. Oderwał świadomość od ciała z satysfakcją niedobrego chłopca, który wyrwa skrzydełka muchom.

Po bólu przyszło zimno. Straszne, przejmujące zimno, które przeszywało do szpiku kości i wywoływało wrażenie, iż stają się kruche i przezroczyście jak szkło.

Z kręgu ciepła i światła wpadła w krąg zimna i bólu, w wilgotne, odrażające paluchy błękitnej mgły. Chwytały ją za nogi, ramiona, dusiły tak, że musiała walczyć o każdy haust lodowatego powietrza, które wbijało się w jej płuca niczym ostrze noża.

A potem mgła się rozwiąta i Dana leżała, dygocząc, samotna w ciemnościach.

Ogarnięta paniką, zapragnęła zwinąć się w kłębek i szlochać. Kiedy odetchnęła głębiej, poczuła zapach sosen i jesieni. Lasu. Dźwignęła się na czworaki, a wówczas jej dłonie natrafiły... tak, na sosnowe igły i opadłe liście. Gdy lęk zelżał nieco, dostrzegła światło księżyca, przenikające przez korony drzew.

Uświadomiła sobie, że nie odczuwa już dotkliwego zimna. Powietrze było rześkie, charakterystyczne dla pogodnej jesiennej nocy. Słyszała nocne ptaki, przeciągłe pohukiwanie sowy, cichy, melodyjny szum wiatru.

Lekko oszołomiona, oparła rękę o pień drzewa i omal nie zapłakała z ulgi, gdy poczuła chropowatą korę. To było tak konkretne, takie normalne.

Mimo zawrotów głowy, podniosła się z ziemi i oparła o drzewo. Oczy powoli oswajały się z ciemnością.

Żyję, powiedziała sobie w duchu. Jestem cała. Trochę zamroczona i roztrzęsiona, ale cała. Musiała odnaleźć drogę do domu, a jedynym sposobem, by to zrobić, było ruszenie z miejsca.

Pytanie tylko, w którą stronę. Postanowiła zaufać instynktowi i iść przed siebie.

Cienie słały się wokół tak gęsto, iż wydawało jej się, że lada chwila ogarną ją i pochłoną na zawsze. Poświata, która przesączała się przez gałęzie, miała srebrny, matowy odcień zaśniedziałej klingi.

Dana pomyślała z roztargnieniem, że jak na koniec października, na drzewach pozostało wyjątkowo dużo liści.

Pod butem trzasnęła nadepnięta gałązka i ten odgłos zabrzmiał w uszach Dany jak wystrzał. Potknęła się i zatoczyła.

- W porządku, nic się nie stało. - Dźwięk własnego głosu powrócił do niej echem, zacisnęła więc usta, by nie wyrwało jej się nic więcej.

Spojrzała pod nogi i zamarła, wpatrując się ze zdumieniem w swoje obuwie. Ujrzała bowiem parę solidnych pionierek zamiast eleganckich czarnych czółenek, które włożyła wieczorem.

Chciała się wystroić, ponieważ... Myśl pojawiała się i znikwała, lecz w końcu Dana zdołała ją pochwycić. Chciała pochwalić się pierścionkiem. Tak, pragnęła wyglądać bajecznie, żeby jej strój pasował do zaręczynowego pierścionka.

Uniosła rękę, lecz pierścionka nie było.

Serce jej zamarło, a lęk, że zgubiła pierścionek Jordana, zagłuszył wszelkie inne obawy. Zawróciła na pięcie i pomknęła z powrotem, usiłując odszukać miejsce, w którym leżała. W którym się ocknęła.

Wypatrując na ziemi błysku złota, usłyszała za sobą cichy szelest, poczuła na plecach lodowaty podmuch.

A jednak się myliła. Nie była sama.

Znowu pobiegła, lecz nie w ślepej panice. Biegła co sił w nogach, by uciec i ocalić życie. A on podążał za nią, zbyt pełen pychy, aby przyspieszyć kroku. Absolutnie pewien, że wygra ten wyścig.

Ale go przegra, przyrzekła sobie Dana. Przegra, bo ona nie ma najmniejszego zamiaru tutaj umierać.

Dysząc ciężko, wypadła spomiędzy drzew w migotliwy blask okrągłego białego księżyca.

Księżyc nie był taki, jak powinien. Zarejestrowała to mimochodem, przeskakując kępy trawy. Nie powinien być w pełni, lecz w czwartej kwadrze. Zbliżał się nów. Cztery tygodnie dobiegały kresu.

Cztery tygodnie poszukiwań.

Ale tutaj świecił księżyc w pełni, płynąc po szklistym czarnym niebie nad mroczną sylwetką Wzgórza Wojownika.

Dana zwolniła i przycisnęła ręką bok, żeby złagodzić kolkę.

Na budowli nie powiewała żadna biała flaga z emblematem klucza. Żadne okno nie jarzyło się złotym światłem. Ten dom jest teraz pusty, pomyślała, jeśli nie liczyć pracowitych pajaków i ruchliwych myszy.

Ponieważ tak opisał go Jordan.

Znalazła się w książce. Kroczyła przez stronicę jego powieści.

- Masz głęboki umysł.

Odwróciła się gwałtownie. Kane stał za nią, na skraju lasu.

- To sztuczny świat. Kolejne złudzenie.

- Czyżby? Znasz moc słowa pisanego, rzeczywistości stworzonej na kartach książki. To jego świat i był dla niego prawdziwy, kiedy go budował. Ja tylko sprowadziłem cię tutaj. Zastanawiałem się, czy twój umysł sprosta wyzwaniu i widzę, że tak. Cieszy mnie to.

- Dlaczego? W ten sposób jestem bliższa odszukania klucza.

- Tak sądzisz? Ciekawe, czy pamiętasz dalszy ciąg fabuły.
- Wiem, że tego nie było w książce. Nie było w niej ciebie.
- Zaszły drobne zmiany - uniósł ramię i wykonał subtelny gest - które doprowadzą do innego zakończenia. Biegnij, jeśli chcesz. Dam ci uczciwą szansę.

- Nie zdołasz mnie tu zatrzymać.
- Może i nie. Może się wymkniesz. Oczywiście, jeśli opuścisz to miejsce, przegrasz. - Zbliżył się o krok, powiewając trzymanym w dłoni długim białym szalem. - Jeśli zostaniesz, zginiesz. Twój męczyzna wpisał śmierć w „Wieżę widm”. - Wskazał ogromny dom, który Jordan w swej powieści nazwał Wieżą. - Skąd mógł wiedzieć, że będzie to twoja śmierć?

Dana zawróciła w stronę Wieży i pobiegła.

- Musimy ją sprowadzić z powrotem. - Flynn bezradnie rozcierał zimne dłonie Dany. Wcześniej ułożyli ją na łóżku i otulili kocami.

- Jeżeli na tym polega jej zadanie - zaczął Brad - nie powinna wykonywać go sama.

- Nie będzie sama. - Jordan wstał, widząc tylko jedno wyjście. - Nie potrafimy jej ocucić. Kontakt fizyczny, wzywanie po imieniu, nasza obecność... Nic nie skutkuje. Brad, musisz pojechać po Rowenę. I przywieźć ją tutaj jak najszybciej.

- To zajmie godzinę. - Zoe, która stała w nogach łóżka, podeszła bliżej. - Zbyt długo. Malory, Rowena już wcześniej zjawiała się z własnej woli. Postarajmy się ją tu ściągnąć. Dana nie może zostać sama. Kane tak właśnie działa. Rozdziela nas, izoluje. Nie pozwólmy mu na to.

- Warto spróbować. Razem jesteśmy najsilniejsze. - Malory wyciągnęła do Zoe rękę nad łóżkiem, drugą objęła dłoń Dany. - Poprosimy ją, żeby przyszła.

- Nie tym razem. - Palce Zoe zacisnęły się mocno, a w jej oczach zapaliły się bojowe iskry. - Tym razem jej każemy.

- Jak zmusić boginię do złożenia domowej wizyty? - zastanawiał się Flynn.

Brad położył mu dłoń na ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze. Sprowadzimy Dane z powrotem.

- Wygląda jak na portrecie. - Zapiekło go w gardle, gdy popatrzył na twarz siostry. Białą jak kreda, pustą twarz. - Jak jedna z Cór na twoim obrazie. Zakłęcie...

- Sprowadzimy ją z powrotem - powtórzył Brad bardziej sta-

nowczym tonem. - Słuchaj, w tej chwili ruszam na Wzgórze. Przywożę Rowenę albo Pitte'a, albo obydwójce, nawet gdybym miał im przystawić rewolwer do głów.

- To nie będzie konieczne.

Rowena stanęła w drzwiach, a tuż za nią Pitte.

Dana uciekała, biegła co sił w stronę domu, z nadzieją, że kamień i szkło zapewnią jej jakąś osłonę.

Co się zdarzyło w książce? Do którego rozdziału trafiła? Czy działała z własnej woli, czy zgodnie z tym, co zostało napisane?

Myśl! - nakazała sobie. Sięgnij do przeszłości. Każda przeczytana książka pozostawiała ślad w jej głowie. Trwała w pamięci. Teraz trzeba było pokonać strach i przywołać wspomnienie.

Tak bardzo się bała. Krzyk sowy sprawił, że serce podeszło jej do gardła. Mgła zaczęła zasnuwać ziemię, rzadka i biała, z leciutkim odcieniem błękitu. Gęstniała stopniowo, falując wokół nóg Dany, która miała wrażenie, że brodzi w kłębach dymu.

Mgła tłumiła jej kroki. I jego, uświadomiła sobie Dana. O Boże, jego również.

Gdyby zdołała dotrzeć do domu, po prostu tam dotrzeć, znalazłaby kryjówkę, żeby odsapnąć. I może jakąś broń.

Przecież zamierzał ją zabić, okręcić szyję tym długim białym szalem i zaciskać go, zaciskać, podczas gdy ona będzie się dusić, oczy wyjdą jej z orbit, a żyły nabrzmięją od krwi.

Był szalony. Zbyt późno zdała sobie z tego sprawę.

Nie. Nie. Tak właśnie myślała Kate. Fikcyjna bohaterka w fikcyjnym świecie. A Dany nie ścigał fikcyjny morderca. Ścigał ją Kane.

Gdyby zabił, odebrałby jej coś cenniejszego niż życie. Odebrałby duszę.

W ostatniej chwili cofnęła się od drzwi. Teraz już pamiętała tę ostatnią walkę i ostatnią szansę. Kate traciła cenny czas, waląc w drzwi i wzywając pomocy, zanim zorientowała się, że nie tam tu nikogo, kto mógłby jej pomóc.

Skreślamy ten kawałek, pomyślała Dana, zacisnęła zęby i rąbnęła łokciem w szybę. Nie zważając na odłamki szkła, które wbiły się boleśnie w ramię, sięgnęła do środka, odsuwając zasuwkę. Z wysiłkiem pchnęła okno, wdrapała się na parapet i skoczyła.

Od twardego lądowania aż zagrzechotały kości i przez chwilę trwała w oszołomieniu, skulona, obolała, z trudem łapiąc oddech i usiłując przebić spojrzeniem ścianę mroku.

W powietrzu wyczuwała woń stęchlizny i wilgoci, a gdy dźwigała się na nogi, wyczuła dłońmi warstwę kurzu na podłodze. Żadnych błyszczących parkietów, skrzących się żyrandoli, olśniewających antyków. Żadnego ognia buzującego na kominku. Zimny, wilgotny pokój spowijały szare kotary pajęczyn, poruszone tchnieniem duchów.

Nie było to Wzgórze z jej rzeczywistości, lecz Wieża ze świata stworzonego przez Jordana. Stanęła, przytrzymując lewą ręką pulsujące bólem prawe ramię, a potem ruszyła chwiejnie naprzód po skrzypiących deskach.

Nieźle ci wyszła ta atmosfera, Hawke, pomyślała, starając się uspokoić. Nawiedzony dom pierwszej klasy. Idealne miejsce dla naszej dzielnej bohaterki, walczącej z maniakałnym mordercą.

Krzywiąc się, pomasaowała obolałe kolano. Rozbite kolano Kate spuchło jak bania, przypomniała sobie, ale to jej nie powstrzymało.

Wzięła głęboki oddech, stanąwszy w holu wejściowym pełnym cieni poprzecinanych smugami księżycowej poświaty, przenikającej jakoś przez brudne szyby.

Zagłębianie się w książce Dana zawsze zaliczała do największych życiowych przyjemności, ale to, co się teraz działo, przewyższało jej oczekiwania.

Na chwilę zamknęła oczy, analizując sytuację. Stłukła sobie kolano, uszkodziła bark, pokaleczyła ramię. Bardzo się bała, tak bardzo, że każdy oddech sprawiał jej ból.

Ale to było w porządku, to było dozwolone. Mogła się potłuc, mogła się bać. Nie wolno jej tylko wpaść w panikę, nie wolno się poddać.

- Zobaczmy, kto napisze zakończenie tej historii, ty draniu. Pewna eks-bibliotekarka zamierza skopać ci dupę.

Usłyszała cichy chrzęst deptanego szkła i rzuciła się w stronę schodów. Akcja zbliżała się do punktu kulminacyjnego.

- Jesteście. - Zoe niechętnie puściła dłoń Malory, a potem Dany. - Zróbcie coś.

Rowena podeszła do łóżka i lekko dotknęła nadgarstka leżącej dziewczyny, jak gdyby chciała sprawdzić puls.

- Co się stało?

- To ty jesteś boginią - warknął Flynn. - Sama powinnaś wiedzieć. Sprowadź ją z powrotem. W tej chwili.

Jordan stanął między nimi, odsuwając Flynna.

- Dlaczego nie wiesz, co się zdarzyło? - zapytał z naciskiem.

- Kane potrafi ukryć przed nami pewne poczynania.

- Wy przed nim również?

- Tak, oczywiście. Nie zawładnął jej duszą - zwróciła się łagodnym tonem do Flynna.

- Czymkolwiek zawładnął, odbierzcie mu to. - Flynn postąpił krok naprzód, odpychając rękę Malory. Stanął obok Roweny i posłał Pitte'owi twarde, zimne spojrzenie. - Chyba nie myślicie, że się was boję.

- Niepotrzebnie tak się lękasz o siostrę.

- Jest zimna. Ma lodowatą skórę. I ledwo oddycha.

- Wciągnął ją do książki - powiedział Jordan, natychmiast skupiając na sobie uwagę Roweny.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem. - Sięgnął po swoją książkę, którą wcześniej odłożył na stolik. - Przerzuciła zaledwie parę stron i już jej nie było.

Rowena wyjęła mu książkę z ręki.

- Nie ma go tu. Nie ma klucza - wyszeptwała. - Kane przekracza granice, łamie umowy. Dlaczego nikt go nie powstrzymuje? To już nie jest zwykłe kuszenie, onieśmianie czy nawet zastraszanie. - Odwróciła się do Pitte'a z błyskiem trwogi w oczach. - Zmienił reguły i w jakiś sposób przeniósł klucz.

- Klucz był w książce? - wtrącił Jordan.

- Tak. A teraz Kane przeniósł go w fabułę, podobnie jak Dane. Niedopuszczalny postęp.

- Ona tam jest sama. Fabuła czy Kane, wszystko jedno, grozi jej śmierć. - Jordan chwycił rękę Dany. - Wyciągnij ją stamtąd.

- Nie mogę. To nie w mojej mocy. Albo on ją wypuści, albo ona w jakiś sposób uwolni się sama. Mogę ją ogrzać...

- Do diabła z tym. - Jordan wyrwał Rowenie książkę z rąk. - Przenieś mnie do niej.

- To niemożliwe. - Odwróciła się, pochyliła nad łóżkiem i delikatnie przesunęła dłońmi po twarzy Dany.

Tłumiąc przekleństwo, Jordan złapał Rowenę za ramię i okręcił.

- Nie mów mi, że to niemożliwe. - Poczł szarpnięcie, gwałtowny wstrząs, który przebiegł dreszczem aż do łopatki, lecz nie rozluźnił uścisku.

- Zabierz ręce od mojej kobiety - odezwał się Pitte cichym głosem.

- Bo co, spoliczkujesz mnie? Moja kobieta leży tutaj i przeżywa niewyobrażalne koszmary, ponieważ dała wam słowo. A wy zamierzacie się tylko przyglądać?

- Wyczarował świat, do którego ją zabrał i nad którym ma władzę. - Rowena odrzuciła włosy gestem znamionującym niezwykłe wzburzenie. - W żaden sposób się nie dowiemy, jakie podjął działania i co stałoby się z tobą, gdybym spróbowała cię tam wysłać. Nie wolno mi zabierać cię dokądkolwiek z twojego świata. Oznaczałoby to złamanie przysięgi, którą złożyłam, gdy się tutaj znalazłam i powierzono mi sprawowanie pieczy nad kluczami.

- Ja wyczarowałem ten świat - odparował Jordan i rzucił książkę na łóżko obok Dany. - Nie po to go wymyśliłem i ubrałem w słowa, żeby teraz jakiś wyrachowany bóg przywłaszczzał go sobie i groził kobiecie, którą kocham. Nie obchodzi mnie, ile przysięg złamiesz, ale nie zostawisz jej tam samej. Wyprawisz mnie do niej.

- Nie mogę.

- Roweno. - Pitte ujął ją za ramiona i odwrócił ku sobie. - On ma do tego prawo. Posłuchaj - ciągnął, nie pozwalając sobie przewrać. - Mężczyzna nie powinien mieć związanych rąk, kiedy jego kobieta toczy samotną walkę. Kane złamał słowo i tym samym wyrzekł się honoru. Nie miał prawa nastawać na jej życie. Nie miał prawa tykać klucza, ręką, myślą ani czarem. Reguły gry uległy zmianie. Jeśli się do nich nie dostosujemy, poniesiemy klęskę.

- Mój ukochany. - Zaciśnęła palce na jego ramionach. - Jeśli to zrobię, jeśli nawet mi się uda, dobrze wiesz, ile nas to może kosztować.

- Czy mamy tkwić w tym więzieniu zupełnie bezczynni?

Z bolesnym westchnieniem oparła czoło o jego pierś.

- Potrzebuję cię.

- Zawsze będę przy tobie.

Skinęła głową, odetchnęła głęboko i popatrzyła na Jordana oczyma, które zdawały się płonąć w jej twarzy.

- Wiedz jedno. Życie Dany, twoje, każdego z was znajdzie się w niebezpieczeństwie.

- Zrób to.

- Wyślij nas wszystkich. - Zoe ponownie chwyciła rękę Dany. - Powiedziałaś, że razem jesteśmy silniejsi i to prawda. Mamy większe szansę na wyciągnięcie jej stamtąd.

- Dzielna wojowniczką. - Pitte uśmiechnął się do niej. - Twój czas jeszcze nie nadszedł. Ale nadejdzie, jeśli bogowie pozwolą.

- Daj mu jakąś broń - zażądał Brad.

- Nie może zabrać z sobą nic prócz własnego umysłu. Połóż się obok niej - poleciła Jordanowi Rowena, podniosła książkę i zamknęła oczy. Książka zajaśniała słabą poświatą. - Ach tak, teraz widzę. Weź Dane za rękę.

- Już ją trzymam.

Rowena otworzyła oczy. Ich świetlisty błękit wydawał się bardzo ciemny w kredowobiałej twarzy. Włosy falowały lekko, jak gdyby poruszane niewyczuwalnymi podmuchami wiatru.

- Jesteś gotów?

- Tak, jestem gotów.

- Sprowadź ją. - Flynn przytulił Malory i spojrzał na leżącego Jordana. - Sprowadź ją z powrotem do domu.

- Zrobię to.

Poczuł, że przenika go silny, ciepły prąd powietrza. Że niesie go przez czas i przestrzeń, a połyskliwe, srebrzyste zasłony rozstępują się przed nim, szumiąc jak morze.

I oto spoglądał na czarną, ostrą sylwetkę Wieży Widm w księżycową noc.

Ruszył biegiem w stronę budowli. Nad ziemią kłębiła się mgła, a z lasu dobiegło pohukiwanie sowy. Psy zawsze wyją do księżyca w pełni, pomyślał i poczuł dziwną satysfakcję, gdy odległe wycie rozbrzmiało echem wśród nocy.

Ostatni rozdział, uświadomił sobie, i upewniło go w tym rozbite okno.

Czas wprowadzić kilka poprawek, orzekł w duchu, i precyzyjnie się przez strzaskaną szybę.

Rozdział dwudziesty

Co możemy zrobić? - Malory przywarła do Flynna. - Bo na pewno możemy coś zrobić, nie tylko stać z założonymi rękami i czekać.

- Trzymajcie się blisko siebie - powiedział Pitte.

- Istnieje pewna możliwość. - Rowena usiadła na brzegu łóżka z książką na kolanach. - Tak czy inaczej, złamaliśmy już przysięgę - zwróciła się do Pitte'a. - Jeśli ma nas spotkać kara, jeden krok dalej niczego nie zmieni.

- A zatem czuwajmy. - Przysunął się do niej. - Należy jednak dać im szansę, by o własnych siłach odnieśli zwycięstwo. Czytaj. - Położył dłoń na ramieniu Roweny, wspomagając jej moc swoją. - Aby pozostali także mogli czuć.

Skinęła głową i otworzyła książkę na ostatnim rozdziale.

- „Utykając, wspięła się po schodach, osaczona z wszystkich stron przez grozę, która czyhała wśród gęstych cieni zalegających Wieżę”.

Na piętrze Dana skrzyła w prawo. Były tam dziesiątki pokoi, setki miejsc, w których mogła się ukryć.

Lecz na jak długo?

Znajdzie ją. Ciemność nie stanowiła dla niego najmniejszej przeszkody.

Czy ją zabije? Czy może to zrobić? Kate w końcu zdołała się obronić, walczyła jednak z człowiekiem, istotą z krwi i kości.

Skąd miała wiedzieć, w jakim stopniu jest to świat stworzony przez Jordana, a w jakim przez Kane'a? A nawet, uświadomiła sobie, w jakim stopniu jest to dzieło jej, Dany, ulepione z zapamiętanych fragmentów powieści, z domieszką jej własnego lęku?

Odwróciwszy się na dźwięk z dołu, dostrzegła cień Kane'a i długi biały szal, który połyskiwał niebieskawo w świetle księżycy. Zobaczyła mgłę, błękitną i zimną, wpełzającą powoli na schody.

- Znajdę cię, Kate. - Jego głos brzmiał niemal pieszczotliwie. - Znajdę cię wszędzie.

Słowa mordercy, pomyślała. Odpowiedź wyrwała się jej mimo woli, bez udziału świadomości.

- Nie pójdzie ci tak łatwo. Nie tak, jak z innymi.

Zawróciła i wbiegła na następną kondygnację schodów.

Byle się od niego oddalić, myślała gorączkowo. Zyskać na czasie i rozumować logicznie. Strach mącił jej umysł, przeszkadzał w oddzieleniu samej siebie i własnych działań od bohaterki książki.

Omam nie krzyknęła, gdy gęste pajęczyny oblepiły jej włosy i twarz, zaczęły je zrywać gwałtownymi ruchami. Ale ten naturalny ludzki wstręt z niewiadomych przyczyn podziałał na nią uspokajająco.

Odszukaj prawdę w jego kłamstwach, przypomniała sobie. Odychała szybko, a wokół unosiły się obłoczki pary.

- Jestem Dana! - krzyknęła. - Jestem Dana Steele, ty kanalio z piekła rodem, i nie wygrasz ze mną!

Śmiech Kane'a ścigał ją szerokim korytarzem, w którym drzwi otwierały się i zamykały z trzaskiem przypominającym salwę z broni palnej. Mgła pełzła po podłodze, rozjaśniając mrok odrażającą poświatą, chwytła lodowatymi mackami kostki Dany. Pot, który spływał strużkami po ciele, stał się lepki i zimny. Znalazła się nagle w labiryncie korytarzy.

Oszołomiona, ledwie dysząc, krążyła zdezorientowana. Widziała dziesiątki korytarzy, a każdy zdawał się ciągnąć milami, jak w sennym koszmarze.

Zrozumiała, że Kane dokonuje zmian w opowieści. Wprowadza własne ozdobniki, by wywołać zamęt w jej głowie. I pierwszorzędnemu mu to wychodzi.

- Wybieraj - usłyszała w myślach znany już głos. - Jeżeli wybierzesz nieroztropnie, wypadniesz poza krawędź świata albo pochłonie cię ognista czeluść. Lecz jeśli przystaniesz, jeśli ustąpisz, wszystko to okaże się jedynie snem.

- Kłamiesz.

- Uciekając, narażasz życie. Poddając się, możesz je ocalić. Wy-

bieraj - powtórzył i w tej samej chwili poczuła, że jedwabny szal otacza palącą obręczą jej szyję.

Przerażona, zaczęła go szarpać, kalecząc paznokciami skórę. Dusił ją, lecz walczyła rozpaczliwie z iluzorycznym szalem, a krew uderzała do głowy niczym szumiące, wzburzone morze.

Nagle zorientowała się, że jest wolna i zobaczyła przed sobą tylko jeden korytarz, zakończony ostatnią kondygnacją schodów. Pobieгла w tamtą stronę, utykając, ponieważ rozbite kolano odmawiało posłuszeństwa.

Rzuciła się ku drzwiom, szarpnęła gałkę śliskimi od potu dłońmi. Wypuściła powietrze z rozpalonych płuc w spazmatycznym wydechu, który podrażnił jej obolałe gardło, i wkroczyła chwiejnie w srebrną kałużę księżycowego blasku.

Znajdowała się na szczycie Wieży, wysoko nad doliną, w której jarzyły się światła miasta. W tych domach siedzą sobie ludzie, pomyślała. Jest im ciepło, są bezpieczni. Znała ich, a oni ją. Przyjaciele, krewni, kochanek. Wszyscy są teraz tak daleko, poza jej zasięgiem. W innym świecie.

Była sama i nie miała już dokąd uciekać.

Zatrzasnęła drzwi i przebiegła spojrzeniem kamienny balkon, szukając czegoś, czym mogłaby je zastawić. Gdyby zdołała zatrzymać mordercę po drugiej stronie do wschodu słońca...

Nie, nie mordercę. Kane'a. To był Kane. A ona była Daną Steele i ścigał ją ktoś straszniejszy niż morderca.

Oparła się plecami o drzwi, podpierając je własnym ciężarem i wtedy zobaczyła, że się omyliła. Jednak nie była sama.

W blasku księżycy kroczyła postać odziana w pelerynę, przesuwając po niskim kamiennym murku dłonią, na której połyskiwały pierścienie. Peleryna falowała w niesłyszalnych podmuchach wiatru.

Widmo z wieży, pomyślała Dana i na chwilę zamknęła oczy. Duch. Duch, o którym pisał Jordan.

- On się zbliża - powiedziała. Jej głos brzmiał zadziwiająco spokojnie, zważywszy iż za plecami miała mściwego boga albo obłąkanego mordercę, a przed sobą ducha zmarłej. - Żeby mnie zabić, powstrzymać, zabrać mi duszę. Koniec końców, to na jedno wychodzi. Potrzebuję pomocy.

Ale postać nawet się nie odwróciła. Stała, spoglądając w dół na lasy, w których przed dwustu laty miłość przyniosła jej śmierć.

- Jordan. To Jordan cię stworzył, nie Kane. W powieści udzieliłaś pomocy i ten akt cię wyzwolił. Czy nie chcesz się uwolnić?

Zjawia jednak milczała.

- Słowa Kate - myślała głośno Dana. - Jakże to były słowa? Co ona mówiła?

Gdy usiłowała je sobie przypomnieć, drzwi otworzyły się z rozmachem, rzucając nią o mur.

- Ona nie potrafi ci pomóc. - Kane wynurzył się z cienia i przesunął w rękach szal. - Jest tylko rekwizytem.

- To wszystko są rekwizyty. - Odpełzła w tył jak krab. - Kłamstwa.

- A jednak krwawisz. - Wskazał jej ramię i szyję. - Czy ból także jest kłamstwem? I twój lęk? - Zbliżył się do niej z szerokim uśmiechem. - Byłaś intrygującą przeciwniczką. Masz bystry umysł i silną wolę. Potrafiłaś nawet zmienić drobne fragmenty mojej układanki. Wyobrażenie sobie schodów i drzwi na ten balkon wymagało nie lada siły. A sprowadzenie jej tutaj - skinał w stronę postaci w pelerynie - to godne podziwu osiągnięcie. Moje uznanie.

Już otwierała usta, lecz natychmiast je zamknęła. Czy naprawdę wyobraziła sobie drogę na górę, drzwi? I czy siłą woli powołała zjawę do istnienia? Nie, nie sądziła, by tak było. Przecież kręciła się w kółko, zagubiona.

Jordan. To Jordan napisał tę książkę. To on miał bystry umysł i silną wolę. Próbował jej w ten sposób pomóc. Niech ją diabli, jeśli go zawiedzie.

Była Daną, tak. I była także Kate, stworzoną przez Jordana. Żadna z nich nie zamierzała wycofywać się tchórzliwie w ostatniej chwili.

- Może po prostu wyobrażę sobie, jak skaczesz z tego balkonu i roztrzaskujesz się na krwawą miazgę.

- Teraz prychasz jak osaczona kotka. Mógłbym właściwie zostawić cię tutaj, wewnątrz powieści. Powinnaś mi za to podziękować, przecież przepadasz za książkami. - Skłonił głowę, gdy Dana dzwignęła się na nogi i skrzywiła z bólu. - A może usunę się na bok i pozwolę mordercy pojawić się na scenie. Ciekawie byłoby popatrzeć, jak z nim walczysz, choć w mojej wersji niekoniecznie zwyciężysz. Tak czy inaczej, przedstawienie może się okazać zajmujące. I zabawne. - Biały szal zniknął z jego rąk. - Pamiętasz, co czuje bohaterka, gdy słyszy jak wspina się po schodach, a ona uświadamia sobie, że znalazła się w pułapce?

Danie zaparło dech, ponieważ w tej samej chwili usłyszała powolne, zbliżające się kroki.

Przypomniała sobie, że Kane nie może jej do niczego zmusić. Może jedynie mącić umysł.

- Była sparaliżowana lękiem, kiedy zrozumiała, że schroniła się w miejscu, do którego on chciał ją zapędzić. Na dole zaś stoi ukochany i widzi swoją dziewczynę w blasku księżyca, widzi tuż za nią widmo, a potem mordercę wychodzącego na balkon. Ze zgrozą i rozpaczą wykrzykuje jej imię, wiedząc, że nie zdoła dotrzeć do niej na czas.

- Jasne, że zdoła. Wystarczy przerobić kawałek fabuły.

Kane odwrócił się gwałtownie, a Jordan runął prosto na niego. Siła ataku pchnęła Kane'a na ścianę.

- Nie ma tu dla ciebie miejsca!

- To miejsce należy do mnie. - Wkładając całą swoją wściekłość w ten cios, Jordan grzmotnął Kane'a pięścią w twarz. Poczłł piekący ból, jakby wsadził rękę w ogień. Mimo to zamierzył się ponownie. Coś zbiło go z nóg i odrzuciło w tył.

- Zatem giń tutaj.

W uniesionej ręce Kane'a błysnął miecz. Dana zerwała się na nogi i skoczyła czarnoksiężnikowi na plecy, walcząc zaciekle zębami i paznokciami, owładnięta furją. Usłyszała wrzask i uświadomiła sobie, że wydobywa się z jej gardła. Kane strącił ją z siebie brutalnym uderzeniem na odlew, ciskając wprost na Jordana. Dostrzegła na twarzy Kane'a krew - czyli udało się im go zranić. Jej serce zatańczyło z radości.

- Zaraz poznasz, co to cierpienie - wysyczała.

Z mrocznym błyskiem w oczach wzniósł miecz.

- Ty poznasz coś gorszego. Twoja krew zakrzepnie tu na zawsze.

Lecz gdy opuścił ramię, by zadać cios, jego dłoń okazała się pusta.

- Zobaczmy, czy bogowie potrafią fruwać - przemówił Jordan i obydwójce z Daną ruszyli naprzód.

Dana poczuła, że jej ręce najpierw natrafiają na opór, a potem przechodzą przez Kane'a na wylot. Zniknął. Zobaczyła tylko kłęb dymu i rozbłysk błękitnego światła. I nic więcej - prócz cieni i księżyca.

- Ja to zrobiłam? - wykrztusiła z trudem. - Czy ty?

- Nie wiem. - Złapał ją, gdy zachwiała się na nogach, i obydwój-

je opadli na kamienną posadzkę. - Wszystko jedno. Jezu, jesteś posiniaczona i krwawisz. Ale mam cię. - Objął ją mocno. - Mam cię.

- Aja ciebie. - Wyczerpana, przytuliła twarz do piersi Jordana.
- Jak się tu dostałeś? On cię nie sprowadził. Nie spodziewał się ciebie.

- Nie jest jedynym bogiem w okolicy. - Uniósł jej głowę, przycisnął usta do policzka, do skroni. - Musimy znaleźć drogę powrotną, Dano. Przyznaję, że lubię wciągające opowieści, ale to już lekka przesada.

- Jestem otwarta na propozycje. - Wytrzymaj, nakazała sobie. Wytrzymaj, dopóki nie będzie po wszystkim. - To już prawie koniec książki. Bohaterka zмага się z czarnym charakterem i przy skromnej pomocy ducha, który, nawiasem mówiąc, teraz nawet nie kiwnął palcem, odpiera atak, po czym spycha złoczyńcę z balkonu w chwili, gdy bohater przybiega jej na ratunek. Pocałunki, burzliwe wyjaśnienia, miłosne wyznania. A później obydwójce patrzą, jak widmo z wieży rozplywa się w powietrzu, odzyskawszy wolność dzięki ostatniemu szlachetnemu uczynkowi.

- Całkiem nieźle to pamiętasz jak na kogoś, kto czytał tę powieść sześć lat temu. - Pomógł jej wstać i zerknął w stronę końca balkonu. Stała tam postać w pelerynie, spoglądając na las. - Ale ta nie rozplywa się w powietrzu...

- Może potrzebuje trochę więcej czasu. - Przeniosła ciężar ciała na zranione kolano i łyzy bólu stanęły jej w oczach. - Au, cholera! Może mógłbyś wpisać w akcję okład z lodu na moją nogę.

- Zaczekaj. - Zafascynowany, postąpił krok naprzód. - Rowena.

- Ona nie miała na imię Rowena, tylko... W tej chwili nie pamiętam jak, ale nie... - Urwała, szeroko otwierając oczy, gdy kobieta w pelerynie odwróciła się do niej z uśmiechem. - To istotnie jest Rowena.

- Nie mogłam was zostawić samych. Nie pozwolilibyśmy, aby odebrał wam życie. Czy doprowadzisz poszukiwania do końca? - zapytała Dane.

- Nie po to dotarłam tak daleko, żeby rezygnować. Zamierzałam właśnie... - Umilkła ponownie. - Nie ma go już w książce, wśród białych kartek zadrukowanych czarnymi literami, Jest gdzieś tutaj. W powieści, tak jak my.

- Uczyniłam więcej, niż wolno mi było uczynić. Mogę jedynie zadać ci pytanie: czy doprowadzisz poszukiwania do końca?

-Tak.

Rowena zniknęła, nie w błysku światła i kłębach dymu, jak Kane, lecz jakby jej w ogóle nie było.

- Co, u diabła, mamy teraz zrobić? - spytał Jordan. - Cofnąć się w jakiś sposób do początku książki i zacząć się rozglądać? Słowa, które wtedy usłyszałaś w transie, pochodziły z prologu.

- Nie, nie musimy się cofać. Daj mi pomyśleć. - Podeszła do murku, odetchnęła głęboko. - Jesienne dymy w powietrzu - zaczęła śpiewnym głosem. - Księżyc niczym doskonała kula zawieszona na niebie. Wszystko: drzewa, dolina... spójrz, widać nawet rzekę, to jej zakole, migoczące od księżycowej poświaty. Wszystko tu jest, każdy szczegół.

- Owszem, ładny widok. Skończmy z tym i wracajmy go podziwiać w naszym świecie.

- Podoba mi się twoja książka, Jordanie. Nie chciałabym tu mieszkać, ale samo miejsce jest fascynujące. Dokładnie takie, jakim je sobie wyobrażałam. Napisałeś świetną powieść.

- Dano, nie mogę znieść myśli, że leżysz tam, w domu, na łóżku. Jesteś taka blada, taka zimna. Wyglądasz jak...

- Niniane z obrazu Brada. Jedna się przechadza. - Wskazała część balkonu, gdzie wcześniej widzieli Rowenę. - Druga czeka. To Niniane, a raczej jej odbicie, czyli ja. - Odwróciła się, wyciągając rękę. - Chcę dostać klucz, Jordanie.

Popatrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem.

- Kochanie, gdybym miał klucz, dałbym ci go już dawno.

- Zawsze go miałeś. Tylko nie wiedziałeś o tym. Ja jestem kluczem, a ty należysz do mnie. Opisz go dla mnie. Daj mi go i wracajmy do domu.

- Dobrze.

Spróbował skupić myśli wokół klucza. Dotknął twarzy Dany i poddał się wizji.

- Stała skąpana w blasku księżyca. Bogini i kochanka o ciemnych oczach, pełnych głębokich prawd. Może kochał ją już w dniu narodzin, tego nie był pewien. Lecz nie miał najmniejszych wątpliwości, że będzie ją kochał w dniu śmierci.

Zamilkł na chwilę.

- Uśmiechnęła się - podjął, gdy kąciki ust Dany uniosły się lekko - i wyciągnęła do niego rękę. Coś załśniło w jej dłoni, niewielki, prosty przedmiot. Klucz, którego poszukiwała, o który walczyła. Bardzo stary, lecz jaśniejący obietnicą. Wąska złocista tulejka ozdobiona wzorem połączonych kręgów, odwiecznym symbolem.

Dana poczuła w dłoni kształt i ciężar klucza. Zaciskając na nim palce, wolną rękę podała Jordanowi.

- On nas zabierze - powiedziała - do miejsca, w którym nastąpi epilog.

Otworzyła oczy, zamrugała i z zamazanego kręgu pochyłonych nad nią głów wyłuskała twarz Flynnna.

- Ciocia Klocia - mruknęła.

- O Chryste, Dano. - Porwał siostrę w ramiona, przyciągnął do siebie, zakołysał.

- Au! - Choć niewiele brakowało, by zgruchotał jej żebra w niedźwiedzim uścisku, parsknęła śmiechem. - Uważaj. Cała jestem poobijana i na razie mi wystarczy.

- Boli cię? Gdzie cię boli?

- Bądź łaskaw wypuścić ją na chwilę z objęć - Rowena dotknęła ramienia Flynnna. - Zajmę się nią.

- Mam klucz.

- Tak, wiem. Czy powierzysz mi go na pewien czas?

- Jasne. - Dana bez wahania wsunęła klucz w dłoń Roweny. - Ale jazda.

- Wystraszyliście nas śmiertelnie. - Malory przełknęła łyżę. - Obydwoje.

- Ona ma sińce na twarzy! - Zoe natychmiast wkroczyła do akcji. - Jej ramię krwawi. Och, i ta biedna szyja! Gdzie są bandaże?

- Nie będą potrzebne, mateczko - odparł spokojnie Pitte.

- Rozciąłam sobie rękę o szybę, gdy włamywałam się na Wzgórze, a raczej do Wieży. Czuję, że kolano mi spuchło do rozmiarów arbuza. Wszystko to było przerażające i niesamowite, ale muszę przyznać, że pasjonujące. Weszłam... - Urwała, wpatrując się z zaskoczeniem w kolano, które pod dłońmi Roweny przestało boleśnie pulsować. - No no, już mi lepiej. O wiele lepiej.

- Możliwe, ale tym chyba nie pogardzisz - Brad wręczył jej pękaty kieliszek. - Przypomniałem sobie, gdzie trzymasz brandy - wyjaśnił, po czym nachylił się i pocałował Dane w usta. - Witaj w domu, dziecinko.

- Cieszę się, że wróciłam. - Upiła łyk brandy i podała kieliszek Jordanowi. - Dużo by mówić.

- Wolałabyś dziś odpocząć czy czujesz się na siłach przyjechać na Wzgórze i przekręcić klucz?

Dana przyjrzała się uważnie Rowenie, która wodziła palcami po jej zasinionym policzku.

- Byłabyś skłonna zaczekać?

- Wybór należy do ciebie. Zawsze należał.

- Jestem gotowa jechać. - Zerknęła na zegar i wybałuszyła oczy. - Dziewiąta? Jak to możliwe, że dopiero dochodzi dziewiąta? Czuję się tak, jakby upłynęło kilka dni.

- Najdłuższe sześćdziesiąt osiem minut w moim życiu - oświadczył Flynn. - Jeśli chcesz to dzisiaj załatwić, jedziemy z tobą.

- Muszę zadzwonić do opiekunki. - Zoe poczerwieniała, gdy wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę. - Wiem, że w tych okolicznościach to brzmi trochę głupio, ale...

- Nikogo nie dziwi troska o bezpieczeństwo i dobro dziecka. - Rowena wstała. - Weźmiemy klucz i zaczekamy na ciebie.

- Gdybyś miała jakiś problem z opiekunką - zaczął Brad - mogę zostać z chłopakiem. Bo ty powinnaś być razem z nimi.

- No tak. - Zmieszana wycofała się w stronę drzwi. - Pani Hanson na pewno się zgodzi posiedzieć z Simonem trochę dłużej. Ale dzięki. Pójdę zadzwonić.

- Wyruszymy, gdy tylko Zoe będzie gotowa. - Dana odwróciła się do Roweny, lecz nie zobaczyła ani jej, ani Pitte'a. - Kurczę, w pojawianiu się i znikaniu oni są naprawdę perfekcyjni, nie uważacie?

- Gdyby przy okazji podrzucili także nas, nie musielibyśmy tracić godziny na jazdę tam i z powrotem. - Jordan musnął palcami jej policzek, dotknął szyi. Sińce i zadrapania zniknęły. - Na pewno chcesz jechać?

- Czy chcę? Nie mogę się doczekać. Opowiemy wam o wszystkim na miejscu. Poczuję się jeszcze lepiej, gdy klucz nareszcie znajdzie się w zamku.

W tak zwanym Pokoju Szklanych Cór zaserwowano im pyszną mocną kawę i ciasteczka, podczas gdy bohaterowie wydarzeń opowiadali na przemian, co się działo w ciągu owych niesamowitych sześćdziesięciu ośmiu minut.

- Postąpiłaś bardzo mądrze - skomentowała Zoe. - Trudno pojąć, jak ci się udało nie stracić głowy.

- Chwilami tak było. Bałam się, gubiłam w zmianach fabuły, które wprowadzał. Kiedy zrozumiałam, że Jordan także gdzieś tutaj jest albo wpływa na to, co się dzieje, poczułam się o wiele lepiej.

Zwłaszcza gdy zniknął labirynt korytarzy stworzony przez Kane'a i mogłam dotrzeć do właściwych drzwi.

- Nie podobały mi się jego redaktorskie poprawki. - Jordan ujął dłoń Dany i ucałował miejsce tuż nad połyskującym rubinem.
- Uznałem, że bohater powinien odegrać bardziej aktywną rolę w rozwiązaniu akcji.

- Nie miałam nic przeciw temu.

- A może zginął, kiedy zepchnęliście go z wieży? - spytała z nadzieją Malory.

- Nie sądzę - odparła Dana. - Po prostu zniknął. Ot tak, pufskazała kciukiem miejsce, w którym stali Rowena i Pitte.

- Ale udało nam się go zranić - wtrącił Jordan. - Jego samego, nie tylko jego dumę. Poczuję moją pięść, tak samo, jak paznokcie Dany. Krwawił. A jeśli krwawi, można go uśmiercić.

- Niezupełnie. - Pierścionki załśniły na palcach Roweny, gdy nalewała kawę. - Dla nas śmierć jest czymś innym niż dla was. Jakąś cząstka zawsze pozostaje. W drzewach, w kamieniach, w ziemi, wodzie i powietrzu.

- Ale można go pokonać - nie ustępował Jordan. - Można go... unicestwić.

- Masz rację - przyznała cicho Rowena. - Oby tak było.

- Wycofał się. - Brad sięgnął po filiżankę z kawą. - Uciekł, bo nie potrafił stawić czoła wam obydwójgu.

- Mógł nas wykończyć mieczem, który wyczarował z powietrza. Myślę, że w tym momencie wybawiła nas Rowena - podkreśliła Dana.

- Nie miał prawa przelewać krwi śmiertelnych ani odbierać im życia. W żadnym razie nie powinno do tego dojść. Nie wiemy, dlaczego tak się stało, lecz uczynimy, co w naszej mocy, by go powstrzymać.

- Jakim kosztem? - zapytał Brad.

- Odpowiedzialność spoczywa na nas - odparł krótko Pitte. - My poniesiemy koszty.

- Możecie nie wrócić do swojego świata? - Przyszło mu to do głowy, kiedy usiłował oderwać myśli od niebezpieczeństwa, jakie groziło jego przyjaciółom. - Złamaliście przysięgę, więc nawet jeżeli znajdą się wszystkie trzy klucze i dusze Szklanych Cór zostaną uwolnione, wy możecie nie wrócić. Zostaniecie uwięzieni tutaj, w tym wymiarze. Na zawsze.

- To nie fair. - Dostrzegając potwierdzenie w twarzy Roweny,

Zoe zerwała się z miejsca. - Po prostu niesprawiedliwe i nieuczciwe.

- Bogowie nie zawsze bywają sprawiedliwi, a do uczciwości często im daleko. - Rowena wstała, poruszona emocjonalną reakcją Zoe. - Dokonałiśmy wyboru. Wybiła dla nas godzina prawdy, można by rzec. A ty, czy doprowadzisz do końca to, co zaczęłaś?

Wyciągnęła do Dany rękę, w której trzymała klucz.

Dziwne, pomyślała Dana, że właśnie teraz trzęsą mi się nogi. Mimo to wstała i podeszła do Roweny.

- Jakikolwiek złamaliście obietnice czy reguły, zrobiliście to, żeby ocalić nam życie. Jeśli macie zostać ukarani za coś takiego, jeśli na tej zasadzie działa wasz świat, to może lepiej pozostaniecie w naszym.

- Nie byłoby zamków, gdybyśmy lepiej strzegli naszych podopiecznych. Trzy Córy są niewinne, Dano, i cierpią z powodu mojej słabości.

- Jak długo będziesz musiała za to pokutować?

- Równie długo jak one, a nawet dłużej, jeśli tak nakaże prawo. Weź klucz i otwórz drugi zamek. Dasz nadzieję nie tylko im, lecz także mnie.

Pitte wyjął ze skrzyni szklaną szkatułkę, w której płąsały błękitne światełka. Bardzo ostrożnie postawił ją na stole i stanął z boku, wyprostowany jak struna, Rowena zaś zajęła miejsce po drugiej stronie.

Obserwując światełka, Dana poczuła ból w sercu.

Pozostały dwa zamki. Wsunęła klucz w pierwszy z nich i złociście ciepło rozlało się po jej dłoni, błyski światła przebiegły po kluczu i po palcach, gdy obróciła rękę. Usłyszała ciche szcęknięcie, potem coś jakby westchnienie, nim zobaczyła trzy wirujące szaleńczo światełka. W mgnieniu oka i klucz, i zamek rozpląnęły się w powietrzu.

Tylko jeden zamek strzegł teraz szklanego więzienia.

Rowena podeszła do Dany i ucałowała ją w oba policzki.

- Dziękuję ci za tę wizję. - Odwróciła się, uśmiechając do Zoe.

- A więc teraz kolej na mnie. - Zoe drżącą ręką odstawiła spodek z filiżanką, aż porcelanowe naczynie zadźwięczały, uderzając lekko o siebie.

- Czy przyjedziecie tu wszyscy o siódmej wieczorem dzień przed nowim księżycem?

- Dzień przed nowiem księżycy - powtórzyła Zoe.
- Piątek, siódma wieczorem - odpowiedział Brad.
- Ach, tak. Dobrze.
- Przywieziesz syna? Lubię dzieci i chciałabym go poznać.
- Simona? Nie chcę podejmować najmniejszego ryzyka, gdy chodzi o Simona.

- Ja również - zapewniła Rowena. - Chcę go poznać i uczynić, co w mojej mocy, by zapewnić mu bezpieczeństwo. Zadbam jak tylko potrafię, by nie stała mu się żadna krzywda. Przrzekam ci to.

Zoe kiwnęła głową.

- Będzie miał prawdziwą frajdę. Nigdy nie widział domu takiego jak ten.

- Już się cieszę na nasze spotkanie. Dano, czy możemy zamienić parę słów na osobności?

- Oczywiście.

Rowena wzięła ją za rękę i wyprowadziła z pokoju.

- Czy kiedykolwiek ci mówiłam, jak wspaniale urządziliście dom? - Dana przyglądała się barwnej mozaikowej podłodze, jedwabnym tapetom, lśniącym meblom. - Teraz podoba mi się jeszcze bardziej, bo wiem, jak mogłoby wyglądać w mniej sprzyjających okolicznościach.

- Niebawem będzie należał do ciebie.

- Nadal trudno mi to sobie wyobrazić.

- Pragnę ci pokazać pewien szczególny pokój.

Rowena zatrzymała się przed dwuskrzydłowymi drzwiami. Otworzyła je i wprowadziła Dane do książkowego rajy.

Była to dwupoziomowa biblioteka z piękną ozdobną balustradą otaczającą górny poziom. Ogień płonął w kominku z różowego granitu i jego blask, wraz ze światłem tuzina lamp, odbijał się w wypolerowanym drewnie podłogi.

Na wysoko sklepionym suficie Dana dostrzegła malowidło przedstawiające postaci z najbardziej romantycznych baśni. Księżniczkę Rapunzel, spuszczącą złoty warkocz z okna, Śpiącą Królową obudzoną pocałunkiem, Kopciuszka przymierzającego szklany pantofelek.

- To jest cudowne - wyszeptała. - Więcej niż cudowne.

Obszerne, głębokie fotele i długie wygodne sofy obite były bordową skórą. Stoliki, dywany i dzieła sztuki miały z pewnością dużą wartość, lecz Dane olśnił przede wszystkim księgozbiór. Setki, może nawet tysiące książek.

- Wiedziałam, że sprawię ci przyjemność - zaśmiała się Rowena. - Masz wyraz twarzy kobiety, która wie, że za chwilę *zazna* rozkoszy z niezwykle biegłym w tej sztuce kochankiem.

- Wyznam szczerze, iż wystarczająco duże wrażenie wywarło na mnie to, że jesteś boginią i tak dalej. Ale tutaj wszystko przekracza moje najśmielsze wyobrażenia. Chylę przed tobą czoło.

Uszczęśliwiona Rowena przysiadła na poręczy fotela.

- Kiedy Malory zakończyła poszukiwania, pragnęłam ofiarować jej dar, który sama wybierze. Spełnić jej życzenie, gdyby tylko leżało w mojej mocy. Teraz to samo proponuję tobie.

- Zawarłyśmy umowę. I każda z nas dotrzymała warunków.

- Ona odpowiedziała podobnie. Podarowałam jej obraz, który namalowała, gdy uwięził ją Kane. Wydawała się zadowolona. A tobie chciałabym podarować te książki, razem ze wszystkim, co znajduje się w pokoju. Mam nadzieję, że przebywanie tutaj sprawi ci przyjemność, gdy już zostaniesz panią tego domu.

- Wszystkie książki?

- Wszystkie - zaśmiała się ponownie Rowena. - I cały pokój. Czy przyjmiesz mój prezent?

- O, tak. Dziękuję. - Dana ruszyła w stronę regałów, lecz zatrzymała się w pół kroku. - Lepiej nie. Jeśli raz zacznę, nie wyjdę stąd przez najbliższe dwa albo trzy lata. Roweno, będę dbała o tę bibliotekę i strzegę ją jak skarbu - zapewniła.

- Wiem, że będziesz. A teraz niech twój mężczyzna zabierze cię do domu. Pozwól, by otoczył cię opieką, tak jak tego pragnie.

- Pozwolę, nie ma obawy. Już wcześniej otrzymałam od ciebie dar - dodała, gdy wychodziły z biblioteki. - Oddałaś mi Jordana.

- Sama go odzyskałaś. To zupełnie co innego. - Rowena przystanąła w drzwiach Pokoju Szklanych Cór. - On jest bardzo przystojny, ten twój wojownik.

- Nie przeczę. - Obserwowała go przez chwilę, on zaś odwrócił głowę i spojrzał Danie prosto w oczy z leniwym, czarującym uśmiechem. - Widzisz? - mruknęła do Roweny. - Cała się rozplątam, kiedy tak na mnie patrzy. Gdyby wiedział, wykorzystywałby to za każdym razem, żeby postawić na swoim.

- Dlaczego byliście takie rozbawione, kiedy wróciłyście do nas? - spytał Jordan.

- To nasza mała tajemnica. - Dana przeszła obok samochodu i odwróciła się, by spojrzeć na Wzgórze Wojownika. - Ciągle pró-

buję przyzwyczać się do myśli, że ten dom będzie należał do nas. Że zamieszkamy w nim.

Jordan stanął za nią, objął w pół i przyciągnął do siebie.

- Będziemy tu szczęśliwi. Ten dom potrzebuje szczęścia.

Z westchnieniem odchyliła głowę i przycisnęła usta do jego policzka.

- Ja już jestem szczęśliwa.

Gdy odjeżdżali, żadne z nich nie zauważyło odzianej w pelerynę postaci, która stała na balkonie. Oświetlał ją nikły blask, rzucony przez sierp księżycy.

Odprowadziła ich spojrzeniem, życząc wszystkiego dobrego.

Czując na ramieniu dłoń swego wojownika, Dana odwróciła się ku niemu. Przytuliła policzek do jego piersi i zapłakała cicho nad tym, co było i nad tym, co będzie.